

N A G R O D A B O O K E R A

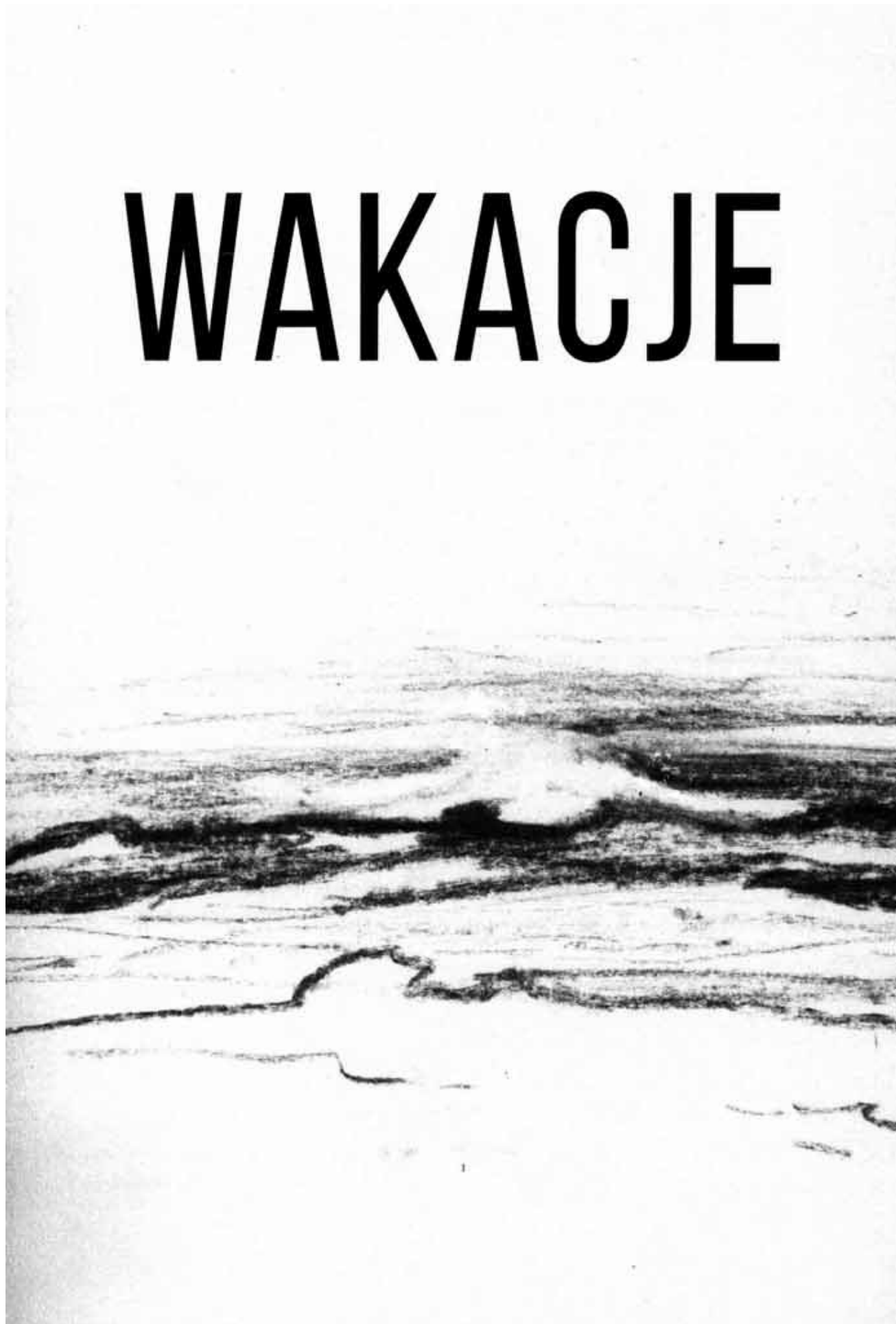
# WAKACJE

• STANLEY MIDDLETON •



W  
M  
wiatr  
od morza

# WAKACJE



# WAKACJE

• STANLEY MIDDLETON •

Przełożył Bartosz Lewandowski



*Dla Selwyna i Mim Hughes*

Wierni powstali, oddając cześć Pomazańcowi Pańskiemu. W wypolerowanych ławach roz-  
błysło światło. Słoje drewna zafalowały posępnie pod powłoką szelaku, roztaczając wokół  
splendor pracy ludzkich rąk. Mosiężne uchwyty na parasole lśniły wyczyszczone, lecz me-  
talowym tabliczkom z nazwiskami wiernych pozwolono szernieć w zapomnieniu.

Edwin Fisher zerknął do swojego śpiewnika, wsłuchany w głos siedzącej obok kobiety.  
„Oto nadchodzi! – wieściła. – Spiesz się wesprzeć cierpiących! Pomóc biedę odeprzeć! Siłę  
dać słabnącym!”<sup>{1}</sup> Jej śpiew przeszywał do głębi. Płynące swobodnie słowa sprawiły,  
że chłopiec i dziewczynka dwa rzędy przed nimi odwrócili głowy, wlepiając w nią wzrok.  
Matka łagodnie przywołała ich do porządku. Fisher nucił, nie otwierając przy tym ust.

Kościół miał grube, białe ściany. Jego wąskie, strzeliste okna wypełnione były osadzo-  
nymi w ołowiu, małymi, w miarę czystymi, romboidalnymi szybami. Nad głową Fishera  
rozpościerał się balkon, wsparty na metalowych filarach w błękitnej regencji. Uśmiechnął  
się w duchu: nie bez kozery w takich wiktoriańskich budowlach, wznoszonych z myślą o  
kremowych odcieniach i ciemnych brązach, stosowano zwykle skromne kolory końca  
osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku. Sąsiadka uniosła głowę, koncentrując  
uwagę na promieniach słońca jaśniejących we włosach małego chłopca, który, wsparty o  
matkę, usiłował wdrapać się na siedzenie, by dosięgnąć jej śpiewnika. „Miłość i nadzieja  
na jego ścieżce kwitną”.

Ogół zgromadzenia, jak to oceniał Fisher z tylnej ławy, stanowili w większości wierni  
w średnim lub podeszłym wieku. Przeważnie kobiety w kwiecistych kapeluszach, omota-  
nych wstążką czepkach i płowych letnich płaszczach. Wczasowicze cieszący się wypełnio-  
nym kościołem, serdecznym śpiewem i obecnością lubianego pastora. Nie dostrzegł chóru  
jako takiego; ławki przed organami zajmowały dwie dziewczyny, starsza pani i siwy mę-  
czyzna. Nie zachwyciło go to. O ile pamiętał, protestancki dysydyntyzm wymagał liczego,  
marudnego chóru z despotycznie podszeptującymi primadonnami, dopingującymi wiernych  
do zdyscyplinowanego i entuzjastycznego śpiewu. Najwidoczniej chórzystki były na waka-  
cjach lub u siebie w pensjonatach, gdzie nakrywały do stołów bądź polewały pieczenie  
tłuszczem.

Smugi słońca, wypełnione unoszącymi się chaotycznie pyłkami kurzu, kładły się z ukosa  
sprawiając, że ożywione powietrze tańczyło z werwą między obszarami pozbawionej po-  
łysku czystości. Ostatnią strofę wierni wygłosili z wigorem, popędzając grzmiące organy,  
sławiąc Pana w jego przybytku. „Przymierza Jego zerwać nie zdoła czasu bieg – Imię Jego  
będzie trwać, Miłość po wieków wiek”. Cisza osiadła ciężko; duchowny poprawił włosy,  
befkę i rękawy togi. Tak przygotowany wygłosił błogosławieństwo, a gdy organista za-  
czerpnął haust powietrza po ostatnim „amen”, ludzie kłapnęli na swoich ławach, osłaniając  
oczy prawymi dłońmi.

Edwin Fisher rozejrzał się dookoła.



Światło słoneczne raziło teraz tak, jak gdyby morze odbijało je z zewnątrz. Wierni posuwali się niemrawo, ściskając w dłoniach jedwabne szale i wymieniając pogodne uwagi przy akompaniamencie bachowskiego *Preludium B-dur* z cyklu *Ośmiu małych preludiów i fug*. Opuściwszy swoje miejsce w tylnej ławie, Fisher jako pierwszy znalazł się przy drzwiach, gdzie pastor, niższy i mniej imponujący niż z wyniesienia swej ambony, uśmiechnął się i uściśnął mu rękę. Na zewnątrz światło wirowało, jak gdyby przez cały poranek szamoczący się wiatr podsycał drgania gorącego powietrza, które szkliło się teraz płomiennym blaskiem. Kościół metodystów. Matowe złote litery. Rano i wieczorem wielebny pastor J. Parkinson Dewes, M.A., B.D.

Na ulicach zalegała cisza.

Przypuszczalnie plażowicze udali się nad morze dwie godziny temu i nie zamierzali wracać na obiad. Współczesny wzorzec: śniadanie, do samochodu lub na plażę, powrót najwcześniej o szóstej, na wieczorny posiłek i telewizję. Tak więc chybione okazały się jego imaginacje o chórzystkach pochylonych nad gazowymi kuchenkami; może zatem ścierały kurze, skrobały góry ziemniaków, pielili ogrodowe alejki lub dawały wypocząć zmęczonym kościom przy lekturze niedzielnej prasy.

Choć słońce świeciło, na rogach ulic tego miasteczka na wschodnim wybrzeżu zaciął wiatr. Stojąc teraz na głównej drodze, Fisher obserwował otwarty sklep papierniczy, pełen stojaków z pocztówkami, czytań o krzykliwych okładkach, reklamówek z brytyjską flagą, wiader i łopatek. Uwielbiał to miejsce – zza zadaszonych, metalowych arkad sprawiało wrażenie, jakby rewolucja przemysłowa odpuściła, prezentując łagodniejsze oblicze. Uciekał tutaj w dzieciństwie: naiwny chłopiec, zbiegły od nudnych rodziców pośród kapeluszy panama i jaśniejących bielą tenisówek, słuchający serdecznych pogawędek, zazdroszczący oznak szczodrości, zachwycony dziewczynami, zuchwał.

Gwiżdżąc, zawyrokował na niekorzyść plaży i skierował kroki do pubu.

Trzy minuty po dwunastej lokal był pusty, chwilowo przyciemniony i duszny. Barman, który stał w samej koszuli przed półkami pełnymi butelek i ich lustrzanych odbić, naciągnął marynarkę. Obsługiwał Fishera bez pośpiechu: nim odwrócił się do drugiego kontuaru, uczynił wzmiankę o pogodzie i temperaturze. Było tu tak spokojnie jak w kaplicy, choć barwniej, mniej harmonijnie; żadne miejsce kultu nie chełpi się pluszowym dywanem. Sącząc swoje *ale*, Edwin Fisher rozmyślał nad zbliżającym się popołudniem.

Najpierw musi coś zjeść, ale gdzie? Wybrać pasztecik z kiełbaską przy piwie czy zasiąść przy białych obrusach i zastawie? Kiedy gościł tu w dzieciństwie, zawsze przy pierwszej wyprawie na plażę zahaczali na deptaku o krzeselkową wagę. Mgliście przypominał sobie dziecięcą irytację całą ceremonią: najpierw matka, potem on i jego siostra, w końcu ojciec. I wyniki – zapisywane na małych kartonikach, czemu towarzyszyło droczenie się starego z obsługą, gotową kłaniać się w pas za sześć pensów. Fisher pamiętał brunatną, małpią twarz z białymi liniami zmarszczek pod oczami. A w sobotni poranek, smutny dzień exodusu, znów ustawiali się w kolejce, zapisywali nową wagę i odejmowali od niej początkową z nadzieją na wynik dodatni.

Dziś wszyscy się odchudzają, wysysają owoce, skubią steki, unikają lodów i piwa. W

tamtych czasach reglamentacji słusznym było przytyć; być grubym, oznaczało być zdrowym. Fisher pomyślał o ojcu, chudym jak szczapa, machającym na siedzisku wagi obutymi w tenisówki stopami, jęczącym: „Dołóż jeszcze funt, na miłość boską, bo pomyślą, że usycham” – zaraz padłaby szelmowska riposta jego przysłaniającej usta dłonią żony: „Nie, Arthur, robisz tyle hałasu, że na pewno tak nie pomyślą”.

Wtedy Edwin nienawidził rodziców za to, że są sklepikarzami. Służalczy, niewykształceni żartownisie z paluchami zatłuszczonymi od miedziaków ze sklepowej kasy notorycznie zwracali na siebie uwagę. Kiedy służący oprowadzał motłoch po pałacu, to właśnie Fisher-senior zadał pierwsze głupie pytanie i wypalił prostackim dowcipem, po czym doczekał się powściągliwej odpowiedzi przewodnika, kryjącej dezaprobatę jawną dla wszystkich prócz ojca: „Nie, proszę pana. Z całym szacunkiem, proszę pana, nie sędzę, by w tym przypadku miało to miejsce”. Niemniej stary idiota był całkiem cwany; potrafił zarabiać na sklepach i zostawił dzieciom sporą sumkę. No i czytał, choć wprawdzie – jak osądził młody Edwin – skupiał się wyłącznie na błahostkach.

– Czy wiedziałeś, mój Edwinie, że Beethoven robił tabliczki mnożenia na łożu śmierci?  
– Nie.

– Ano robił. Tak tu piszą.

– Co mają na myśli przez „robił”? – chłopiec został zmuszony do zawołania swych obiekcji.

– Robił? – Ojciec zerknął do periodyku, a może bibliotecznej książki. – Nie piszą... Nauczył się. Wydaje mi się, że ich używał.

Powracał do wertowania. Żadnej refleksji na temat muzyki. Jedyńm utworem Beethovena, jaki rozpoznawał, był *Menuet G-dur*, plumkany na pianinie przez Tinę. Gdy Edwin słuchał koncertów w radio, stary narzekał.

– Nie możesz tego przyciszyć? Wwierca się w mózg. Gołym okiem widać, że nie naprawowałeś się dzisiaj, inaczej dość miałbyś tego jazgotu.

– To Beethoven.

– Nic dziwnego, że ogłuchł.

Fisher nigdy nie rozgryzł poglądów ojca na edukację, a i teraz niewiele z nich rozumiał. Obie pociechy posłano na studia, pomimo narzekań Arthura na związane z tym koszty. Nie wyglądało również, żeby zazdrościł im zdobytej wiedzy. W swoim umyśle przekupnia gromadził skrawki informacji, którymi z lubością zaginał potomstwo, lecz nigdy nie podjął próby uporządkowania lub usystematyzowania wiedzy. Zdaniem syna – wygłaszał je w chwilach rozdrażnienia – ulubioną lekturą ojca był zbiór dziecięcych encyklopedii.

– Czemuż by nie? – odpowiadał wtedy Arthur. – Kto szuka, nie błądzi.

Matka z powodzeniem nadążała za ich tokiem kształcenia i z łatwością odnajdywała się w rozmowach o poziomie podstawowym i rozszerzonym, egzaminach na uniwersytety, weryfikacji ocen i kursach ukończonych z wyróżnieniem. Kiedy teraz o tym myślał, zastanawiało go, jakież to obraz ukrywał się za trafnie dobranej frazeologią Elsie Fisher. Nigdy nie potrafił jej przejrzeć, również za jej życia. Nieskrępowana, pogodna, można by pomyśleć – pozbawiona ambicji, czy to towarzyskich, czy intelektualnych, zaganiała męża do

gromadzenia pieniędzy, a dzieci do nauki. Uczęszczała regularnie z całą rodziną do kościoła metodystów przy Vane Street, nigdy nie wspominając o Bogu ani nie afiszując się przed bliskimi na klęczkach z modlitwą o przewodnictwo. Skryta, żyła otwarcie; prosta kobieta obsługująca w sklepie, która jednocześnie odmówiłaby objęcia nawet najmniej wymagającego stanowiska w kościele, a dzieci i męża słała do tego stopnia, że ośmielali się informować ją tylko o sukcesach. I chociaż nigdy nie była wylewna w pochwałach, nauczyli się odczytywać znak aprobaty w zmrużeniu oczu i powolnym skinięciu głowy. Czasem mawiała, tak jak wtedy, gdy Tina zdała do liceum:

– Na twoim miejscu, Arthurze, dałabym im pół korony.

– Obydwojgu? – udał oburzenie.

– Naucz się cenić siebie nawzajem.

– No więc jak Ted nabroi – powiedział Arthur jowialnie – będę musiał, według tej rachuby, jednemu i drugiemu dać klapsa.

– Skoro to, co osiągnęła, nie jest dla ciebie warte pięciu szylingów, to ich nie dawaj. Wyskrobie z domowego budżetu.

– I odbijesz sobie na moich herbatkach. – Uśmiechnął się pod wąsikiem à la Chaplin.

Nieodmiennie sięgał do kieszeni.

Wracając myślami do tamtych czasów, trzydziestodwuletni Edwin Fisher musiał przyznać się do emocjonalnej niedojrzałości, znów bowiem poczuł zażenowanie, wstyd, nieustannie dręczące go pragnienie bycia gdzie indziej lub w innym ciele. Dziś trudno było mu w duchu odmówić rodzicom pewnych cnót: obydwójce z zapałem oddawali się pracy, obydwójce również żywili do swoich dzieci głęboką miłość, której nie potrafili okazać wspinającym się w hierarchii społecznej, bystrym latoroślom. Dostrzegał to teraz, gdy już nie żyli, i choć życzyłby sobie innego podejścia, nie potrafił poddać ich trzeźwej ocenie. Być może to z nim było coś nie tak. Spotkawszy swoją siostrę – lekarkę poślubioną lekarzowi – na powrót zaczynał odgradzać się murem, jak gdyby dzielili jakiś sekret, wrogość naznaczoną desperacją. Ona co prawda nie przyznałaby tego otwarcie; chłodna, szykowna, roztropnie wycofana, przyjmowała jego zaczepki z rozbawieniem, jednak wystarczyło, by spędzili razem więcej niż trzydzieści sześć godzin, a zaczynali się kłócić – bez wyraźnego powodu, raczej z głęboko zakorzonego przyzwyczajenia. Uznał, że wciąż walczą o względy rodziców.

Za jego plecami z otwartego okna dobiegały dziecięce krzyki i podniesiony, przenikliwy głos dorosłego. Zaciekawiony, koniec końców postanowił nie dochodzić przyczyny i pozostał na miejscu. Podejmowanie decyzji, gdy jest już po wszystkim – to jego domena. Wysączył do dna piwo, zamienił jeszcze trzy słowa z barmanem, gdy ten wrócił wymachując latoroślą, ocenił połysk obuwia i zebrał się do wyjścia. Obejdzie się bez obiadu, kupi funt jabłek, pospaceruje... chociaż – w niedzielę? W lecie nad morzem wszystko da się kupić. Obierając kurs na plażę, wkroczył w światłość dnia.

W chwili, gdy pod jego stopami miejsce chodnika zajął miękki, zaśmiecony papierkami piasek, zrozumiał, że oto znalazł się tam, gdzie wcale być nie chce. Plaża nie ma mu nic do zaoferowania prócz tych rozległych połaci miłkiego pyłu, prócz tego płytkiego morza od-



dalonego o dziesięć minut spacerem, prócz ludzi na leżakach, na kocach, za krzykliwymi parawanami, roznieglizowanych i czerwonych, wygrzewających w słońcu naoliwione ciała. Zdjąłby buty, podwinął spodnie i zaczął komicznie brodzić w wodzie, jak to zwykł robić jego ojciec przed dwudziestu laty. Staruszek, nawet gdy taplał się przy brzegu, nie zdejmował filcowego kapelusza. Zachowywał powagę, wzbudzając śmieszność. Nonsens. Arthur Fisher nie dostrzegł niczego niestosownego w swoim zachowaniu, bo i niczego niestosownego w nim nie było – problem istniał jedynie w umyśle jego krnąbrnego syna.

Edwin usiadł, wytrzeptał buty, założył je z powrotem. Oto rozsiadł się mężczyzna, który odszedł od swojej żony – o ile to właściwe słowo – nadając sobie tym samym prawo do teatralnych zachowań, do emocjonalnej ekstrawagancji – prawo, które jego osobowość skrętnie wykorzystwała, narzucając mu odegranie błazenady znanej z popisów ojca. Wstał, obciągnął kurtkę, klepiąc się po kieszeniach uprzytomnił sobie, że zapomniał o jabłkach i ruszył na deptak.

Pomimo wiatru słońce mocno grzało przez ubranie. Ni stąd, ni zowąd ruszył różnym krokiem, wyprostował się, nabrał optymizmu. Poczłł chęć, by z kimś porozmawiać, wymienić parę popołudniowych banałów. Na drodze prowadzącej na plażę, zasłanej naniesionym piachem, zrobiło się gęsto od falujących kiecek, wyprężonych klatek piersiowych, rodzin snujących plany. Jednak nikt nie palił się do rozmowy z Fisherem. Nie pojawił się żaden brudny, starszy jegomość, który, ciągnąc za sobą prochowiec, mamrotałby coś pod wąsem z zamiarem wyżebrania zapałki, peta czy równowartości flaszki. Ludzie nie spoufalali się ze sobą. Kobieta jazgocząca o swoich oparzeniach słonecznych stanowiła w tym względzie wyjątek.

Uchwyciwszy swoje odbicie w sklepowej witrynie, przystanął, aby podziwiać prężną posturę, gęste włosy, wytworny nos, delikatne ręce. Nie pozował długo, ale ta chwila dobrze mu zrobiła. Przez tuzin następnych kroków czuł się kimś, osobą godną uwagi, aczkolwiek w mijanym tłumie nie wzbudzał sensacji.

Przespaceruje się deptakiem, przejedzie autobusem, kupi książkę i poczyta ją sobie w altance przy nadmorskim bulwarze. Na wakacjach. Wolny człowiek. Nieobciążony małżeństwem, wolny od dzieci. Dziecka. Zaklął wściekle i siarczyście, wydawało mu się, że na głos, lecz nikt nie usłyszał, nie zwolnił kroku, nie spojrzął za siebie, nie okazał dezaprobaty.

– Spieprzaj.

Usłyszawszy to, stanął. Odzywka padła z ust czerwonego na twarzy mężczyzny. Jego rozmówca tylko wzruszył ramionami. Obaj odziani w prochowce. Obaj sprawiali wrażenie trzeźwych. Dłonie skrywali w kieszeniach – można by pomyśleć: rzemieślnicy w średnim wieku, nieszukający zwady. Jeszcze dziesięć sekund temu, sześć jardów stąd, Fisher nie zwrócił na nich uwagi, lecz teraz zajadłość, z jaką wygłoszono zniewagę, jakby spowolniła przemarsz tłumy.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Wyraz twarzy drugiego mężczyzny nie uległ zmianie. Przejawiał co najwyżej względne zainteresowanie, bez oznak zażenowania czy przestachu. Przytaknął, possał przez chwilę

koniuszek kciuka i odparł:

- Rób jak chcesz.
- Taki właśnie mam zamiar.

Żaden z nich nie drgnął. Wokół ludzie stali w bezruchu; poza ich kręgiem roztrzepotane kiecki i nogawki zwiewało w kierunku morza. Pierwszy z mężczyzn wykonał zamaszty obrót w nieporadnym geście złości, wpadając przy tym na Fishera, wymamrotał jakieś przekleństwo, a może przeprosiny, przepchnął się i odszedł, wciąż coś bełkocząc. Drugi wyjął ręce z kieszeni i najspokojniej w świetle ruszył w stronę miasta. Z braku innych zajęć Fisher podążył w ślad za nim. Po przejściu stu jardów mężczyzna wrzucił list do skrzynki i schylił się, by odczytać godziny, w których ją opróżniano. Ta prozaiczna czynność zaskoczyła Fishera, który nie spodziewał się równie trywialnych działań po kimś, kto ściągnął na siebie uwagę w miejscu publicznym. Czy złożył jakąś lubieżną propozycję? A może pokornie o coś błagał? Czy panowie znali się wcześniej, a co za tym idzie, czy ich wymiana zdań wynikała z uprzednich kłótni?

Fisher zrównał się z mężczyzną.

Kroczyli Carlin Avenue – ulicą niemal opustoszałą. Wokół kwitły lipy; w oknach po nasłonecznionej stronie zaciągnięto zasłony. Cisza pełna życia.

- Piękny mamy dzień – odezwał się Fisher.
- Aha. – Stosunkowo życzliwe odburknięcie.
- Wiaterek chłodnawy.
- Hmm.

Obydwa dźwięki zabrzmiały dość przyjaźnie, stojąc w sprzeczności z wcześniejszym wybuchem agresji. Mężczyzna został w tyle, a Fisherowi nie wypadało się teraz zatrzymać. Gdy spojrzął za siebie, tamten zapalił papierosa, a chwilę później zniknął w jednym z budynków. Z kwaśną miną, drwiąc i pokpiwając z samego siebie, Fisher wybrał drogę na przełaj do głównej ulicy handlowej, stamtąd zaś skierował się na deptak. Tutaj szło mu się już różniej. Zaczął rozpamiętywać poranną wizytę w kaplicy. Wmawiał sobie, że nie ma w nim ni wiary, ni nostalgii. To szczeniacka ciekawość najpierw go tam przywiodła, a następnie zawiodła, gdyż ostatecznie nie dopatrywał się u siebie żadnej reakcji. Teraz już nie pamiętał, czego oczekiwał... czego ktokolwiek mógłby oczekiwać. Chodziła za nim pewna strofa, nie dając spokoju.

*Czy we mnie wzlot anielski, czy garść prochu szara,  
Na wszystkim dłonie Twoje się położą:  
Moc Twa i miłość, miłość ma i wiara  
Jeden świat wszędzie tworzą{2} .*

Wyrecytował wersy na głos; wygłosił je powtórnie, dostosowując krok do ich rytmu. Targani wiatrem, rozpromienieni ludzie mijali go, to posyłając spojrzenia, to ignorując. Pomyślał: „George Herbert” – i zamarzył o równie silnych przekonaniach. W siedemnastym wieku Edwin Fisher zapewne miałby wiarę, acz pełną pretensji, pozbawioną złudzeń i wyznawaną potakiwaniem przez bynajmniej niefruwającego z aniołami zgorzkniałca. Zatem

Herbert.

Nagle smagnięcie wiatru porwało kapelusz jednemu z ojców rodziny, zaś Fisher, którego aż obróciło, zaśmiał się – w głos, bez zahamowania, jakby w nim samym zahuczało wietrzysko. Puścił się wówczas biegiem, złapał wirujący kapelusz za rondo i zwrócił go właścicielowi. Oddalił się rozweselony.

Niedzielnny wieczór Fisher spędził przy sypialnianym oknie swojej kwatery.

Rzucem oka ocenił umeblowanie, gładką okleinę ze spiralnymi zwojami u wezglowia łóżka i na froncie szafy. Pokój lśnił czystością, przestrzeni było tu pod dostatkiem. Za oknem rozpościerał się widok na podobne budynki: czerwone dachy wieńczyły czapy na kominach i szpecące anteny. W białych oknach inni wczasowicze, pochyleni nad umywalkami, wcierali balsam galmanowy w policzki i wciskali na siebie elegantsze odzienie. W tym jednym tygodniu w roku, wystrojoni do obiadu, szykowali się na kotlet z frytkami, sałatkę z łososia, zupę brown windsor i lody.

Do jego uszu dobiegało tupanie. Wygłaszana od czasu do czasu krzykiem reprimenda wskazywała na dzieciaki. Kto przyjeżdżał w takie miejsca teraz, kiedy oferty wakacji na Ibizie albo w Tangerze tak bardzo potaniały? Zwolennicy tradycji? Zaharowani ojcowie rodzin? Ludzie ocierający się o biedę? Poniechał tych rozważań i zaczął łajać się w duchu. Nie miał prawa do poczucia wyższości. Niechaj nawet przechwalają się samochodami i odginają mały palec, podnosząc filiżankę z kawą lub psują swoje niesforne bachory, raz się śmiejąc, a raz karząc je za to samo – i tak będą lepsi od niego. Lepsi? Jako istoty ludzkie? Choćby nawet podkradali drobniaki z gazomierza, aby móc zafundować sobie ostry rozstrój żołądka już o szóstej trzydzieści wieczorem?

Stał przy oknie, spoglądając ponad żakardową firanką.

Na zewnątrz było jeszcze jasno, chociaż już spokojniej. Teczka z papeterią, pozostawiona na toaletce, leżała otwarta. Może jeszcze nie dziś, ale w końcu napisze do swojej żony suchy, informacyjny list, bez wzmianki o sobie, bez oskarżeń, zwykłą wiadomość, żeby wiedziała, gdzie jest i targana złością dowiedziała się, jak wygląda ten pensjonat, ulica, wybrzeże. Nie będzie się dąsał, kajał ani krzyczał, lecz zawrze w liście gołe fakty na temat pokoi, lokalnych rzemieślników i dmuchanych materaców, doprowadzając ją do szału.

Na dole zadudnił gong; schody zatrzęsły się od tupotu stóp.

Usiadł w rogu, z dala od okna, sam przy małym stoliku, pod wysokim wieszakiem na kapelusze. Dania podawała mu uśmiechnięta czternastolatka w niebieskim fartuszk, pasującym do opaski na głowie. Ciepły, chociaż pozbawiony smaku posiłek został spożyty w spokoju – pozostali goście, zmęczeni i czerwoni jak buraki, nie byli skorzy do żartów. Nawet dzieci jadły w ciszy i tylko jedno z nich wykończona matka pogoniła do łóżka, nim podano główne danie.

Jakaś para powiedziała mu „dobry wieczór”, ale na tym konwersacja się urwała. Przy kawie ludzie zajmujący dwa oddzielne stoliki zaczęli umysławiać sobie, że pochodzą z tego samego miasta, mieszkają na tej samej ulicy... w momencie, gdy zaczęli błyskotliwie dowcipkować, Fisher opróżnił swoją filiżankę i udał się na górę.

Umył zęby i przez dwadzieścia minut, siedząc wygodnie w wiklinowym fotelu z nogami zarzuconymi na ramę łóżka, czytał wspomnienie o D.H. Lawrensie autorstwa E.T. [\[3\]](#) Póź-

niej wyciągnął z szafy płaszcz przeciwdeszczowy i zszedł na dół, gdzie natknął się na parę w średnim wieku, którą kojarzył ze stolika obok; zatrzymali się w małym ogrodzie od frontu, by zdjęwszy nakrycia głowy poinformować go, że wieczór jest piękny i zapytać, jak daleko się wybiera. Nie określili się jednoznacznie, gdyż sam jeszcze tego nie wiedział, nie przeszkodziło to wszakże całej trójce skupić się towarzysko wokół krzaku róży, by podziwiać ciemnoczerwone kwiaty i próbować odgadnąć nazwę gatunku bez większej nadziei na powodzenie.

Po sympatycznym spotkaniu Fisher przebył ulicę, próbując ustalić w myślach, jakąż to profesją mógł parać się ów jegomość. Potem prędko obrał drogę prowadzącą na deptak i plażę – gęsto zaśmieconą i opustoszałą w całej swej rozciągłości. Bez wytyczonego celu, nie mając nic do oglądania, stawiał w piasku niepewne kroki. Paru mężczyźn zdążyło już zabrać się za nabijanie na zaostrome patyki papierków po czipsach i opakowań po lodach, które z kolei upychali w workach.

Słońce kryło się za hotelami, rzucając na deptak długie cienie, zaś wieczorny wiatr przydawał policzkom rumieńców. Dzieląc brzeg morza z jakimś psem i migdałącą się parą, Fisher delectował się swym wahaniem, niepewny własnych pragnień. Wyruszył w kierunku północnym, wzdłuż wybrzeża, lecz pół godziny takiego spaceru uzmysłowiło mu, że ma jednak ochotę na coś innego, skręcił zatem w głąb lądu, minął pole namiotowe i stanął na równej drodze między chatami i bungalowami. Gdy tylko znalazł się blisko centrum, zбочył w uliczkę prowadzącą do pubu i zamówił piwo.

Ściany zdobiły sypialniane lustra i zwisające sznury kolorowych światełek, każdy ze stolików pokrywała tafla zielonego szkła. Spoglądając zza swojego kufła, Fisher z przykrością uświadomił sobie, że rozpoznaje mężczyznę sadowiącego się na miękko obitej ławie naprzeciwko. David Vernon, jego teść.

Wlepił w niego wzrok, szykując się do otwarcia ust, ale tamten odpowiedział beznamiętnym spojrzeniem, jakby nie miał bladego pojęcia, na kogo patrzy. Okrągłe, marmurkowo zielone oczy osadzone w czerwonej twarzy nadawały Vernonowi wygląd kornecisty łapiącego oddech po wyczerpującej solówce, wciąż podekscytowanego, lecz dochodzącego już do siebie. Mylne skojarzenie, Fisher dobrze o tym wiedział. Vernon grał świetnie na skrzypcach, a jego anielski wyraz twarzy bynajmniej nie oznaczał naiwności kmiotka. W końcu starszy mężczyzna skinął głową. Ruch był zdawkowy; nic nie sugerował, nic też nie zdradzał.

W lokalu nie panował jeszcze tłok, niemniej Fisher poczuł, że powinien się przesiąść. Ostatecznie jednak to teść podszedł do niego, niemrawo powłócząc nogami. Styłowy kaszkiet, biały płaszcz przeciwdeszczowy w wojskowym stylu, kraciasta, tweedowa marynarka, wypastowane brogisy, lecz bez laski. Mężczyzna dopełnił całego ceremoniału: usiadł, dosunął krzesło, sapnął, zadyszał, by na koniec podwinąć poły płaszcza.

– Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałbym się tu zobaczyć – powiedział Vernon.

Fisher nie znalazł na to odpowiedzi.

– Nawet miła knajpka. Właściciel potrafi serwować piwo.

– Jest całkiem dobre.

Obaj unieśli kufle i spróbowali. Obydwaj odstawili je na podkładki – jednocześnie. Vernon szarpnął za pasek, wcisnął podbródek w kołnierz i powiedział:

– Zmartwiła mnie wasza sprawa.

– Tak.

– No, ale nie mój interes. – Subtelna walijska naleciałość w sposobie wymowy kolidowała z jego dobroduszną, angielską twarzą. – Skoro nie możecie się z Meg dogadać... – Wzruszył ramionami, zrobił kwaśną minę i zasepiony zapytał: – To koniec?

– Tak sądzę.

– Szkoda. Nie twierdzą, że to twoja wina. Ona też ma się z czego spowiadać. Jedno mnie tylko zastanawia.

Czyżby, cholerny Walijszyku?

– He?

– Dlaczego nie przyszliście z tym do mnie? – Vernon usiadł teraz prosto, ramiona ściągnął do tyłu: oficer na defiladzie. – Nie twierdzą, że rozwiązałbym to za was, ale mam bogate doświadczenie w sprawach matrymonialnych – jak zapewne ci wiadomo.

– Nie widzieliśmy za bardzo sensu.

– Co masz na myśli?

– Pamiętam, jak mówiłeś, że jeśli zwiążesz się z klientem emocjonalnie, to przegrałeś – nie da się tego znieść, nie można z tym żyć.

– Rozumiem.

Vernon zagryzł usta, tak że przez moment Fisher widział młodego, atrakcyjnego, szczupłego adwokata sprzed trzydziestu lat: bystra, inteligentnie zasepiona twarz, uosobienie absolutnej czujności.

– To twoja córka.

– Więc jestem emocjonalnie związany... – Poprawił się. – Uwikłany. – Spodobało mu się to słowo, więc powtórzył je z wibrato: – Uwikłany. – Teraz, zwyczajem pana Jaggersa, przygryzł kciuk. – Tak, tak. – Podniósł kufel, ale nie upił. – Gdzie jest Meg? – zapytał.

– W domu, o ile mi wiadomo – odparł Fisher.

– A ty?

– Wynajmuję z kimś mieszkanie.

– Czy on wie, dlaczego? Zakładam, że ten ktoś to mężczyzna.

– Tak, mężczyzna. Wie, że odszedłem od żony. Powiedziałem mu.

– Rozmawiasz z kimś o tym? – nalegał Vernon.

– Nie.

– Ludzie tak robią, wiesz? Inteligentni ludzie. Wykładowcy uniwersyteccy. – Teraz drwił. Jeszcze niepewny, próbował się odgrywać.

– To prawda.

– Tak jak niektórzy dobrze sytuowani prawnicy spędzają niedzielne wieczory w ustronnych pubach nad morzem.

Vernon, niewzruszony, poklepał się po brzuchu.

– Byłem przemęczony. Dlatego zdecydowaliśmy się spędzić tu dwa tygodnie. We Fran-



kland Towers. – Najdroższa opcja. – Irene poszła do kościoła, ale ja nie miałem ochoty się tam pokazywać. Nie uśmiechało mi się też chlać z plutokracją. Zdecydowałem więc, że zasiądę w pierwszym robotniczym pubie, jaki zobaczę. I kogo w nim spotykam? Mojego utraczonego zięcia, Edwina Arthura Fishera, magistra nauk humanistycznych, magistra edukacji.

Pociągnął łyk, najwyraźniej zadowolony, że udaje mu się dotrzymać kroku w tej grze. Fisher patrzył na niego z rodzajem czułości; wiedział, że to typowa dla teścia gadka-szmatka, stanowiąca kamuflaż dla jego inteligencji. Kiedy Edwin zaczął zalecać się do Meg, jej ojciec zaprosił go do partii szachów, po czym, okazując życzliwość, walczył zawzięcie, nie mogąc ścierpieć porażek. To, że dorosły człowiek, flegmatyczny niczym farmer, może wykazać się taką determinacją w dążeniu do wygrania nieistotnej rozgrywki, ubawiło, lecz po zastanowieniu również zatrwożyło Fishera. Vernon musiał okazać wyższość wobec nowego rywala – choćby tylko na szachownicy. Owszem, mógł zmiażdżyć swojego przeciwnika w pojedynku na stan konta, ale to by nic nie znaczyło. Jedynie intelektualne zwycięstwo przy użyciu najlepszych figur z kości słoniowej miało jakąś wartość w rozgrywce z tym młodym wykładowcą, podstawionym mu pod nos przez córkę.

– Czy to znaczy, że nie pojechałeś zobaczyć się z Meg? – zapytał Fisher.

– A jak myślisz?

– Pojechałeś. – Wyjął okulary z kieszeni. – Mówiła coś?

– O, to jest pytanie, prawda?

– Słuchaj – zaczął Fisher – nie chcę robić żadnych ceregieli. Rzuciłem ją na dobre i myślę, że jest tego świadoma, i że tego chce. Jednak byliśmy małżeństwem przez sześć lat, a to coś znaczy. Gdybym mógł coś dla niej zrobić bez konieczności powrotu albo osobistego spotkania, zrobiłbym to.

– Jak ona sobie radzi finansowo?

– Dalej spłacam kredyt, a mój adwokat ustala wysokość miesięcznych zobowiązań.

– Ja jej nie reprezentuję.

– Przyszło mi to na myśl.

– Dziwne z niej dziecko.

W pubie zrobiło się jakby gwarniej, pili teraz w milczeniu. Fisher postawił kolejkę i siadając rzekł:

– Wiesz, zastanawiałem się, co ci powiedzieć w przypadku spotkania.

– No cóż, chłopcze – odparł Vernon – jesteśmy istotami myślącymi, czyż nie? Ale Irene jest wściekła. Postrzegала wasze małżeństwo jako doskonałe. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. – Może myśli, że Meg zwali się nam na głowę.

– Tego bym się nie obawiał.

– Tak uważasz. No cóż. Jedno jest pewne: niezbyt się dogadywały. To samolubna suka.

– Która?

– Łobuziak z ciebie. Sam odpowiadasz za swoje decyzje. A jednak, trochę mnie zaskoczyło, że to właśnie ty odszedłeś. Gdyby to ona pokazała ci takiego wała...

– Nie odgryzłaby ręki, która ją karmi – zauważył Fisher.

– Czy to znaczy, że poszuka sobie pracy?

– Tak myślę.

I znów zasłuchali się w hałas pubu. Gdzieś w odległym pomieszczeniu plumkało pianino, wygrywając przeboje z komedii muzycznych. Vernon, nie uciekając od zjadliwego tonu, zanucił urywek *Love will find a way* {4}. Niezależnie od wojskowego wizerunku i niewątpliwej inteligencji, gustował w bardzo prostych rozrywkach: drink, serial w telewizji, *Mesjasz* w Boże Narodzenie, pół godziny hymnów w radio, oglądanie przygód jakiegoś cwaniaczka w tarapatach. Gdyby umieścić go na skali dobra i zła, gdzie by się uplasował? Samolubny, choć pozornie pozbawiony tej cechy. Groszem nie szastał, ale jawnie skąpy też nie był. Mimo iż nic go nie obchodziły żona i córka, nigdy nie można mu było zarzucić okrucieństwa. Ateista uczęszczający do kościoła dwa razy w miesiącu.

Rumiany, rozanielony, siedział teraz w ustronnym pubie, ciesząc się wieczornym napitkiem i zakłopotaniem na twarzy zięcia. Nie sposób było tego dowieść, ale Fisher podejrzewał, że gdyby ogłosił pojednanie z Meg, Vernon uśmiechnąłby się tylko, bo będąc w posiadaniu takiej wiadomości, miałby, po pierwsze, sposobność poznać się nad swoją żoną, a po drugie, okazję, by przewidzieć – zapewne trafnie – datę ich następnej wielkiej awantury.

– Co ci chodzi po głowie? – odezwał się Vernon.

– Hę? – ledwo było słychać w tym zgiełku.

– O czym myślisz?

Fisher przyglądał się, jak grupa bywalców w średnim wieku, pokaszując, schodzi się do swojego stolika i zdejmując czapki oraz chusty, gotowa porwać z tacy połyskujące kieliszki, by wznieść wspólny toast.

– O tobie – odpowiedział.

Vernon pokręcił głową. Przywódca nowoprzybyłych, mężczyzna o nalanej twarzy, rozdawszy swojej kompanii dzin z różnymi dodatkami, wznosił kieliszek i rzekł:

– Wasze zdrowie.

Prezentując dołeczki w policzkach, Vernon podniósł swój kufel i pozdrowił nowych uroczystym ukłonem. Kurtuazja spotkała się z aprobatą. Nie upłyne więcej niż pół godziny, gdy zaczną tłumaczyć im jakąś prawną kwestię, a połowa sali zamilknie, chłonąc w napięciu jego słowa.

– I pańskie, sir – padło z nalanej gęby.

Fisher wypił duszkiem swoje piwo, życzył Vernonowi dobrej nocy, po czym udał się spać.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, Fishera naszała chęć na spacer.

Przed szóstą obudził się z niewygodny; punkt siódma wysłuchał przy goleniu wiadomości ze swojego tranzystorowego odbiornika, wypolerował buty, po czym wyruszył. I znów kolejny ceremoniał, którego dla pozorów należało dopełnić. Ojciec zawsze wyciągał go na deptak: gonitwa po gazetę, okraszona kilkoma mądrościami udzielanymi w rytmie wymachów laski. Trzeba mu oddać, że energiczny był z niego staruszek. W miarę jak pospołu nabierali prędkości – a o ile dobrze pamiętał, musiał gnać na złamanie karku, żeby dotrzymać mu kroku – ojciec kierował jego uwagę na rześkość powietrza, ozon, zapach smażonego bekonu oraz odbłask porannego słońca, bijący z ogromnych hotelowych okien wychodzących na morze. Wskazywał laską piach i wyciągał wnioski na temat pogody minionego wieczoru; razem sprawdzali zegary pływów, próbując wykoncypować z nich, czy zaczął się odpływ, czy przyptyw lub też oglądali wykresy ilustrujące z dwudniowym poślizgiem liczbę godzin słonecznych. „Najlepsza pora dnia” – intonował Arthur Fisher, wciskając synowi swój „Journal”, opatrzony wysokimi na cal nagłówkami. Edwin tego nie lubił: nie był psem. Poza tym niech no by tylko mała, spocona rączka wymiętosiła i wymemlała papier, a z pewnością zaczęłyby się kłopoty, gdyby ojciec, czesząc bujny wąs, zajrzał na pierwszą stronę, żeby jeszcze przed śniadaniowym gongiem wygłosić kilka nieodzownych komentarzy do bieżących wydarzeń.

Fisher kroczył teraz zwawo, wymachując „Timesem”.

Kupując gazetę, niespodziewanie złapał się na tym, że prowadzi z kioskarzem konwersację w stylu ojca: uprzejmie, zadziornie, protekcyjnie. Na głos zliczył resztę, spytał o kierunek wiatru, skomentował senną odpowiedź sprzedawcy, na koniec zwrócił jego uwagę na zdjęcie z pierwszej strony jakiegoś kolorowego dziennika. Tatuś nigdy nie zaprzętał sobie głowy wysłuchiowaniem odpowiedzi swoich rozmówców. Tych durni porozstawiano mu na drodze tylko po to, by mógł się po nich przejechać perorą lub słownym kalamburem. Gdy Arthur Fisher zażywał wakacji, cały świat wypoczywał wraz z nim – świadomie bądź nie.

Tego poranka morze połyskiwało, upstrzone ruchomymi pasmami złota. Wiatr zaciągał od wschodu; mewy skrzeczały, rozpościerając szerokie skrzydła. Jakiś rzemieślnik pędzący do pracy, ze skórzanym kufrem na zatrzaski w ręku, zignorował radosne pozdrowienia Fishera. Przeciwnym krańcem drogi pomykały dwie dziewczyny – wymuskane buzie, wesóło powiewające spódnice – jedna z nich rozpostartą dłonią starała się utrzymać fryzurę w ładzie. Deptak ział pustką. Fisher stukał gazetą w metalową poręcz. Nie miał nic do powiedzenia ani nikogo, kto mógłby to usłyszeć. Brakowało mu syna, który gnałby u jego boku, który pojmowałby różnicę między ojcem na wakacjach a ojcem powszednim, który by go podziwiał, który byłby powiernikiem przekonań niknących wieczorem wraz ze światłem dnia.

Jego syn umarł.

Donald Everard Vernon Fisher nie żył. Nigdy nie odwiedził tego miejsca, nie uczynił w życiu prawie nic poza łkaniem za matką, zaś wtedy, kiedy ona potrzebowała go najbardziej, żeby nie popaść w obłęd i uratować swoje małżeństwo, stracił życie.

Chłasnęcie „Timesem” i szybki obrót na pięcie odprawiły zmarłego.

Przy śniadaniu młoda mężatka znalazła sposobność, by nawiązać rozmowę. Jej dzieci zachowywały się przez cały czas bardzo przyzwoicie, aż do chwili, gdy opuściwszy swoje stołki, podeszły do krzesła Fishera i zaczęły się na niego gapić.

– Witajcie, mali przyjaciele – celowo wziął je z zaskoczenia.

Splószone grubym głosem, maluchy głośno wciągnęły powietrze i uciekły, by ucześcić się matczynych spodni.

– Mam nadzieję, że się panu nie naprzykrzają?

Po minie jej męża Fisher wnioskował, że przybrała swój najwytworniejszy akcent.

– Ależ skąd.

– Pierwszy raz są na wyjeździe. Czują się nieswojo.

Fisher zlustrował kobietę: dość krótkie blond włosy, barwny sweter, wyprostowane plecy. Miała piękne paznokcie, mimo iż pomalowane na kolor ciemnych winogron. Mąż – koszula z wysokim kołnierzem, długie bujne bokobrody – zabrał chłopców i poprowadził na górę.

– Zdyscyplinowani – odezwała się do Fishera.

– Właśnie widzę.

Koniecznie chciała pogadać.

– Miło patrzeć, jak ojciec pomaga – ni stąd, ni zowąd wtrącił się facet w średnim wieku.

– Radzi sobie z nimi nie gorzej niż ja.

– Jak to możliwe? – zapytał Fisher.

– Zawsze był obecny przy dzieciach, a poza tym potrafi naprawiać różne rzeczy. Z reguły już w progu mają dla niego jakieś zajęcie.

Ludzie uśmiechali się z aprobatą. Miało się wrażenie, że nawet obecne na sali dzieci przyklaskują temu uosobieniu wzorowego ojcostwa. Mężczyzna w średnim wieku zdominował konwersację, podczas gdy jego małżonka uśmiechała się półgębkiem do filiżanki cienkiej herbaty. Fisher, który właśnie smarował masłem ostatni trójkącik tostu, odniósł wrażenie, że rozmówczyni zdaje się być rozczarowana zarówno jego milczeniem, jak i gadulstwem tamtego. Wiedziony dobrym przyzwyczajeniem, ubrał myśl w prostsze słowa: zmieniwszy „odniósł wrażenie” na „miał nadzieję”, a „zdaje się” na „jest”, poczuł się całkiem zadowolony z wyniku. Mogła mieć około dwudziestu pięciu lat. Typowa ekspedientka.

Wstała i obciągnęła sweter, eksponując drobne piersi. Miała duże, jasnoniebieskie oczy.

– Idę sprawdzić, co oni tam wyprawiają – oświadczyła.

Gdy wyszła, żona mężczyzny w średnim wieku pochlebnie oceniła zachowanie dzieci, po czym zwróciła się do Fishera, mówiąc że nieczęsto widzi się taką pomoc ze strony ojców i zaraz złośliwie dodała, że sama takiej pomocy nie otrzymała.

– Nie bez powodu – bąknął pod nosem małżonek.

– Tak, wiem. Nie przeczę.

Podlondyńska prowincja. Pomniejszy urzędnik. Nauczyciel. Sklepiarz. Majster.

Na górze Fisher, zde gustowany po żałowaniu godnym wystrojem pokoju, poprzestawiał dekoracje, bawiać się przy tym stroikiem ze sztucznych róż, który dopiero co spostrzegł. Pomieszczenie, choć dokładnie odkurzone, z czystymi oknami i świeżo upranymi firankami, urządzone było bez gustu: zbiór polerowanych, fornirowanych sklejek i tanich pastelowych plastików. W drodze na górę spotkał młodego ojca ze śniadania, prowadzącego mniejszego z chłopców do toalety, a gdy dotarł do siebie, w otwartych drzwiach sąsiedniego pokoju zobaczył matkę czeszącą jasne włosy starszego syna. Kobieta ani na chwilę nie zamykała ust: i możesz zrobić zamek, jeśli będziesz chciał, albo auto, albo konika, na którego Tony mógłby wsiąść. Zarówno jej monolog, jak i ruchy ręki dawały obraz takiego młodzieńczego entuzjazmu, że poczuł zazdrość.

Nie miał nic do roboty.

Wyglądając na ulicę, ujrzał rodzinę pakującą bagażnik samochodu. Bezdźwięczni dla obserwatora, działali skłóceni, bez ładu i składu, przystając czasem na chodniku w postawie wyrażającej pełne wzgardy osłupienie. Na koniec sprowadzili babcię, usadowili ją na tylnym siedzeniu, nogi otulili kocem, zatrzasnęli drzwi i zostawili staruszkę samą.

Na twarzy Fishera pojawił się wyraz względnej aprobaty.

Uwielbiał zarówno człowieka ze sklepu na rogu, jak i gościa mieszkającego sześć domów dalej, który bezustannie złorzeczył na wiatr; również chłopaków w dostawczakach oraz służalczego rzeźnika. Z jakiegoś powodu widział w nich przedstawicieli swego rodzaju zdroworozsądkowego myślenia i uporządkowanego wszechświata: gdyby któryś złał rękę albo został wylany, to jakby gwiazda wypadła z orbity. Jakże dalece mijało się to z prawdą. Od czasu do czasu, uchwyciwszy któregoś z tych ludzi przy pracy, doznawał przypływu sympatii, która ulatniała się w przeciągu minuty i pozostawała w całkowitym zapomnieniu do chwili, gdy albo znów napotkał daną osobę, albo, tak jak obecnie, starał się dojść do ładu z własną osobowością.

A jednak on, Edwin Fisher, wykładowca uniwersytecki, człowiek żyjący w umiłowaniu ludzkości, odszedł od żony... i czuł się z tym dobrze.

Myśląc teraz o Meg – w tej norze robiącej za sypialnię – wspominał jej ciało, wspaniale zarysowane i zadbane, przywoływał w pamięci jej twarz, a na niej wykrzywione, zaciśnięte nienawiścią usta, które porzucił. Znów poczuł zalewającą go falę żółci, upokorzenie, niemal namacalne, toczące mu wnętrzości cierpienie, tak że zapragnął zadać komuś fizyczny ból, kopnąć jakiś nieożywiony przedmiot, odzyskać swoją męskość dziecięcym popisem.

Wygrała. Nigdy wcześniej tego nie przyznał, ale w tym momencie, w pokoju, którym się brzydził, i w mieście, które nie miało mu nic do zaoferowania – musiał uznać jej zwycięstwo. Natychmiast jego umysł rozpoczął zwyczajowe poszukiwania tysiąca i jednej niewymyślonej dotąd wymówki, drobnego zastrzeżenia, modyfikacji tezy. Jeśli mężczyzna decydował się porzucić żonę, którą kochał, rzecz jasna coś tracił. Skoro powziął te kroki, kiedy

wciąż była pogrążona w rozpacz po utracie syna, nie miał nic na swoją obronę, lecz nie o taki rodzaj porażki chodziło. Meg zdołała zniszczyć w nim coś, co cenił: człowieczeństwo, wrażliwość, jestestwo.

Uśmiechnął się, ledwie powyższe słowa rozbrzmiały mu w głowie. „Ubierz argument w słowa dziecka – radził mu niegdyś nauczyciel uniwersytecki – i zobacz, jaką wtedy będzie miał siłę”. Niegłupia rada dla takich pretensjonalnych młodych krętaczy, do jakich wtedy się zaliczał – chociaż w tej sytuacji raczej bezużyteczna. Na ulicy rodzina wciąż kłębiła się wokół samochodu. Ściślej rzecz biorąc, wysadzili babcię z powrotem na chodnik i ostentacyjnie wyśmiewali rozchełstanego ojca, wpatrującego się z rozdziawionymi ustami w stłuczoną butelkę, która obryzgała mu odziane flanelą nogi, nadając im barwę ciemnego piwa.

Zabawiając się studiowaniem umiarkowanego chaosu na dole, Fisher główkował jednocześnie, co Meg może porabiać w tej chwili. Nie sądził, aby zamartwiała się jego odejściem. Dokładała swoje do toczonych przez nich kłótni i o ile niekoniecznie sprawiało jej to uciechę, o tyle z całą pewnością nie doznawała najmniejszego uszczerbku. Upajała się awanturami podobnie jak jej ojciec: krzyczała, wrzeszczała, stroiła fochy, a nawet kopała, byle postawić na swoim – istna królowa hysterii. Tu znów się pohamował. Żadna istota ludzka nie byłaby w stanie walczyć tak jak oni i nie odnieść obrażeń. Meg miała w rękach dwa atuty: więcej ikry i niezłomne przekonanie, że racja leży po jej stronie. Poczul, że z nienawiści dostaje wypieków.

Ostrożnie skierował myśli na wspomnienie ich pierwszego spotkania.

Stał w foyer teatru Playhouse, z wyższością mierząc wzrokiem grupki paplających ludzi, zgraję przy barze i tłum pobrząkujący na dole łyżeczkami do kawy. Przed stoiskiem z książkami zauważył otwarcie przyglądającą mu się kobietę o kasztanowych, niezwykle gęstych włosach, ciężko spływających na plecy. Bez wątpienia – wpatrywała się właśnie w niego... pochłaniając go dzikimi, zielonymi oczyma. Uśmiechnął się. Miała na sobie oszałamiającą, długą do kostek sukienkę w kolorze ciemnej zieleni, z narzutką okraszoną czy też oszpeconą wzorami z czarnych linii, przywodzącymi na myśl pęki różg liktorskich. W odpowiedzi na uśmiech nie odwróciła wzroku, nie próbowała stwarzać żadnych pozorów, a zwyczajnie trwała w jawnym zainteresowaniu jego osobą. Gdy zdecydował się podejść, nie poruszyła się, nie zachnęła, nie okazała żadnego przejawu aprobaty lub dezaprobaty. Po prostu czekała – nieruchomo.

– Dobry wieczór – zagadnął. Uważał się za biegłego w tych kwestiach.

– Dobry wieczór. – Głos o wiele łagodniejszy niż się spodziewał, za to uśmiech ledwie dostrzegalny.

– Wart coś ten Ibsen? – zapytał o *Dom lalki*.

– Nie wiem. – Nic żenującego w odpowiedzi. – Być może winny jest tłumacz, ale nie brzmi to jak konwersacja, którą słyszy się, bo ja wiem... na przykład we własnym domu.

Gdy wypowiadała ostatnie trzy słowa, jej głos nabrał cieplejszej barwy.

– Ależ jak najbardziej.

– Najwyraźniej pański dom znacznie różni się od mojego.

– Mam mieszkanie, jestem sam.



– Ja również – odparła – ale wie pan, co mam na myśli.

– Niespecjalnie, jeśli mam być szczery.

– Na miłość boską, niech pan nie komplikuje spraw – rzekła – nie w piątkowy wieczór.

Młody, brodaty mężczyzna w welurowej marynarce wręczył jej szklanę ginu. Spojrzał na Fishera bez urazy.

– Zdrowie panów – wygłosiła, upijając nieco. Brodacz podjął toast. – Nie przedstawię panów sobie. Nie znam imienia tego pana. Mogłabym najwyżej podać twoje.

– I swoje – odparł Fisher.

– Śmiała odzywka – skomentował mężczyzna.

– Co myślisz o dialogach Ibsena? – zapytała.

– A w cholerę z nimi.

– To było niegrzeczne – odrzekła. – Temu panu wydaje się, że większość ludzi mówi jak rodzina Helmerów. – Przechyloną krawędzią szklanki wskazała Fishera.

– No cóż, zdrowie chłopaka – odparł Brodacz.

Z głośników w suficie rozległ się głos wzywający do zajęcia miejsc, za cztery minuty miał bowiem rozpocząć się kolejny akt. Westchnęli.

– Będę uważnie się wsłuchiwać w drugiej połowie – zapowiedziała, chlupocząc przy tym cytryną w resztkach swojego drinka. – Zaniepokoił mnie pan. Byłam przekonana, że to całkowicie niezyciowe, a teraz pan mi tu mówi... – Wydawało się, że naprawdę rozpatruje kwestię. Z wysiłku jakby wykręciła ramiona, co wyglądało niemal szpetnie. – Odstaw gdzieś tę szklanę, Malcolm.

Gdy Brodacz się odwrócił, oznajmiła:

– Meg Vernon.

Przez moment był tak skonsternowany, jakby odezwała się w jakimś obcym języku.

– Edwin Fisher.

– Miło mi.

Malcolm powrócił, zobowiązany do eskortowania partnerki. Dziewczyna dawnym zwyczajem ukloniła się i oddaliła z gracją. Fisher zaś, któremu wstyd byłoby deptać im po piętach, zaczął po chwili wodzić wzrokiem po audytorium. Spozrzegł ich znów akurat w chwili, gdy Meg wskazywała na coś, śmiejąc się przy tym głośno i frywolnie. Jej włosy wydały mu się teraz ciemniejsze, bardziej pospolite. W holu wyglądała na poważniejszą, może niekoniecznie pozbawioną poczucia humoru czy skłonności do żartów, ale prawie bezludzką. Bawił się tym neologizmem, nad małym słowem mógł bowiem zapanować – zając nim umysł i nie stracić głowy, próbując odzyskać równowagę po tamtych trzech minutach w foyer, które dane mu było spędzić przed jej obliczem. Teraz natomiast dziewczyna śmiała się, podrygiwała, wytykała coś palcem i... narażała się na krytykę.

Spotkał ją tydzień później. Przypadkiem.

Gdy poszukiwania w książce telefonicznej spełzły na niczym, a wstrząs wywołany pierwszym spotkaniem zaczął powoli ustępować, Fisher jakimś cudem dostrzegł ją w zatłoczonym centrum miasta.

– O, cześć – zagadnął, odwróciwszy się, by dotknąć ramienia dziewczyny.

Przymknęła oczy, uchwycona w słońcu – w lekkim nieładzie, niegotowa na niego.

– Edwin Fisher – przypomniał.

– Czy może się pan poszczycić jeszcze jakimś innym imieniem? – Teraz brzmiała jak pensjonarka albo profesorka.

– Edwin Arthur Fisher.

Rozdzielił ich tłum ludzi przepychających się w kierunku swoich domów – było pięć po piątej. Gonił za nią zawzięcie, aż stanęli w pasażu przy podwójnym filarze.

– Może napijemy się kawy? – zaproponował.

Spojrzała na zegarek, ścisnęła tarczę między kciukiem a palcem wskazującym, ponownie zmrużyła oczy, po czym podciągnęła pasek torebki i przytaknęła. Usiedli bez słowa przy obsypanym okruszkami stoliku w herbaciarni ciemniejszej panelami na ścianach, z niskim barowym oświetleniem. W tamtej chwili, z makijażem wymagającym korekty i zmęczoną twarzą, sprawiała wrażenie bardziej osiągalnej i, o dziwo, skomplikowanej zarazem, ponieważ wiedział, że dosłownie kilka chwil wystarczy, aby przeistoczyć tę przykurzoną, zziąjaną dziewczynę w olśniewającą kobietę, która przyciągnęła jego uwagę w teatrze. Atrakcyjna, obdarzona pięknymi oczami i wydatnymi ustami; na głowie kasztanowe włosy, w mroku przechodzące w purpurę, delikatne i gęste jak z odlewu. Palec poplamiony atramentem, drugi guzik bluzki oderwany.

Zamówił herbatę u kelnerki strzepującej właśnie obrus.

– Wybierałaś się gdzieś? – zapytał.

– Do domu.

– A potem?

– Potem – powtórzyła, rozwiewając echo.

– Pójdziemy do kina – nagle zabrzmiało to dość niezgrabnie, niepodobnie do niego.

– Co grają?

– Nie mam pojęcia.

Zaśmiała się. Powiedziała, że to głupie.

– Właściwie wszystko jedno. Wystarczy mi twoje towarzystwo.

– Prawie mnie nie znasz – odparła.

– W ogóle cię nie znam.

Zaczął opowiadać jej o sobie. O pracy w szkole średniej, o pragnieniu napisania sztuki. Pojawiła się kelnerka: trójkąciki chleba posmarowane masłem, patera z koronkową serwetką, na niej zestaw sześciu ciast, herbata, cukier i mleko w metalowych pojemnikach. Dostali również po słoiczku z dżemem – jeden ciemnoczerwony, drugi pomarańczowy. Meg nalewała sobie herbatę z imbryczką, przytrzymując gałkę pokrywki poplamionym palcem. Przerwała na chwilę, głośno wciągnęła powietrze i powiedziała:

– Nie mogę iść z tobą do kina. Nie jestem ubrana na taką okazję.

Zdecydowanie w głosie i pewność intonacji sprawiły, że wydała się starsza.

– Ja również.

– Zauważyłam.

To go powstrzymało, niemal wprawiając w osłupienie, chociaż nie potrafiłby powie-

dzieć, czy z powodu krytyki jego osoby, czy też dlatego, że uznała ubranie za istotne. Wdali się w dyskusję o *Domu lalki*. Fisher z przyjemnością przedstawiał argumenty przemawiające za sporym, w jego mniemaniu, znaczeniem tej sztuki.

– A jednak – tłumaczył podniecony, rozsmarowując dżem – coś w niej nie gra.

– Na przykład co?

– Być może to dlatego, że sztuka jest przedfreudowska. Niemniej – czy ona by go opuściła, gdyby układało im się w łóżku?

– Podobała mu się.

– Jesteś pewna? No, nie wiem. Oczywiście, gdy się weźmie pod uwagę pozycję kobiety w tamtych czasach oraz typowy dla zaścianka sposób postrzegania drobnych występków... Raczej nie wyglądała na taką, co jest w stanie ot tak, po prostu zebrać się na odwagę i odejść. Na pewno miała jednak coś w sobie, bo w końcu pożyczyła pieniądze – jak by nie patrzeć, nie lada wyczyn dla kobiety – i uratowała mężowi życie, ale...

– Ale?

– Żeby opuścić trójkę dzieci? Dzieci, które kochała? Z powodu jakiegoś intelektualnego porywu?

– Myślisz jak jej mąż – odparła Meg – że kobiety to naiwne świergotki albo roztrzepane latawice. Tak myślisz. Może ci się co najwyżej wydawać, że nie.

– Ale młoda rodzina...

– Posłuchaj – przerwała. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie porzuciłby dzieci, które kocha, a jednak tysiące ludzi to robi. Weźmy Friedę Lawrence'a: mało nie umarła ze zgryzoty.

Bezlądna sprzeczka pokrzyżowała Fisherowi szyki. Nie potrafił określić własnych uczuć. Co gorsza, zgadywał, że dziewczyna próbuje się z niego naigrawać. Sztuka jej się podobała. Przyznawała teraz, że dialogi nie były aż takie niezyciowe, jeśli wziąć poprawkę na staroświeckie tłumaczenie; największe obiekcje miała do Ibsena za to, że starał się kreować takie koszmary. Wystraszył ją swoją makabrą.

– Jak byś to zatem widziała?

– Jako skrawki życia zwykłych ludzi.

– Co masz na myśli?

– Kłótnie o czynsz albo zupę. Zgoda w sprawie kupna butów. Nie wiem. Kiedy na scenę wychodzi człowiek sprawny jak młody bóg i mówi, że zaraz umrze na gruźlicę kręgosłupa wywołaną lubieżnością jego ojca, zaczynam się zastanawiać... – Przerwała, uśmiechając się do talerza.

– Takie rzeczy się zdarzają.

– Wolałabym, żeby nie. A w każdym razie, nie trzeba mi ich podtykać pod nos. Na świecie i bez tego jest wystarczająco dużo nieprzyjemnych spraw.

– Z drugiej strony, czyż nie czerpiemy niewysłowionej radości, widząc kobiety i mężczyzn stawiających czoła życiowym tragediom, nawet gdy owe zmagania kończą się klęską?

– Ty może tak, ja nie.

- Po co zatem chodzisz do teatru?
- Malcolm mnie zaprosił.
- Przecież – odparł – wiedziałas, że nie będzie ci się podobać.
- Nie widziałam tej sztuki wcześniej. Nigdy nic nie wiadomo.

Nagle wydało mu się ważne, aby ją przekonać – otworzyć oczy na sztukę dramatu. Gdy tak przemawiał, wykladał, atakował, ona słuchała najzupełniej uprzejmie, wykazując nawet oznaki zainteresowania, aczkolwiek wyraźnie zdeterminowana, by nie dać na siebie wpływać. Zdanie już sobie wyrobiła, sama. Ibsen, Szekspir i Sofokles mogli obdzierać ze skóry dzielnych mężów i szlachetne niewiasty językiem najwyższej próby, a ona przyglądałaby się temu tak, jak gdyby patrzyła na wędkarza zarzucającego przynętę albo na buldożer zrównujący budynek z ziemią, albo choćby na wyścigi konne w telewizji. Takie rzeczy się zdarzają i skoro akurat tu jestem, mogę równie dobrze, z czystej ciekawości, zobaczyć, co się dzieje, ale nie zamierzam się angażować.

- Może się okazać, że to twój dom burzą.
- Wtedy byłabym wściekła albo zrozpaczona, albo coś w ten deseń.
- Ale nie poczułabyś tego, patrząc na kogoś innego, komu wali się dom?
- Ty również nie – odpowiedziała.
- Być może nie tak silnie.

On prowadził spór, ona pogawędkę. To było jak stanięcie do wyścigu z kaleką. Ona kuśtykała – on pędził sprintem. On przekraczał linię mety, ona zajmowała się czymś innym, więc zwycięstwo nic nie znaczyło, przechodziło niezauważone. Emocjonalna kaleka, oto czym była ta piękna dziewczyna. Spodobało mu się to określenie, ale trzymał buzię na kłódkę, jak zwykle niepewny swych sądów.

Podeksytowany wrócił do Ibsena, któremu postać Nory wyszła mało przekonująco: gniew obłudnego męża wywołał u bohaterki wstrząs, ale to jeszcze trochę za mało, żeby uciec ciemną nocą w zimny, męski świat i próbować żyć na własną rękę.

– Cholernie szybko by zrozumiała – powiedział Fisher, stukając paznokciem w stół – że jej ograniczony umysłowo mąż, jaki by nie był zarozumiały, apodyktyczny czy dziecinny, ma swoje zalety, gdy porównać go z kilkoma mężczyznami, którym musiałaby stawić czoła.

Meg podniosła rękawiczki – bez pośpiechu – po czym powiedziała, że powinni już iść. Zapadła cisza. Dopiero gdy znaleźli się na ulicy, Fisher zapytał:

- Jaki czeka nas teraz scenariusz?
- Lepiej już pójdę do domu.
- Ależ ledwie cię odnalazłem.
- Zabrzmiało to jak cytat z twojego przyjaciela Ibsena – odparła okrutnie. Zaśmiał się, bo miała rację. Oceniał, że to spotkanie ma decydujące znaczenie.
- Nieważne, co będziemy robić – powiedział – o ile będziemy robić to razem.
- Popelnimy samobójstwo?
- Na to masz teraz ochotę?
- Broń Boże.
- Myślę, że powinniśmy wrócić do domu, przebrać się i pójść się napić.

- Zdajesz sobie sprawę, co mój ojciec by na to powiedział? – zapytała.
- He?
- Czy to wszystko, na co przygotowała cię twoja edukacja? Na upijanie się?
- I co ty na to?

Zdarła rękawiczki z rąk, na wpół zirytowana. W tłumie przeszli teraz razem przez ulicę i stanęli przed ratuszem – nieruchomi pośród potykających się, goniących gdzieś ludzi.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – zagaił.

Powoli wykrzywiła twarz, jak gdyby prawdziwie zafrasowana, złakniona obietnic. Nie był w stanie ich ofiarować. W taki słoneczny wieczór pragnął wielbić, a nie namawiać.

- Coś nie tak? – zapytał.
- Prawie mnie nie znasz.

– Właśnie zaproponowałem, jak temu zaradzić. – Od razu pożałował nonszalanckiego tonu. Zegar na ratuszu wybił godzinę z podziwu godną mocą. Dźwięk poniósł się z drzeniem po brukowanym chodniku.

- Szósta – stwierdził. – Słuchaj. Spotkajmy się tu o ósmej.
- No, nie wiem.
- Czy to znaczy, że nie chcesz się ze mną spotkać? – zapytał.
- Nie mam nic przeciwko. To nie tak. Och, sama nie wiem.

Bezwiednie machała rękawiczkami.

- Tutaj – oznajmił. – O ósmej. Lub w innym miejscu, jeśli wolisz.

Stała teraz opanowana, posągowa – aczkolwiek nie zdziwiłoby go specjalnie, gdyby nagle odwróciła się i odeszła. Skinęła głową.

- Tutaj? – zapytał.
- Dobrze.

- Zatem do ósmej. – Uniósł jej dłoń. – Do zobaczenia, panno Vernon.

Jej oczy rozszerzyły się, uchwyciły jego wzrok, wytrzymały kontakt, spojrzały w inną stronę. Ani cienia uśmiechu w odpowiedzi na przejaw jego przejawionej galanterii. Skinąwszy głową, wsunęła na dłonie rękawiczki – swój środek wyrazu – wskazała palcem kierunek, wymamrotała numer autobusu i ruszyła na przystanek.

Obserwował ją. Wysoka dziewczyna po chwili podrzuca włosy i zdaje się jeszcze wyższa.

Wbrew jego oczekiwaniom zjawiała się dokładnie o czasie, przepięknie wyszykowana. Plac, już nie tak zatłoczony, stał przed nią otworem. Kroczyła dumnie, a mężczyźni odwracali za nią głowy.

- Pójdziemy do Country.

– Nie piję za wiele – zastrzegła nieśmiało, jak gdyby te słowa niosły za sobą jakąś inną treść, na przykład, że nie powinno jej tu być, że żałuje złożonej obietnicy.

- Ja również, skoro o tym mowa.

Wykorzystał odbicie w sklepowych witrynach na Market Street, aby skomplementować jej wygląd, co spotkało się z nikłą reakcją. Można było odnieść wrażenie, że przywdziewając tę wspaniałą, starannie dobraną garderobę, pozwoliła strojowi mówić za siebie.

Swego rodzaju duchowa nieobecność dziewczyny miała niepokoić go przez następne miesiące. Jakiego nie wykazywałby zainteresowania lub ożywienia, ile by się nie wysiłał, żeby ją zabawić czy choćby zirytować, w zamian, pochłonięta myślami, poświęcała mu ledwie ułamek swojej uwagi.

W hotelu zadowolili się piwem, on zaś z radością zajął miejsce w rogu, skąd mógł ją obserwować. Najwyraźniej poczuła się swobodniej. Zaczęła o sobie opowiadać. Skończyła dwadzieścia jeden lat, była na ostatnim roku w kolegium nauczycielskim i miała już zapewnioną posadę w podstawówce w dobrej części miasta.

– Znam dyrektorkę – wyjaśniła – a mój ojciec jest radcą dyrektora do spraw nauczania.

Nie potrafił ocenić, czy mówi to z ironią, natomiast obserwując ją z lubością osądził, że nie powinna być aż tak błada: skóra na jej dużych, kształtnych rękach była niemal przezroczysta.

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć – odezwała się, przerywając mu anegdotę o jakichś wymyślnych błazeństwach z ostatniej klasy kolegium przedegzaminacyjnego.

– Słucham.

– Jestem zaręczona z Malcolmem.

Z rozczarowania zmarniał, wręcz uwiądnął. To niemożliwe, żeby tak szybko się w niej zdurzył.

– Jest wykładowcą na uczelni.

– Rozumiem.

– Chodziłam na jego zajęcia z psychologii na pierwszym roku. Jest bardzo błyskotliwy... i interesujący.

– Zatem szczęściara z ciebie.

Powolnym ruchem podniosła kufel ledwie napoczętego *ale*, przez chwilę moczyła w nim usta, a następnie oburącz odstawiała na blat.

– To i tak wszystko bez sensu – oświadczyła.

– Co?

– Malcolm i ja. Zaręczyny.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Światowiec zadał pytanie.

– Nie mam nic przeciwko. – Zrobiła kwaśną minę, wzruszyła ramionami, lecz oszczędnie, bez cudowania. – Jest nudny. A czasem wydaje mi się śmieszny... jak na trzydziesto-jednoletniego mężczyznę.

Fisher w napięciu nie spuszczał oczu ze swojego trunku.

– Kiedy zaprosił mnie na randkę... to było coś – kontynuowała. – Wykładowca, i to atrakcyjny. Mieszkałam wtedy w akademiku. Dziewczyny mi zazdrościły. Często dyskutowaliśmy o tym, co mówił na swoich seminariach.

– A co to było?

– Już zapomniałam. A nie, czekaj, raz wygłosił wykład o tym, jak instynktowne jest ludzkie zachowanie. Całkiem interesujący. Nigdy o tym nie myślałam, w szkole też nigdy nie poruszaliśmy takich tematów, nawet na lekcjach biologii. W jego ustach brzmiało to fascynująco, chociaż z niczym specjalnym się nie wiązało.



– Mm.

– Ale jest raczej śmieszny. I zazdrosny. Całkowicie zapatrzonej w siebie. Tylko on się liczy. – Przerwała. – Nie powinnam z tobą o nim rozmawiać. Tatuś nie potrafił powiedzieć nic dobrego na jego temat.

– O.

– Pretensjonalny, obleśny, mały gnojek – tak go nazwał.

– Ma rację?

– Myślę sobie – powiedziała Meg – że nikt nie jest bez wad. Ale dość już mam Malcolma. Czas mu to powiedzieć.

– Jak myślisz, co zrobi?

– Cóż, nie ma chyba za wiele możliwości, prawda? – Nie był to triumf, po prostu stwierdziła fakt.

Uszczęśliwiony, na powrót męski, Fisher opróżnił kufel i zachęcił towarzyszkę do tego samego, ale odmówiła. Przez następne pół godziny ani na chwilę nie zamknęła ust, aż zaczął się zastanawiać, czy naprawdę myśli to, co mówi, czy raczej go wabi, a może potrzebuje jego wsparcia. Kiedy pochylał się nad trzecim piwem, ona wciąż moczyła usta w łożówce pierwszego. Zebrał się w sobie, rzekł:

– Wiesz, że cię kocham?

Zatrzymała na nim wzrok. Zielone oczy rozszerzyły się, popatrzyły badawczo.

– Nie mam nic przeciw tobie.

Na tę chwilę to musiało wystarczyć. Wziął ją za rękę. Zsunęła z dłoni białe rękawiczki, odsłaniając pierścionek zaręczynowy.

Fisher uporządkował buty na dnie szafy.

Słyszał dźwięk odjeżdżającego samochodu kłótlivej rodziny. Sprawdził kieszenie, upewniając się, że zabrał portfel, pochwycił deszczowiec i zszedł na dół.

– Ostatni się zebrałem? – zapytał gospodynię, łapiąc ją w przelocie między jadalnią a kuchnią.

– Nie sędzę, proszę pana. – Miało to zapewne znaczyć: „Nie szpieguję gości, bawią się świetnie bez mojej pomocy”. – Wybieramy się na plażę?

– Chyba tak.

– Ciśnienie wciąż wysokie. Myślę, że dobra pogoda się utrzyma.

Zostawił płaszcz na stojaku w holu, ukłonił się i skierował kroki w stronę drzwi rozświetlonych słońcem.

– Miłego dnia, panie Edwinie.

Służalcze tytułowanie per pan wzbudziło w nim irytację. W takich sytuacjach zawsze zastanawiał się, jaką relację kobieta zda mężowi albo swoim wyrobnikom przy zmywaniu. Z pewnością pytanie: „Myślicie, że ma żonę?”, to wygodny sposób na odciążenie ich myśli od piętrzącej się góry naczyń i dokładanych z brzękiem tac ze sztuccami. Zapomniał gazety, ręcznika i kąpielówek, lecz ani myślał o ukradkowym powrocie, mogącym narazić go na kolejny wybuch inkwizytorskiej uprzejmości.

Usiadł na plaży i obserwował schodzących się ludzi. Człowiekowi potrzebne jest zajęcie, rodzina, którą będzie zabawiał, żona, którą będzie znudzony, piłka, którą pokopie z kumplami. Z wolna powiódł wzrokiem dookoła, by ostatecznie przenieść się w miejsce, gdzie brzeg był gęściej zaludniony; tam zaznaczył swoją pozycję wypożyczonym leżakiem, po czym zdjął koszulkę, wygodnie się ułożył i oddał kąpielii słonecznej.

Nie znajdując w tym przyjemności, usiadł i zaczął się rozglądać.

Młoda rodzina od sąsiedniego stolika zdążyła już znaleźć sobie zajęcie, ulokowawszy się za czerwono-niebieskim parawanem. Ojciec, na kolanach, zażarcie kopał w miękkim piachu, zaś chłopcy, nieustannie komentując wszystkie swoje poczynania, przeszkadzali tacie, biegając w tę i we w tę. Ojciec zdawał się zużywać siły na wyznaczanie granic ich małym wyprawom w dal; zataczali koło, rzucali się na kolana, dźgali palcem mocno już naruszoną babkę z piasku, wybuchali śmiechem, denuncjowali siebie nawzajem bądź wypierali się winy, podnosili się chwiejnie – i w nogi. Matka z nieśpieszną konsekwencją zajmowała się rozpakowywaniem i porządkowaniem toreb oraz siatek, wykładaniem rzeczy dla dzieci. Ubrana była w nieatrakcyjne bikini, a gdy przykucnęła, Fisher dostrzegł wokół pasa czerwoną krechę od majtek lub rajstop z gumką. Niemłodzieńczy brzuch, lekko już zwisający, nie odzyskał jędrności po ostatniej ciąży. Na jasnej twarzy malował się wyraz powagi, jak gdyby to na kobiecie spoczywał ciężar odpowiedzialności za udany dzień.

Pomachał do nich; nie zauważyli.

Teraz, kiedy wiatr osłabł, Fisher wygrzewał się na słońcu, raz w koszulce, a raz bez. W pewnym momencie przysnął, a wybudziwszy się łagodnie, odkrył, że wciąż czeka go atrakcji co niemiara. Maluchy lizały lody w rożkach, a gdy tylko skończyły, matka wytarła im buzie flanelą. Ojciec dał susa do wody, ale długo tam nie zabawił i wrócił po chwili z gęsią skórką.

Jakaś starsza para postawiła swoje leżaki obok leżaka Fishera. Nie musieli tego robić: na plaży sporo było wolnej przestrzeni, możliwe zatem, że dokonali wyboru, uznając go za stosowne towarzystwo. Wspomnieli perorującego ojca:

– Najlepszą rzeczą na wakacjach jest poznawanie ciekawych ludzi. Nowe miejsca mają sporo uroku, lecz nie tyle, co nowe twarze.

– Natura jest piękna – zawtórował młody Fisher – lecz natura ludzka piękniejsza. Keats.

– Otóż to – odsłonięte sztuczne zęby Arthura ujawniały jego zadowolenie. I tak staruszek wyruszał ku owym twarzom, dokonywał wśród nich selekcji, wcinał się w dyskusje, czasem doświadczał lekceważenia, ale zwykle udawało mu się złowić trzech, czterech „ludzi wiedzy”. Fisher nie miał bladego pojęcia, skąd ojciec wziął to określenie, w każdym razie używał go w odniesieniu do ludzi zdolnych dzielić się informacjami, które uważał za kulturalne. Raz na przykład trafił się emerytowany farmaceuta, który opowiadał o truciznach, starając się, by słowa nie dotarły do uszu młodego Edwina; innym razem jakiś belfer wyjaśniał obyczaje pogrzebowe starożytnych Rzymian; z kolei kiedyś dżentelmen wyglądający na wojskowego – jak się okazało, ekspert od skamieniałości – wyjął z kieszeni pełną garść „pięknych jak pociski” belemnitów.

W rzeczy samej, leciwy sąsiad po uporaniu się ze stosem rynsztunku zwrócił się do Fishera, czyniąc wzmiankę o słabnącym wietrze. Pięć minut wystarczyło mu, żeby zwierzyć się, iż ledwie zakończyli wakacje w Grecji.

– A teraz próbujemy tu jakoś dojść do siebie – przerwała mu żona.

Posługiwali się językiem ludzi wykształconych gdzieś na północy kraju – być może w Manchester – a ich tęgie głosy brzmiały szczerze. Błyszczeli wiedzą na temat Grecji: mężczyzna przebywał tam podczas wojny i okraszał swoje relacje wyrażeniami z nowożytnej greki.

– Co roku tam jeździmy – powiedział. – Nasza córka mieszka w Atenach. Ale zaczyna mnie to kosztować zbyt dużo zdrowia. Nie jestem pewien, czy pojedziemy za rok.

– A córka do państwa nie przyjeżdża?

Kobieta przejęła pałeczkę. Co roku w maju, bez wyjątku. Wyszła za wysoko postawionego urzędnika administracji państwowej, ale nie mają dzieci. Wielki zawód. Tu przytoczyła historię zalotów Phyllis, jak to poznała męża na Oksfordzie i jak odnalazła się w socjocie. Władła greką niczym rdzenni mieszkańcy, często więc brano ją za Greczynkę.

– Nauczyła się języka na studiach? – zapytał Fisher.

– Nie. Wiedziała, że Tatuś interesuje się Grecją. Być może właśnie dlatego zwróciła uwagę na Eleutheriosa.

Tych dwojga nie trzeba było zachęcać; nalegali, żeby napił się z nimi kawy, można by wręcz pomyśleć, że noszą ze sobą zapasowe kubki na okoliczność pozyskania stosownych

rozmówców. Wsłuchany w opowieść pocziwej pary, Fisher rozmyślał: w tej chwili ich córka przebywa w Atenach i najprawdopodobniej myśli po grecku, czy to słuchając męża, czy przyjaciół, czy radia. Jak kontaktuje się z rodzicami? Przez telefon? List raz w tygodniu?

– Ciężko to przeżyliśmy – powiedziała kobieta – szczególnie Tatuś.

Starszy pan przybrał iście komiczną minę, układając usta w smutną podkówkę.

– To dwie całkiem różne sprawy: interesować się jakimś krajem, spędzać w nim wakacje i... i mieć tam córkę zamieszkałą na stałe, wydaną za męża. Gdyby Tatuś tyle o tym nie mówił, nie miał tych wszystkich książek, może wtedy Phyllis nie... no cóż, nigdy się już tego nie dowiemy, prawda?

Fisher zadawał pytania, udzielał wsparcia; napomknął, że sam widuje siostrę najwyżej raz do roku, chociaż mieszka zaledwie sto dwadzieścia mil od niej.

– Zakładamy rodziny, a one się rozpraszają i nigdy nie spotykają – rzekł mężczyzna. – Dziwni jesteśmy.

– Nie licząc pogrzebów.

Przyjęli śmiechem gorzką uwagę kobiety.

– Mamy tylko to dziecko – kontynuowała – a ono nie ma ani jednego. Inna rzecz, że jest całkiem szczęśliwa. Zawsze sobie powtarzam, że to żaden dramat nie wydać dziecka na ten świat, w jakim przyszło nam żyć... jakim go uczyniliśmy.

– Może ich świat będzie lepszy – delikatnie strofował ją mąż.

– O gorszy byłoby trudno.

Fisher poczuł sympatię do starszej pary, raczącej go cierpkimi banałami. Na swój sposób wciąż jeszcze wydawali się dziarscy, stali na straży człowieczeństwa. Dzięki takim jak oni zdrowy rozsądek zawsze brał górę, na przekór materiałom wybuchowym i napalmowi, pomimo demagogii czy skażenia powietrza. Oczywiście po godzinie był już znudzony: za dużo się dowiedział. Ot, emerytowany dyrektor szkoły i jego żona, złaknieni publiki, którą mogliby porwać. Gdy usłyszeli, że pracuje na uniwersytecie, na wydziale pedagogiki, zaczęli sypać nazwiskami. Czy znał profesora Whitemoora z Liverpoolu, Thorpe'a z Manchesteru, Winstanly'ego z Hull?

Rozczarowany samym sobą, opuścił ich około trzeciej. Dopóki stanowili parę obcych ludzi z córką w Grecji, mógł przyjmować ich poczęstunki i zachwycać się ich bezceremonialnością. Ale w momencie, gdy zaczęli gadać o salach lekcyjnych oraz kadrze, stali się szarzy i nudni, Fisher więc przeprosił ich i odszedł. Zmierzając w stronę pola namiotowego, wyciągnął z tej sytuacji wniosek, iż oczarowywały go jedynie wytwory własnej wyobraźni. Niespecjalnie tym zmartwiony, krocząc po betonowych płytach pomiędzy przyczepami kempingowymi i domkami, sznurami powiewających pieluch i kostiumów kąpielowych, pogratulował sobie umiejętności rozróżnienia fantazji od rzeczywistości.

Dotarłszy w końcu do drogi, którą skierował się w stronę miasta, usłyszał, jak ktoś woła go po imieniu. Szedł uparcie dalej, nie odwracając się.

– Edwin!

Za drugim razem rozpoznał głos teściowej. Zatrzymał się, lecz nadal nie dostrzegł ko-

biety. Pani Vernon wysiadła z jednego z zaparkowanych w rzędzie samochodów i ukazała się w pełnej krasie.

Atrakcyjna kobieta, o podobnej jak córka karnacji, lecz bardziej przysadzista, pozbawiona też kaprysów i zmienności swojej latorośli. Uśmiechnęła się teraz, po czym afektowanie oświadczyła, że miło go widzieć. Wydał z siebie stosowne dźwięki i uścisnął jej dłoń.

– David chciał dostać twój adres – oznajmiła.

Nie odpowiedział.

– Czyż to nie ciekawy zbieg okoliczności? Że też nie mieliście się gdzie spotkać – parsknęła śmiechem. – Jak to David określił: obskurna spelunka. Trudno by podejrzewać kogoś z was o regularne uczęszczanie do miejsc tego pokroju.

Przez moment wychwycił walijską naleciałość w intonacji – czyżby parodię formalnego języka męża? Natychmiast odrzucił to podejrzenie. Irene Vernon nie obnosiła się z satyrą na lewo i prawo.

Fisher patrzył nieufnie. Nie rozmawiał z Irene, odkąd opuścił jej córkę i nie bardzo znajdował powody, dla których miałyby mu okazywać uprzejmość. Wiedziała, jaka jest Meg, ostatecznie latami znosiła jej zniewagi, niemniej oczekiwała, że wszelkie brudy – zarówno w jej własnym małżeństwie, jak i wszystkich innych – zostaną starannie zamiecione pod dywan. Pani Vernon hołdowała konwenansom; była Angielką, przedstawicielką klasy średniej, jedyną córką bogatego adwokata. Jej mąż mógł sobie przesiadywać w podrzędnych barach, przegrywać drobniaki przy stoliku czy na torze, robić śliskie interesy na bazie informacji pochodzących od szemranej klienteli, zabawiać się, jak wieść niosła, z luksusowymi, egzotycznymi cipeczkami – jednakże wszystko to pod warunkiem, że biuro nie będzie pod kreską, izba adwokacka nie znajdzie powodów do obaw, no i opinia o pani Vernon pozostanie nieposzlakowana. Może małżeństwa to nie przypominało, niemniej jednak wspólne konto bankowe puchło. Fisher miał wrażenie, że powinien współczuć kobiecie, chociaż ta nijak nie okazywała potrzeby, aby ktokolwiek się nad nią litował. Poślubił ją właściwy mężczyzna – zwykła mawiać – osiągnęli modus vivendi i pomimo że przypominało to układ, w którym małżonek cieszy się możliwością robienia tego, co mu się żywnie podoba oraz kiedy i gdzie mu się podoba, ona wydawała się w pełni usatysfakcjonowana. Kto wie, czy podłoże hysterii Meg nie leżało w opanowaniu jej matki.

– Chodź, usiądziemy w moim samochodzie – powiedziała. Fisher pokornie ruszył za nią. – Pewnie nie ma sensu pytać cię, co słyhać u Margaret, prawda?

Nikt inny nie nazywał jego żony w ten sposób. Ojciec mówił o niej Meg, choć zdrobienie wcale nie pochodziło – jak Fisher niegdyś sądził – z walijskiego.

Margaret Adelina Savile Vernon.

– Zostawiłem ją.

– Wiem. Może mógłbyś nam pomóc? Odrobinę? Widzisz, ona nic nam nie mówi. Coś tam pomstuje i wzrusza ramionami, ale trudno wyciągnąć z niej cokolwiek sensownego.

– Nawet ojcu?

– W kwestiach dotyczących córki David raz, że traci panowanie nad sobą, a dwa, jest

całkowicie zaślepiony. Zrobiłby dla tej dziewczyny wszystko, ale z nią – nie jest w stanie zrobić nic.

– Błyskotliwa gra słów – orzekł Fisher.

– Nie miałam takiej intencji. – Zazwyczaj była łasa na pochlebstwa. – Edwinie, co między wami zaszło?

Fisher zastanawiał się... kazał jej czekać. W tym wielkim, luksusowym sedanie mógł komfortowo rozprostować nogi. Powściągając emocje postanowił, że nie będzie się tłumaczyć. Zaraz jednak zmienił zdanie: ta kobieta miała wszelkie prawo żądać od niego wyjaśnień i zasługiwała przynajmniej na kilka konkretnych odpowiedzi. Zaśmiał się, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Innej żony nigdy nie miałem – odparł, podkreślając swój obiektywizm nader wyrafinowaną dykcją. – Tym samym trudno mi stwierdzić, czy moje życie rodzinne było normalne, czy nie... ale nie mogłem już tego wytrzymać.

– Czy ona cię nie kochała, Edwinie?

Wyszczrzył zęby, słysząc jej ton: akt pierwszy, scena druga.

– Nie mogła na mnie patrzeć. I vice versa. – Zdobył się na nonszalancję. – Wybór był prosty: albo któreś z nas się wyprowadza, albo drugie częstuje je trucizną.

Wbita głęboko w fotel kierowcy, ze słomkowym kapeluszem na głowie, pani Vernon nie poruszyła się, nawet nie drgnęła. Nieskazitelnie czyste rajstopy skrywały jej pokaźne, lecz pięknie zarysowane nogi, zwężające się ku małym kostkom i drobnym stopom. Ozdobione biżuterią dłonie spoczywały na kolanach – martwe, nieruchome, białe, pozbawione zmarszczek, delikatne, pulchne.

– Rozczarowujące – odrzekła w końcu, wyrzucając to z siebie na wydechu.

Dalej rozmowa toczyła się powściągliwie, aż wreszcie, po dziesięciu minutach, Irene zapytała:

– Byłbyś skłonny podać mi swój adres?

– Po co? – Niegrzeczna odzywka.

– David cię lubi. – Nie poczuła się urażona. – Ma również nadzieję, że da się to jeszcze jakoś naprawić. Będzie się starał pomóc, jak umie, a możliwość szybkiego odnalezienia cię może okazać się istotna.

– Wierzysz w to?

– Przekazałam ci jego słowa, Edwinie. Jest optymistą. Większym niż ja. Jest również sprytny. I bardzo doświadczony w tego typu sprawach. Choć w przypadku Margaret nie ma to raczej większego znaczenia.

Leniwie ciągnęła wątek, niejako czyniąc odkrycia na temat męża. Vernon zwykł czasem opisywać siebie w równie trzeźwy i ostrożny sposób, stawiając wnioski dopiero, gdy wysnuł je z przedstawionych uprzednio dowodów. Mała kancelaria adwokacka we Wrexham; wcześniej University College, Aberystwyth, najwyższe wyróżnienie z zakresu prawa; wspólnie z Evansem i Gough-Jonesem, Swansea, Nagroda Izby Adwokackiej za wynik na egzaminach końcowych. Po takim wstępie zaczynał tłumaczyć, w jaki sposób przekładało się to na pracę przez piętnaście godzin na dobę, usunięcie z życia religii, seksu, alkoholu i



dobrych manier, a wszystko w jednym tylko celu, żeby zdobyć precjoza, które obecnie nic już dla niego nie znaczą. „Okaleczony jako istota ludzka, zgubiony jako nieśmiertelna dusza” – intonował z wymalowaną na twarzy ironią.

Fisher, któremu wielokrotnie dane było radować się owym przedstawieniem, nie omieszkał porównać występów teścia do wytworniejszego wykonania w wersji angielskiej. W końcu, rozgrzeszając się w duchu, zapisał swój adres w Bealhorpe oraz ten domowy, po czym otworzył drzwi, wpuszczając do auta rześkie, rozświetlone słońcem powietrze. Pani Vernon posłała mu uśmiech, poprawiła białe rękawiczki i odjechała, ledwie oddalił się o kilka kroków. Z całą pewnością popełnił błąd, ale to i tak było bez znaczenia.

Poszedł w głąb łądy, zapuszczając się w krajobraz monotony pól oraz ubogich chat, solidnych i sponiewieranych zarazem – podobnych tym, które stanowiły inspirację lawowanych tuszem szkiców Rembrandta. Przystanął na gęsto porośniętym trawą peronie nieczynnej stacji kolejowej i spoglądając ponad żywopłotami, podziwiał wypielęgnowane ogródki przynależne do malowniczych jednopiętrowych domków. W jednym z nich starszy mężczyzna zbierał fasolę; przerwał swoją pracę, chcąc opowiedzieć Fisherowi o ostatniej zimie, lecz krzyk z domku zagonił go z powrotem między urodzajne grządki. Wyjaśnił, że był maszynistą, a to miejsce wybrał sobie na emeryturę i nigdy wcześniej nie czuł się równie dobrze.

– Pracowałem na parowozach. Fachowa robota, wtedy to od ciebie i palacza zależało, czy pociąg jedzie, czy nie. Teraz są te diesle... dziecko by sobie poradziło. – Splunął za kaskadę liści upstrzonych jasnoczerwonymi plamkami kwiatu fasoli.

– Znowu gadasz! – wrzask z domku.

– Chyba za mną tęskni – skwitował staruszek i począpał z powrotem, zwlekając jeszcze tylko chwilę, by pochwalić się Fisherowi obfitością swoich plonów.

Miejsce stanowiło świetny punkt do obserwacji nieba – wielkiej połaci błękitu z wyczesanymi kosmykami chmur. Ziemia kuliła się, wypłaszczała, rozprasowywała i ścisnęła, włóczona pod bezkresne, zapierające dech przestrzenie nieboskłonu. Ludzie przypominali pełzające insekty, ich domy wydawały się dwuwymiarowe... pozbawione wysokości; ziemię muskały chylące się ku niej drzewa. Fisher najbardziej lubił, gdy chmury piętrzyły się nad jego głową – dziś jednak przestworza rozciągały się jak zaparowane, niebieskie szkło: jaskrawe, męczące wzrok, imponujące w swej rozległości, lecz pozbawione górzystych wpiętrzeń, które cenił sobie najbardziej.

Spacerował tutaj jako chłopiec, szukając schronienia przed czujnym okiem matki oraz banałami serwowanymi bezustannie przez ojca. Dawał nogę licząc, że może w tym miejscu uda mu się spotkać te wszystkie zachwycające dziewczyny z plaży, te opalone, tlenione, długonogie, młode kobiety, zupełnie nieświadome, jakie spustoszenia poczyniły w jego sercu. Teraz... dzisiaj, pozbawiony dobrodziejstw małżeństwa, wypełniał swój czas, włóczęc się tymi samymi drogami, stając przy tych samych pokrytych pyłem kępach żywopłotu, tym samym kwitnącym odcinku kanału, rozważając, czym mógłby się zająć. Sztuka – gdyby wyszła spod jego pióra – traktowałaby o mężczyźnie w sile wieku, który, siedząc na wydnie, wykrzykuje poezję niczym młodzi Tennysonowie w Mablethorpe, a strofy wiersza nurkują

we wzburzonym morzu, by po chwili, ciśnięte przez zmienny wiatr, powrócić rozdarte i potrzaskane na sylaby. O, Becketcie, Becketcie!

Ostatni nużący odcinek spaceru, wiodący ulicą wzdłuż hoteli Rose Garth, San Remo, Mon Abri, Seldumin czy Sea Holly, zmęczył go na tyle, że po powrocie z ulgą pozbył się butów i pół godziny dzielące go od obiadu przeleżał na łóżku.

Całkiem udany dzień.

Zażył słońca, rozruszał się trochę, poznał ludzi i naraził własną prywatność, wręczając teściowej swój adres. Pod pewnymi, ściśle określonymi względami poczuł się ukontentowany.

Oddał się luźnym rozważaniom. Co zrobią teraz Vernonowie? Bez wątpienia David przystąpi do działania... tylko jak to się objawi? Z początku nie widzieli w nim materiału na zięcia. Dobrą prezencją nie był w stanie nadrobić braku perspektyw rysujących się przed nauczycielem, w najlepszym przypadku czekała go bowiem posada dyrektora szkoły... może wizytatora, ewentualnie jakieś stanowisko w kuratorium. Wszystkie te zajęcia w oczach Vernona zdawały się mało lukratywne. Oczywiście, prywatny kapitał pozostawiony mu przez ojca poprawiał nieco jego notowania, lecz tylko w pewnym stopniu. Co gorsza, ledwie – dzięki cudownej skłonności do oszukiwania samych siebie – zdołali oswoić się z Malcolmem, afektowanym brodaczem w welurowej marynarce wykładającym w kolegium nauczycielskim, gdy Meg porzuciła delikwenta i zaprezentowała następcę: przystojnego, flegmatycznego belfra ze szkoły średniej.

Pamiętał odprawienie Malcolma.

Było sobotnie popołudnie. Fisher zrezygnował z partyjki krykieta i siedział z Meg na ławce z ciosanego drewna, zwróconej w kierunku podmiejskich domów, taśmowo stawianych na obrzeżach miasteczka. Dookoła wyły kosiarki, a panie w gumowych rękawicach wrywały chwasty, by zaraz powrócić na pstrokate ogrodowe leżaki. Spacerowali od jedenastej, obiad zjedli w pubie, a Fisher, któremu wciąż szumiało w głowie od piwa, czuł, że musi opróżnić pęcherz.

– Wygodnie ci? – zapytał. Nie odpowiedziała. – Czy wygodnie ci się siedzi?

Meg siedziała z twarzą zwróconą w kierunku dachu pokrytego szmaragdowozielonymi dachówkami i wpatrywała się w nie, trzymając usta zamknięte na kłódkę.

– Nie chce mi się rozmawiać – odpowiedziała dziecinnie.

– Pospacerujmy zatem.

Podniosła się niemrawo. Ruszyli drogą, zostawiając w tyle zabudowania. Minęli pola kukurydzy sąsiadujące z zagajnikiem, a wtedy Fisher wymknął się w ustronne miejsce. Gdy wrócił, spodziewając się ujrzeć ją czekającą kilka jardów dalej, ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że dziewczyna maszeruje dziarskim krokiem, nie kilka, ale dobre sto jardów przed nim. Puścił się w pogoń, wołając ją po imieniu. Spojrzała za siebie i – zabawnie trzymając kolana razem – również zaczęła biec, wyraźnie zdeterminowana, by zwiększyć dystans między nimi. Niepewny, jak się zachować, nie dogonił jej od razu, lecz celowo podążał kilka kroków za nią. W końcu, pokonawszy małe wzniesienie, Meg zatrzymała się i odwróciła, gotowa stawić mu czoła.

– Mam cię. – Położył dłonie na ramionach dziewczyny.

Na jej głowie panował ład, czego nie można było powiedzieć o twarzy. Każdy element wydawał się być nie na miejscu, jakby zgubił miejsce w szyku, a całość przestała sprawiać wrażenie kompletnej. Chyba że w wyniku doznanego szoku uszkodzeniu uległ mu wzrok. Jej oczy rozszerzyły się jak u kota, a wargi drżały, niezdolne wydobyć słowa.

– Co się stało? – zapytał.

Pozwoliła, aby wziął ją pod ramię i poprowadził do jednej z przydrożnych bram. Rzucił swój płaszcz przeciwdeszczowy na trawiaste pobocze i posadził na nim dziewczynę. Podporządkowała mu się – znów bez słowa. Fisher zagapił się ponad bramą na rozciągający się za polem widok. Jego wzrok przechodził płynnie od linii drzew, przez dom z budynkami gospodarskimi z betonowych pustaków, po odległy szpaler żywopłotu. Gdy spojrzął na dziewczynę, siedziała już najzupełniej opanowana: nogi razem, głowa przekrzywiona na bok... Między kciukiem a palcem wskazującym obracała duży kwiat stokrotki.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak. – Głos załamał jej się na pojedynczej sylabie, lecz nie przeszkodziło jej to wyłowić lusterka z torebki.

– W czym problem, Meg?

– Oj, zamknij się.

Tym razem odezwała się już z większym opanowaniem, acz nieco ciszej niż nakazywałby rozsądek, jak gdyby mówiła do siebie. Oparł się łokciami o bramę i nie spuszczać wzroku z dziewczyny obserwował, jak dochodzi do siebie. Trwali tak, schronieni w wysokich krzewach głogu, przez kolejnych pięć minut – beznadziejnie wlokących się, wypełnionych ciszą zakłócaną częstym warkotem aut pędzących w jedną lub drugą stronę.

Kiedy w końcu spojrzała na niego, odpowiedział uśmiechem, objął ją ramionami i uniósł, tak że stali chwiejnie: jego twarz naprzeciw jej bijącego chłodem oblicza, jego dłonie spoczywające lekko na jej plecach. Ona uwieszona na nim.

Ruszyli dalej, powłócząc nogami. Zgiętymi palcami przeczesywała kosmyk włosów nad prawym okiem. Ignorował ją przez chwilę, po czym zapytał:

– Co się stało, Meg?

Ani słowa.

– O co chodzi? – Dotknął jej pleców. Zaczęła płakać. Stanęli przy żywopłocie pod dębem, a Fisher ujął jej ramię i powiedział: – No już, wyrzuć to z siebie.

Złapała haust powietrza, niczym nieporadne dziecko w basenie.

– Zerwałam z Malcolmem.

– Rozumiem. Czy nie tego właśnie chciałaś?

– To nie w porządku wobec niego. – Oburzenie osobliwie połączone ze łzami.

– Nie chcesz o tym mówić? – zaryzykował.

– Nie mam nic przeciwko – przestała bełkotać.

Fisher wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Dzięki Bogu czystą i jeszcze zaprasowaną. Meg osuszyła twarz i kontynuowała:

– Mówiłam ci. Napisałam mu list. Widziałam się z nim wczoraj wieczorem.

– Zgodziłaś się na spotkanie?

– Nalegał. Zjawił się w moim mieszkaniu. Byłam akurat sama. Nie było tak źle. Powiedziałam, że chcę z nim zerwać. – Schyliła się po patyk, żeby zaraz złamać go w pozbawionym teatralności goście. – Zapytał dlaczego, a ja odpowiedziałam, że poznałam kogoś. Chciał wiedzieć, kto to taki, więc mu powiedziałam. Wydawał się nie pamiętać naszego spotkania w Playhouse, a przynajmniej tak twierdził. Chociaż ja w to nie wierzę. A ty?

Fisher pokręcił głową. Oczy miała już suche i opowiadała z dużą swobodą, jakby dzieliła się wspominkami z dalekiej przeszłości.

– Wtedy zapytał mnie: „Skąd wiesz, że tym razem to coś poważnego, i tak dalej?”. Odparłam, że nie wiem. „Dasz mu kosza za sześć miesięcy?” Powiedziałam, że to możliwe. A on po prostu usiadł pocierając czoło, jak gdyby dawał korepetycje czy coś w tym stylu. Po czym wskazał mnie palcem i powiedział: „Cóż, skoro jesteś tego pewna”, a ja na to: „Pewna czego, Malcolm?”. Wtedy wzruszył ramionami. „Pewna, że kochasz tego Edwina, czy jak on tam się nazywa”.

– Co ty mu...?

– Powiedziałam mu tylko, że na pewno nie kocham jego.

– I jak to przyjął? – Fisher poczuł się w pewnej mierze urażony: nawet jeśli nie z rozmysłem, to zadała silny cios... niepozbawiony znaczenia.

– Właściwie był dość zabawny. Powiedział, siląc się na beznamiętny ton: „Dowiedzmy się zatem, w czym leży przewaga Fishera nade mną”. Od razu powiedziałam, że nie jestem tu po to, by rozmawiać o tobie, a on odparł: „Najwyraźniej w niczym, co by się rzucało w oczy, bo inaczej nie urządziłabyś takiego teatru wymówek. Chodzi po prostu o powiew świeżości”. Długo trwała ta przepychanka i do niczego nas nie doprowadziła. Nie krzyczał, nie groził – równie dobrze mógłby mi w tamtej chwili oddawać sprawdzony esej, bo mówił rzeczy w stylu: „Rozsądek nie jest twoją najmocniejszą stroną, lecz tym razem trzeźwego osądu brakuje ci bardziej niż zazwyczaj”... I na tym chciał poprzestać.

– Poprzestać?

– Nie zrywać zaręczyn. Nie bezpowrotnie, powiedział. Zobaczmy, jak się sprawy ułożą. Miałabym spotykać się z tobą, ile tylko zechcę.

– Aż się mną znudzisz? – zapytał Fisher.

– Myślę, że taki miał plan.

– I co odpowiedziałaś?

– Oddałam mu pierścioneł. Powiedziałam, że to koniec, że jest mi przykro, że tak to się kończy i że to wszystko moja wina. Winę wzięłam na siebie, ale na zmianę uczuć nie mogłam nic poradzić. Lubiłam go i podziwiałam. Nadal zresztą tak jest. Naprawdę. Głowę ma pełną pomysłów. Ma talent. Bez wątplenia jest świetnym muzykiem. Pianistą. Ale już go nie chcę. W tym tkwi całe sedno.

Przez następną godzinę na zmianę spacerowali i przystawali, a Meg cały czas roztrząsała męczący ją temat, z każdym kolejnym zdaniem popadając w coraz posepniejszy nastrój. W końcu zaczęła otwarcie płakać, przecierając twarz jego roztrzepaną chusteczką.

– Masz mnie za głupią – stwierdziła.

– No, nie wiem. To niemały szok... dla takich konserwatystów jak ty czy ja. Następuje jakaś zmiana i boisz się... albo może przewidujesz nadchodzące niebezpieczeństwa z nią związane. Nie wiem. Muszę jednak przyznać, że robisz wokół całej sprawy sporo zamieszania.

Nigdy wcześniej nie pozwolił sobie na równie zuchwałą wypowiedź; za coś takiego mogła go rzucić. Uległy z natury, łaknący akceptacji, nagle wypowiedział się otwarcie, wbrew sobie – jak gdyby chciał uczynić zadość jakiejś odwiecznej męskiej prerogatywie, zapewne prawu do wyższej wiedzy.

– Najchętniej bym cię zabiła – powiedziała.

– No dalej, ulżyj sobie.

– Ty nadęty łajdaku.

– Już gdzieś to słyszałem.

– Nic nie słyszałeś. Paradujesz sobie w niedzielnym gajerku w sobotnie popołudnie. Czemu w ogóle nie wzięłaś laski, żeby zadać szyku, co?

– Bo mógłbym cię nią zdzielić.

Te słowa ją uciszyły. Z pewnością nie była przestraszona czy zbulwersowana. Patrząc wstecz, uzmysłowił sobie, że Meg zwyczajnie czerpała przyjemność z upokorzenia, którego doświadczała do tej pory jedynie od ojca.

Dalszy marsz, upływający w przedłużającym się w nieskończoność milczeniu, powoli zaczął go niepokoić, więc gdy dotarli w końcu do zadaszonego przystanku autobusowego wyposażonego w ławkę, odepchnął Meg i sam usiadł. Przez chwilę myślał, że dziewczyna odwróci się na pięcie i ucieknie. Tymczasem po chwili wahania pobieżnie przetarła twarz, zmięła chusteczkę w kulkę i usiadła ciężko u jego boku.

– Witaj w domu – odezwał się.

Gdy ruszyli dalej, Meg szła rozpozgodzona, lecz wciąż małomówna; udzielała odpowiedzi, sama nie inicjując rozmowy. Po drodze natrafili na gospodę, gdzie uraczyli się jajkami i świeżym chlebem z konfiturą malinową najeżoną pestkami, w czasie posiłku obserwując srebrzyste włosy właścicielki lokalu co rusz muskające tablicę, na której rylcem wyryto napis: „Chrystus to niewidzialny gość, niewidzialny słuchacz każdej rozmowy”. Gdy gospodyni wyszła, Meg powiedziała:

– To mnie przeraża.

– O tym przysłuchiwaniu się Chrystusa?

– Tak. Jak gdyby osądzał każde słowo. Szacował wagę.

– I był zawiedziony tym, co słyszy – odpowiedział. – Trochę szkoda, że marnujemy Jego czas.

– Uważam – przekonywała – że nie powinni wieszać takich rzeczy. Gdyby się nad tym zastanowili i tak naprawdę wyobrazili sobie, co oznaczają, zapewne by się nie ośmielili.

– Gdybym ja był Bogiem – odpowiedział Fisher – czerpałbym mnóstwo radości ze słuchania, jak ktoś mówi: „Jakże wzorowo ugotowane jajko”.

– Z twoich ust rzadko padają równie niewinne stwierdzenia.

– Przestań już, dobrze? – Powiedział to jednak z uśmiechem. – Kocham cię. I co ty na

to? Co Niewidzialny Gość powie na coś takiego, he?

Wzdrygnęła się niemiłosiernie, a na jej twarzy zagościł strach, ale odpowiedź padła natychmiast.

– Kocham cię – rzekła. – Teraz już usłyszał to od obu stron.

Zaczęli się gwałtownie całować, ale po chwili przerwała im gospodyni, która, kaszląc wymownie, uraczyła ich gorącą wodą i homilią na temat picia herbaty. Odnosili się do kobiety uprzejmie, włączając ją po trosze w krąg swej miłości.

– Kto to zrobił? – zapytała Meg, wskazując tablicę.

– Ach, to... Żołnierz, który trafił tu podczas wojny.

– Religijny żołnierz? – Dziewczyna zachichotała.

– Nie wyglądał mi na takiego. Skopiował fragment z jakiejś kartki. Całości nie udało mu się zmieścić. Chyba to zdjęję. Niezbyt mu wyszły te litery, prawda?

– Dały mi do myślenia – odparła Meg.

– Myślenia to ja miałam już wystarczająco dużo, wystarczy mi na jakieś dwa lata – odpowiedziała kobieta, rozdrażniona, jakby ją urazili. – Odkąd umarł mój mąż, mnóstwo czasu zeszło mi na rozmyślaniach. Za dużo.

Ostatecznie opuścili chatę w pośpiechu, chichocząc niczym uczniaki naigrywające się ze zrzędującego nauczyciela. W drodze do autobusu Meg zaczęła przygotowywać Fishera na wizytę u swoich rodziców, tłumacząc z naciskiem, czy raczej z niejaką uciechą, że formalne zaręczyny nie będą miały większej mocy sprawczej, jeśli państwo Vernon nie wyrażą aprobaty.

– Może się okazać, że nie przypadnę im do gustu.

– Nawet na pewno – odparła, wyraźnie zachwycona, że może go zakasować, w czym nijak nie przypominała dziewczęcia roniącego łzy nad nieszczęściem Malcolma. Rodzina Vernonów jednoczyła się, gdy przychodziło drwić z zalotów potencjalnych absztyfikantów. Fisher natomiast ani nie gustował w takich rozrywkach, ani ich nie rozumiał.

Wyczekując gongu wzywającego na kolację, zastanawiał się, czy nie powinien już wówczas dostrzec pierwszych symptomów. Jedyнным pewnikiem w zachowaniu Meg była nieprzewidywalność. Dziś widział w niej aktorkę sceniczną, dającą występy, które miały nadzarpnąć reputację ojca i pozwolić zabłysnąć jej własnej gwiazdzie.

Meg kochała ojca.

Na schodach Fisher znów natknął się na młode małżeństwo, zmierzające z jednym tylko dzieckiem na obiad. W przeciwieństwie do niego, oboje ubrani byli inaczej niż podczas śniadania czy wypoczynku na plaży.

– Jak minął dzień? – zagadnął.

Odpowiedzieli z entuzjazmem, usiłując przekonać samych siebie.

– A gdzie Numer Dwa? – zapytał, wskazując na chłopca.

– Schowany pod pierzyną, twardo śpi. – Matka uśmiechnęła się. – Nie jestem też pewna, czy Colin wytrwa do końca obiadu.

– Wytrwam – obwieścił chłopiec głośno, lecz z onieśmieleniem.

– Colin. – Matka mocno szarpnęła go za rękę.

– No co, wytrwam.

– To się jeszcze zobaczy – powiedział ojciec.

Chłopak rzucił spode łba tak nienawistne spojrzenie, że Fisherowi zaraz przypomniały się jego własne wakacje w tym miejscu, przybierające formę starcia – jego woli z ojcowską. Staruszek kochał punktualność: na każde umówione spotkanie pojawiał się dziesięć minut przed czasem. Trudno było wręcz wyobrazić sobie szybszy sposób na doprowadzenie go do furii niż guzdranie się w chwili, gdy musiał złapać autobus lub pociąg.

Któregoś późnego popołudnia, w tymże mieście, czternastoletni wówczas Edwin Fisher zjawiał się umorusany na pięć minut przed spodziewanym wymarszem familijnego orszaku ku obiadowi. W sypialni rodziców już go oczekiwał komitet powitalny: przy toalecie – wymachująca przed twarzą rękami pani Fisher; na krześle – Tina z otwartą, lecz nieczytaną książką, za to z oczami jak spodki, oczekująca nieuchronnego wybuchu... a przy oknie Arthur, z pobielającym ze złości licem.

– Edwinie, czy to ty? – zawołała pani Fisher.

– Tak.

– Chodź tutaj. Ojciec chce z tobą rozmawiać.

– Spóźnimy się.

– Masz przychodzić, kiedy ci się każe – wycharczał ojciec, stając tuż za drzwiami. Edwin usłuchał. Gdy nacisnął kłamkę i wszedł do środka, Arthur z rękami założonymi na plecach podszedł znów do okna.

– Która to godzina? – zapytał.

Fisher spojrział na zegarek.

– Za trzy szósta.

Impertynencja została zignorowana.

– I gdzie żeś się podziewał?

– Spacerowałem.

– Spóźniłeś się.

– Wiem. Powiniennem pójść się umyć. – Choć widział, że twarz ojca ze złości stała się czerwona, nie potrafił powstrzymać się od prowokacji.

– Od piątej jesteśmy w domu. Mówiłem ci: nie później niż o wpół do.

– Gdzie byłeś, Eddie? – przerwała matka.

– Po prostu na spacerze. Oglądałem popołudniowe popisy pierrotów, a potem spacerowałem po plaży.

– Masz zegarek?

Wysunął nadgarstek przed siebie. W zapadłych jakby do wnętrza czaszki oczach malowało się okrucieństwo, gdy mężczyzna chlasnął wyciągniętą ku niemu rękę. Na trzask zetkniętych kości chłopak wycofał się o krok.

– Nie nauczyłeś się jeszcze z niego korzystać?

Ojciec zaczął go tłuc po rękawie, młóćąc w rytm wypowiedzianych słów. Fisher nie czuł wielkiego bólu, tylko płonący w nim gniew i wstyd. Nic nie odpowiedział.

– Może zatem ogłuchłeś?

I znów grad plaśnień, z których jedno dosięgło zakończenia nerwu lub mięśnia, szarpiąc boleśnie ciałem. On jednak trwał nieruchomo, wbijając gniewny wzrok w maluczką, jakże żalosalną postać.

Stali naprzeciw siebie, mężczyzna przeciw mężczyźnie, powłóczący nogami młodzieniec kontra wąsaty gardłacz.

– A teraz marsz do swojego pokoju, i tam masz siedzieć. Nie potrafisz wrócić, kiedy ci się każe, to na jedzenie poczekaasz do śniadania.

Nie przejął się; niedawno zjadł czekoladę. Pragnął jedynie pozbyć się widoku tego pajaca... ale musiał zostać jeszcze choć przez chwilę: czuł potrzebę przeciwstawienia się tej jazgotliwej katarynie z wybałuszonymi gałami. Zwlekał przez moment, po czym wyszedł, zahaczając ramieniem o futrynę i nabijając sobie siniaka.

Zatrzymał się wewnątrz schowka robiącego za jego pokój, ściślej w szerokiej na jard przestrzeni między łóżkiem a ścianą, by następnie zdjąć marynarkę i umyć się w małym zlewie. Przebrał spodnie i zdjął krawat, po czym zszedł na półpiętro. Z dołu dobiegał brzęk naczyń i sztućców oraz głosy gości, a wśród nich ryk zaśmiewającego się ojca.

Trzasnął drzwiami, zamknął się w środku i usiadł na rogu łóżka przy małym okienku. W domach po drugiej stronie drogi z okien biła czarna pustka, pozostała po wczasowiczach spożywających posiłek na dole. Na oglądaniu pierrotów zeszła mu godzina: oddalony od drewnianej sceny, trzymając się poza wygradzoną przy pomocy liny przestrzeni z leżakami, wałęsał się gdzieś wśród sześciu rzędów pozostałych gapiów, przynajmniej dwukrotnie natykając się na jednego z komediantów, który dopraszał się o datek, wymachując kapeluszem ze wstążką dobraną do prążkowanego blezera. Dziękuję szanownemu panu. To do niego. Do chłopca bitego przez groteskowego, zarośniętego ostrą szczecina ojca.

Aktorzy nosili monokle, śpiewali karczemne wersje znanych utworów (*Do diabła z Burgundią, Tę jedną sam na własność mam*) i opowiadali kiepskie dowcipy, sami się przy tym śmiejąc, jak gdyby chcieli przeprosić za ich niski poziom. Jednakże Edwin czekał na dziewczyny: dwie blondwłose czarodziejki, które zadzierały wysoko nogi w tańcu, ukazu-



jąc majteczki wyzierające spod wirujących, błyszczących spódnic. Gdy biały jedwab miął im przed oczyma, jakiś mężczyzna stojący obok uczeplił się jego ramienia i głośno wciągnął powietrze. Fisher wstydziłby się tak jawnego okazania emocji, ale doskonale rozumiał, o co chodzi facetowi. Piękne dziewczęta w białych pantofelkach, z rozpuszczonymi włosami, demonstrujące w nadmorskich kurortach swoje wdzięki każdemu, kto wrzuci miedziaka do kapelusza. Dziękuję szanownemu panu.

Zabrał się za lekturę książki z biblioteki – opowiadań detektywistycznych, których bohaterem był pan Fortune, bystry chirurg wypowiadający się z dystygowanym akcentem i mający piękną, przepiękną żonę.

Ktoś szarpnął za kłamkę, napał na drzwi. Chłopak zignorował sygnał.

– Eddie. – Matka.

Wzdychając jak tamten facet na plaży, zwłókł się z łóżka i przekręcił klucz. Matka niepewnie trzymała zawiniątko.

– Ojciec jest wściekły – powiedziała.

Nie wzruszył ramionami, stał prosto.

– Przyniosłam ci coś na ząb – powiedziała, odwijając pakunek.

W serwetce znajdowała się kanapka na ciemnym pieczywie, kawałek owocowego ciasta, szwajcarska tarta... wszystko, co ciężkostrawne.

– Ojciec powiedział, że źle się czujesz, więc pani Arrow kazała ci to przekazać.

– Wspaniałomyślnie – odpowiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– No cóż, spóźniłeś się.

– Nie spóźniłem.

– Ojciec twierdzi, że tak.

Nie miał pojęcia, co naprawdę myśli – po czyjej stronie opowiada się w jego konfliktach z ojcem. Zapewne nigdy przez myśl jej nawet nie przeszło, by to rozstrzygać: byli, jacy byli i nie mogła zrobić nic, by ich zmienić. Edwin dawał się we znaki nie więcej niż cztery razy do roku, co zawsze kończyło się tak samo: Arthur wylewał z siebie strumień żółci. Potem zachowywał się nadzwyczaj uprzejmie, wręcz wielkodusznie. W oczach Elsie Fisher mąż był godny podziwu, ponieważ się dorabiał – nie szkodzi, że ten służalczy sklepikarz na biadolił nad każdym wydawanym pensum, skoro na koncie w banku miał więcej środków niż dumni ze swych aut i posiadłości klienci, których salony wyposażał w fotele i kanapy.

Matka usiadła, czując się wyraźnie nieswojo, zapytała, co czyta, po czym wróciła na dół, do swoich czasopism.

Wiedział, że nazajutrz ojciec powita go jak mężczyzna mężczyznę: uściśnie mu dłoń, zapraszając po kumpelsku na wspólną przedśniadaniową gonitwę po bulwarze.

Bezbożny chłopiec wezwał w duchu Pana: Boże, Boże, Boże.

Dziś wieczór, gdy rodziny zabrały się do jedzenia, w stołówce zaległa cisza. Fisher delectował się poczynaniami współbiedniaków: zakładaniem śliniaków, wycieraniem buź, przechylaniem talerzy, by zaczerpnąć ostatnią łyżkę, tudzież – w przerwie między daniami

– urządzaniem pokazów dla innych stolików albo wyławianiem właściwych fragmentów rozmowy w celu pobudzenia innych gości do paplaniny lub śmiechu. Towarzystwo bardzo się starało nie plamić obrusów i trzymać sztucze jak należy, ciesząc oczy Fishera ową ceremonialnością. W tym pomieszczeniu, udekorowanym lalkami i papierowymi kwiatami, stosownym było pozować na dzentelmena, zgrywać damę. Rozluźnienie nastąpi dopiero, gdy wyrok w sprawie standardu już zapadnie (najpóźniej w poniedziałek wieczorem); znikną gdzieś wtedy wszelkie „ą” i „ę”, dozwolone będą sprośne dygresje, pojawią się zwierzenia... lecz podczas tej kolacji, po pierwszym pełnym dniu wakacji, królował ton formalny. I tu właśnie jego ojciec zawodził: robił za wtorkowego kawalarza w niedzielę... Dziwne, bo jakoś w sklepie nigdy nie popełnił gafy. Za ladą potrafił płaszczyć się przed każdym byle chłystkiem.

Fisher z uśmiechem rwał chleb na talerzu i zadawał sobie pytanie: jak się mają Vernowie we Frankland? Na kolację jeszcze za wcześnie; najpewniej, odrzuciwszy pomysł zejścia na aperitif, umoszczeni w bezwartościowym ciepélku, łagodnie wykańczają się nawzajem jałową gadaniną.

Wkrótce po ślubie spędził z Meg weekend we Frankland. Przez dwa, może trzy miesiące starał się o pracę, zmuśnię wypełniając formularze, przyklejając znaczki do kopert, przywołując nazwiska osób wystawiających mu pozytywne opinie, by ostatecznie zostać szefem dużego wydziału nauk humanistycznych w londyńskiej szkole publicznej. Co ciekawe, przesłuchanie nie wypadło najlepiej. Wychodził przeświadczony, że dyrektorka – kobieta, która wiedziała, czego chce i jak należy to uzyskać – nabrała do niego awersji, więc kiedy wezwano go ponownie i złożono ofertę objęcia stanowiska, zupełnie zbaraniał, uzewnętrzniając to bez specjalnej afektacji, jedynie spuszczeniem głowy, przez co zapewne sprawił wrażenie wahającego się, może pogrążonego w modlitwie... zanim w końcu okazał wdzięczność, obiecał dać z siebie wszystko i przyjął posadę. A po wszystkim, kiedy odwożony do szkoły przez dyrektorkę słuchał, jak kobieta wypowiada się otwarcie na temat jego rywali oraz poprzednika, przewodniczącego komisji edukacji – postanowił, że wyciągnie gdzieś żonę z pełną pompą... sypnie groszem... i to w ten weekend, czy będzie miała ochotę, czy nie.

– Nad morze – zdecydowała. – Poza sezonem. Wschodnie wybrzeże. Bealhorpe. The Frankland Towers.

Toczyła słowa po podniebieniu – córeczka tatusia. Sam wybór go zadziwił. Spodziewał się raczej, że Meg będzie optować za Londynem, za teatrami, koncertami. Co ciekawe, nie przypominał sobie Frankland ze swoich wakacji, pomimo wielu godzin spędzonych za młodu na gapieniu się w wysokie rozświetlone okna wielkich hoteli. Budynek musiał stanąć przed rokiem, może dwoma laty. Pojęcia nie miał, jak wygląda stała klientela takiego miejsca – i o to tylko zapytał.

– Zobaczysz – odpowiedziała – gdy już znajdziesz się pomiędzy mięczakami z wyższych sfer.

Standard hotelu odpowiadał wygórowanym cenom. Zarówno w piątek, jak i w sobotę kładli się spać podchmieleni. Pamiętał, że coś, co teraz wydawało mu się dziwne, w swo-

im czasie miało sens. Zataczać się ku przepastnemu morzu pod niebem umazanym chmurami, usianym gromadami gwiazd, lub po wygodnym umoszczeniu się w fotelu pociągać whisky z wodą, szepcząc żonie strofy:

*Może patrząc na ciało swe pomarszczone,  
Chłodną zimową nocą w łożu moszczone,  
Przyjdzie ci do księżycy słać ów żal płonny  
Za życzeniem, co kryjesz niewysłowione.  
Jam zamilkł już, niech słucha zaś ten, kto skłonny* {5}

– wydawało się to szczytem doskonałości, jakby stał się panem życia, pragnień, a nawet śmierci. Wprawdzie nie upijał się przesadnie, mając niezbyt wiele doświadczeń z alkoholem, lecz jego okraszonej uśmiechami recytacji towarzyszyły przyjemne zawroty głowy. Możliwe, że wtedy właśnie nastął koniec jego młodości i początek bycia sobą... Wątpliwe. Udało mu się do czegoś dojść, ale żonie tym nie zaimponował i tylko w stanie połowicznego upojenia mógł wyobrazić sobie, że ona świętuje razem z nim. Kochali się ospale, na chwilę przed zaśnięciem, niemniej Meg leżała odprężona, zadowolona z męża, zachwycona rolą jego ukochanej, jego żony.

Rankiem doskwierało im rozdrażnienie wywołane bólem głowy i obawą o wysokość rachunku, lecz nim nastąpiła pora obiadu, zdążyli pójść na spacer, popuszczać kaczki i nabrać ochoty na podśmiewanie się z hotelowych gości. Meg naśladowała ich głosy, czy raczej wymyślała ich brzmienie. Na widok wąsatego mężczyzny z naoliwionymi włosami komicznie zaryczała po wojskowemu:

– Wyślemy cię na dwa lata do grenadierów. – Wskazała na męża, który nie wywiązał się z odbycia służby wojskowej z powodu trądziku. – Już tam cię postawią do pionu, młodzińcze. Przystaniesz się obcyndalać jak Żyd po pustym sklepie. – Zachodził w głowę, skąd wytrzasnęła to określenie.

Przyglądała się też z zaciekawieniem pewnej staruszce o zaciśniętych ustach, noszącej okrągłe okulary i suknię obszytą czarnymi koralikami – aby później, w sypialni, zacząć nagle skrzeczeć i kiwać głową w taki sposób, że Fisher od razu wiedział, z kogo kpi.

– Mój świętej pamięci małżonek, biskup, na małżeńskie przywileje mógł liczyć tylko w dwucyfrowych miesiącach roku.

– Ależ czemu, łaskawa pani? – odparł Fisher, podejmując grę.

Meg wykrzywiła usta.

– Nie wasza to rzecz, drogi chłopcze, znać czasy i chwile.

Słuchając chrapliwego głosu staruszki, Fisher uzmysłowił sobie z przykrością, że siedzi tu trochę jak postronny obserwator, dopuszczony do prześmiewczej rozrywki, którą dziewczyna zapewniała sobie sama. Naśladowała jakiś męski głos albo kobiecy chód, przeświadczona, że jej mąż zdolny jest jedynie do bełkotania banałów albo, co gorsza, recytowania wytwornej poezji, która na tle jej występów musiała brzmieć groteskowo i pretensjonalnie.

Rzecz jasna, Meg nie spędzała całych dni na drwinach. Potrafiła się również szczerze śmiać, i to w taki sposób, że jej wyniosła zazwyczaj uroda przeistaczała się, nabierając cech dziecięcej nieporadności. Zielone oczy płonęły, całe ciało drżało od chichotu, ramiona się trzęsły, a ona próbowała łapać równowagę, kurczowo trzymając się męża. Kochał ją – wtedy.

Poczucie niepewności i zagrożenia, choć stale obecne w jego małżeństwie, nie spędzało mu snu z powiek. Dotychczas życie stanowiło serię przeszkód: testy, stypendia, szkoły... i chociaż wykształcił się na pierwszorzędnym materiale do egzaminowania, nieodmiennie towarzyszył mu stres, z którym w końcu nauczył się żyć, a nawet czerpać z niego radość i ciągnąć korzyści. Nie oczekiwał wcale, że jego nowe życie będzie usłane różami. Bycie prymusem na Oksfordzie przyniosło profity w postaci ofert pracy i zainteresowania jego osobą. Podobnie musiało być z urodą jego żony. Jedno i drugie wymagało poświęceń. Jak mawiał jego ojciec: na bilecie tramwajowym daleko nie zajedziesz. A jednak wciąż czuł się niedojrzały, niegotowy na małżeństwo, spełniony tylko wtedy, gdy mogli coś ze sobą dzielić, choćby grę, pijaństwo czy seks... w instynktownym działaniu, zawsze na poziomie konkretów. Być może to normalne.

Z obserwacji żonatych przyjaciół nie potrafił niczego wywnioskować. Zachowywali się w tak różny sposób, że niepodobna było wyprowadzić jakąś ogólną regułę. Miał co prawda wgląd tylko w ich publiczne życie. Jeden z nich spełniał mężowskie obowiązki, robiąc pranie, drugi – myjąc dzieci, następny bez żenady opisywał swoje seksualne wyczyny, a jeszcze inny cierpko stwierdzał, że zazdrości cudzołożnikom.

Oczywiście nie brakowało mu werbalnej sprawności, aby dostarczyć sobie satysfakcjonujących odpowiedzi. Brak równowagi, niepewność – wszystko to miało zniknąć, niech no tylko wraz z Meg wpadną w rutynę dnia codziennego, wypełnioną dziećmi, awansami, poszukiwaniami domu i w końcu przygotowaniem do zasłużonej emerytury... Ani tego nie chciał, ani w to nie wierzył. Mówiąc bez ogródek, szkopał tkwił w tym, że darzył swoją małżonkę wprost desperacką miłością, lecz nie miał przekonania, czy owo uczucie jest odwzajemnione. Owszem, nieraz powtarzała, że go kocha. Rozwiewała obawy pocałunkami, ciągnęła do łóżka, dziko wrzeszczała, aby go zadowolić, a zaspokojona, potrafiła nawet leżeć u jego boku, obsypując go pieściami. Z drugiej strony, pamiętał też sytuacje, w których nie spisywał się najlepiej, kiedy to płakała za czymś, czego ofiarować jej nie mógł i gdy złorzecząc, w histerii, tłukła go pięściami. Sukces był zatem wyłącznie dziełem przypadku.

Małżeństwo, ta przysięga, ten uświęcony stan, nic dla niej nie znaczyły.

Opowiadała mu o Malcolmie, czasem o innych swoich byłych, aż rozpalał się do czerwoności, zazdrosny, niemal oszalały z trwogi. Gdyby któregoś z nich spotkała i poczuła, że ma jej coś więcej do zaoferowania, z przyjemnością skorzystałaby z nadarzającej się okazji... niezależnie od złożonych przysięg i uroczystych oświadczeń. Miała męża, żyła z nim, okazywała radość ze swojego położenia, ale odmawiała uznania kwestii za wiekiustą. Nigdy nie dowiódł jej niewierności, nie posądzał o zdradę, lecz wyrobiła w nim przekonanie, że niełatwo ją powstrzymać. Dała odczuć, że jest nieodpowiedzialna w swej nieobyczajno-

ści.

Chłopczyk przy sąsiednim stoliku skończył obiad, więc ojciec zebrał się, żeby pogonić go do łóżka. Goście szeptem przekazywali gratulacje matce; w odpowiedzi młoda mężatka wzniosła dumnie kubek z kawą, uśmiech swój jawnie kierując do Fishera. I znów... zachodził w głowę, co to miało znaczyć: może go sobie upatrzyła, a może perspektywa dziesięciu minut spędzonych samotnie w pięknej sukience i bez naczyń do pozmywania sprawiła, że kobieta postanowiła zademonstrować radość przed najbliższym przyzwoitym mężczyzną w zasięgu wzroku. Fisher odwzajemnił uśmiech, jednakże poczuł się zaskoczony, gdy wzięła swoją kawę i przebyła tych parę dzielących ich kroków, by przysiąść się do jego stolika. Pozostali nie bardzo wiedzieli, jak mają zareagować, w związku z czym ostentacyjnie zajęli się swoimi sprawami.

Mówiła o mało istotnych rzeczach.

Poruszyła temat wycieczki motorówką, na którą ostatecznie się nie zdecydowali, wyliczyła, ile lodów wolno zjeść dziecku, a w końcu skupiła się na zachowaniu męża w salonie gier. Obniżając ton głosu, tak by słowa nie dotarły do postronnych uszu, zarysowała obraz infantylnego zachowania, objawiającego się gorączkowym wpychaniem monet do jednorękiego bandyty i gniewną reakcją na upomnienia z jej strony.

– Wystarczy wpuścić go do środka, a popada w jakieś szaleństwo – szeptała. – Żądza pieniądza. W domu – nic z tych rzeczy. Zawsze taki hojny. Za to tam, jak tylko rozmieni banknot, przykleja się do maszyny, póki nie roztrwoni go do końca.

Wypytywała go o różne rzeczy ściszym głosem, podtrzymując poufały charakter rozmowy. Pod cienką sukienką jej skóra żarzyła się gorącym złotem, dobrze korespondując z ciepłem wypowiedzianych słów.

Fisher odpowiadał chłodno.

Prawdę mówiąc, był wystraszony. Zarówno na plaży, jak i na kwaterze, widziana z odległości jarda czy dwóch, wyglądała atrakcyjnie – prawdziwa piękność. Teraz, w bliskim kontakcie, spospoliła, przeobraziła się w wygadującą nedorzecznosci, prowincjonalną gospodynię domową, trudniącą się maszynopisaniem lub prasowaniem ubrań w którymś z wielu bliźniaków rozsianych po całym kraju. Cała ta sytuacja wystawiała go na próbę. Cóż nią kierowało, żeby szkalować przy nim męża, w dodatku zachęcając go do współdziałania?

Tymczasem mąż powrócił. Nie wyglądał na specjalnie przejętego przesiadką żony, za to brakiem kawy – i owszem. Dziewczyna sprzątająca ze stołów pośpieszyła z dolewką.

– Dzieciaki w łóżkach? – zapytała żona.

– Tak. – Powolna monosylaba.

– Tony śpi?

– Jak kamień. Colin prosił, żebyś przyszła.

Skinęła głowę i podniosła filiżankę, aby z odgiętym palcem wysączyć fusy. Tenże gest odgrodził ją na krótką chwilę od absorbujących dzieci i przykrych obowiązków kuchennych, zaraz jednak ocknęła się i poszła na górę. Pałeczkę przejął małżonek. Z zawodu kosztorysant, nie lubił wakacji poza domem, w którym chętnie zająłby się pielieniem ogrodu lub zrobił użytek z tokarki w szopie, lecz, jak stwierdził, musiał się ruszyć dla dobra rodziny.

– Wiesz, kobieta ma ciężko – powiedział. – A na osłodę tyle tylko: dwa tygodnie wolnego raz do roku.

Fisher słuchał pełen podziwu. Mężczyzna tyrał na żonę, dostrzegał jej potrzeby, żył dla swoich dzieci. A teraz, tutaj, przy tym stole, tłumaczył się gęsto z faktu, iż długa droga z pracy do domu nie pozwala mu wracać na tyle wcześniej, by poharcować z dziećmi jeszcze za dnia. Fisher ciągnął rozmówcę za język: ten człowiek sam wykonał zabudowę wnątkową, wymurował garaż, dobudował oranżerię – wszystko w przeciągu czterech lat, a mimo to wciąż czuł się winny. Kłamał? Czyżby harował przy posesji, żeby unikać żony lub wręcz wykluczyć ją ze swojego życia, czym dawał jej powody do narzekań? Przed Fisherem nie siedział nałogowy hazardzista, tylko porządny chłop.

Wróciła żona; w międzyczasie zdążyła znów wyszczotkować blond włosy.

Fisher – sztywno wyprostowany na swoim krześle – zaproponował małżeństwu wyjście na drinka. Usłyszał, że nie powinni oddalać się od dzieci, które w każdej chwili mogą się zbudzić. Nie naciskał, przyjął tłumaczenia z uczuciem wyższości i pozwolił im dokonać wyboru. Padło na pub na rogu, gdy tylko upewnią się, że maluchy śpią twardo.

Kiedy tak siedzieli, nabierając owej pewności, Fisher został poproszony do telefonu. Dzwonił teść. Zapraszał do siebie. Fisher natychmiast odmówił, lecz nie omieszkał podać powodu. Jako że tłumaczenie brzmiało fałszywie, łatwo było sobie wyobrazić wymowną mimikę rozmówcy.

– Chcesz się spotkać z jakiegoś konkretnego powodu? – zapytał teścia.

– Z sympatii.

– Rozumiem.

– Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary? – Vernon papugował typowy głos z walijskiej ambony. – Nie, nie postawiliśmy na tobie krzyżyka. Jesteś tu. Znamy się. Byłoby nam miło się z tobą spotkać.

– Dzięki. Przykro mi, ale już się umówiłem.

– W porządku, Edwinie. Myśleliśmy po prostu, że może jesteś sam.

David Vernon groził w taki właśnie zawołowany sposób. Gdy ktoś mu się sprzeciwił, zwieszał tylko głowę, uprzejmie mamrotał coś w odpowiedzi, ale cały incydent zapisywał trwale w pamięci, do rozliczenia w wolnej chwili. Nie bawił się w sentymenty.

W pubie młoda małżonka, Sandra, wybrała wiśniową brandy, a jej mąż i Fisher raczyli się małymi piwami.

– W domu nigdy nie chadzamy do pubów, prawda, Terry? – odezwała się.

– Rzadko wychodzimy razem.

– Podoba mi się tu – powiedziała, wymachując drinkiem. – To ekscytujące. – Ton głosu wcale tego nie potwierdzał. Jej pospolite rysy, zaczerwieniona skóra, maniera w głosie i gestach budziły w Fisherze awersję. – Jest w tym miejscu coś wyjątkowego.

Rzeczywiście, było tam wyjątkowo duszno, głośno i tłoczno.

– Nie wydaje się panu, że niektóre puby mają specyficzną atmosferę?

– Przypuszczam, że tak – odrzekł Fisher.

– Może to kwestia właściciela lokalu, a może klienteli. Terry, musimy więcej wycho-

dzić. Twoja matka mogłaby posiedzieć z dziećmi. Ale on zawsze jest zbyt zmęczony. Lubi pan muzykę klasyczną, panie Fisher?

Przeszli na „ty”.

Fisher zaczął sypać nazwami ulubionych orkiestr, nazwiskami pianistów, opisał również swoją kolekcję płyt, tymczasem Sandra, pani Smith, rozpływała się i wdzięczyła, jakby już była wstawiona. Mąż nie okazywał zgorszenia, tylko uśmiechał się, uważając najwyraźniej całe to głupekowate rozochocenie żony za godne pochwały. Wyznała, że przed urodzeniem chłopców śpiewała w Stowarzyszeniu Harmonii Chóralnej, a teraz zastanawiała się nad powrotem, bo, jak twierdziła, jej głos zyskał głębi, wzbogacił się. Śpiewała kontraltem. Nigdy by się nie domyślił, słysząc, jakim głosem mówi. Nie, *Uczta Baltazara* nie podobała jej się, *Requiem wojenne* również, ale *Dziecko naszych czasów* nie było złe, zaś *Te Deum* Berliozoszałamiające. Fisher wyszczerzył się w uśmiechu: istniała szansa, że jego znajomi intelektualiści udzielaliby identycznych odpowiedzi, nie tracąc przy tym twarzy.

Wypili następną kolejkę.

Po trzeciej wiśniowej brandy, gdy Sandra dowiedziała się, że wykladał filozofię edukacji na uniwersytecie, ścisnęła go za ramię i aż zapiszczała z podziwu.

– Wiem, że weźmiesz mnie za głupią – kolejny chichot, obydwie dłonie na zgięciu jego łokcia – ale bladego pojęcia nie mam, co to takiego.

Z pianina popłynęły dźwięki. Twarze osób w średnim wieku ożywiły się.

Próbował jej wytłumaczyć, nieśmiało dobierając słowa. Zbyt często David Vernon, ta zmija w dzień pogodny{6}, saczył mu w tej kwestii jad do głowy:

– Chyba zacznym rozumieć, Edwinie, czym jest ta twoja filozofia edukacji. Ale tylko zaczynam.

– Czy istnieje jakiś wzorzec zasad funkcjonowania prawa? – Rozmowa z teściem pobudzała do takiego wielosłownia.

– Jestem tego pewien. Bez wątplenia istnieją książki na ten temat. Zważ jednak, że żadnej z nich nie czytałem.

– Nie wykładali tego na studiach?

– Uczęszczałem zaledwie – powiedział teść filuternie, niby to zbolalym głosem – na walijski uniwersytet, nie na Oxford. I chociaż, owszem, zamęczali nas gałęziami nauki, które uważam dziś za bezużyteczne, jakoś nie przypominam sobie zajęć z filozofii tematu. O ile pamiętam, raz czy dwa próbowano chyba wyjść poza szczegółowe kazusy, ale filozofii w tym za wiele nie widziałem. Może trochę historii, archeologii, socjologii, ekonomii, zgadnywanek... owszem.

– Pojęcie sprawiedliwości – warknął Fisher.

– Sprawiedliwość. No cóż. Sprawiedliwość. – Vernon uśmiechnął się. – Nie rozumiem tego. Kradnę ci portfel. Kiedyś by mnie za to powieszono, kiedy indziej odcieliby mi rękę, w jakimś innym miejscu by mi wybaczyli, a dziś zbadałby mnie psychiatra i oddał pod sądową kuratelę. Czy to formy sprawiedliwości? Sam nie wiem.

– Ale jak tylko zaczynasz stawiać sobie to pytanie, wchodzisz – żargon mu zubożał – w buty filozofa. I tym właśnie jest filozofia: dociekaniem, co te wszystkie działania mają ze

sobą wspólnego.

– Pragnienie powstrzymania złodziejstwa.

– Nie jestem przekonany – odparł Fisher. – Religijni ludzie, którzy...

Vernon zamachał delikatnymi dłońmi.

– Jeśli nie, to zapominam o temacie. Jeśli natomiast chęć ochrony prywatnej własności jest filozofią, to filozofuję.

– Filozofią jest ubranie tego w słowa.

– Tak, obawiam się, że tak. – Vernon gestykulował cygarem. – I jakież to bezużyteczne zajęcie.

– No cóż, zgodziłbym się, gdyby to była jedyna forma ludzkiej aktywności. Ale na każdego filozofa przypada stu prawników i tysiąc nauczycieli.

– Którzy nie zwracają na niego uwagi.

– To bez znaczenia. Masz czysto utylitarne podejście.

I tak wyglądały ich dyskusje. Vernon mamrotał: „czysto, czysto”, kreśląc wzory dymem z cygara, po czym przebijał je ironicznym palcem.

– Edwinie, ilu filozofów edukacji obecnie pracujących w tym kraju wywarło jakikolwiek wpływ na szkoły powszechne? – zapytał. – Lub, choćby bardzo pośrednio, na mnie, przeciętnego, zainteresowanego tematem czytelnika, tak że, gdy wymienisz kogoś z nazwiska, zaraz go skojarzę?

Fisher przedstawiał pragmatyczne uzasadnienia, przekonywał, że przyszłym nauczycielom dobrze robi mierzenie się na odpowiednim etapie kształcenia z pewnymi ideami, jakkolwiek nie byłyby one abstrakcyjne i nieużyteczne... a co więcej, że jego własne zajęcia – szczegółowe analizowanie języka, w którym sformułowano te zasady – miało służyć przygotowaniu ich do życiowej drogi, jakże obficie usłanej słowami. Ale do Vernona nic nie trafiało. Wyrażał niepocholebne opinie o nauczycielach uprawiających ten zawód z braku innych perspektyw, pozbawionych jakiejkolwiek wyróżniającej ich odmiany fachowości, preferujących uprzywilejowane stanowisko w szkole i możliwość panowania nad młodzieżą zamiast stawania w szranki z mężczyznami w świecie dorosłych.

– Od razu widać, że nigdy nie stałeś przed klasą.

– Od razu widać, Edwinie – zareplikował Vernon – po twoim zmarszczonym czole, czerwonej twarzy i groźbie w głosie, że prawie nigdy jej nie opuszczałeś.

Właściwie Fisher rzadko tracił w kłótni panowanie nad sobą. Zdawał sobie sprawę, że rozumowanie Vernona podszyte jest materializmem. Adwokaci nabijali sobie kiesę, nie przejmując się egalitarystycznymi herezjami. Nie tylko pracowali dla siebie, ale również chronili przede wszystkim samych siebie.

– Zapytaj, proszę, swoich studentów – naciskał Vernon. – Ja tak robię. Usłyszysz krytykę od samych zainteresowanych. Twoje zajęcia stanowią przyjemny odpoczynek po egzaminach końcowych. Natomiast palestra to nie ośrodek wypoczynkowy. Być może nasze egzaminy wymagają tylko żmudnego wkuwania, a do ich zaliczenia nie potrzeba tęgiego umysłu. W porządku. Niemniej kandydaci padają jak muchy.

– Bo brakuje odpowiedniego systemu nauczania?



– Może, może. Ale głównie dlatego, że stosujemy filozofię prawa. Przynajmniej wobec kandydatów. A głosi ona, że każdy obibok, nieuk lub wodolej zostanie odkryty i oblany. Jeśli pretendent do zawodu adwokata nie potrafi pisać i liczyć, nie potrafi pojąć i wyjaśnić zasad prawa obowiązujących w państwie, po prostu nie zda. Natomiast twoi studenci – a było tak również w czasach, gdy studiowałem na dysydenckiej, purytańskiej uczelni – dostają dyplom bez względu na to, czy coś wiedzą, czy nie. Nie możesz temu zaprzeczyć.

Jego głos emanował walijskością.

Powracając myślami do sporu, Fisher podejrzewał, że Vernon zwyczajnie mu zazdrości, że znalazł sobie niszę. „Biret doktorski uciska me czoło i dane mi było przywdziać toę” {7}.

Już podczas tamtych zmagania z teściem Fisher cierpko myślał o swoim losie, który najpierw obdarzył go ojcem – prostackim sklepikarzem, a teraz, w zastępstwie, tym dyplomowanym przedstawicielem wolnego zawodu. Przy czym oni obydwaj, zazdroszcząc mu pozycji i osiągnięć naukowych, szperali w encyklopediach lub dobierali efektowną argumentację, żeby udowodnić, że mogą w jakiejś mierze równać się z synem, który sam z siebie nie zgłaszał specjalnie pretensji do uczoneości.

A zatem – wyjaśnił Sandrze Smith, czym konkretnie się zajmuje, ona zagruchała słodko, zaś jej mąż niewyraźnie się uśmiechnął. Właśnie nabywali nowych doświadczeń, którymi później podzieliła się z sąsiadami: „Pamiętasz, Terry, tego wykładowcę akademickiego na naszej kwaterze? Opowiadał o filozofii. Pięknie to wszystko tłumaczył, prawda?” „Ja słowa z tego nie rozumiałem”. „Och, Terry!” A gdy posłużą się już tą opowieścią z życia wyższych sfer, aby zripostować historię sąsiadów o mężczyźnie, który zabrał ich na przejażdżkę swoim nowym daimlerem, rozszerzą się oczy wszystkich zebranych.

Pianino wystukiwało *Róże Pikardii*, melodię śpiewaną przed laty przez trupe pierrotów, więc Fisher, któremu szumiało już w głowie, zaczął ją nucić przy wtórze innych włączających się głosów. Czuł się zażenowany swoim występem, a w dodatku niedługo potem, gdy opuścili lokal z Sandrą pod ramię, jeden z jednej, drugi z drugiej strony, najadł się wstydu, powracając do piosenki wybuchem niemal żarliwego śpiewu, jakby kryło się za tym jakieś znaczenie.

– Jesteś śpiewakiem? – zapytała Sandra, ściskając mocno jego ramię.

– Nie.

– Co to za piosenka?

– Ta, którą grali w pubie.

– Nigdy jej nie słyszałam, a ty, Terry? – Terry również nie słyszał.

Idąc chwiejnym krokiem, wyrażała ubolewanie, że nie zna się lepiej na muzyce, że zarzuciła naukę gry na pianinie. Po powrocie na kwaterę zajrzał razem z nimi do dzieci, by sprawdzić, czy śpią twardo. Rozważał wyciągnięcie małżonka na kolejnego drinka, rozśadek nakazał mu jednak trzymać buzię na kłódkę. Urozmaicił im wieczór, a teraz mogli zasiać na dole i z uśmiechem oddać się błahej rozrywce przy telewizji lub kolorowych piśmiakach, raz po raz biegając do toalety – Terry w szczególności. Do szczęścia wystarczy.

Nie dołączył do nich; zamiast tego położył się płasko na łóżku, celebując w myślach

łśniące róże z piosenki. Trzy pinty. Po nich oraz po jednej, dwóch szklaneczkach dżinu osiągnęli wraz z Meg spokój i ukontentowanie, tak że któregoś razu usiadła przy pianinie, które otrzymała po dziadku i zagrała z werwą walc Brahmsa. Niegdyś, w małym walijskim gospodarstwie Vernonów, dźwięki roznosiły się po domu głębią, bezwstydnym łomotem, dobywane z tego potężnego, ciemnego instrumentu zajmującego całą ścianę salonu, od drzwi do drzwi. Wiedział, że Meg potrafi grać – słyszał już kiedyś... a może nie? Natomiast wówczas, kołysząc się z lekka w tej ich londyńskiej klitce, czuł się obezwładniony wspaniałymi akordami, chwiejnym rytmem utworu, i tak oto, beznadziejnie zakochany w pianistce oraz roztaczanej przez nią aurze tajemniczości, wsunął jej ręce pod spódnicę, sprawiając, że zaczęła chichotać na taborecie. „Czy mogę być wiecznie upojony alkoholem, miłością i kłótniami?” Jakże gęste miała włosy, jakże cudownie kasztanowe, nadające jej wprost nieludzki wygląd, niczym złotej bogini, ofiarującej mu miłość, rozpostartej na podłodze, skąd mógł dostrzec wytarte, przyćmione złoto pedałów jej pianina.

Teraz był sam.

Przypomniał sobie bliźniak w południowym Londynie, do którego wprowadzili się, zaraz jak znalazł swoją drugą pracę: stanowisko szefa wydziału w państwowym ogólniaku. Miasto budziło w nim niechęć, szczególnie ciągłe podróże – i tutaj kolejny przykład dziwnego podejścia Meg. Do pracy miała równie daleko jak on, ale z przekorą godną swojego ojca utrzymywała, że czas tracony w pociągach był świetnie spożytkowany; dzięki temu nie mogła sobie napytać żadnych kłopotów i zachowywała formę. Czasem zachodziła do dwóch koleżanek mieszkających nieopodal szkoły, co w połączeniu z życiem towarzyskim Fishera nie dawało im szans na wspólną kolację wcześniej niż przed dziewiątą. Sięgając pamięcią do tamtego okresu, widział życie wypełnione nieustannym zmęczeniem, kiedy to w każdą sobotę i niedzielę leżeli w łóżku do południa. W wakacje zwykli podróżować – do Aten, Tunisu, często do Francji, raz do Stanów... wracali zawsze opaleni na mahoń, znużeni gadką o lokalnych winach albo tamtejszych cenach, aby zaraz wyruszyć do rodziców Meg na należną im jednodniową wizytę. Stało się to swego rodzaju grą. „Zaimponuj ojcu”.

Vernon przyjmował oczekiwaną postawę, mówiącą, że wszystko, co warto wiedzieć o świecie, można odnaleźć w Cefn, miejscu, w którym dorastał, mieście obdarzonym całym bogactwem ludzkiej natury.

– A piękno, tato? Obrazy, architektura lub choćby pogoda.

– Dla spragnionych egzotyki mieliśmy kino.

– Naprawdę uważasz, że obejrzenie filmu to to samo, co odwiedzenie danego miejsca?

– Wcale nie. Powiem więcej, film jest przeważnie lepszy, bo ukazuje obraz wyłoniony bardziej selektywnym okiem.

– Mów za siebie – krzyknęła Meg.

– Mówię za siebie, moja droga. I zdaję sobie sprawę, że ciebie nie wiążą ograniczenia przeciętnego śmiertelnika. Co nie zmienia faktu, że mogłem oglądać Partenon albo Alhambrę w blasku słońca, Tadź Mahal w świetle księżyca, a potem, po wyjściu z kina, niemal od razu porównać je z naszymi kapliczkami lub biblioteką publiczną w deszczu.

- Kto przy zdrowych zmysłach chciałby robić coś tak głupiego?
- Na przykład ja, najdroższa.
- Wcale nie, wcale nie. Sam regularnie wyjeżdżasz za granicę.
- Naturalnie. Na tym opiera się moje przekonanie. Na doświadczeniu.
- On cię robi w konia, Margaret – wtrąciła się matka. – Nie zachęcaj go.
- Mówię najzupełniej poważnie. – Głowa Vernona chwiała się arystokratycznie.

Potem, w drodze powrotnej, Meg naskakiwała na męża, żądając wyjaśnień, dlaczego jej nie bronił. Siedziała za kółkiem, gnając slalomem między innymi samochodami, jakby do kół przymocowane miała ostrza przeznaczone do rozrywania na strzępy niedorzecznych, kazuistycznych obserwacji swojego ojca.

– Lubi wdawać się w takie małe spory – dyplomatycznie odpowiadał Fisher.

– Chce mnie zdominować. I ciebie też. W szczególności ciebie. I robi to, a ty siedzisz jak ten kołek i nawet słowem nie piśniesz. Dlaczego mu się nie postawisz?

– Bo nie chcę. Bawią mnie jego wymysły.

– Bawisz się moim kosztem.

Wtedy była już zwykle bliska płaczu, zaczynała zgrzytać biegami, gwałtownie hamować, dławić silnik. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że walczy nie tylko z żoną, ale również z teściem.

Wyszedł znów na powietrze. Na zewnątrz panował teraz chłód, wciąż jednak było jasno, zaś niebo zrobiło się perłowe. Starsze małżeństwa wychodziły do ogródków swoich bungalowów, wymieniając poglądy z sąsiadami. Młodzi porykiwali silnikami motocykli, a spacerujące pary, nawet te w średnim wieku, trzymały się za ręce. Przystanął na chwilę przy jednym z surowo urządzonych domów, Mon Bijou, z którego dobywały się elektryzujące akordy wygrywane na pianinie. Marsz z opery *Tannhäuser*. „Radośnie witamy cnotliwą salę, gdzie sztuka i pokój niech na zawsze pozostaną” {8}. Pamiętał, jak w wieku piętnastu lat uczył się tej pieśni po raz pierwszy, usychając z miłości do córki pastora. Poważna sprawa, chociaż swojej namiętności nie wyjawiał nikomu. Wsłuchując się teraz w miarowy, przepelniony powagą rytm, w ów punkt zwrotny, poczuł tamtą tęsknotę, chociaż... Chociaż... Nie, to nie może być prawda. Przeniósł się tam na chwilę, ale uczucie znikło równie szybko i nagle, jak się pojawiło. Znów słuchał jako dorosły, krytykując w duchu zarówno wagnerowski banał, jak i tandetnie pobrzękujące pianino. Z ulgą uwolniwszy się od drzemającej w nim przeszłości, ruszył dalej drogą.

Kilkoro przechodniów życzyło Fisherowi miłego wieczoru. Dobrze mu robił świat wypełniony wypoczywającymi ludźmi. Odpowiadał im donośnym głosem.

– Jesteś taki jowialny – zwykła mawiać Meg. – Jak mleczarz.

– Kupiectwo mam we krwi.

– Przypominasz raczej domokrażcę, zachodzącego cichaczem pod tylne drzwi.

Nie kryło się za tym nic głębszego. Zgadywał, że często poddaje go krytyce, bo taką widzi dla siebie rolę – przywilej nabyty wraz z małżeństwem. Mijając wysoki, równo ostrzyżony żywopłot z ligustru, zmusił się, by przystanąć i zadać sobie pytanie: Czy chciałby ją odzyskać lub chociaż spędzić z nią godzinę, dajmy na to, dziś wieczór? Z uczuciem bliskim

litości wspominał ich ostatnie tygodnie, w czasie których postawiła sobie za cel nękanie, zakłócanie życia, wręcz ukrzyżowanie męża. I nie chodziło tu o jakieś drobne szykany – całą swą istotą poświęciła się, by prześladować go minuta po minucie, każdego dnia i nocy. Nie była w pełni władz umysłowych rozbijając szkła o podłogę, budząc go po trzy, cztery razy w ciągu nocy, w ubraniu rzucając się z wrzaskiem do wanny, podpalając sprawdzane przez niego prace egzaminacyjne lub oświadczając sąsiadom, zamożnemu architektowi i jego żonie, że poprzedniego wieczora mąż próbował ją zamordować.

Nie prowadzili żadnej gry. Nie tknął jej palcem, chociaż byłby zdolny ją zabić. Natomiast jego miłość z całą pewnością zwiędła, wyschła na wiór. Jeśli o seks chodzi, żona stała się dla niego równie pociągająca, jak jakaś świnia czy szkielet. Wbrew rozpaczliwym nakazom rozsądku pragnął uśmiercić Meg – lecz nie gołymi rękami. W spoconych palcach zamykających się wokół szyi, wyciskających cenne życie, kryłoby się bowiem coś zmysłowego. Potrzebował jakiegoś wymyślnego, fantastycznego urządzenia, które przemieniłoby znienawidzone ciało w proch, w puszkę po ciastkach, wypełnioną do połowy pyłem. Gdyby miał więcej wewnętrznej siły, pewnie by ją uderzył, przypieczętował swoje przeświadczenie o jej winie, tłukąc ją pięścią w pysk... lecz on wolał się kulić, znosić i zbywać obelgi, aż stał się ucieleśnieniem wylęknionej nienawiści, brzydząc się sobą do cna.

Teraz, gdy od rozstania minął miesiąc, Fisher zaczął się uginać.

Musiało być inaczej niż to zapamiętał. Koniec wyczerpującego semestru i spór, jaki wiódł ze swoim profesorem, rozjątrzyły konflikt w jego głowie. Mijając pole oznaczone jako plac budowy, upstrzone rozdeptanymi kretowiskami, zatrzymał się na chwilę przy nowym ogrodzeniu i zaczął bezwiednie skubać zwisające druty. Nie mógł co prawda tak po prostu wyimaginować sobie przepelnionego nikczemnością szaleństwa żony – ono bez wątplenia istniało i przysporzyło mu nowej, gorzkiej wiedzy. Meg nienawidziła go całym swoim jestestwem; każdym drgnieniem mięśni podkreślała swą odrazę.

Nie dalej jak przed sześcioma tygodniami, wieczorem, po całym dniu milczenia, chwyciła czasopismo i rozmyślnie trąciła filiżankę, oblewając mu spodnie. Odmówiła wyjaśnień, o nic nie zapytała, nic nie zrobiła, siadła tylko przy stoliku do kawy, zabrzczała filiżanką, przysunęła sobie talerz i zaczęła kruszyć cieką kromkę chleba z masłem, którą dla niej przygotował. Jej napięta twarz pobladła, a wyprane z emocji czy głębszej myśli oczy – teraz niemal błękitne – nabiegły łzami. Dzień wcześniej była u fryzjera, tak że jej włosy, którym najwyraźniej musiała poświęcić sporo czasu, układały się nadzwyczaj kunsztownie.

Tamtego dnia rano Fisher planował zostać w domu, ale jej milczenie pchnęło go do opuszczenia mieszkania i zaszycia się w gabinecie na uczelni, gdzie marnotrawił czas przy książkach. Oznajmił zawczasu, że wychodzi, że nie będzie go na obiedzie i że wróci o czwartej, ale dopiero kiedy krzyknął, udało mu się wywołać u siedzącej w szlafroku małżonki jakąś reakcję: przestała bawić się listami, pozbierała je i udała się na górę. Gdy wrócił do domu, talerze wciąż stały na stole, a „Times” dokładnie tam, gdzie go odłożył. Sprzątaczką, pani Roberts, albo się nie pojawiła, albo została odprawiona.

Po cichu sprzątnął ze stołu, umył naczynia i zaparzył herbatę. Kiedy wszystko było już gotowe, pomaszerował na górę, gwałtownie zapukał do drzwi i zakomunikował okupującej

toaletę żonie, że podano do stołu. Nalał dwie filiżanki i sięgnąwszy po wieczorną prasę, zabrał się do jedzenia. Ich jadalnia prezentowała się okazale i wytwornie: okna skierowane na południe, jasny parkiet, a na nim ciężkie meble oraz jeden biały dywan wyłożony przed ciemnym marmurowym kominkiem. Po upływie dziesięciu minut wstał i wyszedł znów na korytarz, skąd zawołał, stojąc przy schodach, a nie doczekawszy się odpowiedzi, zapukał do drzwi żony, ponawiając komunikat. Poszła za nim.

– Herbata pewnie już wystygła – powiedział. – Należę ci nowej.

Tym razem wyraźnie opuściła wzrok, przyglądając się odpychającemu płynowi. W palcach skręcała i rozprostowywała małą chusteczkę. Zaniósł filiżankę do kuchni, przepłukał, osuszył, po czym usiadł przy stole, napełniając ją powtórnie. Wtedy Meg podniosła oczy i spojrzała na niego – przelotnie, mętnie.

Wrócił do lektury gazety, ale apetyt go opuścił. Beznamiętnie przeżuwał pokarm. W pewnym momencie rzucił okiem na przeciwległą stronę stołu i zobaczył, że Meg bawi się chlebem, krusząc go na kawałeczki. Powieki opadały jej żałośnie; siedziała pokornie, jak gdyby czekała na polecenia. Mocno zdeterminowany, by zachować spokój, powiedział:

– Meg, proszę, wypij herbatę.

Chyba szurnęła lekko nogami. Świat na zewnątrz taplał się w blasku róż. Fisher powrócił do prasy. „Newthorpe, wygrana w totka”. „Władze oficjalnie ogłosiły stan suszy w Notts”. „Rząd ostrzega górników”. Periodyk, który położył wcześniej koło talerza, wciąż leżał nierozpakowany. Meg pchnęła krzesło do tyłu, pochyliła się nad stołem, chwyciła czasopismo i trzepnęła jego filiżankę z backhandu, zalewając mu gazetę i kolano. Odskokczył przestraszony, czując rozchodzące się po udach ciepło – niekoniecznie nieprzyjemne. Herbata kapiała z przesiąkniętego papieru, więc zgniótł ze złością wszystkie kartki i pędem wyniósł zawiniątko do kuchni. Gdy wrócił, żona siedziała przy stole jak poprzednio, patrząc na niego na wpół... w ćwierci zaledwie zaniepokojona.

Rozedrgany z wściekłości, nie zdołał dojść na miejsce, lecz stanął i zaczął wykonywać nieskoordynowane ruchy. Bełkotał i wydawał dziwne dźwięki, aż w końcu skierował się na schody. Na górze zdarł spodnie z nóg i rzuciwszy się na łóżko, zaczął okładać je pięściami, dopóki starczyło mu tchu. Potem leżał z zamkniętymi oczami, targany furią i rozpalony do czerwoności, dopóki nie ochłonał na tyle, by pomaszerować do umywalki i przemyć twarz zimną wodą. Znów usiadł, cały rozchełstany. W końcu zmusił się do ponownej toalety, przywdział nową parę spodni i przeczesał mokre włosy. Zszedł na dół, gdzie jego ledwie nadgryziona kromka nurzała się w brązowym od rozlanej herbaty talerzu. Poczerniały obrus przylgnał do drewna. Dywan natomiast najwyraźniej ostał się bez plam... ledwie kilka ciemnych kropek. Po drugiej stronie siedziała Meg, wyprostowana, z surowym, cierpkim wyrazem twarzy, karykatura samej siebie, tępo ciosany posąg głupoty. To nie mogła być ona.

W tamtym momencie doskonale wiedział, co powinien zrobić: przynieść tacę i zacząć sprzątać bałagan. Nie potrafił jednak rozumować jak należy naprzeciw oblicza tego obcego bożka. Oblicza pozbawionego człowieczego wyrazu i tym samym niewzbudzającego ani liłości, ani chęci pomocy. Zwykła fuszerka, naiwne, nieporadne partactwo. Widywał prymi-

tywne dziecięce bohomy – z oczami jak guziki, nosami i ustami zarysowanymi jedną kre-  
ską – w których drzemało więcej życia.

– Lepiej posprzątam – odezwał się. Nogi mu się trzęsły, głos się łamał, przechodząc w  
skowyt. Meg nie otworzyła nawet ust.

Ruszył się z miejsca, by podjąć działanie. Wysilek fizyczny zrobił swoje, tak że po upły-  
wie dziesięciu minut, gdy stół był już suchy i sprzątnięty, Fisher poczuł wzrastający spokój  
i ulgę. Podczas całej operacji żona nie raczyła się przesunąć, cofnąć choćby o milimetr,  
aby zrobić mu miejsce i ułatwić pracę.

– To by było na tyle. – Wytarł ręce. Nie zwracała na niego uwagi, nawet nie udawała, że  
go ignoruje. – Pozmywam.

Co prawda nie oczekiwał odpowiedzi, ale brak jakiegokolwiek reakcji z jej strony nagle  
znów go rozdrażnił, przeszył ciało falą gniewu.

Zaczął mimowolnie poruszać żuchwą, uwolnioną spod władzy rozumu.

– Meg, idź już na górę. – Nie było wcale takiej potrzeby, polecenie wydał z podskórnej  
chęci dominacji i wywarcia wrażenia, wzbierającej raczej w nerwach niż w umyśle. Ona  
jednak wciąż siedziała, tym razem zaciskając dłonie.

– Słyszysz mnie? – zapytał. – Na twoim miejscu poszedłbym na górę. Położył się na mo-  
ment.

Nic... i nic.

Poczuł napierający obłęd; nie potrafił już dłużej się powstrzymać.

– Wynocha, na górę! – krzyczał. – Zanim cię zatłukę!

Krzyk odniósł efekt. Meg zwróciła ku niemu oczy i gapiła się jak jakaś tępą kukła. Nie  
dostrzegał pracy intelektu, żadnej próby zrozumienia, jedynie ograniczoną reakcję na pod-  
niesiony ton głosu.

– Wynocha! – krzyczał, waląc już obydwoma pięściami w oddzielający ich stół. – Jak  
mówię, że masz się wynosić, to wynocha! Wynocha!

Jego złość spalała się własnym żarem.

Fisher widział obydwoje: dzikiego mężczyznę walącego w blat oraz patrzącego na nie-  
go żywego trupa. Ocierał twarz, owładnięty cierpieniem, od którego spuchło mu gardło,  
zgięty w pół, jęczący, przegrany. Kiedy w chwilę później opuszczał pomieszczenie, naszała  
go taka oto myśl, że gdyby przy pomocy siekiery pozbawił jej korpus głowy, poziom okazy-  
wanych przez nią emocji pozostałby podobny.

Do salonu wrócił dopiero po godzinie. Jak się później dowiedział, zdążyła w tym czasie  
pojechać do rodziców z informacją, że jej mąż uciekł się do przemocy. To nie było w po-  
rządku. Nie samo przeinaczenie, ale fakt, że zdołała ubrać je – w ogóle jakąkolwiek myśl –  
w słowa.

Nazajutrz poranek przywitał Fishera piękną pogodą. Świat zdawał się skąpany w blasku morza, rzuconym niby odbiciem luster na odległą ścianę. Zlekceważył lekki ból głowy, który, jak sądził, należało przypisać nie tyle wypiciu jednej czy dwóch pint *ale*, lecz purytańskiemu sumieniu. Wczesny spacer opustoszałymi ulicami sprawił mu przyjemność, a przed śniadaniem zdołał jeszcze uzupełnić jakieś dziesięć haseł krzyżówki w „The Times”. Sandra Smith – w innym, jasnoniebieskim stroju – posłała mu uśmiech i sprawnie oporządziła swoją rodzinę przy aprobacie całej sali.

Natchniony ostrożnym optymizmem, Fisher sączył kawę z mlekiem, filiżankę za filiżanką. Niespodziewanie pojawił się właściciel; rozchełstana poufałość zwiastowała jakąś tajemnicę.

– Panie Edwinie, jakiś dżentelmen do pana. Przyjechał przed chwilą. W wielkim mercedesie.

Dał odbiorcy czas na przyswojenie wiadomości.

– Pan Vernon? – zapytał Fisher.

– Tak, proszę pana. Czy życzy pan sobie go widzieć? – zapytał buńczucznie pan Wheatley. „Nowy merc czy nie, moim gościom nikt nie będzie zakłócał spokoju, chyba że...” Ot, angielska niezależność.

– Tak. To mój teść.

– Rozumiem, proszę pana. – Uśmiechnął się, teraz, gdy człowieka w mercedesie można już było traktować z należnym uszanowaniem, po czym dodał: – Piękny samochód, naprawdę piękny.

– Czyżby? – Fisher wysączył kawę i niepokieszony podążył w stronę holu, gdzie pośród bibelotów zastał Vernona z twarzą pogrążoną w melancholii.

– Wyrzuty sumienia. Nie mogę spać. – Teść wstał, rozpromieniwszy oblicze. – Jak zwykle pojawiaam się w niewłaściwym momencie, Edwinie.

– Kwadrans po dziewiątej.

– Tak. Mój poranny grejpfrucik nie zajmuje mnie zbyt długo. – Poklepał się po brzuchu, wydymając usta. – Chciałem cię złapać, jeszcze zanim wyjdiesz.

– I popodziwiać... – Fisher wskazał elementy wystroju: bukiety plastikowych kwiatów, lalki w falbaniastych sukienkach ustawione w szeregu na telewizorze, biały kominek, a na nim popielniczki z masy perłowej, bezużyteczne szklane kule oraz noże do papieru w tartanowych pochwach.

– A tak. To. – Słowa teścia pobrzmiwały pogardą. – Poprosiłem Meg, żeby przyjechała.

– Rozumiem.

– Byłbyś gotów się z nią spotkać, gdyby się zjawiała?

Fisher zadumał się, pozwolił pytaniu osiąść w umyśle, po czym, nie znalazłszy odpo-

wiedzi, usiadł i podrapał się po kolanie. Ni stąd, ni zowąd starsze dziecko Smithów wpa-  
rowało do pomieszczenia i trzasnąwszy drzwiami wyhamowało tuż przed mężczyznami sie-  
dzącymi w milczeniu. W ślad za nim do holu, niczym snop niebieskobiałego światła, wpa-  
dła matka; bez chwili zwłoki chwyciła syna za ramię i przepaszając panów, skwapliwie  
wyprowadziła chłopca z pomieszczenia. Jej uśmiech, jej krótka sukienka nadały zajściu  
wydźwięk teatralny, a może właśnie jak najbardziej życiowy w zestawieniu z ciężką ciszą,  
zalegającą między dwoma rozmówcami.

– Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Rozumiem cię. Ale minął już miesiąc. Każde z was miało czas przemyśleć to i owo. Z  
mojego doświadczenia wynika, że odkładanie tych spraw na później nie prowadzi do ni-  
czego dobrego.

– Nie sądzę...

– Po prostu zobacz się z nią, Edwinie. – Powtórne użycie jego imienia irracjonalnie  
wzburzyło Fishera. To słowo padało z ust Vernona równie rzadko co Margaret, gdy zwracał  
się do córki. Wszedł teraz w rolę radcy... radził.

– Być może zabrzmiało to niedelikatnie, ale w moim mniemaniu Meg potrzebuje nie tyle  
mnie, co fachowej pomocy.

– Byłbyś zaskoczony, gdybym ci powiedział, że wyraziła podobną opinię o tobie?

– Nie. To częsty symptom: „wszyscy powariowali, tylko nie ja”.

Vernon podrapał się po brodzie, co znaczyło, że jest w swoim żywiole. Przez najbliższe  
dziesięć minut będą się przekomarzać; starszy – z wycuciem, młodszy – jak mu pasuje, aż  
wreszcie, gdy zięć w końcu skapituluje, porozumienie zostanie zawarte. Tego ranka, być  
może ze względu na wczesną porę, cały proces trwał nieco dłużej, toteż gdy skończyli, do-  
chodziła już dziesiąta, a Fisher zdał sobie sprawę, że w międzyczasie pozostali goście zdą-  
żyli już wyjść.

– Zatem jutro. Wspólny lunch.

– Przyjdzie?

– Tego to nie wiem. Nie twierdzą wcale, że Meg jest wcieleniem rozsądku. Wiesz prze-  
cież.

– Przykro mi, że tak wyszło.

Vernon wydał usta.

– Phi. Normalka, chłopie. Dostaję trzy takie sprawy dziennie. – Szczwana łapa znalazła  
się na ramieniu Fishera. – I wciąż do tego nie przywykłem. – Gorzki uśmiech.

Teść wszedł, zostawiając Fishera nieco strapionego, targanego wątpliwościami.

W obecności żony zmieniał się w ostatnim okresie nie do poznania. Potrafiła doprowa-  
dzić go do stanu, w którym zdolny byłby bez skrępowań popełnić jakieś przestępstwo, co  
uświadamiał sobie z przerażeniem. Wyjść z siebie, stracić panowanie nad sobą, to jeszcze  
nic wielkiego: zaledwie irytujący, nieprzynoszący korzyści incydent, przydający człowie-  
kowi wszelkie pozory głupoty... Natomiast przekonanie, że mógłby zdzielić własną żonę,  
zatłuc ją na śmierć, zanim sam odzyska władzę nad rozumem, było zatrzważająco świeżym  
odkryciem. Działał wtedy, czy też gotów był działać, jak dziecko, impulsywnie, bez pomy-



ślunku, nie bacząc na nic. Ręka mogła zabić, nie dając rozumowi szans na zreflektowanie się i zahamowanie ciosu. Gdy wreszcie oswoił się z tą myślą i wbił ją sobie głęboko do głowy, zaczął wzbraniać się przed życiem, pragnąc oddalenia, wycofania ze świata niczym pustelnik, do czasu, aż dojdzie do ładu z nowym sobą, z tym szaleńcem, którym się stał.

Przez ostatni miesiąc żył w oszołomieniu, beztroski i wdzięczny za uwolnienie się od strachu przed morderczymi zapędami. Powrotu do Meg nie brał pod uwagę, ale z myślą o definitywnym rozstaniu też nie umiał się pogodzić. Mając za żonę dziewczynę o ujmującej powierzchowności, czuł się kimś wyjątkowym; poza tym znalazł dokładnie to, czego szukał: Meg, jakże urodziwa, a zarazem niesforna, wzbudzała podziw wśród jego kolegów. Pracując na wydziale, nie mogłaby się opędnąć od mężczyzn próbujących błysnąć inteligencją w nadziei, że obdarzy ich choćby przelotnym spojrzeniem lub pochlebnym słowem. Nie podobała się za to pani profesorowej, zapracowanej szarej myszy, która powinna raczej krzątać się za sklepową ladą. Rzekła ona kiedyś nader cierpko:

- Panie Fisher, musi pan uważać na tę swoją żonę.
- Cały czas to robię.
- Ma wysokie mniemanie o sobie.
- Jak my wszyscy, nieprawdaż?

Uznał, że stara jędra jest zazdrosna, bo Meg odciąga od niej uwagę mężczyzn, chociaż z drugiej strony, od Helen Walker biła jakaś szczerłość, poczciwy zdrowy rozsądek, nakazująca Fisherowi wstrzeźliwość w ocenie sytuacji. Kiedy doniósł żonie o obiekcjach kobiety, nie zareagowała ani nerwowo, ani chłodno; okazała jedynie zadumę, wydymając wargi, a nawet ssąc palec. Wreszcie odpowiedziała:

– Nie wydaje mi się, żebym robiła coś niezwykłego. Większości z tych mężczyzn nawet nie lubię. – Zaśmiała się. – No, może z wyjątkiem leciwego pana Bogusa. – Miała na myśli starszego wykładowcę psychologii dziecięcej. – Gada od rzeczy, jak sam zauważyłeś, a do tego bełkocze, ale gdybyś był przyparty do muru, to na obiad ci pożyczę.

- Mówisz jak twój ojciec – odparł Fisher.
- Wiem. Drażnię się z tobą, skarbie.

Nie nadążał za nią, gdy wpadała w ten figlarny nastrój. Niemniej żona wyglądająca i zachowująca się publicznie jak Meg dawała mu w towarzystwie poczucie wyższości. Co więcej, żył w przekonaniu, że gdyby ją opuścił, gdyby pozwolił na rozwód, nie trzeba by długo czekać, aż powtórnie wyjdzie za mąż, tym razem ciesząc się udanym związkiem i dziećmi, ukontentowana, ukazująca światu oblicze ustatkowanej kobiety. Nawet teraz, mimo desperacji, nie mógłby tego znieść, bo należała do niego. Wykradł ją z rąk rywali i koniec. Pani Fisher – takie nosiła nazwisko.

Jednak życie Meg toczyło się nie z nim, a zaledwie obok niego.

Skonfundowany, Fisher zastanawiał się, czy z innymi parami jest podobnie. Z początku, kiedy Meg jeszcze uczyła, dzieliła się z nim od czasu do czasu jakąś anegdotą z pracy, ale wyłuskiwane przez niego pedagogiczne smaczki przyjmowała co najwyżej z przelotnym zaciekawieniem. Wydawało mu się dziwne, że nigdy nie próbowała wyciągnąć jakichś wniosków ze wspólnych doświadczeń – wszak oboje parali się zawodami o podobnym obszarze

zainteresowań – nic to dla niej nie znaczyło.

Gdy trzy lata po ślubie zaszła w ciążę, poczuł, że oddała się jeszcze bardziej, a może wręcz stara się przed nim uciekać. Mówiła o dziecku, o poradni relaksacyjnej lub wizycie w szpitalu, śmiała się z opowieści doświadczonych matek, ale to wszystko brzmiało jak jej prywatne sprawy, zachodzące pomiędzy nią a dzieckiem. Ciąża służyła Meg: jasna skóra świeciła zdrowiem, a gęste włosy płonęły żywym ogniem ponad masywem nabrzmiałego łona. Jednakże dotyczyło to wyłącznie jej samej.

– Edwin poczuje się odstawiony na boczny tor – ostrzegła matka Meg.

– Już tak się czuję.

– Teraz jesteś numerem trzy – powiedział Vernon. – Dlatego my poprzestaliśmy na jednym dziecku. Nie zniósłbym dalszej degradacji. Nie pozwoliłbym im nawet na psa.

– Ani na złotą rybkę. – To Meg.

– Moje poniżenie nie znało granic.

– Chciałeś powiedzieć: twoje samouwielbienie – wtrąciła żona.

– Irene Vernon – pogroził palcem. – Kiedy się pobieraliśmy, mówiłem ci, że mój instynkt samozachowawczy jest bardzo silnie rozwinięty.

– Jakbym tego nie wiedziała wcześniej.

Pewnego wieczoru ich cztery kąty zdawała się wypełniać tak przemożna cisza, że Fisher zaczął się niepokoić. Zawołał Meg. Bez odpowiedzi. To było wkrótce po tym, gdy objąwszy uniwersyteckie stanowisko w dziale nauczania, przeprowadził się z żoną do ich obecnego domu. Ani jedno, ani drugie nie zdążyło się jeszcze oswoić z przestrzeniami rozciągającymi się zarówno wewnątrz, jak i w ogrodzie. Vernon kupił im tę posiadłość i rozpiął prywatną pożyczkę pod hipotekę, więc po doświadczeniu z mieszkaniem w ciasnym londyńskim bliźniaku żyli sobie teraz wśród majątnej części społeczeństwa. Fisher powtórnie krzyknął, nie siląc się na przyjazny ton: cały dzień siedział nad swoimi badaniami po to tylko, by ostatecznie odkryć, że harówka ostatnich dwóch tygodni była stratą czasu. Musiał z kimś porozmawiać, może niekoniecznie o swojej porażce, ale chociaż zamienić parę słów, które uświadomiłyby mu, że wszechświat bynajmniej nie sprzysiągł się przeciwko niemu. Zdawał sobie sprawę, że przesadza, a jednak, przybity i zmęczony jak pies, pragnął usiąść z żoną i ponarzekać na programy telewizyjne, dzięki czemu znów mógłby poczuć się istotą ludzką.

Wyszedł do ogrodu. Tam się nie krzyczało. Zajrzał więc do altanki, za żywopłot skrywający warzywne grządki, wreszcie do najdalej położonej kępy lip i jesionów. Poczulby się głęboko zakłopotany, gdyby przyszło mu wyjaśniać, po co właściwie snuje się wśród wawrzynów i pociemniałych zimą różaneczników; przyznał sam przed sobą, że dziecinnie daje wyraz własnej bezradności, zaglądając pod krzaki w poszukiwaniu żony, choć doskonale wiedział, że jej tam nie znajdzie. Ziębnięty, przygnębiony, świadom istnienia jakiejś poszlaki, której nie dostrzegł, zrzucił z nóg ubłocone buty i zaczął przeszukiwać dom.

Wszędzie panował porządek.

Żadnych nożyczek, robótki, upuszczonej gazety czy sugerującej jej obecność otwartej książki. Kuchnia przeszłaby inspekcję, gdyby mieszkali w koszarach; w salonie, jadalni

oraz pokoju śniadaniowym wszystkie poduszki, co do jednej, były wytrzepane i wygładzone. Tylko jego gabinet nosił ślady ludzkiej bytności: porozrzucane feralne arkusze, wypełnione różnymi danymi, mieszczące zapis czternastu dni zmarnowanej energii. Poczłapał na górę.

Sypialnie były puste.

Oparł się na chwilę, ściskając wściekle poręcz dziecięcego łóżeczka, zakupionego z drugiej ręki w ramach przygotowań. Z taką złością potrząsnął niebieską ramą, że wysuwany przewijak po drugiej stronie opadł z trzaskiem, napędzając mu stracha i przyprawiając o bolesne ukłucie między łopatkami. Zablokował poręcz – tym razem porządnie – wlepiając wzrok w przyklejoną u wezłowia łóżka kalkomanie przedstawiającą Kaczora Donalda, zadowolony, że ma się czym zająć.

Może Meg brała kąpiel.

Brak dźwięku napełniającego się bojlera. Łazienka zimna, niezaparowana; kafelki nieskażone nawet kroplą wody. Usłyszał natomiast, że z toalety na końcu korytarza dobiega szloch żony, donośnie, niepohamowanie dławiącej się w rozpacz.

Ruszył w tamtą stronę, zawołał, przystanął, znów się odezwał.

Ukryta za drzwiami nie przerwała milczenia, niczym się nie zdradziła.

– Meg, wszystko w porządku?

Delikatnie szcęknęła zamkiem, zaskoczona jego krótkim oddechem, jego strachem.

– Wszystko w porządku, Meg?

Drzwi właśnie zostały zaryglowane, tym razem więc zapukał głupawo, paznokciami, drapiąc jak jakiś kot.

– Meg, czemu nie odpowiadasz? – Czuł strach i zażenowanie, podbarwione dodatkowo rozdrażnieniem. W zaciszu domowego ogniska czy też nie, szeptanie u drzwi wychodka nie dodaje człowiekowi splendoru. Zaszłochała, wydając z piersi jedno potężne westchnienie.

– Meg, otwórz, proszę.

Czekał, wpatrując się w stłumiony odbłask światła ze schodów w ołowianym witrażu.

– Otwórz drzwi, Meg. Bądź dobrą dziewczynką.

W ciszy, która zapadła po tych słowach poczuł, że nurza się we własnej głupocie. Stojąc ze spuszczoną głową, zapatrzony w pokrywające podłogę linoleum w kolorze morskiej zieleni, sam nie miał nic do powiedzenia, żadnej opinii do wygłoszenia, kiedy więc usłyszał ruch zasuwki, z ulgi zatoczył się na ścianę za plecami. Żona wyłoniła się zza drzwi: wrażenie zaniedbania potęgowały zmierzwiłone, nastroszone palcami włosy, a chwiejny krok należało przypisać nabrzmiałemu brzuchowi.

Fisher ujął jej ramię.

– Co się stało, Meg?

Pociągnęła nosem i pozwoliła poprowadzić się do sypialni, by tam usiąść razem z nim na skraju małżeńskiego łóżka.

– W czym problem?

Wiedział, że należy zadawać właśnie takie pytania: kojące, łagodnie przywołujące do normalności. W ciemnym pomieszczeniu nie wydawało się to specjalnie trudne. W końcu,

po którejś z kolei jego próbie, odpowiedziała niemal uroczyście – jak zwykły czasem czynić rozwinięte ponad wiek dzieciaki – tyle że szeptem:

– Tak okropnie się czuję.

– Masz na myśli samopoczucie fizyczne?

– Nie. Niezupełnie. Po prostu czuję się... czuję się parszywie.

Ledwie tylko jej usta się zamknęły, zaraz wybuchnęła otwartym, szczerym płaczem.

Łzy spływały jej po twarzy, lecz trwała w bezruchu. Jedyne od czasu do czasu jej ciało przeszywał dreszcz, jak gdyby próbowała wygnać szalejącego w nim demona. Gładząc ją po ramieniu, Fisher objął jej plecy prawą ręką, a potem tulił do siebie, na przemian mocno i delikatnie, dając wsparcie i ukojenie.

Ręką szukała czegoś po omacku niczym ślepiec, Fisher zaś, przenikliwy jak nigdy, rozpoznał sygnał i podsunął swoją chusteczkę. Otarła twarz, wciąż zanosząc się płaczem.

Pojęcia nie miał, co powiedzieć, lecz przyciskał ją do siebie, jej nogę do swojej. Siedząc tak, zwinięta w dziwaczny kształt, w wymiętoszonej bluzce, z oczkami w rajstopach, równie dobrze mogłaby być jakąś biedną nieznajomą. Gdyby tylko wiedział wówczas, co należało czynić. Wyglądało na to, że Meg jest w potrzebie, skora siedzieć w jego objęciach, skłonna skorzystać z jego chusteczki lub wsparcia. Zaczynał stawać się użyteczny, chociaż tylko w nieznacznym stopniu. Musiał istnieć jakiś wzór postępowania, który pozwoliłby zburzyć dzielący ich mur, pogłębić wzajemne zaufanie i uznać wzajemną zależność, lecz jeśli rzeczywiście gdzieś istniał, to Fisher nie miał pojęcia gdzie, nie potrafił nawet zacząć szukać, chyba że właśnie taka chwila jak ta, takie zbliżenie, milcząca negocjacja działania wystarczały, by wcielić go w życie. Sam nic jednak nie czuł. Czekał – niezdecydowany, nieudolny.

– Zatem, co cię gryzie, Meg? – zagadnął kolokwialnie, maskując niepewność.

Pokręciła głową, w czym doszukał się oznak ożywienia.

– Wiesz, to nic nie da. Nie możemy denerwować jaśnie pana. – Wskazał palcem na jej łono.

Uśmiechnęła się teraz, niepewnie, lecz z nieudawaną odwagą.

– No już. – Wziął żonę w ramiona, a wtedy jej głowa, jej bujne włosy, umościły mu się pod policzkiem. – Posłuchajmy, co takiego się stało.

– Czułam się tak okropnie. Tak podle. Myślałam, że umrę.

Słowa te wypowiedziała na tyle nieśmiało, że zabrzmiały wiarygodnie.

– Jestem taka zmęczona. I znużona. Wystarczy, że siądę na minutę, a nogi i ramiona dają znać o sobie. Te ataki depresji. Czuję się, jakbym była z żelaza, sztywna i ciężka jak ołów. To wszystko jest takie długie i bezcelowe. I nie mam się do kogo odezwać, a ty jesteś wiecznie zajęty pracą. Nawet w czasie posiłków. Widzę przecież, że myślami jesteś gdzie indziej.

– Przepraszam.

– Niepotrzebnie. To moja wina. Powinam więcej wychodzić, ale jestem taka zmęczona. Co za mordęga.

– Zaniechałem cię – rzekł Fisher. Wyznanie wydawało się na miejscu.

– Nie. – Ostra replika. – Nie opowiadaj głupot. Musisz zajmować się swoją pracą. – Poklepała się po brzuchu. – A ja swoją. – Wyprostowała się. – Już mi lepiej. Naprawdę.

Wstała. Obeszła łóżko, zaciągnęła zasłony tak, że sypialnia pograżyła się w całkowitym mroku, szarpnęła za linkę od światła zwisającą z sufitu za plecami męża i stawiała czoła swojemu odbiciu w lustrze.

– Piękny widok, nie ma co – skomentowała, pociesznie dotykając dłońmi końcówek włosów. Następnie zaczęła się czesać, wściekle, oburącz, aż w końcu, usatysfakcjonowana, odwróciła się, szarpnięciem poprawiła bluzkę i pewnym siebie tonem powiedziała: – Chodźmy na dół.

Wziął ją pod ramię, a ona się nie sprzeciwiła.

– Musisz mi powiedzieć, co się dzieje – odezwał się.

– Nic takiego.

– Daj spokój. Przestraszyłaś się? O dziecko?

– Nie, nic z tych rzeczy. – Zaczęła prowadzić go do drzwi. – Może jestem trochę niepokojna. Jak każda ciężarna, ale to nic, co mogłoby się wymknąć spod kontroli. – W tej chwili w jej głosie pobrzmiwał śmiech. – Po prostu strasznie jestem zmęczona i chyba trochę przerasta mnie cała sytuacja. Głupio gadam. Chciałabym mieć to już za sobą.

– Do tego ja cię zaniedbuję – przyszło mu to z trudem.

– Nie sądzę. Nie możesz siedzieć cały dzień w domu i trzymać mnie za rączkę.

– Mógłbym się odzywać podczas posiłków. Pójść czasem z tobą na zakupy.

– Pewnie byś mógł. – Przyjrzała mu się badawczo. – Ale to nie byłbyś ty.

Stali już u szczytu schodów; tam też Meg łatwo i z gracją oswobodziła się z jego objęć, by zejść na dół. Zauważył, że dłoń – ze starannym manikiurem – opierała o poręcz, aby utrzymać równowagę. Doszła już do siebie, uwolniła się od niego, na powrót umocniła w sobie. Podązał za nią, przepelniony frustracją, lecz także ulgą. Status quo – zadowolające czy nie – było przynajmniej do zniesienia.

– Zrobię ci filiżankę kawy – oznajmił, głośnym tonem podkreślając stanowczość.

– Nie. Poproszę jęczmień z cytryną.

– Meg, nie zauważyłaś, jak jest zimno?

– Dziecko mnie ogrzeje.

– Chyba muszę bardziej wczuć się w rolę – powiedział, przynosząc napoje. – Nie mogę pozwolić, żebyś wpadała w furję.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niemu rękę, mówiąc jednak:

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Bądź grzecznym chłopcem.

Wtedy czuł się odpowiedzialny za porażkę, chociaż wiedział, że Meg nie obarcza go winą. „Dołożył swoje trzy grosze”, celne podsumowanie, które nijak nie powstrzymało go od zabawiania się snuciem baśniowych wizji: od manipulowania wyimaginowanymi konsekwencjami w różnorodnych nierealnych scenariuszach... Obecnie, nad morzem, w jasnej sypialni, dokonawszy wyboru butów odpowiednich na czekający go dzień pełen uciech, przypominał sobie swoje cierpkie postanowienie z tamtego okresu, by postarać się bardziej – bez znaczenia pozostawał fakt, że bardziej się nie dało.

A nazajutrz miał, być może, znaleźć się w towarzystwie Meg.

Jej ojciec nie dawał pewności; ona sama takowej dać nie mogła. Czas, kiedy nosiła Donald, jawił mu się teraz jako idylla, podszyta być może lękiem, niemniej współdzielona przez rozumne istoty ludzkie, potrafiące się dostosować i znaleźć kompromis w razie potrzeby. Wściekle szarpnął kurtkę, naciągając ją na plecy, starczyło mu natomiast rozsądku, by spokojnie zejść po schodach bez wzbudzania sensacji.

Ulica żarzyła się światłem: odnowione fasady świeciły w promieniach słońca, nawet araukarie połyskiwały szykownie. Wcześniej, tegoż roku, wraz z pociągnięciami dziesiątek umoczonych w farbie pędzli odświeżono krajobraz: błękit, czern, trochę zieleni, tu i ówdzie czerwień, lecz przeważnie biel, mająca odzwierciedlać jasność nieba. Nagle na myśl o wszystkich tych działaniach związanych z odszykowaniem ulicy Fisher nabrał otuchy: najpierw wybór farby, potem wizyta w sklepie z narzędziami, trzaski lamp lutowniczych i wreszcie rozstawianie drabin to tu, to tam, a wszystko w ramach starań, by ulica lśniła czystością, jak u sąsiadów za rogiem. Przypuszczał, że chodziło zwyczajnie o zwabienie klienteli lub dokonanie konserwacji, niemniej jednak cały ten wyścig w konkursie czystości podniósł go na duchu, ruszył więc żwawiej, a w głowie rozbrzmiał mu jeden z ukochanych hymnów ojca:

*A chwała, chwała mieszka  
W kraju Emanuela.*

Maszerował raźnie, z wypiętą piersią, nucąc pod nosem wiktoriański kicz. Juka okryła się kwiatem z wręcz absurdalną bujnością. Dziecko uśmiechnęło się do niego zza furtki prowadzącej do ogródka. Mroczny, mroczny północy nastał czas. Ubrany w kombinezon czyściciel okien kontynuował proces mycia, dudniąc ścierką o szybę. Elektryczna furgonetka z pieczywem przejechała warkoczając. Z okolicznych domów dochodziły trzaski i brzęk butelek z mlekiem... jakiś gwizdek. A chwała, chwała mieszka.

Jako że dochodziła jedenasta, postanowił zająć jeszcze na kawę do samoobsługowej knajpki nieopodal nadbrzeżnej promenady. Restauracja, nowy jednopiętrowy budynek o płaskim dachu, prezentowała się gustownie, łącząc wielkie okna z barwnym ozdobnym tynkiem, zaś wewnątrz, mimo iż niespecjalnie jeszcze zatłoczona, już zdążyła zapaskudzić się śmieciami, zgniecionymi torebkami po chipsach, kulkami srebrnej folii, porozsypywaną solą i cukrem.

Fisher zamieszał wrzącą kawę. Mężczyzna siedzący po drugiej stronie laminowanego stołu odezwał się kulturalnym tonem, stwierdzając, że dzień jest ładny. Starszy łysy człowiek, o srogiej, wygolonej twarzy Sibeliusa, z czarną ukośną zmarszczką pomiędzy oczami, ubrany w pasiastą koszulę z prostym białym kołnierzykiem. Wszystkie te obserwacje Fisher poczynił, siadając i zaraz zapomniał o nich, ogarnięty euforią.

– Wymarzona pogoda na wakacje – powiedział.

Starszy mężczyzna podjął konwersację protekcyjnym tonem, jak gdyby życzył sobie, aby ludzie przy stolikach wokoło mieli szansę wysłuchać jego spostrzeżeń z pożytkiem. Przyjechał tu samochodem – wskazał palcem na 3,5-litrowego rovera zaparkowanego po

drugiej stronie ulicy – w celach towarzyskich.

– Chadzałem po tym wybrzeżu jako chłopiec. Wciąż jestem w stanie przejść milę lub dwie. Jednak wielkimi krokami zbliża się czas, kiedy nie będę już mógł prowadzić auta. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, co to oznacza?

Władczy ton przestraszył rozemocjonowanego Fishera, który spuścił głowę i zamamrotał pod nosem, nie chcąc palnąć czegoś niewłaściwego w odpowiedzi.

– Mam przyjemny zakątek po tej stronie Horncastle. Ale położony jest na uboczu, w odosobnieniu. Kiedy człowiek jest energiczny i zdolny do podróżowania, wtedy marzy mu się coś takiego. A gdy zrobi się mniej ruchliwy, odosobnienie zmienia się w więzienie. – Zmysłny kalambur, wygłoszony zapewne nie po raz pierwszy, okraszył wojskowym chrząknięciem.

Okazało się, że ma w posiadaniu ziemię, którą dotąd sam pielęgnował, lecz niedawno zajął się nią syn, uwalniając staruszka od obowiązków.

– W tych czasach ziemia potrzebuje śmiałych działań – rzekł. – Człowiek musi umieć podjąć decyzję. Wydaje ci się, że masz całe życie na ścięciu tych kilku drzew. Nic bardziej mylnego. Summa summarum inwestycje to łatwiejsza zabawa.

Średnio zainteresowany Fisher zadawał płynące z ignorancji pytania, dające rozmówcy pretekst do udzielania bardziej wyczerpujących odpowiedzi. Jako że mężczyzna był nieco przygłuchy, czasem źle coś usłyszał, jeszcze częściej zaś błędził myślami, raz popadając nawet w złość – okazywaną nie zachowaniem, a jedynie powolnym wystąpieniem żył na czole – w sprawie polityki Indii i Pakistanu, gdzie służył podczas pierwszej wojny światowej. Obcesowo zapytał o pracę Fishera, po czym stwierdził, że jest w dobrej komitywie z rektorem uniwersytetu i zna profesora historii starożytnej, męża krewnej jego zmarłej żony. Czy Fisher jest żonaty?

Małżonka tamtego umarła przed sześciu laty i chociaż przez całe swoje życie była w jakiejś mierze niedołączona, nie przeszkodziło jej to urodzić mu trzech synów.

– A ty masz dzieci?

– Nie. Mój syn zmarł. Miał dwa lata.

Mężczyzna zamilkł, spojrzął na Fishera, bardzo mocno marszcząc brwi, a następnie skulił się na krześle w niewygodnej pozycji niczym karykatura doktora Johnsona<sup>{9}</sup> i wyduł wargi. Przez jakiś czas sztywnymi palcami prawej ręki stukał w blat stolika, jak gdyby chciał przywołać kompanię do porządku.

– Zatem, jesteś tu bez żony?

– Tak.

Zdawał się nie dostrzegać powściągliwości Fishera, postanowił natomiast opisać mu swoich synów, na swój sposób dobrych chłopaków, chociaż wyraźnie mających mu za złe jego długowieczność.

– Przekazałem im dom i farmy. Nie naprzykrzam się. Niby po co? Wiem jednak, że nic nie sprawiłoby im takiej radości jak moje pieniądze. Nie ma co ich winić. Są w takim wieku, że wszystko by przełulali, tym bardziej, że są już ustawieni. A tak jest najlepiej.

Fisher bąknął coś o powinnościach pogrzebowych.

– O to zadbałem. Na tyle, na ile człowiek jest w stanie sam zadbać. – Tym razem nie nastąpił fachowy wywód w temacie. Kiedy Fisher powiedział, że musi już iść, starzec, podniósłszy się z trudem, otrzepał tweedową marynarkę i sięgnął do wieszaka po czarny melonik. Stojąc wydawał się wolniejszy, bardziej niezgrabny, mniej monolityczny, lecz Fisher nie zaoferował pomocy, gdy jego towarzysz pełzył jak krab po schodach prowadzących na chodnik.

Dotarłszy na dół, sięgnął do kieszeni po kluczyki od samochodu i powiedział:

– Zaraz stuknie mi osiemdziesiątka. Chwilami wyraźnie to czuję. – Rozejrzał się po ulicy. – Masz czasem wrażenie, że zmarnowałeś swój czas?

– Tak.

– W twoim wieku nie miałem takich myśli. Odpowiednia ilość kart i alkoholu. Nic nadzwyczajnego, nie powiem.

– Człowiek musi się czasem zabawić.

– Co? Co? A. Zabawić? Zależy jak. Alkohol. Oglądałem się też za kobietami – obwieścił całej ulicy. – Teraz jedyne, czego pragnę, to spać. Nawet jeśli jeszcze coś pamiętam, to i tak mi się miesza. Nigdy nie przygotowywałem się na starość. Nigdy nie wierzyłem, że nadejdzie. Nikt nie wierzy.

Starzec trącił rondo kapelusza, pokuśtykał na drugą stronę ulicy do samochodu i odjechał, nawet nie zerkając za siebie. Fisher zwrócił uwagę na tablicę rejestracyjną, chociaż dobrze wiedział, że najdalej w dziesięć minut numer ulotni mu się z pamięci. Spotkanie zadziałało otępiennie. Nie zamierzał wyśmiewać się z biedaka, bez względu na jego wielkopański akcent. Przypominało mu to trochę sytuację, gdy po ułożeniu puzzli okazuje się, że brakuje najważniejszych elementów. Wypytując Arthura Manna z wydziału historii, pewnie dowiedziałby się, jak jegomość miał na imię, a może nawet, gdyby Arthur zachowywał się, jak ma to w zwyczaju, wyciągnąłby od niego kilka anegdotek na jego temat, tyle że w ten sposób tylko zaburzyłby sobie obraz. Zamożny mężczyzna przejeżdżał dwadzieścia mil, aby napić się taniej kawy, ponieważ była to prawdopodobnie jedna z niewielu rozrywek, jakie mu pozostały. O ile samo to zdanie miało sens, o tyle nie niosło żadnego głębszego znaczenia, wydawało się po prostu mało dorzeczne. Usiłował ubrać jakoś swoje niezadowolenie w słowa, ale nie znajdował sposobu. Wszelkim sformułowaniom brakowało subtelności. Być może wymagały modyfikacji, ale przecież jego konsternacja wypływała z samego przykrego zdarzenia, nie zaś z niezdolności do jego opisanie. Nikt nie powinien pozostawać tak bezbronny, jak najwyraźniej miało to miejsce w przypadku staruszka. Z drugiej strony, należał do tych nielicznych szczęśliwców, którzy mają pieniądze, wsparcie i przyzwoite zdrowie.

Przysiadł pod piaszczystą skarpią, na niskim murku usypanym z kamieni.

„Nigdy nie przygotowywałem się na starość”. W tym tkwiło sedno. Płacz serca. Niewielu ludzi się przygotowuje, ale rzadko kto wyznaje takie rzeczy na głos, nieznanym, na środku ulicy. Choć skąd Fisher mógł to wiedzieć? Wydał osąd na podstawie statystyk? Jedna osoba na tysiąc wygłosiła powyższe oświadczenie w podobnych okolicznościach dwukrotnie w ciągu trzech lat? Nie. Człowiek z dobrej rodziny, posiadacz ziemski, ustawiony



finansowo, o władczym głosie przynależnym swojej klasie, z niezachwianym poczuciem własnej wyższości, wypluł to z siebie, aby obalić przesady i uprzedzenia słuchacza. Zły omen. Ktoś, kto ma się lada chwila spotkać ze swoją porzuconą małżonką, szerokim łukiem omija drabiny.

Jacyś paplający urlopowicze minęli go raz, a potem drugi, gdy usiadł.

Terry Smith, prowadząc swoje pociechy, krzyknął do niego:

– Poranna przerwa! Lody i harce – po czym, całkiem zadowolony, ruszył dalej.

Fisher oddał się duchowej buchalterii, zliczając przechodniów, których nie znał, a następnie wyliczając nadmorskie kurorty, gdzie uzyskał podobny wynik. Schemat dziesiątek tysięcy śpieszących się ludzi, zupełnie mu obcych, przemawiał do jego poczucia porządku na świecie, ogromnej złożoności dążącej do naturalnej harmonii.

Odrzucił te bezużyteczne myśli.

W każde wakacje – z wyjątkiem roku, w którym Donald żył – Meg zabierała go za granicę i o ile pamiętał, po pobycie w Atenach czy Florencji utyskiwała głównie na brak egzotyki oraz liczbę turystów przyćmiewających walory tych miast.

– Więcej tu słyhać angielszczyzny niż greki – narzekała.

– Dla nas to chyba dobrze.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak. Oto Partenon. Wspaniały pomnik starożytności. Tłumy z Ameryki i Anglii zlatują się, by go ujrzeć. Mówią po angielsku. Tak jak my. Jeśli na nich klniemy, przeklinamy samych siebie.

– Zawsze kiedy próbujesz być zabawny, ponosisz fiasko – odparła Meg.

– Wiem, do czego zmierzasz. Przyjazd tutaj ze zorganizowaną wycieczką jest zbyt prosty. Powinniśmy być tu sami, bo przypuszczalnie tylko my jesteśmy w stanie coś z tego wynieść. To się nazywa snobizm.

– Nie rozmawiasz w tej chwili z jednym ze swoich uczniów.

– Zwracam tylko uwagę, że Partenon albo jest wart zobaczenia, albo nie. To wartościowe estetyczne doznanie, niezależnie od tego, czy łatwo, czy trudno dostępne.

– Większość ludzi nie zgodziłaby się z tobą – odrzekła.

– Zatem większość ludzi się myli. – Uśmiechnął się. – Przyznaję jednak, że żadne estetyczne doznanie nie jest doskonale czyste.

W ten sposób jej nie udobrucha – obydwójce o tym wiedzieli.

– Czemu w takim razie chełpisz się przed znajomymi wynajdywaniem tych uroczych miejsc w bocznych uliczkach, gdzie rozpalają w kominkach i podają cierpkie wino? – zapytała.

– Ponieważ, moja droga, rozmawiając z ludźmi towarzysko, daję im to, czego oczekują.

– Mnie na pewno tego nie dajesz.

– Dawałbym, gdybym wiedział, czego chcesz, a właściwie, gdybyś ty sama to wiedziała.

Te sprzeczki miały raczej oficjalny charakter i o ile pamiętał, z jego strony utrzymane były w sarkastycznym tonie. Nie miał problemu – znów, o ile pamięć go nie myliła – żeby

sprowadzić małżonkę do parteru, ale w efekcie to on cierpiał. Im łatwiej zadawał celne ciosy, tym dotkliwiej piekły go własne rany. W efekcie nabawił się zgryźliwości... stał się zgorzkniały i kąśliwy. Od czasu do czasu musiał ją pokonać, ponieważ na co dzień zajmowała względem niego pozycję absolutnej wyższości. Z całą pewnością nie tak należało traktować żonę, nie ma też co się oszukiwać, że brakowało mu konsekwencji w trzymaniu się własnych poglądów – ale wystarczyło tylko, aby Meg przedstawiła jakąś głupawą opinię, a zaraz rzucał się na nią, próbując umocnić swój autorytet jej kosztem.

Postanowił, że nazajutrz będzie siedział skruszony, ze wzrokiem wlepionym we własne stopy, nikogo nie atakując.

Zszedł z murka i ruszył w stronę morza przez szeroki odcinek plaży. Po pozostawionym przez odpływ zbitym piasku toczyły się dwa żaglowozy. Napędzane ostrą bryzą, trzepotały przy tym żaglami, poruszając się jeszcze dość niezdarnie. Dzieciaki krzyczały, kopały i chlapały się w jaskrawej tafli morza. Dziewczyny w bikini radośnie dokazywały ze swoimi młodzieńcami, prześcigając się w pogoni za adoracją, zaś czarny labrador z patykiem w pysku energicznie otrzepywał się z wody. Fisher czuł się oderwany od tego wszystkiego, nie miał nic do powiedzenia – jak zawsze zresztą. Kiedyś, będąc małym chłopcem, został zaproszony do gry w krykieta, ale ponieważ odbijał, rzucał i łapał z dużo większym zacięciem, aniżeli wymagały tego harce na piachu, pozostał nadal sobą: człowiekiem z zewnątrz, na pewno nie kumplem, bynajmniej nie jednym z nich. Szybkim swingującym yorkerem wyautował jednego z odbijających – śmiało poczynającego sobie ojczulka o zuchwałym stylu gry – po czym odnotował wrogość kompanów. Sam był sobie winien. Jego ojciec nigdy nie grał w krykieta, nie uznawał też gry w domino. Jego rodzina na plaży tylko siedziała lub robiła babki z piasku – nic wymagającego większego ruchu.

Niezadowolony, ruszył w stronę kolejki do łodzi.

Rozproszona grupka turystów czekała przy końcu mola. Opanowani, stali na wietrze ze zmrużonymi oczami, jakby szykowali się już na blask otwartego morza.

– Jeszcze jedno miejsce! Tylko jedno! – krzyczał przewoźnik.

Kolejka zafalowała od ruchu obracających się głów.

– Jedna osoba. Następna łódź będzie w ciągu dziesięciu minut. Sam pan jest, proszę pana?

Turyści ponownie podwracali głowy, poddając go oględzinom, dzięki czemu Fisher zorientował się, że pytanie skierowane jest do niego.

– Świetnie, proszę pana. No to mamy komplet.

Ludzie zrobili mu przejście do drewnianego trapu prowadzącego na pokład, chociaż nie było takiej potrzeby. Samotność – jak to nucili pierroci: „Tę jedną sam na własność mam”. Wszedł niepewnie do bujającej się łodzi, gdzie poprowadzono go na wolny skrawek ławki. „Tam, pomiędzy paniami”. Fisher usiadł, a tymczasem przewoźnik dodał otuchy pozostającym na brzegu, wrzucił na obroty cuchnący silnik i wyprowadził ich na morze.

Łódź unosiła się, opadała i znów unosiła – na szczęście łagodnie – a dominującymi zjawiskami były jasność i chłód. Wciśnięty pomiędzy matronę w średnim wieku a młodą mężatkę, zaczął odczuwać radosne ożywienie. Oto właśnie podsumowanie dnia dla jego

żądnej przygód duszy: pół godziny na Morzu Północnym w spokojne letnie popołudnie. Dziecięce rączki zostawiały ślady na wodzie, podczas gdy łódź, cały czas bezlitośnie wyjąc, szybko, a zarazem ociężale posuwała się naprzód. W pewnej chwili bez ostrzeżenia przecięli falę, tak że bryzg wody dosięgnął pasażerów, którzy zapiszczeni i oddali się paplaninie.

Kobieta obok rzuciła nad głowę Fishera, do dziewczyny z drugiej strony ławki:

– Trzeba było wciągnąć portki. Chłodnawo tu.

Tamta niewzruszenie patrzyła przed siebie, na horyzont rozciągający się ponad potylicami podróżnych. Starsza z kobiet, uporczywie forsując swój przekaz, potrąciła Fishera i zawołała ponad nim:

– Zamarzniesz tam.

Dziewczyna wciąż nie dawała po sobie poznać, że słowa towarzyszki do niej docierają, ale po chwili nieznacznie odsunęła się od Fishera, by bąknąć w końcu przez zaciśnięte usta:

– E tam. Gadanie.

Nie miał pewności, czy rzeczywiście się odezwała, lecz jej towarzyszka wzruszyła ramionami i powiedziała zaczepnie:

– W takim miejscu zawsze jest chłodno.

– Och, zamknij się, Lil – odpowiedziała dziewczyna. – Przestań jęczeć, na miłość boską.

Miała blond włosy i jasną karnację. Lekki przeciwdeszczowy płaszcz, opinający ją na wietrze, dawał wyobrażenie o atrakcyjnie szczupłej sylwetce. Dłonie szpeciły paskudnie obgryzione paznokcie. Żadna z pań nie zwracała na Fishera najmniejszej uwagi, a on zastanawiał się tylko, czemu kobiety pozwoliły się rozdzielić na czas ponurego smakowania uciech rejsu.

Gdzieś z tyłu padło pytanie, z jaką prędkością się poruszają, na co przewoźnik odparł, że będzie jakieś dwanaście węzłów. Wtedy wywiązała się z kolei dyskusja na temat dokładnej miary węzła, co pozwoliło jednemu z mężczyzn, temu samemu, który pierwszy zadał pytanie, obwieścić, że mila morska, termin potocznie określany węzłem, mierzy 6080 stóp w Wielkiej Brytanii, zaś nieco więcej, bo 6082 stopy i 8 cali w USA. Powyższą informację przedłożył tak gładko, że Fisher zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem zawczasu nie sprawdził gdzieś tych danych, by następnie poruszyć temat i publicznie pochwalić się swoją wiedzą. Zapadła cisza delikatnie zabarwiona podziwem, i chociaż dziewczyna po prawej nie dała nic po sobie poznać, zgadywał, że przemowa zrobiła na niej wrażenie.

Sytuacja przypominała mu o ojcu. Właśnie tego typu skrawki informacji Arthur Fisher gromadził w głowie razem z tysiącem innych wiadomości, tyle że akurat on zaraz wszystko by popsuł, rzucając jakimś okropnym kalamburem. „Wyróżniamy ponadto węzły chłonne i małżeńskie”. Grę słów spłodzoną z taką łatwością Fisher przypłacił dotkliwym przytłumieniem zażenowania. Gdy się otrząsnął, na rufie trwał spór o rekordy prędkości jednostek wodnych oraz dyskusja na temat tego, czy osoba w łodzi ma wrażenie, że porusza się szybciej niż w rzeczywistości.

– To oczywiste – odezwał się przemądrzały pasażer. – Gdy jedziesz M1, prędkość wydaje się relatywnie niska, bo w pobliżu nie ma żadnych punktów odniesienia, żywoptów, parkanów czy domów. – Jękliwy głos ciągnął dalej, budząc skojarzenia z ojcem. Fisher oparł się pokusie, by odwrócić głowę i sprawdzić.

Konwersacja stała się chaotyczna; przewoźnik odpowiadał lakonicznie. Celem całej wyprawy było napawanie się morskim powietrzem, bujaniem łodzi i chlupotem wody, kiedy więc sternik zawrócił, a wycieczkowicze zaczęli wyciągać od niego informacje na temat wybrzeża – udzielane zresztą niechętnie i poddawane pod oględną dyskusję – Fisher uznał to za niestosowne. On jeden tylko, wciśnięty pomiędzy kobiety, doceniał samotność, z dala od zgiełku panującego na stałym lądzie, wśród rozciągniętych płasko lub ogarniętych plażową aktywnością ciał. W głębi lądu, w stojących otworem pubach, mężczyźni nabierali o sobie wysokiego mniemania. Tutaj, na pełnym morzu, wybijany i przemarznięty, człowiek czuł się nikim.

Z przyjemnością stanął znów na pomoście, sztywny i bynajmniej nie rozgrzany. Kobieta obok oznajmiła dziewczynie, że teraz „muszą odnaleźć resztę”, ta zaś odpowiedziała z kamienną twarzą, mrukliwie jak zwykle, że zdaje sobie z tego sprawę. Fisher ruszył na brzeg w towarzystwie przemądrzalca, którego natychmiast rozpoznał po głosie.

– Ach. Jak dobrze znowu ruszać kończynami... – Jegomość był gdzieś po pięćdziesiątce, miał okulary w rogowej oprawie i łysinę na czubku głowy.

– Nie zobaczyliśmy za wiele – odpowiedział Fisher.

– ...poza morzem. – Czy to była odzywka w stylu ojca? W tym momencie Arthur nuciłby już pod nosem: „A może do marynarki wstąpić może, by zobaczyć morze, być może”. Nie. Nic z tych rzeczy. – To zawsze coś. Wydaje się ciche i spokojne, ale daje satysfakcję.

– Tak. To prawda.

Słyszac potwierdzenie, mężczyzna uśmiechnął się z sympatią.

– Od ciebie zależy, co z tego wyniesiesz. – Brodzili w głębokim piachu obok plażowych domków. – Weźmy na przykład samo miasteczko. Dostrzegam tu pewne zmiany... I powiem ci jedno. Nie ma już tylu gości, co siedem, osiem lat temu.

– Doprawdy?

Facet łypnął okiem w reakcji na ten zwrot, typowy w ustach burżuazji.

– Ano nie. Winne są zagraniczne oferty wakacyjne. Ogołociły nasze wybrzeża. Ibiza, Majorka, Costa Brava, Costa del Sol.

– Warto tam jechać?

– To zależy od preferencji. Wybraliśmy się raz na wakacje do Włoch. Byłem tam podczas wojny. Zawsze mówiłem, że chcę wrócić. Polecieliśmy. Moment i byliśmy na miejscu. Hotel całkiem przyzwoity. Jedzenie nie do końca nam odpowiadało, ale można się było tego spodziewać. Świetna pogoda. Słońce na okrągło, od pierwszego do ostatniego dnia. Jedliśmy śniadanie, potem szliśmy spacerkiem na drugą stronę ulicy, na plażę. Trzeba było płacić za miejsce. Do wody wchodziłem trzy lub cztery razy, ciepła jak w wannie. Później powrót do hotelu. Jedzenie. Znowu plaża. I to tyle.

– Pełnia wypoczynku.

– Często, żeby prawdziwie wypocząć, trzeba wymyślić coś innego. Tak sędzę. – Znów ten ojcowski ton. Sygnał, by wznieść hymn. „Wytchnienie umęczonym, wytchnienie smutnym”. – Ale przyznaję, za wiele inicjatywy nie wykazaliśmy. Byłeś w tamtej części Europy?

– Tak.

– No, czyli wiesz, o czym mowa. Mnóstwo wycieczek do wyboru. Hotel się o wszystko troszczy. Wczesne śniadanie, prowiant na drogę, późny obiad. O nic nie musisz się martwić. Tyle, że moja żona cierpi na artretyzm – wymówił „arthur-etyzm”, ku wisielczej ucieśze Fishera – i nie chce siedzieć cały dzień w ciasnocie ani włóczyć się po muzeach i galeriach. Dlatego też nie ma jej teraz ze mną. Widzisz więc, że na pewno mogliśmy wyciągnąć więcej z tamtej podróży.

– Już byś tam nie pojechał?

– Tego nie twierdzę. Kiedy widzę cały ten połysk i splendor tutaj... Nie mogę oprzeć się wrażeniu... Zauważ tylko, że tego właśnie chcą ludzie. Bingo i beczki z piwem. Wszystkie te rzeczy, które mają powstrzymać ich przed wyjazdem za granicę, mierzą mnie niesłuchanie.

– Jak zatem wypoczywasz?

– No cóż... Odpowiednia ilość czasu na leżaku. Popijam drinki, zabijam czas na łódce. Idę na spacer, jeśli najdzie mnie ochota. Poznaję nowych ludzi, wdaję się w konwersację. Jak choćby teraz. Nie uwierzysz, ale przyuważyłem żonę, jak idzie wieczorem do kuchni, żeby pomóc powycierać naczynia po obiedzie. Zwyczajnie chciała pogadać.

– Można by pomyśleć... – zaczął Fisher.

– Nie, ja to rozumiem. Lubi gospodynię, zna ją od lat i mają sobie niejedno do powiedzenia. Ludzie – w moim odczuciu to oni stanowią o udanych wakacjach, nie sceneria.

– Natura – zacytował Fisher na wpół ironicznie – jest piękna, lecz natura ludzka piękniejsza.

– Ach. – Mężczyzna wydawał się zaskoczony.

– Keats.

– Poeta poetów. Jednak ludzie muszą tu przyjeżdżać. Wiedziałeś, że cztery piąte wczasowiczów wybiera wybrzeże? Zdrowy rozsądek. Nie na darmo ci wszyscy spekulanci stawiają tu coraz to nowe pałace. Inwestycje na pewno się zwracają.

Powyzszy wywód, wygłoszony, gdy grzęźli w piachu, omijając zamki piaskowe i leżące ciała, skierował dyskusję na temat kierunków, jakie obierał kapitalizm, cen ziemi, inflacji, ogromnych drapaczy chmur z pustymi biurami w środku. Zainteresowany, lecz zarazem skupiony na grzęznących stopach, Fisher nie potrafił się skoncentrować.

– No, jesteśmy na miejscu – powiedział wszechwiedzący.

Zgodnie z przewidywaniami, nie brakło tu niczego. Parawan, karimata, koce, kosze i torby, a na leżaku zarządzająca tym wszystkim żona z naszykowanym już termosem, smarująca herbatniki masłem.

– Muszę lecieć dalej – oznajmił Fisher.

– Interesujące, interesujące – odpowiedział mężczyzna. – No cóż.

Gdy Fisher spojrział za siebie, jego kompan siedział już na drugim leżaku. Założywszy panamę, niespodziewanie zaciągnął się papierosem. Żegnaj, arthur-etyzm.

Zaraz po obiedzie Fisher przeszedł się ogrodami, wśród kompozycji rojników, klombów róż Frensham i Peace oraz nemezji i aksamitek. Jakiś młodzieniec hałasował, kosząc trawę, zaś dookoła spędzały czas grupki staruszków, równo usadowionych w ławkach. „Ufundowana przez radnego C.W. Goddarda”. „Pamięci por. H.W.A. Scotta, regiment Sherwood Foresters, 1922—45”. Mimo że ryk silnika kosiarki rozdzierał powietrze, samo miejsce zionęło bezruchem niczym gabinet figur woskowych. Promienie słońca jaśniały na krzewach i bladych obliczach. Minęła go urodziwa męzatka o długich, opalonych nogach, z uśmiechem na twarzy pchająca dziecko w jasnym, pomarańczowym wózku. Kos podskoczył, dziobnął coś i ponownie podskoczył.

Tutaj również nie znał nikogo. Nie kojarzył ani jednej ze starych twarzy.

Pozostało mu czerpanie przyjemności z przechadzki, z marszu po asfaltowych ścieżkach, dopóki nie wyzbędzie się wszelkich pragnień... lecz żadna droga nie jest wystarczająco długa, ruszył więc dalej wzdłuż bulwaru, stąpając po płytkim, naniesionym piachu w kierunku parku rozrywki.

Znalazłszy się w środku, nie wiedział, co ze sobą począć – w takim miejscu, po południu, w dzień powszedni. Atrakcjom oraz stoiskom brakowało należytej opieki. Pomijając ogólny hałas, miejsce zdawało się uśpione. Tutaj również brakowało życia. Posuwał się naprzód. Tylko czasem jeden z drugim krzyknął coś, zachęcając go do spróbowania szczęścia ze strzelbą albo rzutkami – tak im jednak zależało, jak i jemu. Nie potrafił stwierdzić, czy była to po prostu kwestia nieodpowiedniej pory dnia, ale całość robiła wrażenie przestarzałej, sypiącej się, nikomu niepotrzebnej. Jednoręcy bandyci, sale do bingo z filiżankami herbaty, kuszące dużymi, precyzyjnie wyliczonymi premiami też można było tu znaleźć, ale wszystkiemu brakowało blichtru, komfortu anonimowości zapewnianego przez nowsze pałace przy promenadzie. Może zresztą od czasu do czasu zakradały się tu jakieś istoty ludzkie.

Fisher zdecydował się na kolejkę górską.

Ojciec nigdy by na to nie pozwolił. Niewzruszony, trzymał rodzinę z dala od parków rozrywki. I chociaż Fisher często samotnie zapuszczał się do środka, nie śmiałby przeciwstawić się Arthurowi, wsiadając do tej potwornej kolejki, w obawie – absurdalnej być może – że staruszek, wylegujący się na plaży, zerknie przeszywającym wzrokiem w stronę nurkujących wagoników i dostrzeże w nich syna. Chłopak z poczuciem winy tracił drobniaki na maszynach, podkradał się do wytatuowanej kobiety i egipskiej tancerki brzucha, jednakże wszystko ograniczało się do pokazów w zatęchłej ciemnicy.

Wspinając się do okienka, by uiścić opłatę, poczuł nagle strach. Czy będzie w stanie znieść szalony pęd, od którego wywracają się wnętrzości? Po chwili, zablokowany za ciężką sztabą, doczekał się odpowiedzi: delikatna ekscytacja, rosnące napięcie tuż przed zjazdem, a potem rozczarowanie, natychmiast ulatniające się wraz z kolejnym przyspieszeniem wagonika. Brakowało kobiecych ramion oplecionych wokół szyi i zastępu rozwrzeszczanych dzieci. Oto on, człowiek w średnim wieku, obja swe ciało w samotności. Trzy-

dzieści dwa lata to jeszcze nie starość. Dało o sobie znać nieodzowne poczucie winy, wywołane wspomnieniem wzbraniającego głosu ojca; pojawił się dawny, zaostriżony apetyt na emocje. Szesnastolatek miał pewną przewagę nad dorosłym mężczyzną. Skupił teraz wzrok na odległej plaży, na czarnych sylwetkach oddalonych od wycia popowej muzyki. Chętnie znów znalazłby się w łodzi, odcięty od ludzkich poczynań i siedzib. Żołądek podchodzący do gardła przywołał go do rzeczywistości.

Opuszczając park, uśmiechał się – po części ze wstydu wywołanego nie tym, że spróbował przejażdżki, lecz tym, że uległ pokusie.

Usiadł na ławce, wyciągnął nogi i zaczął się zastanawiać, jakich słów mógłby użyć, opowiadając żonie o tym, co właśnie zrobił. Z jego pograżonej w chaosie świadomości myśl ta wynurzyła się jako sensowna i od razu została odrzucona, by po chwili znów wypłynąć. Mężczyzna, który porzucił żonę, a teraz przychodzi, by znów ją spotkać, i jedyne słowa, na jakie go stać, miałyby brzmieć: „Wiesz, co wczoraj robiłem? Byłem na przejażdżce kolejką górską”? Zaraz zaczął się usprawiedliwiać. Niewiele więcej miałyby do zaoferowania poza komunikatem, że facet na łódce wyartykułował garść cennych i pouczających informacji w temacie brytyjskich i amerykańskich mil morskich; a ponadto – poza odrobiną uszczypliwości i demaskatorskich uwag, które sprawiłyby, że w parę minut powróciliby do dawnych awantur, do skrywanej nienawiści. Jeśli on i ta piękna kobieta – przypomniał sobie jej włosy – mieli dokonać próby pojednania, jedyna na to szansa leżała w zachowaniu należytej pokory, w rozpoczęciu rozmowy od błahostek, od zdań na temat wesołych miasteczek i przemądrzałych łysielców. Zaskoczyło go lekko własne spostrzeżenie, że rozważa kwestię, powiedzmy, amnestii czy przekazania sobie gałązki oliwnej, bez unoszenia się emocjami. Roztropnie skierował umysł w inne rejony.

Na porośniętej rzadką trawą skarpie wylegiwało się trzech mężczyzn.

Wszyscy nosili klasyczne dżinsy, mieli długie włosy i brody; jeden z nich, jegomość w okrągłych okularach ze złotą oprawką, brzdąkał leniwie na gitarze. Być może nawet śpiewał – nie sposób było powiedzieć. Siedzieli razem, patrząc obojętnie, słuchając jednym uchem, kontemplując upływający czas, więc kiedy jeden z nich podźwignął się do pionu i zaczął zmierzać ku niemu, Fisher był lekko – i jednocześnie miło – zaskoczony. Młody mężczyzna podszedł, przybrał niedbałą pozę i nie patrząc rozmówcy w oczy, zapytał:

– Użyczyłbyś mi ognia?

Tym razem sprawa była jasna, a w każdym razie jaśniejsza. Niepalący Fisher nosił w kieszeni zapalniczkę, ponieważ Meg potrzebowała czasem zapalić, a nigdy nie miała zapalek przy sobie. Zakręcił zapalniczkę w dłoni i podał chłopakowi.

– Nie wiem, czy działa. Mogła wyschnąć.

Młodzieniec pstryknął, potrząsnął, pstryknął znowu tak, że aż podskoczyły mu indiańskie frędzle przytwierdzone do rękawów i rąbka kurtki, a następnie zaciągnął się z satysfakcją.

– Dzięki.

Fisher włożył zapalniczkę do kieszeni, oczekując, że chłopak odejdzie, ten jednak stał w miejscu.

– Widziałem cię już wcześniej.

– O?

– Dawalesz u nas wyklad. – Wymienil nazwe jakiegoś technikum. – Edukacja i uprzedzenia. – Wydawal się zadowolony, że przypomniatł sobie temat.

– Kształcisz się na nauczyciela?

– Nie. Poszedłem z kolegą. Jestem technikiem laborantem.

Młodzieniec, mówiąc, ledwo poruszał ustami, tak że Fisherowi przyszły na myśl filmy gangsterskie. Cichy głos, łagodna aparycja chłopaka oraz, zapewne, uległy charakter stanowiły jednak całkowite zaprzeczenie konwencji. Wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł paść, runąć na ziemię jak długi.

– Wykład brzmiał całkiem ciekawie – powiedział, muskając policzek wierzchem dłoni, w której trzymał peta.

Fisher skinął głową i zaczął kurtuazyjnie wypytywać o wakacje. Trójka młodych przyjaciół rozstawiła namiot na wydmach. Kapali się dwa razy dziennie i spędzali w nim nocę po powrocie z dyskoteki. Chłopak nie śpieszył się, cedził słowa, sprawiając wrażenie, jakby chciał nadać relacji możliwie najbardziej monotony charakter. Nieco ubawiony, Fisher doszukiwał się w niej zwrotów typowych dla młodzieżowych subkultur, próbował wyłuskać słowa znane mu z niedzielnych gazet: „laska”, „hawira”, „skręt”, „nagrzany” lub choćby głupie „psychodela”, lecz nic nie wyłapał. Nawet jeśli te określenia wyszły już z mody, to mówiący nie zastąpił ich żadnymi innymi łatwo rozpoznawalnymi neologizmami, posługiwał się natomiast prostackim językiem rodem z fabryki, supermarketu lub boiska. Rozglądali się za dziewczynami – tu pożądliwy błysk w oku – chcieli zdybać jakieś panusie, przy czym rezultaty osiągalni raczej marne, bo, jak rany, nie brakowało tu skończonych zdzir. Posiedzą tydzień i zabierają się z powrotem, gdy tylko nadarzy się okazja. A jeśli się nie nadarzy? Zostaje autobus, co nie?

Fishera ciekawiło, dlaczego nie wypuścili się dalej, powiedzmy, za granicę.

– Na zagraniczny wyjazd trzeba czasu. Chcieliśmy poleniuchować i przez tydzień panować nad swoim życiem. A jak pogoda się utrzyma, to może zostaniemy na drugi. Siedzimy tu sobie i robimy, co nam się podoba. Pieniądzy nam nie brakuje, ale nie chcemy przehulać wszystkiego w klubach, żłopiąc *ale*.

– Nie pijecie?

– Czasem. Ale osiem, dziewięć kufla w ciągu jednej nocy, jak niektórzy, to głupota.

Wprawdzie Fisher podejrzewał, że pieniądze mieli mniej niż skłonni byli przyznać, niemniej całe to chaotyczne, powściągliwe sprawozdanie z nadmorskiej idylli zabrzmiało kusząco. Zaraz jednak spojrział na nie bardziej obiektywnie, precyzyjnie wyliczając minusy: monotonne rybne kolacje, wieczne gadanie o dziewczynach, siedzenie w niezbyt atrakcyjnych miejscach – jak choćby ta tutaj hałda – w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy, niemiłosiernie wlokący się czas, bo przecież nic się nie dzieje. Nie różnili się specjalnie od niego. Podejmowali zachowawcze decyzje, bo nie mieli ani środków, ani energii, by przedsięwziąć coś odważniejszego.

Chłopak zaciągnął się głęboko po raz ostatni, wyrzucił papierosa na piasek, zostawił tłący się niedopałek, wydał z siebie jakiś nieokreślony dźwięk i odszedł. Usiadłszy znów



wśród swoich, zamienił kilka zdań z kolegami, lecz Fisherowi trudno było ocenić, czy rozmawiają na jego temat. Zakłopotany, powędrował dalej, machając chłopakom na pożegnanie.

O dziwo, cała trójka odpowiedziała. Dwóch skinęło głowami, jeden kiwnął palcem. Dostarczył im przynajmniej tematu do beznamietnej dyskusji.

Ludzie w średnim wieku jedli w budkach z owocami morza, dzieciaki zdierały z lodów papierki i rzucały je na piach. W oddali dwie młode sylwetki biegły, trzymając się za ręce, wypisz wymaluj jak w tandetnej reklamie telewizyjnej. Ich energia, skierowana najwyraźniej ku jakiemuś konkretnemu celowi, zdawała się przyciągać powszechną uwagę. Reszta plażowiczów albo się wahała, co robić, albo szła się pluskać na kilku jardach płytkiego morza. Tych dwoje zaś, dotarłszy do pożądanego miejsca, zrealizowało swój zamiar, dając nurka do wody.

Fisher kupił filiżankę obrzydliwej, mocnej herbaty, upił łyk, parząc sobie język, a następnie, wykorzystując popołudniowy marazm, zamienił kilka słów z właścicielem budki. Z rozmowy dowiedział się, że na promenadzie nadal wyrabiają cukierki, wyruszył więc, aby odnaleźć właściwy stragan, ten jednak okazał się opuszczony – jakkolwiek świeżo odmaltowane tabliczki głośiły, że „stara firma” zdobyła dyplom za zasługi w sezonach 1934/35, 1936/37 oraz 1939. Czy interes przestał się kręcić w ostatnich trzydziestu paru latach, czy może do głosu doszli psujący całą zabawę dentyści i przestano przydzielać wyróżnienia za cukierniczy kunszt i nieskazitelność?

Przy położonym w głębi ładu basenie z morską wodą młodzi chłopcy wdrapywali się na trampolinę. Ze swojego miejsca dostrzegał zwieńczenie konstrukcji, która nic się nie zmieniła od jego czasów, choć wprawdzie za młodu ani się w tamtym miejscu nie wylegiwał, ani nie skakał, całą swoją aktywność ograniczając do kilku długości basenu żabką lub odrobiny kraula na bezdechu. To właśnie na tamtym basenie pierwszy raz w życiu ujrzał przelotnie sutek dorosłej kobiety. Gdy osunęło jej się ramię, z niedowierzaniem wlepił w nią wzrok. Inni nic nie dostrzegli, zajęci hałaśliwymi wybrykami, a on zaczerwienił się, drżąc z rozpaczliwego, rozkosznego zażenowania. Obserwator, człowiek w kryjówce, podglądacz.

Autobus przy bulwarze wypływał z siebie oddział emerytów, którzy hałaśliwie schodzili po stopniu i tłoczyli się, otumanieni, na chodniku. Jeden ze starców, spalony na brąz, z nastroszonymi resztkami włosów, rozdziawił usta i obracał się na chodniku z szelkami na wierzchu, wyraźnie czegoś szukając.

– Nie będzie pan potrzebował swojej kurtki, panie Wardle? – Kobięca apodyktyczność. Stare chłopisko wymamrotało kilka słów i posłusznie skierowało się z powrotem do autobusu. – Proszę się nie fatygować. Przyniosę panu. Czasem bywa tu naprawdę zimno.

Opiekunki, kobiety w średnim wieku, odziane w kwieciste sukienki i rozpinane swetry, zaprowadzały swoje rządy, zachowując pozory ładu, a jedna z nich krzyczała władczym tonem:

– Zejdziemy drogą do bardzo ładnego ogródka. Tam sobie usiądziemy. Zobaczycie śliczne kwiaty. Na terenie ogrodu są toalety, gdybyście chcieli skorzystać. Niedaleko jest plaża,

ale jeżeli nie czujecie się na siłach, to proszę, abyście sami się tam nie wybierali. Będziecie mieli możliwość zobaczenia morza z ogrodu, w którym znajdziecie słoneczne i zacienione miejsca. Teraz proszę, wszyscy za panią Payne, która poprowadzi nas w dół.

Fisher obserwował wymarsz powłóczących nogami staruszków. Kobieta dyktator złapała pod ramię dwie na wiór wysuszone babcie, wyraźnie zachwycone zaszczytem, jaki je spotkał.

– Jest tam kilku numerantów – odezwał się do Fishera kierowca autobusu. – Dzieci mają więcej rozumu niż niektórzy z nich. Jeden z dziadków chciał się wysikać na środku autobusu. Wyciągnął interes na oczach tych wszystkich pań. Ale większość jest przytomna nie mniej niż ja czy pan. – Kierowca wytarł ręce o tył spodni. – Ten stary jest nieco wątpy na umyśle. Mówią, że ponoć był w zakładzie. Dziwne, jak ten wiek człowieka dopada, nie? Ja to bym se życzył atak serca, choćby i teraz. Rach-ciach i masz pan po kłopotcie. Cios dla bliskich – może, ale kończyć tak, jak co poniektórzy z tych tutaj, to mi się nie widzi.

– Oni nie chcą umierać – powiedział Fisher.

– Ja też nie będę chciał, jak nadejdzie mój czas – odparł kierowca. – Dobra, lepiej zamknę autobus, bo im jeszcze kto torebki gwizdnie. Niech Bóg ma ich w swojej opiece. – Zatrzymał się nagle, jak za sprawą magicznej sztuczki, trzymając w ręce pęk kluczy, po czym dodał: – A żebyś pan widział, jak niektóre z tych bab na nich włożą. Gorzej niż w wojsku. Wstań, usiądź, wypastuj buty, podetrzyj tyłek. Ale przypuszczam, że gdyby takie nie były, to nie dałyby rady zorganizować ani tych wycieczek, ani tych klubów, a wtedy nie byłoby dane biedaczyskom pooddychać morskim powietrzem. Co za życie. – Zakręcił kluczami. – Czasem te starowinki są naprawdę kochane. „Czy kierowca dostał herbaty? Pamiętajcie, żeby kierowca dostał obiad”. Nie da się ich nie lubić. Odpowiadam wtedy: „Nie zaprzataj sobie tym głowy, moja droga”. Mówię: „Chluśnijcie mi te wszystkie herbaciane liście do Morza Północnego, a ja napiję się czegoś na poziomie”. A one patrzą wtedy na człowieka tymi okrągłymi oczami, chichoczą i mówią: „Piwa!”, jak jakieś szkolne urwisy. „Taa jest” – mówię im. – „Świńskie uszy i peklowana cebula – tym właśnie my, kierowcy, się żywimy”. I wówczas któraś z tych starych poczciwin się odzywa: „Kierowca jest chyba pijany”, a wtedy... Na Boga, wtedy się zaczyna. Ach... cóż!

Poszedł wreszcie, zamknął drzwi, obszedł pojazd dookoła, klepiąc po drodze bagażnik i ruszył za pochodem w kierunku ogrodów, zawoławszy jeszcze na koniec przez ramię:

– Bierz pan z tego, ile się da, póki jeszcze młodości starcza.

– Z czego?

Wycofując się, mężczyzna rozłożył ręce, machnął nimi komicznie, stukając zarazem obcasami, i powiedział:

– Z tego. Z tego.

Idąc bulwarem, Fisher przyśpieszył kroku, mniej pewny siebie, acz weselszy. Młoda kobieta, tęga i ogorzała niczym rybak, pędziła przed sobą swoje pociechy. Jedno z dzieci podskoczyło, wpadło na przechodzącego akurat Fishera i zaraz zostało postawione do pionu stanowczym szarpnięciem.

– Uważaj, gdzie idziesz! – zawołała matka. – Przepraszam pana. – Miała na sobie krót-

ką sukienkę, od siadania wygniecioną wysoko ponad kolanami.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział. – Chciałbym mieć tyle energii.

Zacisnęła usta, lecz nic nie powiedziała, tylko skoczyła naprzód z rozbrykaną dwójką uwieszoną u ramion, przywodząc na myśl kotwicę z majtającymi po bokach wodorostami.

Na bulwarze panował wzmożony ruch – być może z powodu ludzi opuszczających plażę – zaś na przyległej drodze samochody śmigają, łapiąc i odbijając przednimi szybami promienie słońca. Niemniej świat wydawał się zmęczony, co uwydatniał szamoczący się płomień na zapalce starszego mężczyzny, który pod jedną z wiat ustawionych frontem do morza próbował rozpałić fajkę: wypełniony energią szczegół pośród ogólnego wyczerpania.

– Będą dzisiaj dobrze spały! – krzyknęła jakaś babcia, wskazując na dzieciaki zwisające głową w dół z bulwarowej balustrady.

– Ja padnę z całą pewnością – odpowiedziała ich matka.

Meg sypiała źle. Wałęsała się po nocy, piła wodę szklankami.

Po zażyciu tabletki na sen była w stanie przespać ze dwie, góra trzy godziny, po czym budziła się i zaczynała wiercić.

– Czemu nie poczytasz jakiejś książki? – zapytał ją kiedyś.

– Miałabym cię obudzić?

– Szybko znów bym zasnął.

Zastanawiał się, czy czasem żona nie budzi się w nocy, żeby zyskać trochę czasu tylko dla siebie. Nawet wtedy, gdy padała ze zmęczenia, do tego stopnia, że przysypiała w trakcie posiłków, potrafiła pozostawać w pogotowiu do wczesnych godzin porannych, kiedy Donald wymagał nocnego karmienia.

– Martwisz się? Coś cię gryzie?

– Właściwie to nie.

– W takim razie o co chodzi?

– Po prostu takie głupie przyzwyczajenie.

I zaraz najzupełniej racjonalnie bagatelizowała jego obawy, co odbierał jako desperackie wołanie o pomoc. To on powinien ukoić jej nerwy, ululać ją lub zdominować tak, by osunęła się w sen. Tego rodzaju fantazje sprawiały mu udrękę. Podczas wakacji w St. Tropez lub w Tunisie, gdy odurzili się słońcem i nasycili seksem do tego stopnia, że każdy miesiąc w jego ciele rozluźniał się w poczuciu szczytowego ukojenia, ona wstawiała o drugiej nad ranem i trzeszcząc wiklinowym krzesłem w sypialni, wpatrywała się w jaśniejący mrok, zwrócona ku niewysokim drzewom i wszystkim dźwiękom nocy.

– Taką mam naturę – mawiała. – Jestem zwierzęciem nocnym.

A przecież kochała też słońce. Nienawidziła białych pasków nieopalonej skóry na piersiach, pośladkach i dolnej części brzucha.

– Idiotyczne – wskazując palcem, starała się przykuć jego uwagę, całkiem zresztą niepotrzebnie. – Popatrz tylko na to.

A on, odurzony słońcem, wodził palcami po granicach między opalenizną a białą skórą, aż w końcu kładł się wyczerpany, pozostając jednak w niej, zaś ona śmiała się, prawiała mu komplementy i próbowała, w istocie wcale nie próbując, sięgnąć do nocnego stolika po

papierosa będącego symbolem, że choć raz została zaspokojona wystarczająco, aby domagać się kolejnego spełnienia, które nie musi być jego udziałem, które nie wytryśnie z niego.

Rankiem, w dniu umówionego obiadu z Vernonami, Fisher rozsiadł się z ręcznikiem na plaży.

Niebo zasnuwała gęsta mgiełka. Wiatr zelżał, zapowiadał się prawdziwy upał. Dzieciaki biegały w kółko, jakby szykowały się na nadchodzące uciechy – budowanie okopów i fortyfikacji, wrzaski i wygłupy – zachwycone, bo rodzice choć raz doczekali się pogody, o jakiej marzyli. Ludzie starsi, otoczeni aurą powagi, siedzieli na leżakach i w skupieniu wypisywali pocztówki, gotowi na przyjęcie promieni słońca, w ich pamięci rozświetlających każdy dzień lata z czasów młodości.

Fisher leniwie obserwował dwie młode kobiety, które ulokowały się obok niego.

Przygotowywały się niczym duchowny do nabożeństwa. Pope nie minął się z prawdą w *Puklu porwanym*<sup>{10}</sup>. Najpierw rozłożyły ogromny plażowy ręcznik, przytrzymując go na rogach koszami i torbami. Ta operacja zajęła trochę czasu, wymagała bowiem chodzenia dookoła i kalkulowania odnośnie pozycji słońca, zmieniającej się w ciągu dnia; obydwie trajkotały przy tym z intensywnością sprawozdawcy przyklepionego do mikrofonu, jakby chciały upewnić się, że wypowiedane niedorzeczności docierają do słuchacza. Bawił się całą sytuacją przez dobry kwadrans, nim pojął, że to właśnie on jest celem... młodzieńcem na wydaniu, wytypowanym jako numer jeden tego poranka. I chociaż jakoś specjalnie nie zerkwały w jego stronę, czyniły wszelkie starania, aby skupić na sobie uwagę mężczyzny nieustannym ruchem i wzajemnymi docinkami.

Co ciekawe, pomyślawszy o swoim wyglądzie, poczuł, że mu schlebiają.

Urodziwe, krępe dziewczyny, o niebieskich oczach i puszystych, ładnie zaczesanych blond włosach. Zrzuciły sukienki i odziane w bikini usiadły, aby posmarować się olejkiem. Z początku ich poczynania wyglądały na chaotyczne – maźnięcie na kostce, maźnięcie na piszczeli – lecz po chwili przekonał się, że rozprowadziły i wsmarowały specyfik z najwyższą starannością. Gapił się na nie bezwstydnie – cała trójka miała tego świadomość. Nogi o mocnych udach i grubych kostkach, poddawane teraz pieczętom dłoni ślizgających się po ich młodzieńczej powierzchni, zdążyły już wcześniej nabrać opalenizny. Jedna z dziewczyn miała na palcu pierścionek zaręczynowy. Nasmarowawszy bez pośpiechu ramiona, górne części piersi, barki oraz brzuch, dziewczyna położyła się płasko, żeby druga mogła zająć się jej plecami.

– Och, mogłabym tak w nieskończoność – odezwała się pacjentka.

Całe to przedstawienie miało w sobie coś erotycznego, jakby zapraszały go do uczestnictwa w rytuale, w inicjacji. Pierwsza dziewczyna, usiadłszy, przeczesła włosy i uśmiechnęła się do Fishera, ukazując ładne zęby. Po zamianie ról i zakończeniu drugiego smarowania jedna z dziewcząt, usiadłszy, zaczęła głaskać swoje ciało, a wtedy druga dopadła do niej, aby ją połaskotać. Takie błaznowanie wydawało się nie na miejscu w porównaniu z ich dotychczasowymi, iście hieratycznymi, nieśpiesznymi poczynaniami: zwy-

kła dziecinada, prostackie wybryki. Ofiara zapiszczała i zaczęła szaleńczo rzucać się na boki, żeby uskoczyć przed atakiem, trącając przy tym kolanem zamknięty koszyk zakupowy, który wraz z kupką piachu wylądował na ręczniku Fishera.

– Tricia, przestań – zapiszczała. – Jesteś stuknięta. – Spojrzała na Fishera. – Oj, przepraszam. – Podniosła koszyk i zaczęła nieudolnie zamiatać ręcznik.

– Nic nie szkodzi – odezwał się.

Miała obfity biust, ładną twarz i krańcowo banalną urodę.

– Zapiaszczy ci jedzenie, jest taki drobny...

– Na obiad wracam do miasta – odpowiedział. – Jestem umówiony.

– Z jakąś damą.

– Dwiema. I jednym dżentelmenem.

Zaczęły się śmiać.

– W restauracji? – zapytała pierwsza dziewczyna, Tricia.

– Tak, hotelowej.

– Myślisz, że zgadłybyśmy, który to hotel? – ciągnęła uparcie.

– Możecie spróbować.

Zaczęły otrzepywać piasek z kolan, usiłując doprowadzić się do porządku przed czekającą je grą.

– Frankland Towers – rzuciła druga dziewczyna, sarkastycznie marszcząc brwi.

– Tak.

Krótką ciszą.

– Zgadła za pierwszym razem? – zapytała Tricia.

– Owszem.

– Kto ma szczęście w zabawie, ten nie ma w miłości – orzekła tamta, dotykając swojego pierścionka zaręczynowego.

– Ciekawe, co Philip by na to powiedział.

Będąc świadkiem kolejnego wybuchu śmiechu, Fisher wydedukował, że mowa o narzeczonym. Wkrótce zawiązała się nieco drętwa dyskusja, prowadzona przez dziewczyny wstydliwie – w jego ocenie, trochę na staroświecką modłę. Zarówno zachowanie, jak i niezbyt odważne bikini w czerwone i błękitne grochy bardzo pasowały do tej dwójki. Z początku miały ochotę z nim pogawędzić, ponieważ wydawał się do rzeczy, a i ubrany był porządnie, lecz teraz, kiedy określił się jako bywalec Frankland, naszyły je pewne obawy. Zastanawiały się, co go skłoniło do samotnego przesiadywania na plaży. Okazało się, że są siostrami, przy czym Carol – ta starsza i zaręczona – uczyła w podstawówce. Patricia była sekretarką dyrektora fabryki tekstyliów w Nelson.

Od razu mu się spodobały, z tymi ich okazałymi, emanującymi witalnością kończynami, zdrowym rozsądkiem i uważnie dobieranym słownictwem, wypowiedzanym z lekkim północnym akcentem. Zainteresowały się, gdy wspomniał, że swego czasu był nauczycielem. Wypytywały o szkoły, w których pracował, ale nie naciskały, pomimo że nie wyjawiał swojego obecnego zawodu. Zawsze spędzały wakacje razem, a w tym roku wylądowały na plaży, ponieważ plan dwutygodniowej wycieczki samochodowej po Irlandii zawalił się w

ostatniej chwili. Przy całej prostocie dziewczyn Fisher czuł się rozbawiony ich gadulstwem, obfitującym w uszczypliwości, ale zasadniczo życzliwym; obydwie miały najwyraźniej więcej rozumu od swoich przełożonych, lecz ani jedna, ani druga nie czuła oburzenia, taki stan rzeczy traktując najwyraźniej jako naturalny. Jeden wieczór w tygodniu poświęcały na prowadzenie zajęć z drużyną chłopięcą, zaś w inny uczęszczały wspólnie na kurs malarstwa olejnego.

– Zabieracie swoje prace ze sobą? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Carol. – Obydwie tylko kopiujemy.

– Nasz nauczyciel dostaje szału, ponieważ nie wykazujemy inicjatywy.

– Nie chce mi się w to wierzyć.

– Nie inaczej – oznajmiła Carol. – Przychodzimy, słuchamy wskazówek, po czym wychodzą nam rzeczy, które dla naszej matki są zachwycające, ale dla Aubreya bezwartościowe.

– A on potrafi malować? – zapytał Fisher.

Dziewczyny zastanawiały się przez chwilę.

– Przypuszczamy, że tak. Na lokalnych wystawach nie brakuje jego bohomazów.

– Wyczuwam rezerwę. – Fisher świetnie się bawił.

– Jest świetnym nauczycielem. Ale wydaje mi się, że bardzo konserwatywnym, nie sądzisz, Tricia?

– I próbuje namawiać nas do szaleństwa, na które sam by się nie zdecydował.

– Wnikliwa uwaga. Cieszę się, że nie jestem waszym nauczycielem.

– To oczywiste – stwierdziła Carol, uradowana jego komentarzem.

Dziewczyny znów oddały się polewaniu i smarowaniu.

Kiedy później wybrał się po dzbanek herbaty dla całej trójki, Tricia wsunęła na siebie krótki płaszcz kąpielowy i postanowiła mu towarzyszyć. Roześmiani, stawiali kroki ponad kończynami plażowiczów i okrągłymi zamczyskami z piasku. Stała z nim w kolejce, wybrała herbatniki i podroczyła się ze sprzedawcą, w efekcie sprawiając, że Fisher zaczerpnął z wycieczki sporo przyjemności. Jest jakaś dobroć, pomyślał, jakaś niewinność w tych dziewczynach. Gdyby kazano mu jednak sprecyzować, z czego wynikają owe przymioty, pozostałoby mu tylko snucie różnorodnych hipotez. Mógłby na przykład – pomijając fakt, że nie uczyniły żadnej wzmianki na temat religii – wyobrazić je sobie jako chórzystki podczas Święta Plonów, wznoszące silnym kontraltem maestoso Sir A. Sullivana *Berło Twego Królestwa – berło sprawiedliwe*.

Przyjemna myśl, choć zdawał sobie sprawę, że to tylko mrzonka. Próżno szukać takich uproszczeń w prawdziwym życiu. Gdy wyjdą za mąż – a te dwie stanowiły świetny materiał na panie domu – zadręczą swoich małżonków humorami, lękami, a w końcu zblazowaniem, bo tak się powszechnie dzieje, nikt od tego nie ucieknie. Obecnie jednak... nie czuł żadnych skrępowań.

Z tamtego wieczoru w teatrze, kiedy spotkał Meg po raz pierwszy, zapamiętał pierwiastek winy, poczucie zdrady. Przywołała go na złość swojemu narzeczonemu, który latał w tę i z powrotem na każde jej zawołanie. Zwabiony, Fisher wyczuł niebezpieczeństwo, pe-

wien rodzaj niepewności. Meg, powściągliwa w okazywaniu uczuć ukochanemu, skąpo obdarowywała miłością. Te tutaj dziewczyny z kolei rozpostarłyby palce, ujęły męską rękę i splotły z nią mocno własną dłoń, czyniąc to z pełnym przekonaniem, bez względu na to, jakie rany czy zniszczenia mogłaby przynieść przyszłość. Natomiast w Meg nieszczerze wydawało się całe jej jestestwo.

Musiał dopuścić ewentualność, że zakochał się w Meg od pierwszego wejrzenia i że właśnie to wzburzyło spokojną wodę. Zaśmiał się na głos, rozbawiony swoją metaforą – najwyraźniej przy tej dwójce dziewczyn znalazł się w nastroju sprzyjającym dostrzeganiu własnych wad. Bardzo możliwe, że potrzebował kogoś takiego jak Meg – takiej nieokreśloności, takiej zdradliwości, dorównującej lub przewyższającej jego własną.

– Rany, trochę was nie było – powiedziała Carol po ich powrocie.

– Staliśmy w kolejce – odrzekła Tricia.

– Myślałam, że uciekliście w siną dal.

Nastąpiła krótka chwila niezręcznego milczenia, zaraz jednak znów się rozluźnili, gdy tylko Carol zaczęła nalewać herbaty i dokuczać siostrze, karcąc ją za apetyt na herbatniki. O dwunastej Fisher począł się wymawiać i dziękować za miłe chwile.

– Czy zobaczymy się jeszcze? – zapytała Carol wprost. Pierścionek dawał jej do tego prawo.

– To bardzo prawdopodobne. Jestem tu do soboty.

– Zwykle siedzimy gdzieś w tych okolicach.

Podniósł tacę z naczyniami i dzbanek do odniesienia, wprawnie wszystko układając.

– Wyglądasz na oswojonego z domowymi obowiązkami – stwierdziła Carol.

– Staram się.

– Uważaj na Frankland – ostrzegła.

Tricia nic nie mówiła, nie patrzyła na niego. W ostatniej chwili, machnąwszy na pożegnanie, lekko tylko otworzyła usta, kuszące białymi zębami. Gdy zwracał w budce porcelanę i odbierał depozyt, czuł się tak, jakby sprzedawał jakąś drogocenną część swojego życia.

Po powrocie do pensjonatu – zupełnie wyludnionego o tej porze – zmienił buty, włożył garnitur i krawat. Przyjrzał się przystojnej, szacownej postaci odzianej w klerykalną szarość, po czym osunął się bez tchu na łóżko, aby zmitrężyć jakieś pięć minut.

Szklane drzwi, wiodące do foyer we Frankland Towers, stały otworem. Sam hotel, o wysokich oknach, przemyślnie ozdobiony neonowymi tubami, zdawał się wprost przepętniony chłodnym blaskiem i rzędami kwiatów. Kontuar recepcji zwieńczony blatem z grubego szkła, nowoczesne, jaskrawe krzesła, małe spiczaste palmy w rozkwicie. Kroki nie wywoływały dźwięku. Żadnej muzyki, nawet głosy nikły w wysokich przestrzeniach.

Vernon stał już przy recepcji, prowadząc swobodną pogawędkę z zaganianą blondynką po drugiej stronie lady.

– Tutaj, tutaj – powiedział zniżonym głosem, lecz odpowiednio donośnie. – Mogłem się założyć, że będziesz na czas. Jesteś jedynym znanym mi młodym człowiekiem, któremu się to udaje. Myślę, że zasłużyłeś na bar Tudorów.



– Cymry am byth{11} .

– Ach, nie, nie tym razem. Moja żona już tam jest... umoszczona, by tak rzec.

Ruszyli korytarzami do murowanego z kamieni pomieszczenia o ciemniejszym, cieplejszym świetle, z niskim sufitem wspartym na czarnych belkach oraz wielodzielnymi oknami. Przy stoliku pod jednym z nich siedziała Irene Vernon. Wystroiła się na tę okazję w toczek ozdobiony pnącym się spiralnie wzorem, dopasowany do beżowego płaszcza o surowym kroju, lecz jednocześnie zwiewnego, oraz w buty na szerokich obcasach. Fisherowi przyszło na myśl, że powinna mieć jeszcze białą parasolkę albo laskę z ukrytą szpadą.

Uśmiechnęła się, wskazała zięciowi miejsce obok siebie, obcesowo zażądała wytrawnego sherry, jego zaś uprzejmie zapytała, jak się miewa.

– Meg jeszcze nie ma? – Głos Fishera brzmiał szorstko.

– Zapowiedziała się na pierwszą. – Irene skinęła w kierunku zegara, sygnalizującego dziesięciominutowe oczekiwanie.

Na jej twarzy malowało się pytanie: „Czy kiedykolwiek zjawiała się na czas? Sam powiedz, Edwinie”.

– Jest na miejscu, w BealThorpe? – zapytał Fisher.

– Tego nie wiemy – rzucił od baru Vernon. Stał naprzeciwko mężczyzny, który, wsparty na rękach, z pochyloną do przodu głową, usłużnie czekał na zamówienie.

– David dzwonił do niej wczoraj w nocy. Do domu – dodała Irene, kładąc na ramieniu Fishera dłoń odzianą w rękawiczkę.

– Przyjedzie samochodem.

– Rozumiem.

Pomyślał o telefonie, z którego musiała rozmawiać, stojącym w korytarzu pod Madonną Belliniego – tą z przypominającym gumową lalkę Dzieciątkiem na kolanach. Wieczór dawał wystarczającą ilość światła, by twarz Meg odbijała się w szybie kryjącej obraz. Fisher widział jej palce, rozplątujące loki podczas rozmowy... Z pewnością, o ile ją znał – co wcale nie było takie pewne – dała sobie za mało czasu na podróż. Z drzeniem rozejrzał się dookoła.

Zasiedli do drinków. Na twarzy Vernona, fundatora uczy, malował się uśmiech.

Fisher rzucił okiem na resztę pijącego towarzystwa, konspiracyjnie skulonego przy ciemnych stolikach, nieśmiejącego podnieść głosu, emanującego indiańską opalenizną.

Vernon wzniósł toast: – Twoje zdrowie.

Wypili.

– Patrz na zegarek – ostrzegła Irene. – Lepiej nie kazać Meg sterczeć pod drzwiami.

– Nie stawaj między mężczyzną a jego drinkiem – odpowiedział mąż, klepiąc ją po kolanie.

Do stolika podszedł młody, ubrany we frak mężczyzna, niosąc naręcz kart.

– Czy jest pan gotów złożyć zamówienie, panie Vernon? – zapytał.

Teść zdążył już rozślawić swoje nazwisko w hotelu.

– Czekamy jeszcze na czwartą osobę, John. – Komitywa przyjęta, odwzajemniona. – Powinna być lada chwila.

Wzięli się za studiowanie menu. Rozmawiali o jedzeniu, chociaż po Irene było widać, że ma nerwy napięte jak postronki.

– Wybiła pierwsza, Davidzie. Idź, sprawdź.

– Dałem znać Lilian z recepcji. Zadzwoń, jak tylko Meg się zjawi.

– I właśnie w chwili, gdy to nastąpi, twoja Lilian będzie na zapleczu.

Rozległ się przenikliwy dźwięk telefonu. Barman odebrał sotto voce, starając się nie przeszkadzać gościom w zażywaniu rozkoszy. Cała trójka czekała. Fisher obracał szklankę, trąc ją kciukiem. Nie wezwano ich, zaś słuchawka wróciła na widełki.

– Idź tam, Davidzie.

– Wiesz, jaka ona jest.

– Nieważne. Idź i sprawdź.

Vernon odegrał pantomimę – komentarz do kobiecych niedorzeczności – ale posłuchał. Fisher przyłapał się na obserwowaniu, jak mały palec Irene kreśli esy-floresy w okręgu pozostawionym przez szklankę. Przesuwała palec bez żadnej metody, z jednej strony na drugą, nie przekraczając linii, wstrzymując oddech... Dwie pary oczu trwały w skupieniu, przyglądając się jasnej, przyozdobionej pierścionkami dłoni. Zdążył dokończyć drinka, poprawić się z pięć lub sześć razy na poduszce, sam sobie zanucić bliżej nieokreśloną melodię i policzyć tarcze herbowe pod sklepieniem baru, zanim Vernon wrócił, mówiąc:

– Ani śladu.

– Już prawie dziesięć po.

– Wyszedłem na zewnątrz i zamieniłem kilka słów z portierem. Ona ma biały samochód, prawda? Białe mini? Tak mu właśnie powiedziałem.

Fisher, zdenerwowany, zaproponował następną kolejkę. Vernon podskoczył.

– Zaraz, zaraz! Nie po to cię tu zaprosiłem, żebyś wydawał na nas pieniądze.

Zebrał szklanki i udał się do baru.

– Ja dziękuję, Davidzie – zawołała jego żona.

Vernon wydawał się teraz blady. Usta miał ściągnięte, wylewność gdzieś przepadła. Gdy wrócił, drinki stawiał na stole z przygnębieniem, przepraszając.

Siedzieli w milczeniu. Fisher, zakłopotany konsternacją teściów, błądził myślami, rozważając różnorakie formy zagajenia rozmowy, lecz żadnej nie wyartykułował. Zegar wskazywał pierwszą osiemnaście. John znów się pojawił, aczkolwiek obdarzył ich jedynie uniesieniem brwi, ze zrozumieniem kiwając głową. Telefon milczał.

Irene ssała kaligraficzny mały palec. Fisher wybijał stopą rytm mozartowskiej czterdziestki. Vernon oblizywał kształtne usta.

Teraz mieli już pewność, że nie przyjdzie.

– Spróbuję znowu – powiedział Vernon, zrywając się na równe nogi. On, mężczyzna pedantyczny, pełen wdzięku, wstając, przewrócił stołek. Kiedy go podnosił, wydawał się odczuwać ulgę: przynajmniej znalazł sobie zajęcie.

– Dobrze – odezwała się Irene, biorąc głęboki oddech.

Zapadła się w swoich wytwornych piórkach, siedząc bez ruchu, jak gdyby cały puder miał zaraz odpaść jej z twarzy niczym strup. Fisher tymczasem, również czując rozdrażnie-

nie, wyciągniętą dłonią chwycił ją za rękę i trzymał tak przez moment nieporadnie. Vernon przed wyjściem zauważył gest i okazał aprobatę wojskowym skinieniem.

– Nie wiem, co jej się stało – wyszeptwała, gdy mąż opuścił pomieszczenie. – David był święcie przekonany, że przyjedzie.

– Czyli ty w to wątpiłaś?

Drgnęła, najwyraźniej odbierając jego przypuszczenie jako zniewagę.

– Myślę, że David nie rozumie sytuacji.

– W kancelarii miał chyba często do czynienia z tego typu sprawami, nieprawdaż?

– Jako adwokat radzący w kwestiach prawnych.

Podniosła szklanekę, wciąż do połowy pełną, i przyłożyła do niej usta, jak gdyby miała to być ich ostatnia wieczera. Po chwili uśmiechnęła się – do niego – wstydliwie, jak dziecko wkraczające pomiędzy dorosłych.

– Ale rady – powiedziała – w niczym Margaret nie pomogą.

– Mogło jej zabraknąć benzyny albo złapała gumę. Mogła się nawet zgubić.

– Byłaby tu na czas, gdyby naprawdę chciała.

Matka mówiła bez nadziei w głosie, z monotonią charakterystyczną dla fatalnego przeświadczenia graniczącego ze zgrzyotą. Utkwiła szkliste oczy w dekoracyjnej tarczy naprzeciwko. Do powrotu Davida nie wypowiedzieli już ani słowa. Teść wzruszył ramionami, rozłożył ręce i powiedział:

– Nie ma po niej śladu.

– W takim razie może do niej zadzwoń.

– Tak też zrobiłem, moja droga.

Tonem odpowiedzi uzewnętrznił swoją pogardę... a może niepokój.

– Idziemy do środka – powiedział żałośnie. – Zamówiłem zupę i przystawki. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe. W tym względzie Irene zazwyczaj zdaje się na mnie.

Posiłek upłynął nadspodziewanie radośnie, jakby cała trójka odetchnęła z ulgą, że Meg się nie zjawiała. Wspominali o niej w rozmowie: pani Vernon utyskiwała na córkę, lecz bez zjadliwości. David zaczął posiłek od trzech anegdotek opisujących ekscentryczne zachowania matrymonialnie poszkodowanych żon, jednak w chwili, gdy podano główne danie, oddał się opisywaniu sylwetek pozostałych gości, a także, co do niego niepodobne, samochodów na hotelowym parkingu. Przenieśli się z powrotem do baru Tudorów na brandy; tam też Irene wyszła z propozycją, by spędził z nimi popołudnie.

– Nie, dziękuję – odpowiedział.

– Masz jakieś plany?

– Właściwie to nie. – Próbował okazać troskę. – Wystarczy wam mojego towarzystwa jak na jeden dzień.

Vernonowie przepraszali, lecz on, sącząc brandy, skutecznie znieczulił się na wszelkie niedogodności. Wrócił pamięcią na plażę, do dziewczyn z Lancashire w ich niewinnych bikini, choć dobrze wiedział, że nie może się tam teraz pojawić – nie z oddechem zionącym alkoholem. Były symbolami, które rozpoznawał, zachwycającymi obrazami, jak te tutaj tar-

cze herbowe... dającymi namiastkę ukojenia bez związku z prawdziwym życiem. Zasepił się własnym rozumowaniem: odurzony umysł ukazywał cały świat w zmienionych proporcjach. W oparach brandy uznał, że mogłoby mu się udać z dziewczynami – tymczasem, dopóki pił, dopóty nie mógł się do nich zbliżyć. Wykoślawiona fantazja zniknęła.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało – powiedziała Irene.

– Zdecydowała, że nie przyjdzie – rzekł Vernon. – Obleciał ją strach. Nic nie możemy z tym zrobić.

Gdy opuścili bar, Irene kazała mężowi znowu zadzwonić do Meg do domu. Zastosował się do polecenia, a pozostała dwójka czekała w mocnym świetle, pomiędzy taflami jasnego szkła, drepcząc po dywanie.

– Nic z tego – odezwał się w końcu David.

– Być może jest w drodze – spróbował Fisher, ale tamci nie zareagowali. Uścisnął dłoń i podziękował wylewnie gospodarzom, po czym chwiejnym krokiem udał się w stronę drzwi. Na zewnątrz czekało go zderzenie ze ścianą gorąca, która po srebrzystym, łagodnym powietrzu Frankland tarła skórę jak papier ścierny. W księgarni nabył książkę w miękkiej oprawie, przed kupnem zaznajomiwszy się ze wstępem literata i notą od wydawcy.

Pozbył się marynarki, krawata i butów, położył się płasko na łóżku. Uważnie wczytywał się w głębokie zdania, aż przestał je rozumieć i przysnął.

Firanki w oknie wisały bez ruchu, zastygłe w upale.

Fisher spał głęboko, jak człowiek wyczerpany do cna.

Zaskakujący fakt, przysiągłby bowiem, że Frankland opuszczał niemal nietknięty... niewzruszony wydarzeniami. O ile podziwiał Vernona za umiejętność maskowania gniewu, o tyle współczuł Irene i żałował, że nie jest w stanie jej pomóc. David nie znosił sprzeciwu. Skoro Meg nie można było ukarać, ciosy miały osiągnąć tego, kto się nawinie pod rękę. Fisher wolał trzymać się z daleka.

Gdy szorował ręce, zmywając z nich trudy poranka, naszły go podejrzenia, czy aby przypadkiem Vernon nie posunął się do jakiegoś fortelu; z drugiej strony, nie bardzo wiedział, jak mógłby tego dokonać. Irene, nawet jeśli pretensjonalna, zdawała się prawdziwie zmarzwiona – choć akurat wyrządzenie krzywdy żonie nie mogłoby raczej powstrzymać Vernona.

Fisherowi najbardziej doskwierała jednak świadomość, że rozminął się z Meg; naprawdę chciał ją zobaczyć. Jeszcze tydzień temu wydawało się to niemożliwe, lecz teraz, nie robiąc sobie żadnych nadziei na pojednanie, pragnął spotkania, jej widoku, uścisku ręki. Być może oznaczało to, że mają jakąś szansę – o ile wykażą się ostrożnością. Bardziej jednak prawdopodobne, że po prostu potrzebował kobiety, a żona niezwykle go pociągała. Próbował się skupić, ale nie potrafił. Brakowało mu kryteriów, a nawet woli do podjęcia decyzji, dlatego też pozwolił, aby wszelkie refleksje, nieustannie wirujące w jego rozpędzonym umyśle, dochodziły do głosu jedna przez drugą; wymyślne farmazony, zbijające się równym tempem w słowne gierki.

Starannie ubrał się na kolację, a z gośćmi przy stole rozmawiał serdecznie, jakby był coś świata winien lub bał się kary czekającej go, jeśli nie będzie postępował z należytym baczeniem. Przy tym, o dziwo, czuł się szczerze z siebie zadowolony, jak ktoś, kto dobrze się spisał, odwrotnie niż miało to miejsce w rzeczywistości. Smithowie zaprosili go do pubu, gdzie zaplanowali mały wieczorek ze znaną mu parą w średnim wieku. Gdy wyszli na ulicę, wciąż bijącą jeszcze przyjemnym ciepłem, Sandra trzymała się z tyłu razem z nim.

Fisher zamówił pierwszą kolejkę, a Sandra zajęła mu miejsce obok siebie.

Przez dobrą chwilę rozprawiali o dzieciach i edukacji, z rewerencją odnosząc się do pracy Fishera, po czym przeszli na temat przemocy. Przechylając szkło, narzekali, że nie sposób przewidzieć, dokąd ten świat zmierza. Żona mężczyzny w średnim wieku siedziała jak mysz pod miotłą, nie ośmieliwszy się nawet dotknąć swojego piwa, a słodziutki uśmiešek z minuty na minutę coraz bardziej rozciągał jej usta. Nie włączyła się do dyskusji nawet wtedy, gdy jej mąż poruszył temat małżeństwa.

Terry Smith stwierdził, że nie jest w stanie zrozumieć niektórych ludzi. Jego żona odwróciła głowę.

– Wszystko jest kwestią kompromisu – dowodził mężczyzna w średnim wieku, pan Hollies. – Kiedy to w końcu zrozumiesz, połowa problemów zniknie na dobre.

Fisher złapał się na potakiwaniu w stylu typowym dla knajpianej publiki pierwszego lepszego rozprawiającego przy stole mędrka.

– Słuchajcie – zaczął Hollies. – Pracuję w drukarni. To precyzyjna robota. Fach wymagający biegłości. – Po tych słowach nastąpił opis technicznych szczegółów, któremu, jak się zdawało, reszta gorliwie się przysłuchiwała. – Mówię wam, nie znaleźlibyście spokojniejszego rzemiosła. A jednak, jak tylko pomyślę o tych wszystkich młodszych kolegach, o tych, którzy swoje już przepracowali, i widzę, jak traktują żony, odsetek rozwodów wcale mnie nie dziwi. Spotykają się na kilka kolejek, niewielkie ilości, żadne tam szaleństwo, po prostu, od czasu do czasu po pracy. Tak sobie myślę... To przecież oznacza, że gdzieś tam obiad stygnie na stole, a młode żony się zamartwiają. Niepotrzebnie.

– Z chwilą, gdy te żony się do tego przyzwyczajają... – zdobył się na polemikę Fisher.

Hollies pokiwał palcem.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczajają. Opieka na dziećmi to uciążliwa powinność. – Mały triumf, twórczy dobór buńczucznie wygłoszonych słów. – Zliczają minuty do chwili, aż otworzą się tylne drzwi.

– Czasem tęsknię za Terryem, gdy długo nie wraca do domu – przyznała Sandra z prostotą.

– Nigdy wcześniej mi tego nie mówiłaś.

Ledwie dało się dostrzec jej lekceważenie i jego zakłopotanie.

– Lubię sobie skoczyć na piwko – kontynuował Hollies. – Nie przeczę. Ale jestem w domu każdego dnia zawsze o tej samej porze. Gdybym się nie pojawił, musiałby być ku temu solidny powód. Źle mówię? Powiedz sama, Lena.

Jego żona posłała mu drobniutki uśmiech, zwięzając oczy tak, że wyglądała teraz niczym stary Chińczyk. Nic nie odpowiedziała.

– Taki zawarliśmy układ. Melduję się co do minuty. Obiad czeka na stole. Zawsze tak było.

– Wiesz, na czym sprawy stoją – skomentował Terry.

– Właśnie. Wiem, na czym sprawy stoją. I na tym polega małżeństwo.

Zamówiono kolejne drinki, jako że należało wykorzystać każdą minutę tego wieczoru – wolnego od dzieci dzięki uprzejmości gospodyni, która podjęła się opieki nad pociechami Smithów. Terry wygłaszał frazesy i wyrażał głośną aprobatę przy każdym zdaniu rozmówców; jego żona ukradkiem pocierała pod stołem nogą o nogę Fishera. Pani Hollies zatraciła się w sączeniu tajemniczego drinka o kolorze jadeitu, a w tym czasie jej mąż snuł rozwlekłą opowieść o jakiejś parze, która ustaliła między sobą, że każde z nich może prowadzić własne życie. W stanie zamroczenia Fisher widział pewną logikę w opisywanym układzie. Tymczasem puenta była taka, że pakt, chociaż ogólnie zaakceptowany, przeczył harmonii. Młody mężczyzna upijał się ze swoją byłą, ale tłukł żonę, ilekroć zastał ją w łóżku z lokatorem.

Ów żart, typowy przedstawiciel dowcipów rodem z zadymionych pomieszczeń, w najmniejszym stopniu nie ubawił Fishera.

– I wiecie, co się stało? – Hollies zdawał się kierować słowa bezpośrednio do Sandry,

pochylił się bowiem nad stołem i wywijał ręką przed jej zerkającymi z ukosa oczami. – Zagroziła, że odejdzie. Spakowała walizki ze wszystkimi rzeczami. A wtedy on spuścił lokatorowi łomot i sprawa się zakończyła.

– No to się doigrała – podsumował Terry.

– A co, jeśliby lokator okazał się silniejszy? – zapytał Fisher, mocno już skołowany.

– Nie okazał się.

To rozstrzygnęło spór. Hollies osunął się na oparcie, przepełniony pijacką dumą człowieka, który walczy ze sobą, by nie zwymiotować.

– Zakładam, że nie jesteś żonaty, mój panie? – zagadnął Fishera.

Wraz z pytaniem stolik odzyskał zainteresowanie, krzesła zaszurały, a do szarych komórek powrócił porządek. Perfumy Sandry zapachniały z większą mocą.

– Jestem – odparł. – Chwilowo jednak żyjemy osobno.

Z szepczących ust posypały się wyrazy współczucia. Palce Sandry natychmiast przyniosło do dłoni Fishera.

– Do czasu – kontynuował – gdy poukładamy swoje sprawy.

– Zdroworozsądkowe podejście – stwierdził Hollies. – Gdyby wszyscy ludzie mieli dość rozumu, by tak postąpić, mniej byłoby problemów dookoła. – Wyżłopał pół pinty.

– Kiedyś Sandra zagroziła, że mnie zostawi – odezwał się Terry. – Posprzeczałyśmy się o pieniądze. Powiedziała, że wyniesie się do rodziców.

Zwierzenie wygłosił beznamiętnie, bez wzmianki o wybaczeniu – ot, interesujący fakt z życia, wygrzebany na dnie kufla. Sandra spłonęła rumieńcem, a jej banalne rysy nabrały ostrości wokół zaciśniętych ust sprawiając, że schludny sweterek i spodnie zaczęły nagle wydawać się zbyt starannie uprasowane w zestawieniu ze spospoliciałą twarzą.

– Samo się jakoś ułożyło? – To Hollies.

– Po czasie. – W głosie Terry'ego słychać było teraz rezerwę.

– Kwestia kompromisów. Kwestia kompromisów.

Fisher dostarczył kolejne trunki, więc po chwili Hollies mówił jeszcze głośniej, jego żona uśmiechała się w sposób jeszcze bardziej szczwany, a Terry Smith ślaniał się w drodze do toalety. Sandra znów rozchyliła usta; odzyskała zimną krew. Konwersacja przybrała teraz formę dialogu między Holliesem i Terryem na temat piłki nożnej, wandalizmu kibiców i temperamentu oraz umiejętności zawodników. Obwiniali menedżerów, pokusy finansowe, prasę, niedouczone dzieci. Na ile Fisher zdołał wywnioskować, żaden nie chadzał na mecze, zadowolając się oglądaniem rozgrywek transmitowanych przez telewizję w sobotę wieczorem lub w niedzielę po południu. Obydwaj odważnie formułowali potępiające wyroki, innym razem deklarując żarliwe poparcie – nierzadko stojące w sprzeczności z tym, co padło z ich ust kilka chwil wcześniej. Do rozmowy włączył się mężczyzna siedzący przy stoliku obok oraz kelner, ścierający właśnie blaty i zbierający puste kufle. Podczas gdy cała ta hałaśliwa zabawa trwała w najlepsze, pani Hollies, o dziwo, odezwała się skrzekliwie:

– Jack, już dziewięta trzydzieści. Nie zdążę zażyć mojego spaceru wzdłuż morza.

– Tutaj jest ci wystarczająco dobrze – Bełkoczący głos.

– Może jeszcze po jednym – nalegał Terry.  
– Idę – powiedziała kobieta. – Inaczej nie zasnę.  
– Przejdę się z tobą. – Fisher, głupkowato.  
– Chodźmy wszyscy. – To Sandra. Terry wyglądał na niepokieszonego.  
– Wy, moje panie – głos zabrał Hollies, wylewny przewodniczący – zróbcie rundkę nad morze z panem Fisherem. Terry i ja posiedzimy tu jeszcze i poszukamy antidotum na bólaczki tego świata.

Smith spojrział nieśmiało na żonę.

– Poradzimy sobie – powiedziała. – Przyda mi się odrobina świeżego powietrza.

Opróżnili szklanki, po czym obydwaj mężowie wstali, aby odprowadzić panie do wyjścia.

– Tylko mi się nie zgubcie. – Hollies uśmiechał się promiennie.

– Nie chcielibyśmy, żebyście wróciły do domu razem z poranną dostawą mleka.

– Przypuszczam, że będziemy przed wami – cierpko odparła Sandra.

Na zewnątrz wiał już chłodniejszy wiatr. Niebo ponad ogródkiem zasnuły niewyraźne chmury.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęło padać – powiedział Fisher, który szedł w środku.

Sandra natychmiast skorzystała z jego ramienia, ciężko się na nim opierając. Pani Hollies, niebędąca pod wpływem alkoholu, posuwała się drobnymi, dziarskimi krokami po jego lewej stronie. Roześmiani, zaczęli przyśpieszać, aż w końcu, wciąż w jednym szyku, przeszli w bieg, szarżując przez całą długość obsadzonej drzewami ulicy. Zatrzymała ich Sandra, pozbawiona tchu, zadyszana, osuwając się bezwstydnie na Fishera, który objął w talii obydwie kobiety.

– No, to nas otrzeźwiło – powiedział.

Pani Hollies, z przekrzywionym kapeluszem, uwiesiła się teraz na nim równie desperacko jak Sandra, opierając drobną twarz o tkaninę jego rękawa.

– Spokojnie – zawołał. – Przewróćcie mnie. – Przelotnie musnął drobną lewą pierś Sandry, po czym wyprostował się, by mogli ruszyć dalej, zachowując już większą powściągliwość.

– Założę się, że dalej gadają o futbolu – zaryzykowała Sandra, gdy dotarli do bulwaru. Zeszli po schodach, każde z osobna, z czego ostatnie trzy stopnie Sandra pokonała skokiem, lądując na piachu z ramionami w górze.

Marsz po plaży był powolny, stopy grzęzły w piasku. Porywy chłodnego wiatru smagały twarz i włosy. Stanęli na brzegu morza, które pomimo bryzy pieniło się małymi falami, oliste w przyćmionym blasku.

– Pogoda się zmienia – rzekł Fisher.

Obie kobiety trzymały go w pasie.

– Pięknie tu – odezwała się Sandra.

– Nie rozumiem, co ci faceci mają w głowach, że chce im się siedzieć w takiej dusznej atmosferze – skomentowała pani Hollies, Lena. – Rzeško tu.

– Terry będzie pijany, jak wróci do domu. – Sandra położyła głowę na ramieniu Fishera,



on zaś osunął badawczą rękę na jej prawy pośladek.

– Byle był uprzejmy – powiedziała Lena.

– Mniejsza o dzisiejszą noc. Bardziej boję się jutra.

Fisher pogłaskał ją. Sandra ledwie dostrzegalnie skrzyła się z wdzięczności.

– Wiem, czego będzie chciał mój mąż – powiedziała Lena.

– Czego? – wyszeptała Sandra.

– Seksu. Normalnie nie pije za dużo, ale jak się spiknie z kimś, kto mu podpasuje, jak twój mąż na przykład, wypija jedną lub dwie kolejki ponad swoje siły. A potem zawsze jest tak samo.

Kobieta mówiła z niezmienną bojaźliwością, a jednocześnie z całkowitym przekonaniem, jakby doskonale zdawała sobie sprawę z efektu, jaki wywrą jej słowa.

– Ma pięćdziesiąt sześć lat – powiedziała. – Jedenaście lat więcej ode mnie, a wciąż nie stracił apetytu na igraszki. W sąsiednich sypialniach słycać każdy dźwięk. Niektóre z tych ścian są naprawdę cienkie. Zawsze mu to powtarzam. Ale do niego to nie dociera.

Fisher stał rozgrzany z podniecenia: po lewej cichy głos dzielący się wyznaniem, po prawej intensywne doznanie delikatności odpowiadającego na dotyk kobiecego ciała. On pieścił, ona poruszała się razem z nim. Nikogo innego w zasięgu wzroku, sami wśród podmuchów wiatru i cichego szumu morza. Nękany przez frustrację, rozglądał się nerwowo niczym zając na miedzy. Gdyby tylko pozbył się całej tej Hollies – ale nie, ona musiała ich kusić, przywlec tutaj, swoimi podszeptami nakłonić go do obmacywania. Chciałby teraz poznać myśli Sandry albo móc porwać ją w ramiona, by wnet rozciągnąć ją nagą na plaży i ostudzić swą dzikość w jej ciele przy wtórze szemrzącego morza.

– Pościgajmy się znowu – zażądała Sandra.

– Wy, młodzi, proszę bardzo – odpowiedziała Lena. – Ja dziękuję.

– Obojgu nam dałabyś radę.

– Ja powiem „start”. Trzy, dwa, jeden, poszli.

Ruszyli na ukos w kierunku bulwaru, najpierw po twardym przybrzeżnym piachu, a po chwili grzęznąc w miękkim, wchodzącym do butów podłożu. Fisher truchtał bez większego problemu, dając dziewczynie fory. Po pięćdziesięciu, sześćdziesięciu jardach – nie potrafił tego dokładnie ocenić – gdy tylko gwałtownie skryli za plażową kabinę, położył jej dłoń na ramieniu. Pisnęła, zatrzymała się, obróciła, a następnie przyłożyła usta do jego warg. Pocałowali się z taką siłą, że omal nie upadli.

– A gdzie Lena? – zapytała w końcu.

Stał teraz za nią, z rękami pod jej kusą kurtką z kapturem. Podciągnięty sweter odsłaniał nagi brzuch.

– Nie widzę jej – odpowiedział z cienia.

Stała bez tchu, podczas gdy on głaskał ją po brzuchu i wciskając rękę w jej spodnie, muskał włosy łonowe.

– Nie – powiedziała żałośnie. – Czuję się pijana.

Wycofał rękę, ale nie od razu, tylko ścisnął ją mocno w pasie, pozwalając jej zaraz obrócić się do ponownego pocałunku z rękami ochoczo zaplecionymi wokół jego szyi.

– To mi się podoba – odezwała się.

– Idzie.

Sandra wyplątała się z jego objęć i pruderyjnie złapała go pod ramię w oczekiwaniu na Lenę. Fisher złożył ukłon przed panią Hollies, która zmierzała w ich kierunku, uderzając pięścią w ścianę kabiny.

– Dziesiąta – powiedziała. – Chodźmy do domu. Zanim wy dwoje zrobicie coś, czego nie powinniście.

Wydała z siebie krótki śmiech, wsunęła rękę Fisherowi pod ramię i szarpnęła.

– Założę się, że na tapecie nadal jest futbol – powiedziała Sandra. Mówiła spokojnie, już ochłoneła.

– Nie. Teraz są sprośności – zaproponowała Lena. – I przechwałki, ile to razy są w stanie w ciągu jednej nocy. Dobrze mówię, prawda, panie Fisher?

– Prawda.

– Mężczyźni. Tylko jedno im w głowie.

Sandra ścisnęła go za rękę, tymczasem Fisher koncentrował się na pani Hollies, która dumnie kroczyła, bujając się na boki. Płochliwe stworzenie z pubu może nie jakoś drastycznie, ale jednak przeistoczyło się z milczącej postaci w komentatora. Z pewnością w stosunkach małżeńskich to ona stawiała na swoim. Cała trójka przemierzyła ostatnie przecznice tak z siebie zadowolona, że Fisher, rozbieganymi palcami wciąż poszukujący piersi, ucałował obie kobiety.

– Ach, gdybym była ciut młodsza – powiedziała Lena – już ja bym cię rozruszała.

– O ty, niegrzeczna! – zareagowała Sandra.

– Oj, byłabym niegrzeczna!

Panowie jeszcze się nie pojawili. Wracając z toalety, Fisher nie słyszał żadnych dźwięków z innych pokojów. Przygnębiony, potępiając się w duchu za brak zdecydowania, rozebrał się i położył na łóżku z książką. Usłyszał otwierające się na dole drzwi, odgłosy wspinaczki po schodach i przyciszone głosy mężów – powoli odpływające szepty.

– Dobranoc, brachu.

– Dobranoc – odpowiedział Terry.

– Pchły na noc.

Znów ciche trzaśnięcie drzwiami, pomruk konwersacji, człapanie do toalety. Cisza. Odłożył książkę i podszedł do okna. Samochody przemykały ulicą, ktoś tupał cicho na chodniku, zaciągnięte zasłony rysowały się na tle sypialnianych świateł, jakiś facet gwizdał na psa. Nad Morzem Północnym środa dobiegała końca.

Fisher, Fisher.

Zszedłszy na śniadanie, przy talerzu znalazł widokówkę.

Wollaton Hall.

Odwrócił ją i przeczytał: „Zabrakło mi odwagi. Przepraszam. Meg”.

Poddał kartkę analizie, zastanawiając się, skąd żona wzięła jego adres. Być może wyciągnęła jakoś od ojca, bardziej jednak prawdopodobne, że to David zarządził napisanie przeprosin i zwyczajnie wszystko jej podyktował. Życzenie spełniła, lecz nie bez ironii: zielonym atramentem, niechlujnymi literami. Pan E. A. Fisher. Słowa zapisane w jednym rzędzie z adresem, żeby listonosz mógł przeczytać... Ojciec i matka zawsze zapisywali wiadomości pod kątem prostym. Śmiać mu się zachciało, gdy pomyślał o głupotach, z jakich spowiadali się na kartkach. Pogoda. Odległość od morza. Posiłki. Zaznaczyliśmy nasz pokój krzyżykiem. Mamy nadzieję, że Edna dobrze się bawi w Filey. Skróty. Najsr. pzdr. z wakacji. „Arthurze, nie zapomnij dzisiaj wziąć długopisu. Wysyłamy kartki. Najpóźniej w środę. Lepiej byłoby we wtorek, wtedy dotrą przed nami”.

Rodzina Smithów pojawiła się pełna animuszu. Chłopcy, starannie wyszorowani, z błyszczącymi blond włosami, gotowali małe piąstki, by zacisnąć je wokół łyżek do płatków. Terry, równie wypielegnowany, przywitał się machnięciem dłoni. Sandra w krótkiej letniej sukience skupiała uwagę na dzieciach i precyzyjnym rozlokowaniu ich krzeseł, lecz udało jej się znaleźć chwilę, żeby się uśmiechnąć i poinformować Fishera, że tranzystor ogłosił kolejny słoneczny dzień.

Pięć minut później przyczłapali ostatni goście, Holliesowie – Lena na przedzie. Ubrana była w dwuczęściowy kostium podkreślający jej niewielki wzrost, redukujący nogi do rozmiaru zapalek. Mąż miał na sobie garnitur w kolorze marynarskiego błękitu, ale nawet w samej koszuli i w szelkach nie mógłby wyglądać swobodniej. Włosy przyliżał wodą z kranu, a od szerokiej twarzy ziało balsamem po goleniu. Przywitał się z egzaltacją, lecz tak jowialnie, że Fisher z przyjemnością wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tego ranka podarujemy sobie wstęp – powiedział do kręcącej się nieopodal kelnerki – i od razu uderzymy z grubej rury. Bekon, jajko, pomidory, kiełbaski, frytki, szpinak... pełen jadłospis.

– Nie mamy szpinaku – zachichotała dziewczyna.

– Dziewczę drogie, to jak ja mam teraz dostarczyć organizmowi niezbędnych witamin?

Wymawiając słowo „dziewczę” niczym osobnik z okolic Londynu, rozbawił Fishera: północna flegma, cockneyowski sznyt. Chłopcy Smithów przerwali powolny posiłek, aby nacieszyć się głośnym przedstawieniem. Sandra zmobilizowała ich do pochylecia się z powrotem nad talerzami. Pani Hollies, daleka od oburzenia, nic nie mówiła; mrużyła tylko oczy nad swoim daniem. Fisher postanowił, że kupi pocztówkę i odpowie Meg. Zaczął układać replikę. „Dziękuję za kartkę. Zabrakło odwagi – na co?” Nie, w taki dzień jak ten stać go było na większą wspaniałomyślność. „Miło znów zobaczyć twoje pismo”. To już

lepiej. Zadzwoń do Vernona i powiadomi go o nawiązaniu kontaktu.

Na półpiętrze wdał się w kilkuminutową konwersację z Terryem, podczas gdy Sandra w toalecie doglądała ostatnich przygotowań chłopców.

– Wczorajszy wieczór był bardzo przyjemny. – Gambit Fishera. Sandra coś mówiła? Sam się sobie dziwił, że nie potrafi jej zaufać i woli się upewnić, czy trzymała gębę na kłódkę. Mogła coś chlapać, choćby po to, żeby zirytować męża, zabić nudę lub zrekomensować sobie lekką niestrawność albo bezsenność godzinę; mogła się jej wymknąć jakaś uwaga, a może wręcz pełne zdanie. Ten miły pan Fisher obmacywał mnie na plaży, kiedy ty chlałeś piwko.

– Tak, fajna odmiana. Wiesz, wieczorami nie wychodzimy zbyt często. Z chłopcami się nie da.

– Żona dobrze się bawiła?

– Owszem – zaśmiał się Terry. – Mówiła, że ścigaliście się po plaży. Nie sądziła, że Holliesowa jest w stanie biegać choćby w połowie tak szybko.

– Zaskoczyła mnie. I całkiem niezła z niej gaduła. Przy mężu słowem się nie odzywa.

– No, niejedno ma do powiedzenia. Któregoś dnia uciałem sobie z nią pogawędkę. Wiesz, na pikantne tematy. Wydaje mi się, że część z tego, co mówi, leży już trochę na granicy przyzwoitości. W szczególności dla kogoś, kogo ledwie zna. – Zamyślił się. – Nie żebym miał coś przeciwko. Może sobie mówić, co jej się podoba.

– A wygląda na taką szarą myszkę...

– Na takie właśnie trzeba uważać.

– Nie słyszałem wczoraj, jak wchodziłeś.

– Staralem się być cicho. Nie chciałem obudzić chłopców. Sandra nie spała.

– Czyli nie napytałeś sobie biedy?

– O, nie. Wręcz przeciwnie. – Otarł usta jak mężczyzna po wypiciu porządnego drinka, okazując tak naiwne, otwarte samozadowolenie, że Fisher mu pozazdrościł. Prostota tej miary nie powinna istnieć. A Sandra? Podniecona pieściznami męża, rzadko u niego spotykanym alkoholowym oddechem czy nieznanym znanym brzegu morza? Czy nic z tych rzeczy? Wyłoniła się z łazienki, w rękę trzymając nocnik, który bez żenady poleciła mężowi opróżnić, po czym zapytała Fishera, co na dziś zaplanował.

– Mówiąc szczerze, jeszcze nie zdecydowałem. Tak się złożyło, że muszę napisać kartkę z wakacji.

– Przypuszczam, że tak wypada. Chociaż nie wiem. Strata pieniędzy. Nikt ich potem nie czyta, prawda?

Fisher zapytał o jej plany.

– Ach, jak zwykle. Na plażę. Babki z piachu i grabki.

– Lubisz to?

Zmarszczyła nos, jakby dobrze wiedziała, co ją naprawdę bawi.

– Owszem, w słoneczny dzień. Lubię się opalać, żeby inni potem widzieli, że człowiek był na wakacjach. Oni nie są tacy źli, to znaczy chłopcy, nie naprzykrzają się za bardzo.

– Twój mąż świetnie sobie z nimi radzi.

- A tak, Terry. To prawda.
- Podobało ci się zeszłej nocy? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy.
- Tak, podobało. – Odpowiedziała z naciskiem, prowokująco.
- W takim razie spróbujemy znowu.

Odwróciła się po tych słowach i skierowała do sypialni, wzywając rodzinę, żeby się zbierała. Pozostawiony sam sobie, Fisher odczuł chwilowy niepokój, lecz Sandra prędko wróciła, odsłaniając zęby w pełnym uśmiechu, czym natychmiast rozwiała jego wątpliwości.

Poświęcił Smithom jeszcze chwilkę, a następnie udał się potajemnie do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do Vernona. Połączenie szybko zostało nawiązane. Doniósł o pocztówce.

- Toż to chyba dobry znak, co nie? – Teść, komediant z walijskiej doliny. Rozmowa toczyła się dość bezładnie, aż w końcu Fisher się zdenerwował.
- Chcesz mi powiedzieć, że nie odezwała się do ciebie? – zażądał wyjaśnień.
- Nie, a powinna?
- Musiała zdobyć mój adres od ciebie, i to wczoraj, więc przypuszczalnie rozmawiałaś z nią.
- Mogłem wysłać jej telegramem.
- Bzdura.
- Albo matka rozmawiała z nią przez telefon.
- Wspomniaby o tym – uciał Fisher.
- Nie oznacza to jeszcze, że ci tę kartkę podrzuciłem. Nie, Edwinie. Myślę sobie... że to dobry znak, że zadała sobie trud. Dzwoniłem do niej; podałem twój adres. Okazało się, że wyruszyła nawet w drogę. Dojechała do Grantham i zawróciła.
- Czemu?
- To twoja żona. Powinieneś wiedzieć lepiej niż ja. Jest teraz bardzo niestabilna.
- Czy zechce ze mną porozmawiać?
- Przykro mi to mówić, ale jako z ostatnią osobą na świecie... Skończyliśmy właśnie śniadanie. Przyjdź do nas, jeśli masz chęć. Bardzo mnie zmartwiła.

Idąc w kierunku Frankland Towers, Fisher zastanawiał się, jaki znów dramatyczny spektakl Meg odegrała na użytek swojego ojca. Zwykle potrafiła uprawiać błazenadę w całkiem trywialnych okolicznościach, gdy natomiast zmarł jej syn, milczała wykonując drobne obowiązki domowe, jak gdyby jedynie skupienie uwagi na tym polu mogło ją uratować. Nie zbliżył się wtedy do niej; równie niedostępna jak małe zwłoki, sprzątała i gotowała z bladymi ustami zamkniętymi na kłódkę.

Przypomniał sobie, jak kiedyś, jeszcze w pierwszych dniach małżeństwa, wrócił późno z londyńskiej szkoły publicznej, w której wtedy pracował. Zapomniał sobie zapisać, że tego dnia miała się odbyć wywiadówka z rodzicami i dlatego nie uprzedził Meg. Nie mieli wtedy telefonu, ale wysłał wiadomość za pośrednictwem kolegi, który mieszkał w pobliżu. Nie zastawszy nikogo w domu, tamten urwał kawałek koperty i nabazgrał: „Edwin ma spotkanie. Będzie w domu około dziesiątej”. Wetknął notkę w drzwi.

Fisher, styрани, stanął w progu o dziesiątej trzydzięci i zastał żonę w szlafroku, czekającą na niego z szaleństwem w oczach. Przebiegło mu przez myśl, że Preston nie dostarczył wiadomości.

– Postanowiłeś się jednak pojawić? – zapytała.

Padł na fotel i zaczął rozwiązywać buty, po czym poluzował krawat.

– Zamęczali mnie przez cały wieczór – pozalił się.

– Byłeś w szkole? – Ton obojętny.

– Wysłałem ci wiadomość przez Adriana Prestona.

– Nie dotarła.

Wygrzebał pantofle i ponownie osunął się na fotel. Meg nie ruszyła się o włos; stała w napięciu, ciężko oddychając.

– Zrobić drinka? – zapytał.

– Więcej myślisz o tej cholernej szkole niż o mnie.

– Meg, to głupie. Masz ochotę na filiżankę kawy?

Wstał, a nie uzyskawszy odpowiedzi, wzruszył ramionami i udał się do kuchni. Już miał popchnąć drzwi, gdy raptem roztrzaskał się na nich flakon. Odskoczył zdumiony, zasłaniając ręką oczy. Odłamek dosięgnął jego marynarki, odbił się delikatnie i upadł na ziemię. Fisher odwrócił się.

– A to co ma znaczyć? – Takim samym surowym głosem zwracał się do krnąbrnej klasy licealistów.

– Ty arogancki sukinsynu – rzekła.

– Słuchaj...

– Sam siebie, kurwa, posłuchaj! – krzyknęła.

Spiorunował ją wzrokiem. W głowie pulsowała mu krew, policzki, choć zastygłe jak lód, płonęły żywym ogniem, wargi drżały. Usta Meg delikatnie otwierały się i zamykały, nie wypowiadając słów. Zaciskała zbielełe pięści, a z twarzy, wykrzywionej nie do poznania, odpłynęło życie. Wtem jego ciało zadrżało, wstrząśnięte gniewem, skierowanym jednak do wewnątrz, przeciw samemu sobie, jak gdyby nerwy zbuntowały się przeciwko innym oszalałym nerwom, ścięgną przeciwko ścięgnom. Patrzył uporczywie – bynajmniej nie bezmyślnie, po prostu to, w co się wpatrywał, wydawało się pozbawione perspektywy – aż wreszcie odważył się odwrócić od żony plecami, otworzyć drzwi i wejść do zmywalni. Nawet gdy stał już w środku, wciąż czuł, jak szyja i ramiona tężeją mu z obawy przed jakimś pociskiem, który mógłby wlecieć przez zamknięte drzwi i go powalić. Zanim nastawił czajnik, siedział ogłupiały przez kilka minut. Z przerażenia ścisnęło go w żołądku.

Zrobił sobie rozpuszczalną kawę, wypił ją na miejscu, powoli opłukał i osuszył porcelanę.

Zwykle ostatnią rzeczą, jaką robił przed snem, było czyszczenie butów. Zdał sobie sprawę, że tym razem zostawił je w jadalni, przy fotelu. Całkowicie wyzuty z sił, z ciężko związającymi rękami, niepewnym krokiem wrócił do pokoju. Meg wciąż tam stała, ale nie spoglądał w jej stronę, podniósł tylko buty i wycofał się. Pastowanie – czynność, którą dzięki naukom Arthura wykonywał z dumą – dobrze mu zrobiło, więc odkładając na miejsce pus-

kę, dwie szczotki i małą aksamitną ściereczkę, pojął, że musi porozmawiać z żoną. Przemysłał sprawę, a potem dobór słów. Podjął decyzję i przećwiczył jeszcze raz cały zabieg.

W końcu wszedł do pokoju i stanął plecami do drzwi.

– Przepraszam cię, Meg. Myślałem, że wiesz.

– Myślałeś – odparła. – Czy ty w ogóle jesteś zdolny do myślenia?

Nie dał się sprowokować: sarkastyczne pytanie świadczyło o pewnym stopniu stabilności, objawiającej się w jej przypadku naśladowaniem Ojca Davida.

– Rzadko – powiedział, uśmiechając się smutno, bez zakłopotania.

– Nie zasłużyłeś, by nazywać cię przedstawicielem rasy ludzkiej.

Zabrzmiało to tak niedorzecznie, że aż podniósł wzrok w nadziei, że zobaczy, jak uraza w niej gaśnie, przeistaczając się w parodię gniewu.

– Zapewne.

– Zapewne – przedrzeźniała. – Zapewne. Jesteś pieprzoną świnią.

– I każdym innym szkaradztwem. Idę do łóżka. Ty rób sobie, co chcesz.

– Ty złamasie, obleśny wrzodzie.

– Stać cię na więcej – oenił. – Łóżko czeka.

Kiedy ją mijał, uderzyła go w prawe ramię – nie za mocno, trochę jak w żartach. Złapał Meg za klapę szlafroka i szarpnął z taką siłą, że żona zatoczyła się na niego i upadła, potykając się o stolik. Bez pośpiechu, upewniwszy się wpierw, że nic jej się nie stało, opuścił pokój.

Na górze usiadł bez tchu na łóżku i nasłuchiwał. Cisza jak makiem zasiał. Zabrał się za nakręcanie dwóch sypialnianych budzików, sprawdził, na którą są nastawione i rozebrał się. Chociaż wiedział, że i tak nie zaśnie, wgramolił się do łóżka z całą swobodą, na jaką było go stać. Nocna bielizna leżała złożona w kosteczkę. Meg zadbała również, by narzuta układała się bez żadnych zagięć, a poduszki leżały nieskazitelnie wygładzone.

Usłyszał krzyk, który dotarł gdzieś z dołu.

I zaraz całe mieszkanie zaczęło dudnić od silnych uderzeń, jakby ktoś tłukł czymś wściekle w dywan, zachowując wszakże spore odstępy między grzmotnięciami. Pojęcia nie miał, co żona wyprawia, ale mógł sobie wyobrazić, że stoi z miotłą i smaga nową kanapę po skórzanym obiciu. Odgłosy przedstawienia niosły się po całej cholernej dzielnicy, o jedenastej w nocy; cienkie ściany bliźniaka nie zapewniały zbyt wiele prywatności. Zwlókł się z łóżka, nie miał jednak odwagi zejść na dół, tylko ciągnąc za sobą szlafrok, wahał się i krążył po pokoju.

Skończyła; kanonada ucichła.

Zziębnięty, marząc o papierosie, niezgrabnie, ale bezszelestnie skierował się na schody. Otworzył drzwi jadalni.

Światło nadal się paliło, a powietrze wypełniał ciężki zapach kurzu. Kanapa i dwa fotele leżały przewrócone, stół również. Ściągnęła kilka książek z jednej z półek nad kominkiem i cisnęła je na podłogę. Ledwie tuzin, góra dwadzieścia, w jasnych nienaruszonych oprawach... rozrzucone stanowiły żalosny widok. Telewizor i radio pozostały nietknięte, trzykrotka w swoim koszyku także się uchowała, podobnie jak paskudna reprodukcja *Loty*

Renoira wraz z gablotką na porcelanę oraz fotografią jej ojca i matki.

Drzwi do zmywalni były uchylone.

Meg opierała się o zlew. Przez chwilę sądził, że wymiotuje, ale nie poruszała się.

– Kochanie, chodź do łóżka – zawołał. Nie odpowiedziała. Niczego się nie spodziewał, ale i tak wziął ją za rękę. Teraz czas na agresywne szarpnięcie, plugawe wyzwisko, grad ciosów... Nic z tych rzeczy. Potulnie dała się poprowadzić do zdemolowanego pokoju, gdzie wykonała szeroki gest zmęczenia, który mąż z łatwością odczytał.

– Jak już zaprowadzę cię do łóżka, wszystko tu poukładam – obiecał.

Wspólna wspinaczka po wąskich schodach nie należała do najłatwiejszych, ale ustępowali sobie nawzajem, ofiarnie się potykając. Wczołgała się do łóżka nic nie mówiąc, nie płacząc ani nie zakrywając twarzy; położyła się tylko spokojnie, a on zajął się pościelą, przykrywając ją po samą szyję niczym rozpieszczone dziecko. Na koniec pochylił się, dał żonie całusa i nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zszedł na paluszkach na dół.

Sprzątanie zajęło więcej czasu niż przewidywał. Mimo to praca sprawiała mu przyjemność. Zadał sobie trud, by sprzątnąć dywan mechaniczną szczotką i odkurzyć płaskie powierzchnie. Tym samym odpokutował winę, której czuć w ogóle nie powinien, a gdy wrócił oczyszczony do – jak się okazało – śpiącej już Meg, ta nie poruszyła się ani nie westchnęła, kiedy wchodził do łóżka.

Rozbudzony, uwikłany w nieuporządkowany bieg myśli, nawet nie próbował jej dotykać.

Wpół do jedenastej. Późnoporanne przedstawienie we Frankland. Młody chłopak z recepcji zadzwonił do pokoju Vernonów, poprosił Fishera, by usiadł i po oszacowaniu jego garnituru uczynił wzmiankę na temat dopisującej w te wakacje pogody.

Vernon dołączył do zięcia, siedzącego na jednej ze stojących na uboczu sof. Starszy mężczyzna nie ogolił się, nie zczesał też włosów w żadną schludną formę. Ze skwaszoną miną zmiął posepnie swoją drogocenną marynarkę. Nie padła żadna oferta dotycząca kawy lub czegoś mocniejszego.

– Co powiedziała? – zaczął Fisher.

– Istotnego... niewiele.

– Byłbyś zatem łaskaw przekazać mi tych kilka szczegółów?

– Wyruszyła. Dojechała ledwie do Grantham. Przestraszyła się. Zawróciła. Gdy zadzwoniłem o czwartej, siedziała w domu roztrzęsiona. Bez obiadu.

– Czego tak się bała? – nalegał Fisher.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy jej opowieść jest prawdziwa. Równie dobrze mogła sobie uzmysłować, że zgadzając się na spotkanie z nami, posunęła się dalej niż zamierzała.

– A czemuż to?

– Jeśli ci odpowiem, będę zgadywał, więc może zrób to sam.

– Czy naprawdę wierzysz w to, że wyjechała? – zapytał Fisher.

– Tak powiedziała.

– Nie o to pytałem.

– Skąd miałbym mieć pewność?



Wątkowali temat, zadając jeszcze jedno czy dwa pytania, aż w końcu żal im się zrobiło siebie nawzajem. Jedno stało się jasne: żadnego oświecenia nie będzie. Fisher skupił uwagę na teściu, tak radosnym podczas niedawnej rozmowy telefonicznej, który teraz, odzywając się ponuro, co rusz wiercił się, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji.

– Czy mogę cię o coś spytać?

Vernon podniósł wzrok z uśmiechem – nutka diabelskiego usposobienia – a następnie skinął dwornie, udzielając pozwolenia.

– Skąd to nagle zwątpienie, Davidzie?

Rzadko zwracał się do starszego mężczyzny po imieniu, chociaż teść nieraz namawiał go, by tak czynił.

– Zwątpienie? – Nie poprosił o bardziej precyzyjne pytanie. Mówił jak skazaniec, któremu udaremiono ucieczkę.

– Czy – Fisher wskazał palcem w górę – mamuśka na ciebie wlaźła?

– Niespecjalnie. Irene chce natychmiast wracać. Trochę sobie szłocha... To nie to, to ta druga mnie martwi.

– Do tego stopnia, że nie zdążyłeś się ogolić?

– Ach, rozumiem. Wydaje ci się, że byłem tak zajęty podawaniem soli trzeźwiących i umizgiwaniem się do Irene, że nie znalazłem czasu na nic innego? – Poskrobał się po szczecinie. – Nic z tych rzeczy. Przywilej wakacji.

– Lubię Irene – wypalił Fisher pokrętnie.

– To miło, to miło. Nie, Meg brzmiała nieciekawie, ale mówiła dość rozsądnie. I to mnie właśnie zaniepokoiło. Miała dość rozsądku, by zawrócić.

– Nie nadążam.

– Tak. Ja sam za sobą również. Widzisz, pomyślałem sobie, że spotkamy się i pogadamy. Nic nadzwyczajnego, ale rozmowa to zawsze jakiś początek.

– Przysłała tę kartkę. Z przeprosinami.

Podał pocztówkę przez stół. Vernon dłużej wpatrywał się w widoczek niż w kilka słów zapisanych po drugiej stronie.

– Wiedziała, że będziesz poruszony. Nie powiedziała byś chyba, że Meg brakuje wyobraźni?

– Ja jej nigdy nie zauważyłem.

– Tak. Trudno to w niej dostrzec, trudno. Podejrzewam, że potrafi zaleźć za skórę. Ale ja wciąż widzę w niej małe dziecko. Dla mnie niewiele czasu minęło od spacerów z wózkiem w czasie wojny. Kiedy tylko miałem przepustkę. Pamiętam, że była raczej spolegliwym dzieckiem.

– Potrzeba tuzina mężów, by ją zadowolić – powiedział Fisher.

– Seksualnie?

– Nie. Nie w tym sensie. To akurat jedyna sfera, w której nam się układało. Łóżko. Nie. Pewnie wszyscy tak mówią. Nikt się nie przyzna, że niedomaga w łóżku.

– Zdziwiłbyś się.

– Aha.

– Chyba była w miarę zdrowa psychicznie, jak uważasz?  
– Czemu o to pytasz? – Fisher poczuł niepokój.  
– Nie wiem, nie wiem. Powinieneś... ech, Boże, Edwin. Ona jest potworem. – Zaczął się śmiać, jakby z jakiejś ukrytej aluzji.  
– Świetnie. Co zatem proponujesz?  
– Gdybym miał jakiś pomysł, powiedziałbym ci od razu.  
– Powiniennem do niej zadzwonić?  
– A chcesz?  
– Nieszczególnie. Jestem z tych, co dają płynąć sprawom swoim nurtem.  
– Ale od czasu do czasu są gotowi zmacić wodę w stawie? – Vernon wkroczył teraz ekspansywnie.

– Cóż, może i tak.

Vernon wsunął rękę za kołnierz, drapiąc się po zarośniętej szyi.

– Edwinie, do niczego nie dojdziemy, siedząc tak tutaj i gadając. Potrzebujemy Meg na miejscu, w jej własnej osobie – nawet jeśli nie przy zdrowych zmysłach. Przynajmniej zobaczyłaby nas i przekonała się, że nie toczymy piany z ust. Ta dziewczyna żyje w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości.

– Nie sędzę – odparł Fisher.

– Zatem słucham.

Ziewnięcie Fishera nie skrywało znużenia.

– Było jej ciężko. Nic nie spełniało oczekiwań. A potem, na domiar złego, umarł Donald. Bóg mi świadkiem, że już wcześniej była wystarczająco chwiejna. Teraz musi być nieźle pokręcona psychicznie.

– Minął ponad rok. Prawie osiemnaście miesięcy. Wystarczająco dużo czasu na dojście do siebie.

– Zależy, jaką formę owo dojście do siebie przybiera. W jej przypadku prawdopodobnie uwzględniło ono pozbycie się ojca Donniego.

– Przestań. Przestań. To nie ma sensu. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że rzuciła cię, bo nie podobał jej się obraz w twojej jadalni. Nie wierzę w to. To nic nie wyjaśnia.

– Nie chcesz...

– Tak czy owak, chcę, nie chcę. Nie wiem, Edwinie, ale taka odpowiedź na pewno mnie nie satysfakcjonuje.

Siedzieli machając rękami, wyciągając chusteczki, licząc pieniądze i poprawiając ubrania.

– Co mówi Irene? – zapytał Fisher.

– Jeśli już chcesz wiedzieć, wydaje mi się, że jest po twojej stronie. Uważa, że Meg jest uparta. Ale ona nie uznaje sytuacji, w której żona porzuca męża.

– Nawet sprowokowana?

Vernon pokiwał głową – zdecydowanie, jakby potwierdzał głęboką prawdę.

– Czy ma zamiar porozmawiać z Meg? – znów zaczął Fisher.

Głowa Vernona zaczęła się mocno kiwać na boki.

– Wiesz, nigdy zbyt dobrze sobie z nią nie radziła. Gdy Meg była jeszcze mała, wygrywała z matką każde starcie. Irene ma kilka poglądów lub wyrobionych opinii, czy też uprzedzeń, pasujących do każdej sytuacji. I za nic ich nie zmieni. Można ją zdenerwować albo zranić, ale nie przekonać. – Westchnął, wydał głośne gwizdnięcie i poklepał się po otluszczonych żebrach. – To cholernie głupie, mówić coś takiego. Jakby dało się podsumować kobietę jednym zdaniem. Choćby nawet własną żonę.

– Wiem, co masz na myśli.

– Lepiej niż ja. – Vernon odegrał napad kaszlu. – Kiedyś Meg ukradła matce z portmonetki dwa funty. Mówiła ci o tym?

Fisher potrząsnął głową.

– Miała wtedy z piętnaście, szesnaście lat, dokładnie nie pamiętam. Potrzebowała pieniędzy na zakupy, a że była w domu sama, więc się obsłużyła. Zważ, iż zamierzała spytać, ale po prostu nikogo nie było w pobliżu. Tyle że Irene w stosunku do swojej portmonetki przypomina małostkową emerytkę. Wszystko wyliczone, co do pensa. No więc oskarżyła naszą bystrą małolatę, kiedy ta wróciła wściekła, bo nie dostała tego, co sobie upatrzyła. Oczywiście Meg zaczęła się wypierać. – Znów kaszlnął, tym razem sucho, prawie się dławiąc. – Klasyczna sytuacja.

– I co się stało?

– Trochę jak w tym wierszu Wordswortha o wiatrowskazie czy kurku. Nauczyła ją kłamać. W mig skoczyły sobie do gardeł. Meg trzasnęła drzwiami, zamknęła się w swojej sypialni, a kiedy wróciłem do domu, zastałem Irene załamaną, bliską histerii. – Wziął chusteczkę, strzepnął ją, wytarł twarz, a na koniec siarczyście wydmuchał nos. – Wrzeszczała na mnie, zażądała, żebym poszedł na górę i wyjaśnił sprawę z Meg. Ech! Kazałem jej usiąść. Wyciągnąłem wszystkie szczegóły. Potem wypiliśmy po filiżance herbaty. W życiu nie widziałeś większej burzy w szklance wody.

– Ty natomiast, człowiek prawa, byłeś całkowicie spokojny? – żartobliwie zapytał Fisher.

– Ma się rozumieć. Cała ta paplanina, że niby sprzątaczką jest podejrzana, nie miała żadnego znaczenia. Znaczenia nie miały też owe dwa funty. Bała się, że następnym razem to będzie pięć, potem dziesięć, a potem podrabianie czeków. Rozumiesz? No i kłamstwo. Stanowcze wypieranie się. Nigdy nie będzie już można wierzyć tej dziewczynie.

– Co powiedziała Meg?

– Że niczego nie wzięła.

– Uwierzyłeś jej? – zapytał, jak gdyby nie znał bohaterki opowieści.

– Nie.

– I co dalej?

– Powiedziałem Meg, że jej wierzę. Nic to nie dało. Zdołała już zamknąć się w sobie. Powiedziałem Irene, że zrobiłem, co mogłem, a Meg się wypiera, więc nie mam innego wyjścia, jak jej uwierzyć. Szczęśliwa nie była, ale przełknęła to jakoś w ciągu doby czy dwóch.

– A jaki z tego morał?

– Nie przyznawaj się do winy, dopóki dowody nie są przytłaczające. – Vernon wyszczerzył zęby, skrzywił się i poskrobał w szyję w okolicy kołnierzyka. – Podejrzewam, że Irene wpadła w złość i wystraszyła tym Meg, a przy tym dziewczyna jest uparta. Ot, cała prawda. Dzieciak palił się, żeby oddać pieniądze, dałbym sobie rękę uciąć. Jest bardzo szczodra. Idę o zakład, że dałaby je na Oxfam albo jakieś stowarzyszenie misjonarzy lub inny dobroczynny cel.

– Ale? – Fisher uśmiechnął się złowieszczo.

– Nie zamierzała dać się upokorzyć matce. Dlatego w tej kwestii nie pokładam zbyt wielkiej nadziei w Irene. Powiedzmy, że ich relacje są burzliwe.

– Z powodu tej historii?

– Oczywiście. I innych podobnych...

– To było piętnaście lat temu. – Ton Fishera wyrażał sceptycyzm.

– Niemniej jednak.

– Była jeszcze dzieckiem.

– Nie zapomniała, Edwinie. Tego możesz być pewien.

– Masz na myśli siebie. Ty nie zapomniałeś.

– Twoje słowo, Edwinie, twoja opinia przeciw mojej. Ale jeśli chodzi o jakieś naprawdę poważne kwestie, wątpię, żeby Irene i Margaret były w stanie rozstrzygnąć je między sobą.

– Z powodu jednej pyskówki sprzed lat porozumienie jest niemożliwe?

– Wszystkie problemy biorą początek od drobiazgów – powiedział Vernon powoli i wyraźnie. Brzmiał jak rodzic recytujący kołysankę dziecku, które nie umie mówić.

– Cóż – fuknął Fisher. – A jak ty wyszedłeś z tej awantury? Twoje relacje z córką się nie zmieniły?

– Musiały się zmienić. W tym wieku dzieciaki nie myślą logicznie. Pewnie wzięła mnie za głupka, ponieważ jej uwierzyłem, a może za idiotę, że nie dostrzegłem kłamstwa w jej zaprzeczeniach. Tak czy siak, okazałem życzliwość. I to się liczy.

– Kosztem matki?

– Słuchaj, to Irene do tego doprowadziła. Sama wszczęła awanturę.

– Może miała słuszość. Takie problemy biorą początek od drobiazgów. To twoje słowa.

– Może i miała, ale zrobiła za dużo zamieszania. Tyle tylko chcę powiedzieć. Nie twierdę, że nie powinna sprawdzić Meg, złając jej i ostrzec o konsekwencjach. W tym wszystkim mogła liczyć na moje wsparcie. Ale dosłownie wyjść z siebie, doprowadzić dziecko do nerwicy i zamienić cały dom w wariatkowo? To nie wydaje się zbyt rozsądnym posunięciem. – Potarł dłonią kark na wysokości kołnierzyka. – Nie muszę ci chyba mówić, że twoja dama wymaga odrobiny wyczucia. Pewnie myślisz, że ją rozpuściłem, co?

– Ma swoje kaprysy, przyznaję.

– Cholernie trudno jest mi patrzeć na to z dalszej perspektywy. Potrafi doprowadzić człowieka do szału, ale bywała też wielkoduszna i pomocna.

– I nieustępliwa.

– Mogłeś jej zaufać? – oskarżycielski palec Vernona zawisł w powietrzu.

– Nie mam pojęcia, jak odpowiedzieć na takie pytanie. Zaraz po naszym ślubie miała pracę, w której się sprawdzała. Potem siedziała w domu z Donniem. Czasem obiecywała, że weźmie się za jakieś domowe porządki. „Posprzątam dziś pokój gościnny”. Rozumiesz. Nigdy jednak tego nie robiła. Wydaje mi się, że to był rodzaj sugestii. „Co myślisz o tym, żeby posprzątać, itp., itd.?” Nie siedziała beczynn timer. Zawsze coś robiła. Często coś zaskakującego...

– To cię denerwowało?

– Ujmijmy to w ten sposób: czasem nie zaszkodziłoby się skonsultować. Przetarła piękny mahoniowy kredens i pomalowała na dziecinnie niebieski kolor. Miałem ochotę ją zamordować.

– Pytanie – Vernon zmarszczył brew z zainteresowaniem – czy zdawała sobie sprawę, jak cię tym rozwścieczy?

– To mnie właśnie zastanawiało. Myślałem, że każdy człowiek obdarzony choćby odrobiną gustu przeraziłby się na widok spustoszenia, jakiego dokonała. Ale dla niej mebel miał dziwaczny kształt, a lustro było nieco sfatygowane i w efekcie z takimi usterkami całość była niewiele warta. Politura, usłojenie, połysk drewna nic nie znaczyły. Dzisiaj myślę, że moja reakcja przeraziła ją równie mocno, jak mnie to, co zrobiła.

– Więc postąpiłeś źle?

– Przypuszczam, że tak.

– Napadłeś na nią?

– Przypuszczam, że kilka szyderstw mogło...

– Wciąż jesteś o to wkurzony, Edwin?

– Nie o mebel. Ale o fakt, że byłem tak głupi w ocenie jej uczuć.

– Nie lepiej było odpuścić, tak jak ja?

Fisher przytaknął, więc teraz obaj siedzieli przygnębieni, obserwując ze swojej kanapy nieustający przemarsz gości, sunących jak rybki za wysokimi szybami foyer. Wszystko świeciło, skąpane w słońcu; nikt się do nich nie przysiadł, ponieważ wokół miejsca było pod dostatkiem. A zatem podtrzymywali jedynie stan zakłopotania i zmartwienia, wzmagając go jeszcze słowami, których nie hamował żaden podsłuchiwaniec.

– Chciałbym cię o coś zapytać – odezwał się szorstko Vernon, pocierając ręce. Właśnie w tym momencie wydał się Fisherowi najbardziej obłudny. Nie poczekał na pozwolenie. – Kto kogo rzucił?

– Technicznie rzecz biorąc, odszedłem ja. Co prawda od kilku tygodni groziliśmy jedno drugiemu lub namawialiśmy się nawzajem do odejścia. Dosyć to dziecinne, jeśli spojrzeć z boku.

– Podejrzewam, że nieźle graliście sobie na nerwach. Poważna sprawa.

– Tak właśnie było. Ale nasze zachowanie... – wypalił Fisher, lecz zaraz zaczął się zastanawiać nad celowością swojego wyznania. – Warczeliśmy na siebie i raniliśmy się, walcząc o najdrobniejszą przewagę w słownej utarczce. Wstyd mi za to. Jednocześnie wiem, że gdybyśmy do siebie wrócili, chwila by nie minęła, a znów skoczylibyśmy sobie

do gardeł.

– Zatem myślisz, że małżeństwo skończone?

– Nie wiem, co myślę. Po jakimś czasie może dalibyśmy radę jakoś to posklejać. Postarać się o kolejne dziecko. Nie mam porównania. Czy kłóciliśmy się więcej niż inne pary, które trwają w związkach? A może agresywniej? Lub skuteczniej? Nie znam odpowiedzi na te pytania.

– Kochasz Meg, Edwinie?

– Bóg jeden wie.

Rozpoczęli następną rundę pytań. Kto co zrobił, kto jaki był, kto co mógł? Obaj zdawali sobie sprawę, jak bezcelowa jest ta wymiana zdań, ale przynajmniej swobodnie wypowiadali imię Meg, co przynosiło Fisherowi ukojenie.

– Myślę sobie... – powiedział w końcu.

– Tak?

– Nieważne.

– No już. Wyrzuć to z siebie, stary.

– Myślę, że powinieneś znów ją zaprosić. Zobaczymy, co się stanie.

– Nie. – Vernon pokręcił głową, jego zmarszczki się pogłębiły. – Nie. Wracasz w sobotę. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą. Niech się gotuje.

– Może potrzebować pomocy.

– W przyszłym tygodniu się z nią zobaczę.

Fisher zastanawiał się, podzwaniając monetami w kieszeni.

– Odpowiem na pocztówkę.

– Dobrze, zrób tak. Tylko uważaj, co piszesz.

Zięć kiwnął głową. Vernon wstał i wyciągnął rękę.

– Dziękuję ci, Edwinie. Nawet nie potrafisz wyrazić, jak mi przykro z powodu tego wszystkiego. Czuję, że w jakiejś mierze wina leży po mojej stronie. Ale dzięki, wielkie dzięki, że przyszedłeś. – Uścisnęli sobie dłonie. – A teraz pójdę pozbyć się tych bokobrodów.

Portier złożył mu ukłon w drzwiach, być może dlatego, że akurat w tej chwili nie podjeżdżał żaden rolls. Fisher poczuł radość. Zastanowił się, czy nie zawrócić i nie wstąpić na obiad, ale ostatecznie żwawo udał się w stronę centrum miasta.

Plaża wydawała się głośniejsza i bardziej zatłoczona niż przedtem, rozjaśniona kąpielowymi płaszczami i parawanami. Podrzucono i kopano piłki, rodziny grały w krykieta, krzycząc i oszukując, płytkie morze było upstrzone czarnymi ludzkimi sylwetkami. Minął Carol i Tricie, które w płaszczach kąpielowych jadły lody w towarzystwie dwóch młodzieńców. I chociaż obydwie dziewczyny uśmiechnęły się i zagadnęły go, nie wydawały się specjalnie zadowolone ze spotkania. Fatygantów zaś skrótowo opisać można było jako obwisłych, owłosionych, na najlepszej drodze do brzuszka i łysiny. Na wpół zirytowany, Fisher zastanawiał się, dlaczego poczuł smutek. Państwo Hollies podskoczyli na swoich krzesłach, machając i krzycząc.

– Idziemy zwiedzać? – zapytał Hollies.

– Wracam właśnie z Frankland Towers.

– Podobno pięknie tam – powiedziała Lena. – Nigdy nie byłam w środku.

– Gorzała smakuje tak samo. Tylko liczą za nią inaczej – rzekł Hollies.

Zaprosili go, żeby się przysiadł, ale odmówił. Nie odszedł jednak od razu.

– Dołączysz do kąpiących się? – zapytała Lena.

– Niewykluczone. A ty?

– To by dopiero było! – Jej mąż roześmiał się.

– No, nie wiem! Twoja żona dała popalić zeszłej nocy mnie i pani Smith. Biegać potrafi na pewno.

– Potrafi biegać? Na Boga – odparł Hollies. – Ta umiejętność jej się przyda, żeby uciec przede mną – rzucił z kwaśną miną, bawiąc tym siebie... i tylko siebie. – Napiłbym się czegoś. Co ty na to?

Fisher odmówił.

– A zatem zrobimy tak – rzucił wylewnie Hollies, jakby czynił światu przysługę. – Ja pójdę, a ty grzej mi tu miejsce obok Leny. Uwinę się w pół godziny.

– Być może twoja żona...

– Od razu widać, że jej nie znasz. Wołałaby już pójść do kościoła niż do pubu w porze obiadowej. Zostań. Dotrzyмай jej towarzystwa.

Fisher został – niespecjalnie zadowolony. Hollies wciągnął marynarkę, obmacał kieszenie i poczłapał w dal.

– Poszedłby, gdybym się nie zjawił?

– Mógłby.

– Używa życia.

– To trzeba mu przyznać. Wpadnie do pubu na pół godziny, wleje w siebie piwsko. Całą resztę popołudnia spędzi, snując się tam i z powrotem, tam i z powrotem, między plażą a pisuarami.

Podsunęła Fisherowi koszyk z owocami, z którego wybrał sobie jabłko.

– Powiedziałbym, że jest jednym z tych, co wiedzą, czego chcą. A przy tym dusza towarzysztwa.

– Teraz nawet bardziej niż kiedyś. Gdy go poznałam, miał wyjątkowy dar do pakowania się w sam środek knajpianych burd.

– Nie podobało ci się to?

– Nie. Nie podobało. Ale był dobrze zbudowany, więc kłopoty go omijały. Teraz w weekendy występuje striptizerka, więc wszyscy siedzą i się gapią.

– Nie zapraszają kobiet?

– Nie. Chociaż niektóre chętnie by poszły.

– Tobie nie podoba się ten pomysł.

– Ja bym nie poszła, jeśli to masz na myśli. Ale on i owszem. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Ty byś poszedł, jak sądzę?

– Też tak sądzę.

Zaśmiała się, mrużąc oczy.

– Czy to znaczy, że nigdy nie byłeś w knajpie ze striptizem?

– Nie.

Nieco zaniepokojona, poprawiła rąbek sukienki.

– No, a powiedz, jak ci się podoba ta pani Smith? Sandra?

– Bardzo sympatyczna.

– Zastawiała na ciebie sidła, wiesz o tym? Zeszłej nocy.

– Tak myślisz?

Pani Hollies kiwnęła głową, przesadnie wykrzywając przy tym twarz.

– Założę się, że mąż dostaje z nią kręćka.

– Facet wydaje się miły.

– Zniewieściały. Pozyteczny przy chłopcach, a to więcej niż można powiedzieć o moim starym. Ale brak mu ikry, nie ma w nim życia. Nic nie ma. Lubię mężczyzn, którzy zachowują się jak mężczyźni. Nie mówię, że ma pokrzykiwać i wydzierać się jak głupi, ale powinien jakoś zaznaczać swoją obecność.

– Jest przesadnie skromny? – zapytał Fisher. – Nie zauważyłem.

– Nie za wiele widziałeś, bo jaśnie pani skutecznie przysłaniała ci widok.

– Naprawdę?

– Naprawdę? – przedrzeźniała go. – Lubi pan na nią patrzeć, panie Fisher.

W tym momencie zakończyła skomplikowaną operację z udziałem pozbawionych skrobi herbatników, plasterków sera i pomidorów. Wreszcie zaczęła jeść, starannie zbierając okruszki w papierową serwetkę, ozdobioną ciemnymi różami na brzegach.

– Będę ostrożny – zapewnił złośliwie.

Nie odpowiedziała, tylko dalej jadła, uważnie i raczej głośno, oblizując usta z resztek.

– Nie winię cię – powiedziała, otrzepując ręce. – To jej sprawka. Znam ten typ. Cudze lepsze. Jesteś żonaty, prawda? Czy byłeś? – Przytaknął. – Przyjechałeś tu bez żony? – Kiwnął głową. – Wiesz, o czym mowa. Ale ja już miałam do czynienia z takimi jak ona.

– Nie lubisz jej? Dlaczego?

Na tak naiwne pytanie kobieta gwałtownie podniosła wzrok – w jego odczuciu niemal ironiczny, ledwie skrywający szyderstwo – niemniej odpowiedź nie padła natychmiast.

– Znam ten typ.

– Twierdzisz zatem – odpowiedział – że nie oceniasz jej za coś, co rzeczywiście powiedziała lub zrobiła, tylko za to, że przypomina ci pewnych ludzi niecieszących się u ciebie dobrą opinią i tym samym uważasz, że jest do nich podobna.

Pani Hollies zamyśliła się. Zrozumiała pytanie i szczyrzyła teraz zęby w szelmowski uśmiechu, rozbawiona zuchwałym formalizmem rozmówcy.

– Nie kleiła się tam do ciebie, za tą kabiną? Wtedy, na plaży? Pocierając cycuszkami o twoje ramię?

– A ty tego nie robiłaś? – ostro zripostował.

Oblała się rumieńcem, nagłym i szkarłatnym, aż sam poczuł wstyd i zażenowanie.

– Otarłam się raz czy dwa, ale nie zapuściłam się aż tak daleko – odparła. Ton przybrała żartobliwy, ale nie potrafił wyzbyć się z pamięci obrazu małej zaczerwienionej twarzy.



Zjadliwość połączona ze skromnością. – Nie zaprzeczam, że przyjemnie było pospacerować u boku atrakcyjnego, młodego faceta.

– Schlebiasz mi.

– Nie! Co prawda, to prawda. Sama zajęłabym się tobą znacznie lepiej niż tamta, ale widziałam, na co masz ochotę. Nie mam pretensji.

– Co by pani na to powiedziała, pani Hollies, gdybym oznajmił, że mnie pani zaskakuje?

– Ani słowa.

Znowu wyciągnęła przed siebie koszyk z owocami i zgrabnie wyjąwszy mu z palców ogryzek, wrzuciła go do pojemnika na śmieci. Następnie rozsiadła się, nad wyraz opanowana, napawając się chwilą.

– Nie masz mi za złe, że opowiadam ci takie rzeczy, prawda?

– Nie.

– No, zatem słucham. – Roześmiała się na całe gardło.

– Wydawałaś mi się cichą, małą kobietką siedzącą pod pantoflem męża, dlatego rzeczywiście mnie wczoraj zaskoczyłaś.

Pani Hollies na powrót oddała się konsumpcji, jak gdyby potrzebowała czasu i czynności żucia, żeby przetrwać to, co powiedział. Zjadła kolejną misternie skonstruowaną herbatnikową kanapkę.

– Podobasz mi się, panie Fisher. Nie tylko w ten sposób. Jest w tobie coś, czego do końca nie rozumiem. Postawiłabym każde pieniądze, że zgadnę, co mój Jack gada lub robi o dowolnej porze. Ale z tobą jest inaczej. Z czego się śmiejesz?

– Z czegoś, co powiedziałaś zeszłej nocy.

– Co takiego?

– Nic.

– O Jacku? – Znow zaczęła majstrować przy pojemniku w poszukiwaniu noża i tarty owocowej. – Powiedziałam, że będzie chciał seksu, nieprawdaż? I zastanawiasz się, czy się go doczekał. To właśnie chcesz wiedzieć, prawda?

– Nie. Właściwie, to...

– No więc doczekał się. Nie krępuję się o tym mówić. Naturalna sprawa; nie widzę powodu, dla którego powinnam trzymać ją w tajemnicy. Było nam dobrze.

– Rozumiem. – Fisher odwrócił głowę. Wokół niego dreptali lub wylegiwali się niemal nadzy plażowicze.

– Myślisz, że jestem nieprzyzwoita, mówiąc ci takie rzeczy. Ty byś mi ich nie wyjawiał, prawda?

– Nie. Myślę, że nie.

– Nawet tych dotyczących żony? O Sandrę nie pytam.

– Nie.

– No cóż – powiedziała, zdmuchując kryształki cukru z ust – każdy z nas jest inny. Świat byłby smutny, gdyby wszyscy byli tacy sami, nieprawdaż? – Głos jej się zmienił; odczytała ostrzegawczy sygnał i przyszykowała się na sypanie ogólnikami. Paplała o swoim domu, o jego wartości i mankamentach; przywołała szeregowiec w Woolwich, w którym się wycho-

wywała; nakreśliła obraz zręcznego ojca i kompulsywnie pracującej matki.

Co ciekawe, poznając kolejne fakty z życia pani Hollies, zgadywał, że kobieta odkrywa je, by odzyskać jego sympatię, by wytłumaczyć moralne potknięcie. Przyjrzał się swojej rozmówczyni: kilka lat wstecz musiała być ładna, lecz teraz zrobiła się chuda i lekko pomarszczona, miała też nazbyt obfity biust jak na tak małe, pełne życia ciało. Jej szczupłe, ładnie ukształtowane nogi, ogolone i pokryte lekką opalenizną, mogłyby należeć do młodej kobiety. Nie wzbraniałby się przed ich dotknięciem. Wspominała kota oraz królika, którego trzymała w klatce na tyłach ogrodu. Wyciągnęła żyłastą szyję, tę napiętą wiązkę nerwów, a palcami drapała w powietrzu wyimaginowane futerko.

Mrucząc i potakując, zachęcał ją do wspominków.

Gdy dokładnie o czasie wrócił mąż, ucichła i oddała się przygotowaniu posiłku dla niego. Skrępowany sytuacją, Fisher przeprosił starszą parę i poszedł marnować czas w drogiej restauracji rybnej, gdzie podawano masywne srebrne sztucce, a kelnerki podrygiwały w czarnych sukienkach, z koronkowymi opaskami na głowach. Znowu wolny, siadłszy na ławce przy ulicy, wyłapywał skrawki konwersacji.

Czwartek. Poszedł teraz spacerkiem pod kościół metodystów, gdzie zastał zamknięte na kłódkę żelazne kraty oraz mury oblepione płowiejącymi w słońcu plakatami, przedstawiającymi suchych jak wiór uchodźców. Czwartek.

Pamiętał, jak to było za młodu: pierwsze trzy dni wakacji upływały mu zawsze powoli, ale w czwartek czas płynął już szybko. Piątek zaś mijał jak z bicza strzelił. Kupno upominków, ostatni wypad nad morze, natomiast w domu – w dniu prania świadomość czekających go obowiązków już na powrót zagnieżdżała się w umyśle.

Czwartek – czwarty dzień z tygodnia w Bealhorpe, nad Morzem Północnym. Czwartek nad Oceanem Niemieckim{12} .

Nie możecie służyć dwóm panom: Bogu i Mamonie. Mateusz, rozdział 6, wers 24. On nie służył nikomu. Oportunista. Człowiek bez znaczenia.

Przypomniał sobie, jak Meg krzyczała do niego: „Czy ty w nic nie wierzysz?”. Dookoła rozpościerały się doliny Yorkshire, a na nich poszatkwane pola, małe młyny na rzekach, niszczące tory kolejowe, za nagimi górami nasróżone w letnim słońcu, pofałdowane, brzydkie wrzosowiska. Pamiętał, że siedzieli pod niezwykle stertą kamieni – wyglądem przypominających frapująco wygładzone filary niczym szare toffi, ukryte pośród traw, wysokiej koprzycy i gąszczu młodych jaworów, które niedługo miały przerodzić się w dorosłe drzewa – żli na siebie nawzajem, bo właśnie, wdrapawszy się po urwistej ścieżce, skończyli szwendać się wokół opuszczonej kopalni i tak oto w samym środku dnia znaleźli się kawał drogi od najbliższego miejsca, gdzie mogliby się czegoś napić. Siedzieli, jedząc suche kanapki, oganiając się od much i szukając tematu do kłótni. Padło na pieniądze. Nie płacili wystarczającej sumy za kwaterę – twierdziła.

– Ja bym cię za taką kwotę nie przenocowała. Czysta pościel, obiad, i jeszcze łazisz po dywanach w zabłoconych buciorach.

– Pani Knight dobrze na tym wychodzi.

– Tylko o tym myślisz.

– Niska dzierzawa zapewnia im byt. To, co biorą od nas, to już wisienka na torcie.

Dyskutowali o cenach. Supermarkety liczyły sobie tam nie mniej niż w Londynie. Meg dowodziła, że turyści sypią pieniędzmi i nakręcają inflację. Fisher dobrze wiedział, że w gruncie rzeczy nic ją to nie obchodzi. Dokładnie tak jak wtedy, gdy, aby sprawić radość pani Knight, okazywała typowy dla miejskiej kobiety zachwyty nad odrzuconym przez owcę barankiem, tak i teraz odgrywała się zwyczajnie na mężu, który zapomniał mapy i przypro-wadził ją na ten zapyłony, suchy szczyt.

– Czemu nie zaczniesz cieszyć się wakacjami i nie zapomnisz o innych ludziach? – zapy-tał.

– Widzę, że wreszcie coś do ciebie dotarło.

– Raczej do ciebie.

Z chmurną miną spróbował przerzucić trzy kamienie przez skalną wieżę. Sam nie wie-dział, co go bardziej zirytowało: odgłos, jaki wydawały, rykoszet czy fakt, że nie trafił do celu. Poza nimi nikt inny się tu nie wdrapał. Przeżuwali niesmaczny chleb i tutejsze jabłka, najwyraźniej osamotnieni w suchym korycie strumienia.

– Pewnie masz rację – rzucił pojednawczo.

– Nie lubię patrzeć, jak się oszukuje ludzi.

– Odnoszę wrażenie, że pani Knight ma głowę na karku. Wie, ile ludzie zapłacą i jaka cena ich tu ściągnie.

– Wyzyskujemy ją.

Nagle wygarnęła mu bez ogródek, zarzucając hipokryzję, typowe brytyjskie życie kosz-tem przedstawicieli uciemnionej siły roboczej, przeciętnie żyjących krócej, cierpiących nędzę i choroby. Gdy tak leżał pod jasnym niebem, na sprężystej trawie, z rękami założony-mi za głowę, trudno mu było uwierzyć, że Meg mówi poważnie. A jednak na to wyglądało. Wkrótce zaczął się obawiać, czy przypadkiem nie oberwie zaraz bułką, ale po chwili zro-bił się senny, milczący i odporny na ataki.

W końcu wyciągnął dłoń i spodziewając się odepchnięcia, dotknął jej nagiego kolana. Głaskał dalej, sunąc w górę po ciepłej, gładkiej powierzchni uda, w miarę jak Meg coraz bardziej się otwierała.

– To jedyne, w co wierzysz – powiedziała.

– Lepsze to niż nic.

Wtedy, na tym cichym szczycie świata, odpowiedziała na jego miłość – leżąc pod nim, uległa – z całą swoją mocą, po czym usiadła, opierając głowę o plecak, z szeroko otwartymi oczyma, upojona słońcem, zaspokojona.

– Gorąco – wyszeptała.

– Za to mnie nie wiń.

– Nie będę się kłócić.

Położywszy się płasko na trawie, pruderyjnie obciągnęła spódniczkę i zapiąwszy bluz-kę, zasnęła – cicho, pięknie, bez zgryźliwości, bez jęków, w pełni zrelaksowana. Odkryła jedyną rzecz, w której pokładał wiarę. Nie godzi się twierdzić czegoś takiego, lecz jej hart ducha i zasady uschły, wykwitłe tak bujnie, że same doprowadziły się przez to do unice-

stwienia.

Ze źdźbłem trawy w zębach obserwował ptaki pikujące koło skał, smugi mgły zalegające na odległych połaciach doliny oraz śpiącą żonę o jasnorudych włosach, ciężko przelewających się przez jej dłoń.

Wysłał kartkę do Meg, a następnie, pierwszy raz w tym tygodniu, uruchomił samochód.

Dochodziła czwarta, gdy nie czerpiąc z tego wielkiej przyjemności, wyjechał z miasta na równinne wiejskie tereny, rozciągające się po obu stronach drogi sprawiającej wrażenie uformowanej z piaszczystego pyłu. Sam nie potrafił stwierdzić, dlaczego się tu pofatygował. Zatrzymał się przy jakimś domostwie, wybudowanym w odosobnieniu, otoczonym szopami i kurnikami. Na zaniedbanym skrawku ziemi przed wejściem leżała zepsuta łódź – okazałych rozmiarów, lecz z dziurą w burcie, pokryta niszczącą farbą, w którą wżerał się wyblakły już brud. Panował tu całkowity bezruch: żaden pies nie zaszczekał, żaden kot nie czmychnął. Opuścił szybę, chcąc poświęcić ruderze nieco więcej uwagi.

Sam dom mógłby być przeniesiony wprost z jakiegoś przemysłowego miasta i w którymś momencie przemalowany na biało, teraz jednakże farba schodziła zarówno z murów i drewnianych ram okiennych, jak i z bladozielonych drzwi i rynien.

Wciąż żadnych oznak życia. Jedyne światło słoneczne uwydatniało wygląd obskurnego obejścia, ogólny bałagan, zdeptaną trawę i wyjeżdżone koleiny. Fisher wychylił się, aby zaczerpnąć powietrza. Stukał palcami w gorącą karoserię. Wakacyjny czwartek nie przygotował go o depresję, powodował jedynie inercję, brak determinacji. Niewiele myśląc, zdecydował się spędzić tydzień nad morzem – rodzaj wakacji, który pamiętał jedynie z dzieciństwa – i tak oto, znudzony, z lekka rozprasany huczeniem w głowie, rozpierał się na siedzeniu, wlepiając wzrok w stos starego drewna. Tylko na tyle mógł liczyć – na tyle tylko zasługiwał.

Gwałtownie przywołał się do porządku.

Minęło może parę tygodni, odkąd odszedł od żony.

Po serii nocnych awantur, spośród których do żadnej nie przywiązywali jakiejś szczególnej wagi, każdej natomiast oddawali się – takie miał wrażenie – z istic obłąkańczą energią, powiedział wreszcie, opanowując głos:

– Najlepsze, co mogę zrobić, to zostawić cię z tym.

Zastanawiał się, jaki cel mu wtedy przyświecał. Słowa te wymówił wyraźnie, powściągliwym tonem, wykazując się rozsądkiem i rozsądku oczekując. Zarazem jednak nie mówił poważnie i nie zakładał, że doczeka się sensownej odpowiedzi. W zdaniu, które miało na celu jedynie przypuszczenie od innej strony ataku na żonę, kryła się sugestia, że w przeciwieństwie do niej gotów jest rozpatrzeć wszelkie problemy, mając baczenie na dobro obu stron. W ten sposób zganienie żony za jej krzyki, inwektywy, za jej rzucanie się, przeklinanie, histerię i gestykulację obnażyłoby, z czym musiał się mierzyć: z infantylnym zachowaniem niezrównoważonej kobiety.

– Odejdź zatem.

– Mówię serio, Meg.

– A ja to niby jak, do cholery, mówię?

Usiadł rozwścieczony, ale zdeterminowany, by mówić chłodnym tonem. Przyjrzał się wzorowi na dywanie pod stopami, skrzyżował nogi, splótł palce wokół kolan, po czym spojrział na nią i powiedział:

– Mówiłem całkiem poważnie, Meg.

– Więc zrób to.

– Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza, prawda?

Ledwie tylko te słowa wyszły z jego ust, zrozumiał, że sam nie zdawał sobie do końca sprawy z powagi sytuacji.

– Co za różnica? – zapytała.

– Chcesz, żebym od ciebie odszedł?

– Sam wiesz najlepiej. Jak zawsze.

Zauważył, że jej głos był równie opanowany jak jego, równie spokojny, aczkolwiek usta miała sztywne, niemal jak zmrożone.

– Zadałem ci pytanie – powiedział. – Czy mam się wynieść?

– Sam sobie podejmuj decyzje.

Wyglądało na to, że kłótnia wygasa, lecz gdy usiadł, rozgorzał w nim jakiś głębszy gniew, być może z powodu własnej nieporadności, a być może podsycony przez typową dla Meg – pudrującej właśnie nos przed lustrem – pogardę.

– Jutro – odezwał się. Ledwo wydusił z siebie to słowo.

– Co? – Kontynuowała zabiegi upiększające.

– Wyprowadzę się. – Oddech mu się skrócił, jakby nagle doznał skurczu klatki piersiowej. Cała jego istota zdawała się skupiać gdzieś ponad ustami, w nosie, w gęstym smarku ignorancji.

– Krzyżyk na drogę – odpowiedziała dziecinnie. Po czym usiadła.

Poderwał się i wypadł z pokoju, trzaskając drzwiami. Noc spędził w pokoju gościnnym, a o dziewiątej pojechał na uniwersytet, gdzie, odnalazwszy Billa Price-Jonesa pracującego już w swoim laboratorium, bez ogródek wyraził chęć zamieszkania u niego. Ten, strojąc miny i pociągając się za brodę, zapytał Fishera, czy aby na pewno właściwie postępuje.

– A skąd, do ciężkiej cholery, mam to wiedzieć?

– Mogę ci zapewnić miejsce do spania i salon. Tylko czy to ma sens? Meg jest twoją żoną. Ja nie jestem żonaty.

Oderwane zdania, wypowiedane przez Billa cichym głosem, sprawiały mu ból.

– Chcę się wprowadzić – powiedział Fisher.

– Rób, jak uważasz.

Price-Jones westchnął i poprawiwszy okulary na nosie, powrócił do swojej kartki zapisanej wzorami matematycznymi. Pozostawiony samemu sobie, Fisher wymknął się z pomieszczenia. Stanął w korytarzu przed ciężkimi drzwiami laboratorium, pod starannie wygrawerowanym złotym napisem: „Dr W.A.C. Price-Jones”, skąd po chwili wyruszył do biblioteki, aby powiercić się nad książką, z której nie był w stanie nic zrozumieć. A więc zadeklarował się, rozgłosił swoją decyzję... o ile Bill nie zdążył już jej zapomnieć, zakopany w gąszczu całkowych zwojów.

Obecnie, naprzeciw tej nędznej chałupiny, zameldował samemu sobie pewien postęp. Pomimo słońca mgła wydawała się sączyć z gruntu sprawiając, że odległe obiekty rozma-  
zywały się na płaskiej ziemi. Jako że Bill wyjechał do Austrii na kongres naukowy, Fisher  
mieszkanie miał tylko dla siebie, a mimo to nie został w nim, lecz, kierowany instynktem,  
udał się do tego wabiącego blichtrzem miejsca. A kiedy wbrew wszelkiemu prawdopodo-  
bieństwu w pierwszą niedzielę natknął się na Davida Vernona, poczuł, że szczęście znów  
mu sprzyja, a jego małżeńskie problemy się rozwiązują. Potem podejrzliwość kazała mu  
odrzuć myśl o przypadku: Vernon musiał go wywęszyc, zapewne też śledzić. Zaraz jednak  
zbył i tę myśl: jakim fortem by się nie posłużył, przecież hipnozą swojego zięcia do pubu  
nie przywołał... Fisher siedział w samochodzie, pukał palcami o drzwi i cieszył się ze  
swojej fantazji. Przekazywanie myśli na odległość. Oto Vernon: skoncentrowana twarz, na  
skroniach napięte żyły, po czole spływa pot – przesyła w bólach polecenie przez oporny  
eter, telepatycznie zmuszając wzbraniającego się Fishera do przekroczenia drzwi pubu.

Zza domu wyszedł młody mężczyzna, spoglądając podejrzliwie. Fisher uniósł dłoń,  
więc tamten, mrużąc oczy, przyczłapał bez pośpiechu.

– Wszystko w porządku?

Fisher podziękował.

– Nic się nie popsuło, albo coś?

Tłuste włosy, nie za długie, zaczesane do tyłu, w kędziorkach. Kombinezon z trzema ta-  
nimi długopisami w kieszeni na piersi. Niewypolerowana para ciężkich wojskowych bu-  
tów.

Fisher zaczął bez skrępowania przepytawać jegomościa, który, jedynie z pozoru niechęt-  
ny, w istocie wydawał się całkiem zadowolony z towarzystwa. Cóż, nie, nie mieszka tu – to  
dom jego ojca. I to nawet nie jego własny – wynajęty. Ojciec pracował na drogach i rada  
hrabstwa przydzieliła mu tę chatkę, pozwalając zatrzymać ją na emeryturze. W dzisiejszych  
czasach robotnicy drogowi pracują w brygadach, tłuką się ciężarówkami z miast. Nikt nie  
chciałby mieszkać w takiej pozbawionej życia dziurze, prawda? Zwolnili go z pracy przed  
miesiącem, ale ma nagraną nową robotę. Zaczyna w przyszłym tygodniu, dzięki temu, że  
odbył praktykę u ojca. Mieszka w Leicester i zamierza wyjechać w sobotę.

Fisher zwrócił uwagę mężczyzny na panującą wokół ciszę.

– Tato niewiele się odzywa od śmierci mamy. Nawet pół tuzina słów byś nie uzbierał  
od rana do nocy. Ma reumatyzm, ale ogólnie zdrowie mu dopisuje. Dałby radę o siebie za-  
dbać. Sześćdziesiąt sześć lat, a silny jak wół – ale co z tego: nic nie mówi, nie goli się,  
brudne ciuchy z dnia na dzień coraz bardziej rozłożą mu się na grzbiecie.

– Ktoś przynosi mu chleb, mięso i takie tam? Artykuły spożywcze?

– Nie bardzo. Robi sobie zakupy raz na tydzień. Łapie autobus, który tędy przejeżdża.  
Zdziwiłbyś się, czym ten człowiek potrafi się żywić. Czasem zjada chleb czerstwy i twardy  
jak kamień.

– Niewiele ma z życia.

– Zupełnie nic, gdybyś mnie spytał.

– Za to, jak myśle, ma coś w zamian: niezależność.

– A w cholere z tą niezależnością. Co w niej dobrego? Ja to bym wolał na jego miejscu zabawić się trochę, zażyć ździebko przyjemności, rozprostować na spacerze kulasy, czy jak, a nie trzymać się tej swojej niezależności, czy czego tam. Głupi, uparty staruch, i tyle. W mieście, na wyciągnięcie ręki, czeka na niego miejsce w domu starców.

Mężczyzna zmierzył profesjonalnym wzrokiem samochód Fishera, kiwając z aprobatą głową.

Niebo nad nimi rozciągało się przyblakłym w słońcu błękitem, spłowiałe, zasnute lekką mgłą niczym odległy ląd.

Fisher, gdzieś z tyłu głowy odurzony nieboskłonem, spojrział na stojącego przed nim krępego osobnika. Znów to samo: spotkał kogoś, wypytał przyjaźnie, poznał kolejną obcą osobę, podczas gdy powinien klęczeć w domu, przed swoją żoną.

– Problem w tym – powiedział młodzieniec – że ludzie pokroju mojego taty przyzwyczajają się do takich dziur jak ta i myślą, że jest im w nich dobrze. To wilgotna nora z dala od czegokolwiek. Wolałbym już żyć na polu rzepy. Ale jemu się wydaje, że tego właśnie chce.

– Skoro jest zadowolony...

– Tyle tylko, że już niewiele brakuje, żeby przestał sobie radzić. Przez całą zimę chorował. Atak serca. Prostata. Wszystko to widziałem. Muszą wtedy delikwenta wyciągać z mieszkania, taszczyć do szpitala. Jeżdżą w tę i z powrotem – mówię o ludziach z opieki społecznej – i marnują tylko benzynę.

– To co byś proponował?

– Po siedemdziesiątce, może siedemdziesiątce piątce, powinni ich grupami zbierać w jednym domu, gdzie można by się nimi opiekować. Wtedy miejscom takim jak to można by pozwolić zgnić i popaść w ruinę.

– Chciałbyś, żeby z tobą tak postąpiono?

– Gdybym był w jego wieku, nie miałbym nic przeciwko.

– Założę się, że byłbyś osamotniony w tym poglądzie.

Młody mężczyzna przeciągnął mocno po podbródku wewnętrzną częścią dłoni, jakby chciał rozstrzygnąć, czy Fisher wart jest dalszej sprzeczki.

– Znam takich staruszków. Siły z nich uciekają. A w przypadku mojego taty miarkuję, że to już niedługo. Zaczął się starzeć, już gdy przyszedłem na świat. Miał wtedy czterdziestkę na karku. Kiedy zrobi się całkiem schorowany, będzie się ode mnie oczekiwać, że przybiegnę tu w każdy wolny weekend, żeby tyrać dla niego.

– Kto będzie oczekiwać?

– No, on z pewnością.

– A ty?

– Mnie się to nie uśmiecha, żebyś wiedział. – Przejechał palcami po włosach, zostawiając je w innych, wcale nie schludniejszych kępach. – Chciałbym zażyć w życiu trochę przyjemności. Ciężko pracuję i mam do tego prawo.

– A jakie to przyjemności?

– Takie same jak twoje. Alkohol, dziewczyny, trochę wolnego, żeby poleżeć w łóżku.



Zasługuję na to.

– Ponieważ twój ojciec przygotował cię do dobrego fachu.

– Nie mówię przecież, że nie jest porządnym człowiekiem. Jest. Ale jak tylko jego umysł albo ciało zacznie nawalać, ktoś powinien się nim zająć.

– Jest istotą ludzką.

– A ja w takim razie, kim jestem?

– Wszyscy będziemy starzy – rzekł Fisher.

– Kolejny powód, dla którego powinniśmy trochę poszaleć, póki możemy.

Uderzenie w okno od frontu poprzedziło proces otwierania drzwi skleconych z desek.

– Kto to, Kevinie? – W szerokiej szparze nikt się jeszcze nie pojawił. – Kto to?

– Pewien pan.

– Jaki pan?

– Taki, który tylko przejeżdża. – Młody mężczyzna odegrał pantomimę, żartobliwie okazując irytację. Drzwi otworzyły się szerzej, z jękiem i oporem.

– Czy mam rozpalić ogień?

Ukazał się starzec – potężnie zbudowany, brudny, w podartym swetrze. Swego czasu musiał być kimś: rozstawiał ludzi po kątach, zapewne terroryzował chłopca. Dziś na jego twarzy rysowały się ciemne głębokie zmarszczki, a on stanął z wstydliwym bezzębnym uśmiechem, jak żebrak, który zna swoje prawa, ale nie oczekuje jałmużny.

– Rób, ojciec, jak ci się widzi.

– A ty jak myślisz?

– Jeśli chodzi o mnie, to darowałbym sobie.

Ojciec machnął rękami, po czym ruszył do środka i zatrzasnął z hałasem protestujące drzwi.

– Nie pomyślałbyś, że trzeba rozpałać ogień w taki gorący dzień jak dziś – powiedział Kevin, odpowiadając na niezadane przez Fishera pytanie. – Ale w nocy w tej dziurze jest tak wilgotno, jakby tu morze podsiąkało.

Wymienili uwagi o budowlańcach, domach, o izolacji przeciwwilgociowej, aż w końcu, nieuchronnie, o silnikach samochodowych. Młodszy rozmówca najwyraźniej cieszył się z towarzystwa i nie zamierzał zostawić Fishera w spokoju.

– Jesteś na wakacjach w Bealhorpe? – zapytał w końcu. – Tak myślałem. Teraz to zwykły ściek. Sklepy i kramy. Za sok pomarańczowy wart pięć pensów zedrą z ciebie ostatnią koszulę.

– A to twoje wakacje? – zapytał Fisher.

– Chcąc nie chcąc. I powiem ci, że ucieszę się, jak zacznę w końcu robotę.

– Nie przepadasz za ojcem?

Mężczyzna zdecydowanym ruchem wepchnął palec do ucha i zaczął w nim brutalnie dłubać, jakby chciał się oczyścić z impertynencji Fishera.

– A bo to się da?

– Był despotą?

– Aa. Rozstawiał mnie i matkę po kątach. Porządnie nas tłukł i nic sobie z tego nie robił.

– Żywisz urazę?

– A niby czemu? Tak był wychowywany i tak sam postępował. Gdy tylko trochę podrośłem, zaraz się stąd wyrwałem. Wyjechałem do Leicester.

– Ale wróciłeś?

– Jak by nie patrzeć, to mój ojciec. Działa mi na nerwy i nie mam mu nic do powiedzenia, ale trzymamy kontakt. Robię mu czasem zakupy, a on zapewnia mi łóżko. Uczciwa wymiana. Pasuje nam obu. Ale coś panu powiem, proszę pana: nie przyznam tu na złamanie karku ani nie zarwę choćby godziny w pracy, jak się dowiem, że umiera. Możemy sobie być ojciec i syn, ale to tylko słowa. – Spojrzał na Fishera. – Uważasz, że to nie w porządku, co?

– Cóż...

– Ludzie przeważnie tak robią, gdy tylko mają możliwość, mówię ci.

– Jak powstanie więcej domów dla starców, podatki dadzą mi po kieszeni.

– Stać cię, skoro stać cię na to. – Czule stuknął pięścią samochód.

Fisher zapytał, czy go gdzieś nie podwieźć.

– Nie trzeba. Wracam do środka. Obydwaj kopcimy jak kominy. Kilka filiżanek herbaty, telewizor. Zastrane życie, nie? Będzie rozpalał w piecu, skoro już zapytał. Nogi będą nam się smażyć w spodniach, a na plecach wilgoć, jakbyś był rybą. We wtorek zacznę znowu robotę.

– We wtorek?

– W poniedziałek święto. Na tyłach mam samochód.

– Rozumiem.

Fisher odjechał przybity, niepokieszony. Po chwili, w miejscu, gdzie droga zakręcała, przekraczając kanał, odwrócił głowę, by spojrzeć na budynek: ciemny klocek, w blasku słońca wyglądający niechlujnie niczym plama po gumce na dziecięcym rysunku. Ani myślał winić młodego człowieka, przez którego prawdopodobnie przemawiała depresja dyktująca ponury opis społeczeństwa, skąpiącego mu nadziei i możliwości. Pół godziny później, przejeżdżając obok domostwa w drodze powrotnej do Bealhorpe, zwrócił uwagę na porządnie domknięte drzwi i unoszące się z komina kłęby. Wyobraził sobie czajnik bulgoczący w oparach papierosowego dymu i ojca z synem, rżących pajdy chleba z margaryną, siedzących tam, zgarbionych, przepełnionych awersją – jeśli nie wstrętem – każdy do siebie samego lub do siebie nawzajem. Fisher zwolnił z uczuciem rozżalenia. Na plecach czuł ciężar świata.

Młody człowiek mówił bez zahamowań. Odkąd wszystko sobie przemyślał i ubrał w słowa, najwyraźniej nie miał obiekcji, żeby podzielić się tym z obcą osobą. Wszyscy oceniamy innych z perspektywy swojej własnej niedoskonałości. Kevin akurat, zagrożony utratą pracy, nie pałał żądzą zemsty na ojcu, nie okazywał nawet specjalnego rozżalenia, lecz zwyczajnie życzył sobie zrządzenia ciężaru odpowiedzialności. I, co niezwykle, był na tyle szczery, by to przyznać. Możliwe, że ojciec, pomimo wieku i zniedołężnienia, wciąż budził w nim grozę – olbrzym na glinianych nogach.

Pies przebiegł przed maską, uzmysławiając Fisherowi, że nie koncentruje się na prowa-

dzeniu. Nowiusieńki autobus z oknami wypełnionymi machającymi, szydzącymi, wiwatującymi dziećmi zmusił go do usunięcia się na pobocze.

Musi wrócić do Meg. Marnotrawca.

W tej chwili z niejaką uciechą przypomniał sobie odczyt wygłoszony przez ojca na niedzielnych zajęciach szkółki biblijnej. Okazja dość niezwykła, bo choć Arthur Fisher był aż nader skory dzielić się swoimi opiniami i skrawkami posiadanej wiedzy, nigdy wszak nie przemawiał formalnie na spotkaniach. Być może nikt go wcześniej o to nie poprosił. Przy tej natomiast okazji uległ namowom, by wygłosić pięciominutową prelekcję, tłumaczącą przypowieść o synu marnotrawnym. Staruszek miał z tym nie lada utrapienie: próbował zaczepić Edwina, żonę, a nawet Tinę, ale wszyscy go spławili. Dzieci dały jasno do zrozumienia, że im nikt w pracy domowej nie pomaga, zatem on także powinien radzić sobie sam. Arthur wertował więc dokumenty, łąził do biblioteki i dokładnie relacjonował rodzinie sposoby, w jakie pozyskuje wiedzę. Elsie, bardzo zajęta swoimi sprawami, trzy razy dziennie – a w niedzielę dwa razy częściej – głośno narzekała, że mąż dał się wpłatać w ten referat.

Fisher wybrał się, by posłuchać końcowego efektu.

Staruszek mówił nerwowo, wygłaszając zdania w szczególny sposób, charakteryzujący się okazjonalnym opuszczaniem „h” tudzież różnymi gramatycznymi potknięciami. Ponadto nie poczynił żadnych starań, by uczynić temat strawnym; wszystko podawał beznamiętnym, zduszonym tonem. Jedna rzecz zrobiła na chłopcu wrażenie, mianowicie sposób myślenia ojca. Arthur przeoczył wiele oczywistości, raz czy dwa błędnie odczytał treść, ale położył nacisk na zdanie: „A gdy był jeszcze daleko”. Pan nasz musiał wyczekiwać – na straży. Fisher nigdy na to nie wpadł, przeoczył ten fakt. Błędego pojęcia nie miał, z jakiego objaśnienia lub kazania ojciec wytrzasnął ów wniosek – bo od przypisania autorstwa staruszkowi był daleki – niemniej czuł się tym wstrząśnięty.

– Jak poszło tacie? – zapytała Elsie.

– Nie najgorzej. Zwrócił uwagę na ciekawą rzecz.

– Tylko jedną?

– Jedną, na którą sam nie wpadłem – wyjaśnił młody Fisher.

– I nie zbłądził się?

Elsie musiała przekazać opinię dalej, gdyż ni stąd, ni zowąd w środku tygodnia Arthur ofiarował synowi pół korony, żeby ten „poszedł sobie na film”. Obydwaj wiedzieli, co się za tym kryje, chociaż żaden nie próbował ubierać tego uczucia w słowa.

Wspomnienie kłębiło się jak kurz spod samochodowych kół, po pewnym czasie delikatnie osiadając. Nie potrafił oszukiwać się sentymentalną ideą, że Meg, kierowana miłością, wypatruje jego powrotu, ponieważ w to nie wierzył. Wysłała jednak kartkę. Z całą pewnością odwiedzi żonę po powrocie.

Takie rozważania nie przynosiły ukojenia, lecz wywoływały kolejną małą kurzawę wspomnień.

Kiedyś, zanim urodził się Donald, gdy jeszcze mieszkali w Londynie, Meg zapomniała wpaść na pocztę po znaczki, dzięki którym zdążyłby się załapać z ważnymi podaniami o

pracę jeszcze na wieczorną wysyłkę. Fisher musiał biegać po sąsiadach, przerywając im picie herbaty i oglądanie telewizji. Co gorsza, gdy wrócił, podoławszy zadaniu, odkrył, że przypaliła mięso. Nie było może całkowicie niejadalne, ale przyjemności w konsumpcji czarnych skrawków nigdy nie odnajdował.

Zasiedli do posiłku.

Rozjuszony, postanowił mimo wszystko nic nie mówić. W chwilach, kiedy to ją dopadała złość lub niepokój, pociągała nosem, mocno, niestosownie, niczym amator tabaki – prowokując go. Tymczasem on wbił zęby w poczerniały stek, czytając w kółko wciąż ten sam krótki akapit w „The Times”, wzrokiem przeszywając litery na wylot i zupełnie nic z nich nie rozumiejąc. Stracił apetyt, więc z niepotrzebnym hałasem sztuców zepchnął większą część swojej porcji na brzeg talerza. Meg, pociągając nosem, dokończyła danie i posprzątała ze stołu.

– Nie zrobiłam puddingu – powiedziała. – Pomyślałam, że może zechcesz jabłko. Albo mogę otworzyć puszkę owoców.

Mówiła przepraszająco.

– Nie kłopotz się – odrzekł, machając i szeleszcząc gazetą na lewo i prawo.

– Będiesz chciał jabłko? Czy banana?

– Za chwilę.

Starła stół dookoła niego, w czym nijak jej nie pomógł, przeniosła się do kuchni i zaczęła zmywać. Gdy do niej dołączył, wydawała się odprężona, już nie pociągała nosem i robiła mniej zamieszania przy sprzątaniu niż zwykle. Podniósł ścierkę do naczyń. Odezwała się.

– Myślę o pójściu na kurs wieczorowy.

Nie dosłyszał, pogrążony we wrzącym kotle gniewnych myśli.

– Że co proszę? – Z wyższością.

– Myślę o pójściu na kurs wieczorowy.

– A, tak. Z gotowania?

Spokojnie kontynuował wycieranie noży i widelców. Bardzo powoli Meg zdjęła ręce z salaterki, otrzepała je z nadmiaru wody i wyciągnęła z suszarki talerz od obiadu. Ujęła go w obie dłonie i odwróciła się przodem do męża. Fisher zmusił się, by nie patrzeć. Cisnęła talerz o podłogę, roztrzaskując go na kafelkach w drobny mak, odczekała chwilę, po czym opuściła pomieszczenie. Drżący z gniewu, lecz zadowolony, że udało mu się wymusić ten atak złości, wziął szczotkę i szufelkę, zamiótł podłogę, dokończył zmywanie i posprzątał dookoła. Usatysfakcjonowany wrócił do salonu. Żony nie było. Zaczął czytać.

Zanim zaczął myśleć klarownie, przez około pół godziny zmagał się z artykułem o „młodzieżowej grupie teatralnej z wiejskiej szkoły publicznej”. W tamtym czasie Meg uczyła na pół etatu, więc po zakończeniu porannych zajęć w szkole poszła na zakupy, zapomniała o znaczkach i zdążyła jeszcze zrobić pranie, zanim wkroczył ze swoimi pretensjami. On też często zapominał o różnych sprawach. Jakie to miało znaczenie, czy wyśle te durne podania dziś, czy jutro? Wciągała powietrze przez nos, ponieważ nie czuła się na siłach, by mu się zwierzyć. Przypalony czy nie, jej posiłek i tak był lepszy od gulaszu w kolegium.

Dokąd teraz poszła?

Pytanie przyprawiło go o lekką irytację. Idąc po schodach, zmusił się do uśmiechu. Wyłączyła wszystkie światła.

Meg leżała w łóżku, kołdrę miała naciągniętą po samą twarz. Jedynie małe pasmo jasnych włosów połyskiwało na poduszce. Poszczególne elementy jej ubioru jak zawsze leżały schludnie złożone lub wisały w garderobie.

Oświetlony blaskiem sączącym się z korytarza, położył rękę na ramieniu żony.

– Meg, napijesz się kawy?

Poruszyła się.

– Zrobię ci pysznej kawy.

Otworzyła oczy, więc pomyślał, że zaraz się uśmiechnie. Tymczasem ona podciągnęła nagle kołdrę i schowała pod nią twarz. Obserwując, rozważając możliwości, spróbował ponownie. Bardzo delikatnie przyglądał opatulającą żonę pościel.

– Meg, przepraszam cię bardzo – powiedział. – Zachowałem się jak prostak.

Gdy tylko skończył zdanie, dopadła go wątpliwość, czy prawidłowo wymówił kluczowe słowo, czekał jednak na jakąś reakcję. Skoro się nie doczekał, położył rękę na jej ramieniu, tym razem nieco ciężiej, i powiedział:

– Bardzo cię przepraszam, Meg. Naprawdę. Nie powinienem był się tak zachowywać.

Tuż przed samym ślubem teść wziął go na stronę i powiedział: „Nigdy nie idź spać pokłócony, Edwin. Przeprós, nawet jeśli będziesz uważał, że masz rację. Słuchaj, bo dobrze ci radzę”. Zaskoczył go tym podejściem. Przy całej inteligencji Vernona, której kwestionować nie zamierzał, kryła się w tym człowieku jakaś naiwność, dotyk duszpasterskiego nadejścia, wiara, że życie da się zawrzeć, i to z powodzeniem, w kilku maksymach ze świętecznych cukierków-niespodzianek... Być może to prawda, a przynajmniej jest nadzieja, że te pozostałości dawnych małżeńskich przykazań nie uczynią więcej złego niż większość złotych rad. Podczas wojen toczonych z Meg, których wybuchu praktycznie nie dało się uniknąć, w żadnej mierze nie przywiązywał wagi do tej prostej reguły, wycofując się z konfliktu dopiero wtedy, gdy uznał to za stosowne.

Nic.

Wbił wzrok w podłogę, zaszurał nogami.

– Kochanie, pozwól mi podać sobie filiżankę kawy, w porządku? Dobrze ci zrobi. W ramach przeprosin. Wypijesz ją dla mnie? – Powinien był zaparzyć cholerstwo i zamieszać jej nad uchem. – Proszę.

Żadnej reakcji. Niesamowite, że potrafiła trwać w takim bezruchu.

Nie zamierzał się denerwować. Znów położył dłoń na kołdrze i pogłodził żonę po plecach.

– Przepraszam, Meg, naprawdę.

Marnował czas. Ponownie naciągnął pościel na rogach i wyszedł. Na zagojenie ran po kłótni potrzebowali trzech dni. Następnego ranka, przy śniadaniu, po całej nocy ignorowania jego obecności w łóżku, nie odezwała się słowem, lecz kiedy wrócił na wieczorny posiłek, zaczęła odpowiadać monosylabami. Do weekendu rozmawiali już normalnie, cieszy-

li się wizytą w teatrze, raz jeszcze posepnym i szorstkim Ibsenem... kochali się. Meg nigdy więcej nie wspomniała o incydencie, ale Fisher przeczuwał rozłam, obawiał się go. Z dwojga złego wolał awantury, w których smagała go niewybrednym językiem lub okładała pięściami.

Przypadki takiego zachowania zdarzały się częściej i zastanawiał się, czy zamykanie się w sobie nie było dla żony jedynym sposobem na zachowanie zdrowych zmysłów. Karała go, popadając w marazm. To wyjaśnienie nie miało sensu, ale jej zachowanie również. Nigdy nie potrafił przewidzieć, która z jego uwag wywoła chaos, a która śmiech.

Co dziwne – analizował, prowadząc samochód – nigdy nie doszedł do wniosku, że ich kłótnie mogłyby w jakikolwiek sposób głębiej nią wstrząsnąć: doprowadzić do szaleństwa. Traktował jej reakcje jak narowy kobiety wolnej, samolubnej, ale już zamężnej. Spętanej.

W takim razie, po co za niego wyszła?

Wybrała go w ramach odskoczni od Malcolma i swojego ojca, bo będąc bystrzejszym i energiczniejszym, jednocześnie nie stawiał przed nią żadnych żądań. Wyglądało na to, że pragnie jej samej, a nie jakiejś innej osoby, na którą – przy włożeniu odpowiedniej ilości pracy – dałoby się ją ukształtować. W kwestiach artystycznych miewał swoje poglądy i bywało, że wyrażał je dosadnie, ale w życiu codziennym akceptował ją z całym jej szaleństwem i wszystkim, co sobą reprezentowała. Czy na takim fundamencie można zbudować udane małżeństwo? Teraz w to wątpił, niemniej zdawał sobie sprawę, na czym polegała jego atrakcyjność w oczach Meg.

Nie była dziewczicą, ale niechętnie wspominała o wcześniejszych związkach. Nigdy nie dowiedział się, czy uprawiała seks z Malcolmem, skoro już o tym mowa; natomiast udało jej się przekonać Fishera, by nie tknął jej aż do ślubu. Protestował, desperacko przekonywał – być może wiedziony zazdrością – aż popadła w rozpacz, oskarżając go o brak miłości. On ze swej strony miał na sumieniu romans z o blisko dziesięć lat starszą kobietą, wdową, która wprawdzie uparcie twierdziła, że odrzuciłaby oświadczyzny, lecz w rzeczywistości liczyła, iż zostanie jego żoną. W każdym razie nie doczekała się sposobności, gdyż Fisher przestał odpowiadać na jej listy, telefony i mało porywające żale złamanego serca, których nie rozumiał. Trzy miesiące po ślubie Fishera z Meg Thelma ponownie wyszła za mąż za dobrze sytuowanego mężczyznę w jej wieku, przeniósł się ze swojego ciasnego mieszkania do okazałej dawnej plebanii, położonej na wsi dziesięć mil za miastem i ostatecznie urodziła dwójkę synów. Nie miał z nią więcej do czynienia, ale widywał ją czasem na koncertach, nie dostrzegając, by zmieniała się jakoś specjalnie. Jawiła mu się jako równie energiczna i nieszczerza jak wtedy, gdy zupełnie naga tupała na paluszkach po swoim mieszkaniu, blada, atletyczna, gestykulując i pozując na baletnicę. Przy okazji jednego z takich spotkań uśmiechnęła się do niego smutno, mówiąc „dobry wieczór”, ale męża nie przedstawiła. Rozumu jej nie brakowało, aczkolwiek najwyraźniej podświadomie czuła, że musi wyrażać siebie poprzez ciało – myśleć waginą i piersiami.

Zachował się źle i uważał zerwanie z tą skądinąd przyzwoitą *puppenfee* za słaby fundament pod swoje małżeństwo. Kiedy zwierzył się Meg, dziewczyna skurczyła się, jakby przestraszona wyznaniem, a może z obawy, że powinna się zrewanżować, w końcu jednak

rzuciła obcesowo:

– Nie przechwalaj się, Eddie. To nie w twoim stylu.

Odpowiedź wzięta od ojca.

– Przepraszam.

– Nie stój tam tak żałośnie. Nie ma się czego wstydzić. Nie mam ci tego za złe.

– Wolałbym, żebyś miała.

– To głupie. To, co wyprawiałeś, zanim cię poznałam, jest wyłącznie twoją sprawą.

– Ja jestem zazdrosny, jak pomyślę o tobie z innymi mężczyznami.

– Czemu? – Słowo to wypowiedziała z naciskiem nie większym niż pierwsze lepsze pytanie, być może dostrzegając możliwość uzyskania korzyści dla siebie.

– Nie mogę znieść myśli, że byli z tobą tak blisko i świadomości tych wszystkich rzeczy, które robiliście razem, a których ja nie mogę z tobą dzielić.

– Nic dla mnie nie znaczą. Nigdy o nich nie myślę.

Nie wierzył jej. Sam dobrze pamiętał swoją pierwszą dziewczynę ze studiów, wspólne spacerowanie za rękę oraz ślizganie się w zimie po zamrzniętym jeziorze. Gdyby teraz ją spotkał, najprawdopodobniej nie odkryłby niczego interesującego, niemniej odcisnęła się w jego pamięci niczym imponujący monument, rzucający ogromny cień.

Tymczasem Meg uśmiechnęła się i dotykając ust powiedziała:

– Trzeba być dojrzałym w tych sprawach, kochanie.

– Nie jestem więc, jeśli dojrzałość oznacza usunięcie wszystkiego z pamięci.

– Wiem o tym.

– Meg, posłuchaj – odrzekł – gdybyśmy byli małżeństwem od dziesięciu lat, nie chciałybyś pamiętać naszego pierwszego roku?

– Najprawdopodobniej nie. Po co nam wspomnienia?

– Ja ich potrzebuję.

– Wiedlibyśmy doprawdy żałosny żywot, mój drogi, jeśli potrzebowalibyśmy wspominać całą naszą niezdarność i głupkowatość.

– To był wspaniały czas – powiedział. Meg przewróciła oczami, jakby z bólem, i tylko pokiwała głową.

Długo guzdrał się w drodze powrotnej – dwa razy zatrzymując się bez patrzenia na zegarek, po to tylko, żeby zażyć gnuśności późnego popołudnia – więc gdy w końcu wrócił, pozostali goście siedzieli już w stołówce, a dochodzący do uszu brzęk łyżeczek, czajniczków i porcelany kazał mu domyślić się, że już zaczęli posiłek. Zły, opłukał ręce, zbiegł po schodach i zasiadł markotny nad talerzem zupy – wypisz wymaluj, jak jego własny ojciec. Reszta towarzystwa, według niego ponad miarę hałaśliwa, przechwalała się niemądrymi wyczynami. Nie potrafił zrozumieć tej wrzawy, przez którą niemal nie był w stanie niczego przełknąć ani wynagrodzić stosownym uśmiechem zwrotki zaśpiewanej czysto, z wyraźną artykulacją, przez Tony'ego Smitha pomiędzy głównym daniem a puddingiem.

Pod koniec posiłku Hollies odchylił się od stolika.

– Czy będziemy mieć przyjemność gościć pana w naszym towarzystwie dziś wieczorem, panie Fisher?

Tak długo zwlekał z odpowiedzią, że kiedy w końcu ją sformułował, zabrzmiała jak obelga.

– Dokąd się wybieracie?

– Cóż, drogi panie! – wrzasnął Hollies, odwracając się w kierunku Terry'ego Smitha. – Jaki zajmujemy lokal?

– Nie wiem. – Smith poczerwieniał, szukając pomocy u żony.

– On pyta, widzisz? – wtrąciła Lena Hollies. – Najpierw konsultuje się z Sandrą.

Teraz poczerwieniała Sandra. Fisher czuł zażenowanie widząc, jak twarze o jasnej karnacji płoną rumieńcem przy uśmiechniętych dzieciach, wiercących się radośnie.

– Damy ci znać – wymamrotał Smith.

Fisher dokończył posiłek, pognał na górę, rzucił w kąt marynarkę i położył się na łóżku. Na ulicy pod oknem hałaśliwa rodzina z pokoju obok odstawiła brewerie wokół swojego samochodu. Chociaż gadali jak najęci, Fisher miał problem, żeby wyłuskać z tego potoku słów cel ich wieczornej podróży. Najwyraźniej miał spore znaczenie.

Pukanie do drzwi przerwało mu podjęte wyzwanie.

Wstał, wyrównał narzutę i podniósł marynarkę. Była to Sandra. Zaprosił ją do środka.

– Jaki piękny pokój – powiedziała.

Wskazał jej krzesło. Usiadła, łącząc razem kolana i splatając dłonie. Wiszące za plecami kobiety wieczorne słońce utworzyło świetlistą aureolę wokół jej jasnej głowy.

– Wychodzisz dzisiaj z nimi? – zapytała.

– Z Holliesami?

– Tak. On tyle pije... Dzisiaj Terry był cały dzień bez życia, biegał tylko do toalety. On zazwyczaj nie ma... no, wiesz, co mam na myśli. – Uśmiechnęła się niewinnie.

– Jaką masz propozycję? – zapytał.

– Nie mam nic przeciwko wyskoczeniu na drinka, ale musielibyśmy wyjść wcześniej.

– Tak właśnie zrobiliśmy... ostatniej nocy.

Jej jasna skóra zaczerwieniła się powtórnie, i to całkiem mocno, a oczy zaszyły łzami.

– To znaczy, ja i Terry.

– Zawsze możesz powiedzieć, że godzina w zupełności wystarczy i że musicie wracać do dzieci.

– Wiem, właśnie tak mu powiedziałam. – Spojrzała z wdzięcznością. Miło byłoby podejść do niej, dotknąć ją, pogłaskać, powiedzmy... po obojczyku, nie czując stresu, nie czując się winnym.

– Uważa, że to niemęskie? – spytał.

– Wiesz, jacy są mężczyźni.

– Wiem, jaki ja jestem. – Znów spłonęła rumieńcem. – Kiedy mam dość, wychodzę. – Przytaknęła żałośnie. – Wyjdę z wami. Muszę napisać kilka listów.

– Naprawdę?

Wstała, tak że jej ręce wydawały się unosić ku niemu. Ujął jedną z nich i poczuł uderzający chłód. Jednocześnie w dłoń wbiły mu się twarde paznokcie. Stali tak przez jakiś czas, jakby w tajemnicy, za zamkniętymi drzwiami dzielącymi ich od reszty świata. Nie wykona-



ła żadnego ruchu w jego kierunku, nie oparła się o niego, trwała tylko na swoim miejscu, z chłodnymi rękami w jego dłoniach i z wyrazem przyjemności zamarłym na twarzy.

– Podobają mi się – powiedział, wskazawszy na jej dłonie. Nie odpowiedziała. – Są bardzo ładne.

Wciąż milczała. Dwoje ludzi pochłoniętych nasłuchiowaniem własnych oddechów. Z ulicy usłyszeli brzęk, a potem pisk.

– Dobrze się tam bawią. Chodź, popatrzemy.

Podszedł do okna, wciąż trzymając ją za rękę.

Młody mężczyzna i jego żona śmiali się, a na tylne siedzenie samochodu wtaczała się ciężko starsza pani.

– Babcia gotowa – powiedział Fisher.

– Śmieszni są. Mają trzy samochody, ale codziennie pakują się wszyscy do jednego.

– Ilu ich jest?

– Starsza pani, to małżeństwo, jeszcze jeden młody chłopak i dziewczyna, no i dziecko.

– Wszyscy spokrewnieni?

– Nie wiem.

Stali w oknie za koronkową firanką, trzymając się za ręce. Po drugiej stronie ulicy zauważył dwie dziewczyny, blondwłose Carol i Tricię. Maszerowały po chodniku, w sukienkach prezentowały się dość masywnie. Nie widział ich wcześniej w tej okolicy.

– Cały świat delektuje się przechadzką. – Uwolnił jej rękę, posmutniał i usiadł. Sandra poprawiła firankę, ustaliła czas spotkania, po czym wyszła, by pomóc Terry'emu położyć dzieci do łóżek.

W pubie spędzili hałaśliwą godzinę z okładem, a kiedy Fisher wraz ze Smithami wstawali od stolika, pani Hollies dołączyła do nich.

– Mam dość – odezwała się. – Jack sam sobie poradzi.

– A poradzę! – krzyknął Hollies. – Skąd ten pośpiech? Noc jeszcze młoda.

Smithowie poszli do pokoju, Lena do sali telewizyjnej, a Fisher do swoich listów. Wdział lekki płaszcz i wyruszył, aby je wysłać. Ledwie zdążył zamknąć drzwi frontowe, zaraz ukazała się w nich pani Hollies, pytając, czy może mu towarzyszyć.

– Idę tylko do końca ulicy.

– Wezmę płaszcz.

Wyszła w krótkim, modnym płaszczu z czerwonej wełny, ze szkockim beretem na głowie. Fisher wysłał listy i zapytał:

– Masz ochotę przejść się dalej?

– Lubię spacerować.

– W którą stronę zatem?

– Byle nie nad morze. Mam go dość.

– Nie jestem ambitny – odparł. – Brak mi inicjatywy. Nigdy nie próbowałem innego kierunku.

Przeszli długość trzech ulic, przekroczyli główną drogę i odbili obok placu zabaw – zamkniętego o tej porze – przez szpaler krzaków, aż na płaskie, piaszczyste pola. Okolica nie

zachęcała do spaceru. Za nimi rozciągało się miasto, a przed nimi nieużytki, porośnięte karłowatą trawą.

– Nie wygląda to obiecująco – stwierdził.

– Gdzieś, gdzie można się przejść. Taka była idea, prawda?

Przeszli pół mili i zaryzykowali wejście na piaszczystą ścieżkę, która przywiodła ich z powrotem, jakieś sto jardów od kwatery.

– Mieliśmy szczęście – rzuciła z entuzjazmem Lena.

– Raczej trudno tu zabłądzić.

– Owszem, ale mogliśmy wyjść dużo dalej. Może wydeptano ją właśnie dla nas.

Gdy weszli do środka, dobiegły ich dźwięki telewizora. Fisher oznajmił, że idzie spać. Lena, cicho majstrując przy szkarłatnym płaszczu, podążyła za nim.

– Masz ładny, płaski tyłeczek – powiedziała.

– Dzięki.

– Ja mam tam trochę za dużo ciała. – Pogładziła płaszcz opinający ją w okolicach pośladków. – Za dużo piwa i bekonu. – Zaśmiała się bezbarwnie. – Czy jest już dziesiąta?

– Za piętnaście.

– Jeszcze przynajmniej godzina, nim wróci. Mam nadzieję, że będzie się cicho zachowywał, przez wzgląd na te dzieci.

– Zeszłej nocy nic nie słyszałem.

– Dobra robota. – Stała w półmroku korytarza, patrząc na niego czarnymi oczyma, z czerwonym płaszczem przewieszonym przez rękę. – Nie podobam ci się, prawda?

Fisher namyślał się.

– To nieprawda – odpowiedział. – Tak się akurat składa, że mi się podobasz.

Wykręciła usta w kwaśnym grymasie, więc spodziewał się, że zaraz usłyszy parodię swojego głosu, lecz przed wypowiedzeniem kolejnego zdania Lena zdążyła dojść do siebie.

– Dobrze się bawisz na wakacjach? – zapytała.

– Chyba tak. A ty nie?

Głośno podrapała się po brzuchu przez płaszcz. Jednocześnie owładnięta jakimś spazmem, jakąś konwulsją myśli wymagającej pełnej uwagi, bezwiednie złożyła usta w dzióbek.

– Wkrótce się skończą – odparła. – Tak czy siak.

Schludniej ułożyła sobie płaszcz na ręce i życząc mu dobrej nocy, skierowała się do swojej sypialni – bliska łez, jak się domyślał. Przytuliłby ją, gdyby nie wiązało się to z okazaniem zaangażowania, a poza tym nie pociągała go. Z takich gestów rzadko wynika coś dobrego.

Poszedł z książką na dół, przed telewizor.

W piątek, ostatni pełny dzień pobytu, Fisher postanowił wybrać się w głąb lądu, do Lincoln.

Pogoda była odrobinę mniej stabilna. Dało się zauważyć spadek ciśnienia i pojawiające się gdzieś chmury. Nie śpieszył się. Wyruszył późno, kierując się do południowej części miasta. Tam zaparkował przy stawie Brayford Pool, po czym, stanąwszy na moście kolejowym, usiłował przypomnieć sobie obrazy katedry, szkicowane z tego miejsca za czasów, kiedy miasto było jeszcze ośrodkiem rolniczym, zarośniętym sitowiem i białym od łąbędzi. Tu żył De Wint – pomyślał. – Z pewnością malował tę majestatyczną kreację ze świątynią na wzgórzu, wysoko, pod przynależnym jej niebem, z miastem na równinie... gdy owa płaska połać terenu była jeszcze i ładna, i biała, i bezgłówna. Fisher obserwował pogłębiarkę oczyszczającą staw. Chwytały wychyły na powierzchnię z kilkoma ociekającymi wodą kawałkami zardzewiałego żelastwa. Trójka dzieciaków uskakiwała przed potężnymi rozpryskami brudnej wody za każdym razem, kiedy dźwig robił zwrot ku towarzyszącej mu płaskodennej barce. Maluchy wołały coś cienkimi głosikami do operatora zamkniętego w kabinie, ale on nie zwracał na nie uwagi – być może nic nie słyszał.

Minąwszy światła uliczne, kaplicę, sklepy z telewizorami i zamkami z pudełek płatków śniadaniowych, skierował się na uliczkę Steep Hill, obok Norman House [{13}](#), wspinając się powoli w promieniach słońca. Poczł zapach zalegających w oknach starych książek. Dostrzegł miedziane czajniki oraz biurko z początków epoki wiktoriańskiej. Pod górę maszerowali również inni turyści, głównie młodzi ludzie, którym nie brakło tchu, by śmiać się lub fukać na siebie podczas wspinaczki. Starsza para przystanęła, chcąc zaczerpnąć powietrza. Mężczyzna otarł czoło dużą chustką, a jego żona idealnie wpasowała swoją dłoń pod ramię męża. Ten uśmiechnął się do Fishera, westchnął zabawnie i powiedział:

– By wspinaczki ku światłości ospały nie zwalniał chód.

Fisher doświadczył ukłucia zachwyty, chwilowego szczęścia. Dziarskim krokiem oddalił się od starszków, aby nie zgubić ulotnej przyjemności. Mocno przybijając nogami, w mgnieniu oka pokonał czterdzieści, może pięćdziesiąt jardów, a kiedy się odwrócił, tamci wciąż stali w miejscu, nieruchomi jak skały, otoczeni dziećmi, które wirowały wokół nich w radosnym chaosie. Fisher pomachał, ale nie zauważyli. Tak było dobrze.

Zanim przekroczył bramę prowadzącą na teren katedry, spojrzął ze szczytu wzniesienia na małą procesję wolno poruszających się samochodów. Wlokące się auta ze zniecierpliwionymi kierowcami i przylepionymi do szyb, wypatrującymi wolnego miejsca pasażerami wydały mu się relikami średniowiecza: ograniczone do prędkości ręcznego wózka, a jednocześnie wypełnione złą energią, rozdrażnieniem, szorstkimi słowami. Poniechał uczucia wyższości i stanął plecami do zwartego łańcucha pojazdów, zdającego się teraz trwać w całkowitym zastoju. Pryszczę, termosy, wszechwiedzące żony, znudzone dzieci – odwrócił się od tego wszystkiego, stając naprzeciwko domu Boga.

Tu zaś w każdym kącie roili się gwarni zwiedzający.

Zewsząd dobiegały ożywione głosy, barwne sukienki migają w promieniach słońca pod masywem budynku, który z dołu wydawał się unosić w powietrzu, lecz teraz przygniatał całe wzgórze swoim ciężarem. Kamień katedry był żółty, w barwie gliny, jednak tam, gdzie mieszał się z czernią, nabierał koloru trudnego do zaakceptowania. Fisher obszedł świątynię w tłumie, a potem w ślad za innymi wkroczył przez rozhuśtane drzwi, jednym krokiem przenosząc się z gotyku w klasycyzm i rejestrując zarazem odgłos, jaki wydało grube drewno, gdy się zamykały. Wszedł do nawy i przystanął. Wyginając szyję, próbował ogarnąć wysokość, w obliczu której karłowaciały trajkoczące sylwetki. W nawie bocznej pokiwał głową z satysfakcją. Jego wzrok powędrował po kamieniach, za barwnymi, rozlewającymi się z witraży kałużami światła: ciemne czerwienie, wiktoriańskie purpury – pompatyczne, oddane nabożnemu samouwielbieniu. Za to filary odcinały się ciemniejszymi kolorami, nie pochodzącymi od warstwy emalii, lecz jakby od przenikającego je na wskroś, przygaszonego słonecznego światła.

Fisher podziwiał teraz dwóch chłopców i ich matkę, klęczących bez słowa przed płaskorzeźbą, ułożonych fachowo jedno równo przy drugim, pogrążonych w całkowitym skupieniu. Wspomniał powracając doń czasami drobną fantazję: oto on i Donald, oddający się wspólnie takiej właśnie czynności, a może wymieniający szybę lub sprzątający śmieci w ogrodzie, może malujący garaż? Ojciec i syn. Razem. Teraz stała się już ona zwykłym myślowym nawykiem, nic nieznaczącym, niesprawiającym nawet bólu. Biedny brzdąc przeżył dwa mizerne lata, trzy razy lądując w szpitalu. Te tutaj krzepkie chłopaczyska dałyby radę wylizać się z niejednej choroby. Donny otwierał czasem szeroko zielone jak u Meg oczy, przeszywając otoczenie inteligentnym spojrzeniem, aż zaczynało się podejrzewać, że wszystko doskonale rozumie. Fisher żałował, że nie zna żadnej modlitwy, dzięki której mógłby, stojąc w tym przepastnym miejscu, szepnąć kilku słów Bogu. Tylko o co miałyby się modlić? O następnego syna? O wieczny spokój duszy Donalda? O powrót Meg? O inne swoje sprawy? Bóg jeden raczy wiedzieć, a właściwie – nie wiedzieć. Grube wstęgi wulgarnych barw, gęste jak śmietana, obfite i purpurowe, zalały główną nawę, wpuszczając życie w nabożną wzniosłość, w srogi majestat ścian i filarów.

– Miej Meg w swojej opiece. – Słowa te wypowiedział na głos, nieśmiałym tonem.

Nikt go nie usłyszał. Dzieci gapiły się w górę, drepcząc dookoła, podczas gdy ich rodzice tkwili nieruchomo z nosami w przewodnikach. Święty Hugon. Biskup Grosseteste. Poważni panowie w czerni nie spuszczaali Fishera z oczu, gdy nabywał przewodnik w wielkim transepcie. Miej Meg w swojej opiece, kimkolwiek jest. Spoglądał na posągi biskupów: uczeni, święci mężowie w świecie wymyślnych szat, ślubów i póż. I tyś tym jest, Margaret Adeline Savile Vernon, obecnie Fisher, wkrótce... wkrótce, niczym witraż bez wzoru, obłana glorią chaotycznego światła. Powoli kierował się w stronę chóru, mrużąc oczy przy małej tabliczce poświęconej najślawniejszemu synowi Lincoln, Williamowi Byrdowi<sup>{14}</sup>. Oszacował: kilka cali kwadratowych – cud, że choć tyle mu się dostało. Jezus zapłakał.

Młoda kobieta z dzieckiem zaturkotała wózkami kilka kroków od chóru. Opatulona

płaszczem, zasepiona, strapiona... nieporuszona. Fisher cofnął się do głównego ołtarza i stanął twarzą do organów pomiędzy rzędami ławek z ciemnego drewna. Nagle poczuł przynębienie z powodu swojej marności; ten las rzeźb, pełen twórczej ludzkiej pasji, powinien był podnieść go na duchu, ożywić z samego rana, tymczasem poczuł się niczym nędzarz w magazynie licytatora. Stosy mebli, paskudne drewno piętrzące się nad głową, czarne jak spalony tost... czuł się tym stłamszony, wszystko utraciło subtelny zarys, równowagę i całą finezję. On, człowiek zgryźliwy i krótkowzroczny, omiółł gmach gniewnym spojrzeniem, odwrócił się i uciekł, zadowolony, że znów patrzy w jasność rozpostartą na całą szerokość ołtarza... w światło poranka. Jakże musieli się nadymać ci dostojnicy kościelni usadowieni na tych krzesłach, ci prałaci głosujący, czy geniusz Byrda nagrodzić małym pamiątkowym rombem. Spłoszył go widok kolejnych wyrzeźbionych wizerunków.

Meg nigdy nie miała cierpliwości do wizyt w takich miejscach. Jej oko nie dostrzegało w nich ani piękna, ani mocy. W katedrze w Winchester stała, szepcząc uparcie i prowokując go:

- Zbudowano ją dla Boga, który nie istnieje.
- Jest piękna.
- Głupia rozrzutność.
- Ale czy ludzie zaprojektowaliby ją i wzniesli bez idei Boga?
- Tym więksi z nich głupcy.

Pamiętał, że wymaszerowała wtedy z kościoła, ubrana w welurowy płaszcz w kolorze czerwonego wina, zdenerwowana, drwiąc i przecząc istnieniu Jahwe w Jego przybytku. Kochał ją za to, chociaż podejrzewał, że jej obiekcje wyrastały raczej z chwilowego dyskomfortu lub rozczarowania niż z głęboko zakorzenionych przekonań. Podążył za żoną, wymachując pogardliwie przewodnikiem.

- Jak miło znów być na świeżym powietrzu – oświadczyła.
- Nie bądź złośliwa. – Musiał się jej postawić. – To wielkie osiągnięcie ludzkości.

Kiwnęła głową.

- Pewnie tak. I jednocześnie rozrzutność.

– „Nie obwiniaj świętych monarchów za próżne wydatki” [{15}](#) – zacytował.

– Zamknij się. – Przełknęła ślinę, jak gdyby istnienie budowli obraziło ją i napełniło odrazą. Należało to traktować jako swego rodzaju komplement. Gdy Meg nienawidziła, to z całego serca.

Nigdy nie mógł przewidzieć jej reakcji: podobna kotu, robiła, co jej się żywnie podobało, z arogancją i bez wysiłku. Gdyby była tu teraz, mogłaby równie dobrze w dziesięć minut obskoczyć cały teren, bagatelizując wszystko po kolei, albo przeciwnie, spędzić godzinę nad jakimś detalem rzeźbienia, wyciągając długopis i rozerwaną kopertę z kieszeni jego marynarki, żeby wykonać niezdarne szkice. Nie potrafiła rysować i wiedziała o tym, ale twierdziła, że takie ćwiczenie służy uelastycznianiu pamięci.

Fisher, w tej chwili z lekka podniesiony na duchu, rzucając okiem to tu, to tam, dotarł do zachodniego krańca świątyni, gdzie wreszcie zdecydował się usiąść, po czym znów zrobił rundkę wokół i powłócząc nogami podszedł do grobu Małego Świętego Hugona [{16}](#). Sta-

nał w kolejce za kilkoma innymi osobami, których ramiona, szyje i głowy zdawały się nie emanować niczym poza zapachem toaletowego mydła. Gdy przesunęły się dalej, przeczytał tabliczkę zawierającą skierowane do Żydów przeprosiny za ohydne pogromy. A to niespodzianka! Ssąc paznokieć, zastanawiał się, cóż to za antysemita wybudowali tę katedrę? Czarny mężczyzna w koszuli ze sztywnym białym kołnierzykiem stanął obok niego i przeczytał niewzruszony:

*Poszła na górę, pod drzwi żony Żyda,  
I zapukała trzy razy{17} .*

Wspomniał śmierć Donalda.

Tamtego popołudnia na wpół przytomny prowadził ćwiczenia, w trakcie których młody mężczyzna podważał sensowność wszelkich restrykcji w szkołach. Dwóch innych wyrażało przeciwny pogląd, więc nim minęła godzina, cała trójka była już skora do użycia przemocy. Fisher odciął się od dyskusji. Ignorując szeroko otwarte oczy dziewczyn, niezdolny do rozwlekłych wywodów, czekał tylko do za dziesięć czwarta, kiedy to zamknie drzwi i pojedzie na złamanie karku do szpitala, do Meg, która przebywała tam przez cały dzień. Lawina słów, nadużywanie książkowego żargonu, szastanie na lewo i prawo faktami mającymi się nijak do stawianych tez, a nawet zaciskanie pięści i podnoszenie głosu nie robiły na nim żadnego wrażenia. Komentował wszystko szczerze – być może dałoby się nawet dostrzec typowe dla niego sceptyczne podejście do ich wątpliwych lub źle odczytanych dowodów – lecz w rzeczywistości koncentrował się... był skoncentrowany na zdaniu, które usłyszał o pierwszej trzydziści, po odebraniu telefonu od żony: „Nie ma nadziei. Umrze za kilka godzin”.

Niemożliwe, żeby powiedziała to tak bez emocji. Natychmiast odpowiedział, że zaraz przyjedzie, ale ona go powstrzymała: ma dokończyć zajęcia i wtedy się pojawić, jeśli będzie miał ochotę.

– Czy powiedzieli... powiedzieli...? – bełkotał.

– Co?

– Kiedy?

– Czy powiedzieli, kiedy może umrzeć? – Jego myśl wypowiedział głos spokojny i czysty jak niezmacona woda.

– Tak. W każdej chwili... W każdej chwili?

– Meg, może przyjadę? Spokojnie mogę...

– Nie.

Tak jakby musiała przecierpieć to sama. Dwa tygodnie wcześniej, gdy Donald zachorował – jak się z początku zdawało, dostał zwykłego kataru – ogarnęła ją złość. Zdenerwowana, pod presją, biegła tam i z powrotem, emanowała energią, zastraszała. Zrobiła awanturę doktorowi, który zostawił ich sobie na koniec wszystkich wizyt domowych, bo mieszkał w pobliżu; odwołała spotkanie w klubie filmowym mówiąc, że nie może opuścić dziecka. Fisher oponował. Donny złapał kolejny katar i tyle... Jednak czas pokazał, że zareagowała prawidłowo; wcześniej wyruszyła do ostatniej walki, precyzyjnie oceniając po-

wagę sytuacji. Rzuciła się histerycznie, łatwo popadała w płacz, czerwieniała ze złości, zaniedbywała wszystko poza chłopcem z ciekącym nosem i bulgoczącymi płucami. Wstała sześć, dziesięć, kilkanaście razy w ciągu nocy, żeby zajrzeć z niepokojem do łóżeczka. Z zapadniętymi oczami, włosami w nieładzie, zrywała się wyrwana ze snu, rozgorączkowana, bezwzględna, skora do kłótni, karząca świat za cierpienie, jakim ją doświadczył. Zamęczała się dla przeziębionego chłopca.

Miała rację.

Dziecku się pogorszyło, więc natychmiast skierowano je do szpitala, gdzie podano antybiotyki, które nie zdołały mu już pomóc. Z początku lekarze byli pełni optymizmu – chłopiec wyglądał na silnego, zdolnego do zniesienia nawet dłuższych okresów wyniszczającego leczenia – lecz w ostatnich trzech dniach zaczęli wyrażać się ostrożniej, jakby przeczuwali, że już stracili to życie. Nie poddali się, wciąż mieli nadzieję, ale faktycznie ulegli. Później Fisher zrozumiał, że było to tylko jego subiektywne odczucie: niewielkie symptomy poprawy, drobne sukcesy pojawiały się aż do ostatniego dnia, zatem ostateczny nawrót choroby oszołomił rozczarowanych medyków.

Fisher zajechał pod szpital. Bez problemu zaparkował, lecz powstrzymał się od biegu ulicą zabudowaną osiemnastowiecznymi, wczesnowiktoriańskimi domami, zajmowanymi obecnie przez gabinety lekarzy i chirurgów. Dał znak człowiekowi pełniącemu służbę w stróżówce, ten zaś uniósł palec i pozwolił mu przejść.

Wbiegając po schodach czuł, że traci oddech.

Ciepło tego miejsca, pustka i rury wystające ze ścian przytłaczały go. Zdawały się utożsamiać naukę mogącą ofiarować mu jedynie fałszywą nadzieję.

Zobaczył Meg na końcu oddziału, na którym leżało jego dziecko. Stała w korytarzu, ręka w rękę z pielęgniarką, całkiem spokojna, z niewzruszoną twarzą. Wiedział już wtedy: Donald nie żyje. Meg kiwała głową, kiwała... kiwała w odpowiedzi na pytanie, którego nie wysłowił, więc ostatecznie to pielęgniarka zabrała głos:

– Odszedł, proszę pana.

– Kiedy?

– Pół godziny temu. – Zerknęła na mały zegarek, unosząc go między kciukiem a środkowym palcem. – Wyszłyśmy tu, żeby na pana poczekać. Pańska żona powiedziała, że będzie pan lada chwila.

– Mogę go zobaczyć?

Poważnie kiwnęła głową – pulchna młoda kobieta w dziwnym, sztywnym uniformie. Odwróciła Meg i wzięła ją za ramię, po czym we dwójkę poprowadziły go do pierwszej, odgródzonej przepierzeniem części oddziału. Pozostałe łóżka stały wolne; łóżko Donalda kryło się za zasłoną, pod oknem, duże w świetle.

Siostra odgarnęła zasłonę, zaprosiła ich do środka, po czym zrównała się z nimi w częściowo zaciemnionej przestrzeni. Dziecko leżało na wznak, w białej koszuli szpitalnej, jasne włosy miało przyczesane schludnie, na płasko, małe usta ściągnięte mocno i zaciśnięte, jakby miało zaraz odmówić jakiemuś żądaniu – może śmierci. Na małej twarzyczce rysował się rodzaj uporu lub jakaś intencja, której powinno towarzyszyć zmarszczenie brwi.



Tymczasem czoło pozostawało pogodne i gładkie – doskonale. Widok nie pozostawiał wątpliwości. Tam spójrzcie! Spójrzcie [{18}](#) !

Fisher czuł bardzo wyraźnie obecność obu kobiet, ich sztywność, ich milczenie. W swej gehennie ani nic od niego nie chciały, ani go nie obserwowały, czuwając tylko nad małą twarzyczką z włosami starannie zaczesanymi z przedziałkiem, zapatrzone bez reszty w piękne maleństwo o delikatnych nozdrzach. I właśnie wtedy ojciec nagle, ni stąd, ni zowąd, zażyczył sobie zobaczyć rączki. W pierwszym dniu życia dziecka Fisher włożył swój palec w tamtą małą dłoń, a paluszki odpowiedziały, zamykając się – jakby świadomie. Gdy dzielił się osobliwym życzeniem, gardło miał ściśnięte, a z oczu płynęły mu palące łzy. Nad nim górowały sylwetki kobiet – doskonale, absolutnie nieruchome. Postąpiwszy krok do przodu, zsunął prześcieradło z rąk chłopca. Nocną koszulkę zmoczyły łzy.

Ucałował synka, górna warga zetknęła się z zimnem małego nosa. Potem poprawił prześcieradło i wrócił do szeregu. Siostra ujęła go pod ramię, podczas gdy grzebał w płaszczu w poszukiwaniu chusteczki.

Meg trwała w bezruchu.

Usta mu drżały, trzęsły się w bolesnych spazmach, wywołujących dreszcze na sztywnej masce twarzy.

– Ładnie wygląda – odezwała się pielęgniarka. Takie głupie, a pocieszające: niespodziewane zdanie wygłoszone w taki sposób, jakby Donald jeszcze żył i zwyczajnie szykował się na lekarski obchód. – Biedny malec.

Dała im jeszcze kilka minut, po czym wyprowadziła na zewnątrz, na filiżankę herbaty i porcję racjonalnego wsparcia. Cały personel zdawał się już wiedzieć – każdy zaglądał i przystawał na chwilę – aż Fisher, zaplątany w gąszczu rozpacz, zaczął wyobrażać sobie, że cały szpital: chirurdzy, zarządcy, lekarze, pielęgniarki, technicy, portierzy, sprzątacze, terapeuci, salowe, kucharze ustawiają się w kolejce, aby przekazać wyrazy współczucia.

– Na państwa miejscu poszłabym do domu – powiedziała pielęgniarka – i postarała się coś zjeść.

– Gdzie... on, on teraz...? – zapytała Meg. Fisher zażądał odpowiedzi.

– Na koniec zostanie przeniesiony do kostnicy.

Koniec. Tak po prostu.

Meg, sztywna jak gwardzista, uścisnęła wyciągniętą dłoń i wymamrotała podziękowania. Fisher poszedł za jej przykładem, a wtedy z oczu znów trysnęły mu łzy, lecz żona nie zwróciła na to uwagi. Pozwoliła mu prowadzić, samochód poleciła zostawić przy ulicy. Gdy tylko znaleźli się w domu, Fisher nastawił czajnik i wziął się za smarowanie chleba masłem, a Meg zadzwoniła do rodziców. Przysłuchiwał się, jak trzeźwo obwieszcza komunikat, poznał również kilka faktów z mijającego dnia, przekazywanych matce czystym, bardzo opanowanym głosem. Żona mówiła i słuchała bez hysterii; w pewnym momencie, zbliżywszy się do drzwi w korytarzu, Fisher zauważył, że bawi się bezmyślnie, prawą ręką przesuwając notatnik po wypolerowanym blacie stolika.

Tymczasem w przykuchennej komórce Fisherem targały wybuchy żalu, fizycznie objawiające się drgawkami, przesywającymi całe jego ciało ze zdwojoną mocą. Kiedy po raz



ostatni używał tego czajniczka, Donald żył, oddychał; niczyje palce nie dotknęły tych filiżanek od czasu, kiedy miał dziecko, miał synka, nawet jeśli już wtedy chłopiec ledwo się trzymał. Teraz to dziecko leżało martwe na stole w kostnicy; małe zarzewie rozkładu, choć wciąż piękne.

Meg wróciła oznajmiając, że ojciec zajmie się za nich wszystkimi formalnościami. Fisher ugryzł chleb upieczony za życia Donalda, przełknął kęs, a łzy zmieszały się ze śliną ciekącą z uchylonych ust. Ona nic nie jadła, siedziała tylko sącząc herbatę, z wzrokiem utkwionym gdzieś ponad nim. Na propozycję dolewki kiwnęła głową, rzuciła przelotny uśmiech i ścisnęła palce.

W następnych dniach ani razu nie zauważył, aby opuścił ją spokój. Jedynie od czasu do czasu, gdy pochylała się nad zlewem lub przebywała w ogrodzie, czy wreszcie w kaplicy krematorium, w jej oku pojawiała się łza, pojedynczą kroplą znacząc srebrzyście policzek jak deszcz spływający po marmurze. Nie zapomniała o mężu, lecz jej opieka przypominała karmienie zwierząt zamkniętych w zoo: nawykowe, rutynowe czynności. Przeczytała całą masę listów i odpisała na nie, odbywała rozmowy z nawiedzającymi ich sąsiadami, poddawała się mężowskim gestom miłości, lecz martwo i beznamietnie; przykładowo, stosownie i zabójczo.

Fisher chciał, żeby wyjechała, choćby do rodziców, ale Meg odmówiła, trzymając się swych codziennych obowiązków aż do czasu, gdy mu się polepszyło, gdy był w stanie wejść do sypialni dziecka bez ukłucia bólu czy zapomnieć o własnym żalu choć na godzinę. Z początku trwał w oszołomieniu, z czasem jednak, w miarę jak dochodził do siebie, zaczął łapać się na próbach zrozumienia jej spokoju, jednocześnie życząc sobie, aby nie miała go aż tak dużo. Jego Meg zawsze żyła szaleńczo, w ulewie, w nawałnicy łez, wśród złośliwych wymian zdań i rozprysków porcelany. Ta kobieta, krążąca teraz wokół niego, dźwigała śmierć ze stoickim spokojem, kryjącym to, czego niezmiernie się obawiał: zapowiedź końca ich małżeństwa. Poczęła mu syna, który nie przeżył. A teraz napiętnowała go swym milczeniem.

Kiedy w udręczeniu powiedział o tym Davidowi Vernonowi, teść zbył go wzruszeniem ramion, okazując podobną jak u Meg oziębłość.

– Nie ma sensu się gryźć – powiedział. – Jednego człowieka dotyka to w taki sposób, drugiego... – Pozostawiając zdanie niedokończonym, dał do zrozumienia, że wycofuje się z życia Fishera, odrzucając go i wymazując łączące ich relacje.

Stojąc w katedrze naprzeciw Małego Hugona, pod wysokimi łukami, w barwnej przestrzeni, oddał się przyjemności płynącej z melancholii. Nie ranił się przy tym tęsknotą za dzieckiem ani żadnym innym osobistym żalem, lecz samym rozkosznym poczuciem smutku.

*Może ta zaniedbana darń i gliny warstwa  
Kryje serce niebiańskim brzemienne płomieniem;  
Dłonie, które by mogły dźwżyć ster mocarstwa,  
Martwą lirę ożywiać jednym strun trąceniem?* [\[19\]](#)

Nie sposób utrzymywać, że nie ma się ze śmiercią nic wspólnego, ale rżenie w gar-

dle, gruźlica, zakrzepy czy rak musiały w tej chwili ustąpić miejsca ogólności zjawiska: śmierci zabalsamowanej, zakonserwowanej w dźwięcznie rezonującym pięknie. To właśnie one, te filary, te łuki, uskoki i przestrzenie działały w ten sposób, gdy Bach tworzył *Sztukę fugi*, a Mozart myślał o swoim KV 488 lub 595. O ile się orientował, Thomas Gray odwiedził kiedyś tę katedrę, być może Szekspir również. Z całą pewnością bywał tu z matką młody, stęskniony za wiosną Lawrence. Kolejna para na kolanach przylgnęła do msiądzu, z wigorem kopiując ołówkiem napis na powierzchni pamiątkowej płyty. Ludzie zachowywali się głośno, już nie sprawiali wrażenia skarłałych czy ogarniętych trwogą. Śmiało się raczej i zachwycali rozległą przestrzenią, prosząc, by pokazać im słynnego kamiennego chochlika i gratulując sobie podjęcia inicjatywy kulturalnej. Fisher zrobił kolejną rundkę, przysłuchując się konwersacjom: przenikliwy, czujny, bezdietny mężczyzna, ukontentowany serdeczną atmosferą.

Na zewnątrz przemaszerował wokół katedry, krótką chwilę poświęcając Tennysonowi [\[20\]](#), po czym ustawił się w kolejce po szarlotkę z bitą śmietaną. Ludzie gęsto wypełniali przestrzeń. W zamkowych podziemiach, od których, mimo tłoku, wciąż biło zimnym mrokiem, dzieci – wszędobylskie utrapienia – pokrzykiwały i ganiały się w podskokach, obrywając w ucho i ściągając na siebie rodzicielskie groźby. W więziennej kaplicy nieokiełznane głosy odbijały się echem od drewnianych ław, tak wysokich, że przysłaniały wszystko prócz postaci pastora. Jakże bezdusznym jawił się ten Dom Boży! Fisher, który siedział na twardej ławie w tylnym rzędzie, w miejscu, gdzie sadzano skazańców przyprowadzanych tu jako ostatnich spośród więźniów, aby prawić im kazania, zanim na stryczku oddadzą duszę Bogu, zadrzał i w pośpiechu opuścił ten sprawiający wrażenie mechanicznego, zaprojektowanego wedle purytańskiej skali świat, okrutny nawet teraz, pomimo dudnienia stóp dzieci bawiących się w chowanego. Uciekł stamtąd... popodziwiał jeszcze odrestaurowaną fasadę, wspiał się po schodach, przystanął – jeden wśród wielu – i w końcu skierował swe kroki z powrotem w dół zbocza, tam, gdzie czekały sklepy, fabryki, parkingi, hale do bingo, ludzie prowadzący podłe życie. Zamienił kilka słów z parkingowym przy Brayford Pool i ruszył w drogę ku wybrzeżu.

Jadąc, pomyślał sobie, że czegoś się jednak nauczył, a może nawet stał się trochę innym człowiekiem. Niczego już nie oczekiwał od Meg. Jednocześnie dostrzegał znaczenie tego wniosku. Wiedział, że z przyjemnością zje teraz kolację przygotowaną przez gospodynię – bez cienia wątpliwości frytki i flądra z cytryną – a kiedy skończy, zapłaci rachunek i poczuje, że ten tydzień, te bezmyślne wakacje, wybrane na chybił trafił, wypełnione piachem i rechetem, pubami i lodami, na dobrą sprawę dobiegły już końca. Jego ojciec w takiej sytuacji wyciągnąłby jakiś wniosek: „Miny mamy teraz nietęgę, ale za dwa tygodnie pocujemy dobrodziejstwo tych chwil, więc chodźmy wszyscy na ostatnią wieczorną przechadzkę deptakiem”. Dla Arthura Fishera wszystko było inwestycją. Jaka szkoda, że jego dywidendy narastały tak opieszale. Sunąc przed siebie, jego syn nie zamierzał wcale przyznać ojcu palmy pierwszeństwa: staruszek przez całe życie był śpiewającym hymny, ciężko harującym za ladą człowiekiem, który uciulał trochę grosza, lecz pojęcia nie miał, jak go wydać, a w końcu zmarł przed przejściem na emeryturę, jak gdyby pociągając za sobą żonę. Spłó-

dzili i wychowali jednego wykładowcę uniwersyteckiego – figuranta – i jedną panią doktor, beznamietną babę, którą rozpierałaby duma, gdyby zdołała umiejętnie zdiagnozować śmiertelną chorobę u własnego męża. Czy świat stał się od tego lepszy? Nie ma sprawiedliwości. Upływający czas skutecznie robił swoje.

„Pan Vernon prosił o telefon. Frankland Towers”.

Usłuchał prośby i został zaproszony na kolację. Odmawiając wytłumaczył się, że zaraz podadzą mu posiłek. David dwa razy dzwonił do Meg – odbywając z nią długie rozmowy – i chociaż odmówiła przyjazdu, prosiła, żeby mąż wpadł do niej w sobotę wieczór, po swoim powrocie. Vernon mówił oschle i z przestrogą: zięć musiał zdać sobie sprawę, z jakim osiągnięciem mają tu do czynienia i ile pracy ono kosztowało.

– Jakie sprawiała wrażenie? – zapytał Fisher.

– Niechętnej.

– Co to oznacza?

– Nie chciało jej się ze mną rozmawiać; nie chciała się z tobą widzieć.

– W takim razie może nie powinna? – David go zdenerwował.

– Nie możemy pozostawiać spraw samym sobie. Z tą dziewczyną trzeba otwarcie porozmawiać. Wiesz o tym przecież. Jeśli twoje małżeństwo zasługuje na ratunek, to trzeba podjąć wysiłek. A jeśli ty tego nie zrobisz, zrobię to ja.

– Rozumiem.

Fisher się rozłączył, a Vernon wściekł.

Po kąpieli, stojąc czysty, w nowiutkiej koszuli, z szerokim krawatem, kontemlował swoje wspomnienia. Od śmierci Donalda on i żona oddalili się od siebie: ostatnio kłócili się z niemałą zajadłością, lecz wcześniej ciągnął się okres, w którym nie mieli sobie nic do powiedzenia, kiedy każda potrzeba konwersacji niknęła w znużeniu, kiedy apatia powstrzymywała każdy niewynikający z nawyku kontakt. Filiżankę herbaty do łóżka zanosił jej często bez jednego słowa. Jeśli tarzali się w łóżku, to bez przyjemności, masturbacyjnie: wytrysk przyjemności dla niego, mgliste wspomnienie doznań dla niej. Wobec tamtego stanu ich niedawne kłótnie przypominały paroksyzmy wojny domowej skierowanej przeciw bezbarwnemu miejscu, przeciw zubożeniu, przeciw nędznej egzystencji pod jednym dachem z tą młodą, obcą mu kobietą, która ani nie stawiała żadnych żądań, ani nie była skora do poświęceń; z kobietą, której – jak sądził – był winien dług miłości, którego nie zamierała... nie mogła odebrać. Jej wybuchy złego humoru i rzucanie talerzami przynosiły mu ulgę, bo wiedział wtedy, lub przynajmniej wyobrażał sobie, co ona czuje i mógł odpowiednio ukierunkować własne zachowanie. Gdy był uprzejmy, nie dawało to żadnego rezultatu. Gdy wbrew woli tracił panowanie nad sobą, Meg odpowiadała furją. Nie godzili się. Wrzeszczeli, walili pięściami w stół, kopali meble, aby dać upust goryczy, frustracji, zwykłej hysterii, nic jednak na tym nie zyskując. Na dziś kłótnia zakończona, gdzie jutrzejsza żółć?

Meg zapewne spasowała, bo nie miała już siły walczyć. Mogła się spierać, ale raczej krótko i bez specjalnej wiary czy chęci postawienia na swoim. Spotkają się, popatrzą na siebie, po czym on wmówi sobie, że zrozumiał ją w pełni... Z pewnością nie pojmie, któ-

rędy biegną jej myśli, kiedy wzbiera w niej złość lub skąd wypływa jej znudzenie; żona przeczeka wraz z nim klecone wspólnie bezładne pogaduszki, najpewniej czując się równie jak on niezręcznie, aż w końcu uściska sobie dłonie lub wypiją razem drinka i spotkanie się zakończy... Będzie ją podziwiał, nawet z workami pod oczami i rozczochranymi włosami, lecz nie da się zwieść ani dzikiemu opętaniu, ani żarliwej wierze w to jedno jedyne małżeństwo, mogącej sprawić, że porzuci wszystko inne, by odtąd znów trwać wiernie tylko przy niej. Martwił się o nią. Pocięszylby ją i chciałby jej pomóc, gdyby wiedział jak, ale do wyciągnięcia rąk i błagania jej o powrót nie byłby zdolny. Problem nie w tym, że bał się odrzucenia lub że znowu skończyłoby się to na życiu jak pies z kotem; po prostu ten związek nie wydawał się aż tak atrakcyjny – zaraz, wróć: to jemu w obecnym stanie brakowało energii, by podołać zadaniu.

Dobrze się prezentował w koszuli w szerokie pasy i lekkich tweedach, z włosami zaczesanymi na czoło i gęstymi bokobrodami.

Równy z wybiciem gongu zasiadł na swoim miejscu.

Tego wieczora panował wzmożony gwar. Wczasowicze jak z rękawa sypali poprzez stoliki różnorakimi sentencjami i powiedzonkami, świadomi, że jutro wracają opaleni do domów, a po niejakej niedzieli znów zacznie się praca – podczas gdy nowi goście zasiądą tutaj, zadziwieni perspektywą czekającej ich kosztownej gnuśności. Obydwaj chłopcy Smithów spali już wykończeni w łózkach. Sandra miała na sobie srebrną sukienkę maxi, dodającą jej wzrostu, a ujmującą tęgości. Terry naoliwił włosy. Lena Hollies, ubrana na cytrynowo, skorzystała z usług fryzjera, dzięki czemu ponad jej głową unosiła się wspaniała kofiurowa – co bardzo jej pasowało, podkreślając kości policzkowe i nadając im subtelnej zadziorności. Pocieniowała powieki na zielono, na szyi zawiesiła grube sześcienne korale, zaś obie dłonie przyozdobiła ciężkimi pierścionkami. Obok tej delikatnej jaskrawości zasiadał mąż, ogolony i odziany w stateczne błękity, przez co wydawał się człowiekiem poważnym – jeśli nie zamożnym, to prawym, mającym na uwadze wspólny interes i powszechnie szanowanym. Wygłaszane donośnie banały gryzły się z jego wyglądem zewnętrznym, podczas gdy żona, jak na tak krzykliwie ubraną kobietę, mówiła mało i zachowywała się uprzejmie. Za nimi inni goście, siedzący przy dwóch stolikach pod wykuszowymi oknami, odstawiali komedię, podrzucając balon oraz przywdziewając jeden po drugim czerwony hełm z papieru.

Gospodyni i pracownicy podawały do stołu, posyłając uśmiechy na lewo i prawo. Jedną z nich, Lisę, czekała randka z chłopakiem z Włoch, więc przez cały posiłek otrzymywała porady od państwa Hollies i jakiegoś ojca rodziny, siedzącego przy kaloryferze.

– Ten śródziemnomorski typ...

– Ikry im nie brakuje... Uuuu!

– Weź sobie moją radę do serca i trzymaj się tak blisko gaśnicy, jak się tylko da – będzie mu potrzebna.

– Tak jak i jej, jeśli wolno mi zauważyć. Za każdym razem, gdy kładzie galaretkę na mój talerz, para jej idzie z uszu.

– Och, tato. Zachowuj się.

– To nie ja, to ona. No patrzcie sami.

Dziewczyna zonglowała talerzami – czerwona, ale spokojna. Napiwki wszystko wynagrodzą.

– Sam bym jej dał całusa, gdyby nikogo nie było w pobliżu.

– Do dzieła, panie Hollies!

– Dałabyś mi buziaka, słodziutka? Spryskałem się wodą toaletową za uszami.

– Zobacz, brak jej śmiałości. Lisa, cmoknij go. Zdobądź trochę wprawy.

Hollies w końcu wstał, wziął dziewczynę w ramiona i pocałował przy wtórze wiwatów, na co gospodyni odegrała samobójstwo nożem do mięsa.

– I co ty na to? – krzyczał Hollies. – Nie wolałabyś się dziś spotkać ze mną?

– A co z naszym makaroniarzem?

– Pal go lichu. Ciekawam raczej, co powie pani Hollies? – zapytała gospodyni. Pani Hollies nic nie powiedziała, zerknęła tylko na Fishera spod wieży swoich włosów.

– A co powiesz o tej dziewczusce? – wykrzyknął inny mężczyzna. – Nasza mała Sally! – Dziewczyna o ziemistej cerze miała może z piętnaście lat, nosiła okulary i była córką gospodarzy. – Będzie z ciebie dobra partia, no nie, moja panienko?

Dziecko wygięło cienkie wargi w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

– A zatem, z kim ona się dzisiaj spotyka?

– Ze zmywarką – odpowiedziała Sally.

– Taa jest – przyświadczył ojciec. – Tak właśnie mówi na mnie żona.

Hałas się wzmagił. Dorośli mężczyźni zachowywali się jak dzieci, a dzieci uważnie obserwowały wygłupy tych, którzy nazajutrz znów będą straszyć i wymierzać klapsy. Fisher bawił się dobrze, bez zażenowania wspominając własnego ojca. Wygłupy Arthura nie zawierały podtekstów seksualnych, ale w prostackiej hałaśliwości i rzeniu na całe gardło z pewnością by im dorównał. Przy czym staruszek z zasady nie był wcale jakiś szczególnie wesół przy stole. Pokłady swojej towarzyskości wydatkował publicznie: w sklepie, na przechodniach, w wakacyjnych salonach. Fisher chwycił beżową kopertę ze swoim rachunkiem, a gdy tylko znalazł się na górze, wypisał czek. Dobrze wydane pieniądze. Nikogo, komu można by się zwierzyć. Z korytarza na dole wciąż dochodziły odgłosy zabawy, niemal dziki gwar, wycie oraz cały ten materiał uzupełniający, który należy wyłożyć po dobrze przyjętym dowcipie. Zaśmiał się z tego wszystkiego. Za kogo on się uważa? Czymże takim może się poszczycić, żeby wynosić się ponad nich? Niczego nikomu nie zazdrościł... niczego nie czynił. Goście maszerowali na górę, ze śmiechu nie mogąc złapać tchu; zatrzymali się na jego półpiętrze, żeby przedłużyć jeszcze trochę wspólne chwile. W zgiełku rozmów i przekrzykujących się głosów Fisher wyłapał jedno zdanie, wypowiedziane, jak mu się zdawało, przez ojca rodziny siedzącej przy oknie, rywala Holliesa w sprośnościach. Musiał stać blisko drzwi, bo jego słowa, wypowiedziane niskim głosem, były wyraźnie słyszalne.

– Ładny mahoń, to tutaj. Naprawdę piękny. – Komentarz dotyczył balustrady. Mężczyzna, upojony uciechami ostatniej godziny, skierował swoją radość na martwy obiekt. Nie doczekał się niczyjego komentarza. Drzwi trzasnęły, ludzie wspinali się dalej. Niech Bóg

ma Meg w swojej opiece.

Nim zasiadł do książki, spakował walizkę i wyczyścił zarówno buty na wieczór, jak i parę, którą zamierzał ubrać nazajutrz. Czytanie nie sprawiło mu przyjemności. Wyrzął przez okno, lecz na opuszczonej ulicy zalegała cisza, jak gdyby wczasowicze, szykując się na tę ostatnią noc, oddawali się specjalnym, długotrwałym zabiegom organizacyjno-porzadkowym.

Pukanie do drzwi.

Zaskoczony, podniósł wzrok i odezwał się, prosząc gościa do środka. W progu stanęli państwo Hollies. Żona weszła przodem. Fisher wskazał im miejsce do siedzenia. Lena szeptała słowa aprobaty na temat rozmiaru pokoju i ilości wpadającego tu światła. Jej mąż mamrotał pod nosem; poczynił niezgrabną grzecznościową dygresję, z której wynikało, że świetnie bawili się w jego towarzystwie. Wzruszony Fisher odwzajemnił się stosownymi frazesami. Hollies rozwijał swoje poglądy na jego temat – wciąż nie całkiem odprężony, chociaż zdeterminowany, przedzierał się przez słowa niczym przez chaszczę. Fisher jawił mu się jako człowiek wszechstronny, obdarzony niezłym zmysłem obserwacyjnym, nierzucający argumentami bez pokrycia, a możliwość przysłuchiwania się, jak ktoś robi z języka taki użytek, dała mu wiele przyjemności. Rzadko trafia się podobna okazja, podobny przywilej. Pani Hollies, na twarzy bardziej jakby promienna, wydawała się ukontentowana potokiem słów męża, wyrażających również jej pogląd; z całą pewnością nie czuła się zażenowana – w przeciwieństwie do Fishera.

Hollies zrobił pauzę, podciągnął nogawki i czekał, zadowolony z siebie.

Fisher kiwnął głową i posłał im szeroki uśmiech. Panienka z dobrego domu lepiej by tego nie zrobiła.

No cóż. Hollies przerwał milczenie. Nie próbował ukrywać, że zamierza udać się do pubu. Po tej deklaracji nastąpiło długie, klarowne wyjaśnienie, jak to w domu nie może pić, bo pracuje do późna i dlatego to dla niego taka przyjemność – produkt pierwszej potrzeby, jeśli wakacje mają być udane. Lena miała do tego inny stosunek. Lubiła się napić, ale z umiarem. Nie miał jej tego za złe. W końcu doszedł do sedna: czy pan Fisher nie wybiera się może potem na spacer do pubu i czy nie miałby nic przeciwko, gdyby Lena mu towarzyszyła. Młodzi Smithowie nie pojawiają się. Muszą się wcześniej położyć, ruszają z samego rana. Hollies nie okraślił stwierdzenia żadną lubieżną sugestią, odrzucił rubaszny język z jadłodajni na rzecz taktowniejszego podejścia. Nie najlepiej znosił picie – Terry Smith, znaczy się. Za mocno przejmował się, co jego żona na to powie. W tym stwierdzeniu nie kryła się żadna złośliwość – taka była po prostu prawda. Niemniej ucieszyłby się bardzo, gdyby pan Fisher się zgodził, wziął Lenę na przechadzkę i zechciał dołączyć do niego przy ostatnim piwku, bo jeśli o niego chodzi, na pewno nie zapomni tej znajomości.

Facet potrafił ubierać myśli w słowa. I kryła się w nim moc: był silny, gotów zastraszyć człowieka, gdyby ktoś z nim zadarł, a do tego nie brakowało mu inteligencji. Gdyby ojciec Fishera wstąpił kiedyś z podobną propozycją do sypialni sąsiadów – choć on akurat nie powazyłby się na wizytę w piwiarni – żołądek jego syna mógłby nie wytrzymać takiej porcji pretensjonalności. Identyczne wynurzenia wygłoszone z typową dla ojca, piskliwą skle-

pową elegancją zostałyby odrzucone. Tymczasem wypowiedziane niskim głosem, którym posługiwał się ten mężczyzna o szerokich ramionach, schlebiali rozmówcy, a zarazem zyskiwały jego uznanie.

Fisher przystał na propozycję pod warunkiem, że pani Hollies sobie tego życzy.

Gdy wzajemne skinienia głowy przypieczętowały umowę, Hollies wstał i oświadczył, że – aby nie tracić najdogodniejszej na konsumpcję pory – zamierza jeszcze przed wybi-  
ciem ósmej zamoczyć usta po raz pierwszy, a następnie wziął żonę pod ramię i wyszedł.

Usatysfakcjonowany wbrew rozsądkowi, Fisher na powrót oddał się lekturze.

Wracając kiedyś z pracy, zboczył z drogi, by zajrzeć do małego sklepiku, którego właściciel samodzielnie wypiekał chleb. Kiedy wrócił do domu, okazało się, że Meg całe po-  
południe była poza domem i roznosiciel tego dnia do nich nie zawitał. Fisher wydobyl  
swoj podarunek, owinięty w papierową serwetkę.

Meg zaraz go ucałowała. Chrupiący chleb smakował wyśmienicie. Gryźli i wychwalali,  
zachwyceni sobą nawzajem. Wieczorem wybrali się na spacer ulicami miasta, ręka w rękę,  
mężczyzna i kobieta, pałając do siebie miłością, wyznając ją sobie i okazując. Meg wyda-  
wała się tak nieskomplikowana jak nigdy wcześniej. Zwycięstwo tamtego dnia Fisher przy-  
pisywał szczęśliwej wizycie w sklepie, którego smakowity zapach przetrwał w jego pa-  
mięci. Mniej więcej wtedy Donald został poczęty.

Teraz Fisher czuł podobnego rodzaju nieskomplikowany triumf.

Tych dwoje łaknęło jego towarzystwa, wręcz przyszło o nie prosić. Leżał na łóżku, ob-  
serwując światło padające na sufit i słuchając zdecydowanych kroków oraz głosów z ulicy.  
Pół godziny później zmienił buty, znów się umył i odziany w koszulę z rękawami zaczął pi-  
łować paznokcie, gdy zapukała pani Hollies.

– Jesteś już gotowa?

– Nie ma pośpiechu.

Zapytał, czy nie zechciałaby usiąść. Była drobna, a dobrze skrojona, rozszerzana u dołu  
cytrynowa sukienka dodawała jej blasku. Dziesięć lat temu musiała być urodziwa, przy tym  
zadziorna i kipiąca ekspresją, która obecnie jedynie w części została zatarta. Widok tej ko-  
biety siedzącej z rękami na kolanach obiecywał więcej niżli tylko jej skromność i nieśmia-  
łość – z tym, że zamiast popadać w ostentację, wysyłała raczej komunikat, afirmację drze-  
miącej w niej osobowości pełnej życia kobiety, która ze znanych tylko sobie pobudek po-  
stanowiła ukryć swój żar. Zaintrygowany, zastanawiał się, jaki ogień w niej płonie.

– Nie widzę sensu w zwykłym żłopaniu piwa – powiedziała.

– Rzeczywiście.

Nie włożył jeszcze kurtki.

– To najlepszy pokój w pensjonacie – oznajmiła.

– Mam szczęście. Rezerwację robiłem zaledwie trzy dni przed przyjazdem.

– Ktoś musiał odwołać.

Słuszny wniosek.

– Mam pewien pomysł – powiedział. – Napijmy się tutaj. Zanim nogi nas poniosą. –  
Otworzył walizkę, wyjął kilka buteleczek toniku oraz butelkę do połowy wypełnioną dzi-

nem. Nalał do plastikowych kubków.

– Twoje zdrowie – wzniósł toast.

Wstała i rozejrzała się komicznie na boki, sztywna jak ołowiany żołnierz. Uniosła drinka wysoko do góry i wzięła solidny łyk.

– Lubię dzin – powiedziała.

– Dlaczego?

– Rozluźnia mnie. – Znów posmakowała, wykazując się animuszem niemal jak jej mąż.

– „Przeklinaj okowy, błogosław wytchnienia” [\[21\]](#) – zacytował.

– I ty również.

Z szerokim uśmiechem zamknął odłożoną książkę i odwrócony tyłem do Leny zamoczył usta w napoju, jednocześnie obserwując odbijające się w lustrze pospolite rysy kobiety. Trwała w bezruchu, ze spuszczoną głową, niczym strofowane dziecko, aż nagle wyprostowała się niczym spłoszona klacz, chwyciła swój kubek i upiła nieco drinka.

– Jesteś zadowolona? – zapytał.

Złapała jego wzrok odbity w lustrze, zamieszła trunek i wychyliła jeszcze trochę.

– Dobrze – odpowiedziała. Nalał ponownie. – Upijesz mnie jeszcze przed wyjściem.

Opowiedział jej o swojej wizycie w Lincoln, a ona o rundce po sklepach w poszukiwaniu prezentów. Podniecało ją targowanie się: miała sporo uciechy, w jednym miejscu uzyskując zniżkę, w innym otrzymując lepszy towar. W najbliższą niedzielę po południu ma zamiar rozdawać podarki u najstarszej córki; w tym czasie Jack z pełnym brzuchem będzie drzemał lub darł się z fotela. Przez chwilę mówiła o swoim mężu – z dozą czułości, lecz zarazem kąśliwie, wyliczając jego słabostki. Miał dobrą posadę w drukarni i dbał o żonę, ale wymagał przypomnienia, że koszula lub skarpetki proszą się już o zmianę.

– Ja mu dobieram garderobę. Jemu jest wszystko jedno. Chodziłby ubrany jak strach na wróble, gdybym nie suszyła mu o to głowy. Co ciekawe, jest przy tym czysty i schludny. Gdy wróci dzisiaj z Wielkiego Wozu, będzie wstawiony, ale na ubraniu nie będzie ani śladu po piwie. Sam zobaczysz.

– Czyli dobry z niego mąż – stwierdził Fisher.

– Tak. Dobry. – Zawahała się.

– A zatem, jego zdrowie – Fisher podniósł kubek z toaletki. – Oraz pani jego serca. – Ucieszyły ją te słowa, on tymczasem dostrzegł w nich koturnową frazeologię ojca. Wstała, aby wznieść toast, zrobiła kilka kroków, po czym stwierdziła, że kręci jej się w głowie i usiadła na jego łóżku.

– Cóż pan sobie o mnie pomyśli, panie Fisher?

– Że jesteś na wakacjach.

– Tak to właśnie jest z tym Jackiem. Nie muszę iść do pubu, jeśli nie chcę. – Zwilżyła usta. Zapadnięta w narzutę, wyglądała na jeszcze drobniejszą i godną współczucia. – Czy pańska małżonka piła dzin, panie Fisher? – Wyczuł napięcie w jej głosie.

– Od czasu do czasu.

– Wypiję jej zdrowie. – Wstała, pociągnęła łyk, machnęła ręką, siadła z powrotem. Zdążyła się już upić. – Jaka ona była?



– Nadal jest wśród nas – odpowiedział.

– Nie chcesz o niej rozmawiać, prawda? – Jej twarz wykrzywił sentymentalny uśmiešek, ręka wprawiała w wir zawartość kubeczka.

Tak dokładnie, jak tylko było go stać, niczym przy ćwiczeniu z gramatyki, postarał się opisać Meg, jej wygląd, jej włosy, jasne stroje, chód, jej głos. Nie śpieszył się, nadając ćwiczeniu znaczenie. Kiedy skończył, Lena, przekrzywiwszy pytająco głowę, powiedziała z sympatią widoczną w jasnym spojrzeniu:

– Myślę, że pan ją kocha, panie Fisher. Nie mylę się, prawda?

– Jestem jej mężem.

– To zupełnie co innego. Kiedy o niej mówiłeś, odniosłam wrażenie, jakbyś czytał książkę.

– Nawykłem – trzymał się fałszu – do mówienia w taki sposób.

– A mój Jack nie. – Przechyliła kubek. – Jak chce, to potrafi się wysłowić. Sam słyszałeś. Ale nie wtedy, gdy mówi do mnie. „Chodź już do łóżka, Lena”. To wszystko, na co go stać. Oto cała jego miłość.

– Może to całkiem sporo.

– Chciałabym, żeby ktoś mówił mi różne rzeczy. Tak jak ty, kiedy opowiadałeś o żonie. On tylko nawija o pracy, o związkach zawodowych, sypie dowcipami albo gada świństwa.

– Czy to znaczy, że nie jesteś szczęśliwa?

– Tego nie wiem. Nie wiem też, kto jest. – Mówiła, parodiując jego wcześniejszą precyzję, zgłębiając nieco problem filozoficzny. – W każdym razie od czasu od czasu nachodzi mnie myśl, że sprawy mogłyby wyglądać inaczej. – Energicznie przetarła twarz. – Ośmielę się stwierdzić, że to nic takiego.

– Czyli nigdy nie myślałaś, żeby go opuścić.

– A niby czemu? – Uśmiechnęła się. – Mówiąc szczerze, dopiero ostatnio po raz pierwszy zaczęłam się nad tym zastanawiać. Teraz, kiedy dzieci są już dorosłe. Nie chodzi o to, że żywię do niego jakąś urazę. Jest, jaki jest i nigdy nie było inaczej. Wciąż jest silny, ale już nie tak bystry jak kiedyś. – Wprowadziła się w nastrój jesiennego zadumy. – Miałam siedemnaście lat, gdy za niego wyszłam. Niedługo trzydziesta rocznica. On był sierżantem w armii... Nie podobają mi się ci Smithowie – wtrąciła nagle.

– Czemuż to?

– Ona patrzy na męża z politowaniem. Nie zastanawiałaby się dwa razy, gdyby trafił jej się choć cień szansy na kogoś lepszego.

– A ty?

– Zbliżamy się do tego etapu – znów mówiła powoli – kiedy zaczniesz mnie potrzebować. Przypuszczam, że brzmi to śmiesznie, ale tak właśnie będzie. Nigdy nie był niedołączny, zdrowy jest jak koń. Tymczasem tuż przed wakacjami musiał usunąć ząb. Kilka dni mu zeszło, zanim się z tym pogodził. Musiałam mu dokuczać, mówiłam: „Wyrwali ci ząb, a nie amputowali nogę”. Ale dla niego to był potworny cios. Naprawdę rozłożył go na łopatki.

– Wydaje się pełen życia.

– Owszem, to prawda – tutaj. Cieszy się każdą minutą. Tyle że siedzenie w pubie, chla-

nie i gadanie o futbolu to nie najlepsza droga.

– Lepsza niż bingo.

– Kto ci powiedział, że w to grywam?

– Nikt. A nie grywasz?

– Mam więcej rozumu. Trzy razy w tygodniu z rana sprzątam trochę u ludzi.

– Jack nie ma nic przeciw temu?

– Czemu miałby mieć? To ludzie z klasą. Jak ty. Adwokat, małżeństwo nauczycieli. Kiedy sprzątam, wszyscy są w pracy. Dla mnie to zawsze jakaś odmiana.

Fisher poczuł się ubezwłasnowolniony i umieszczony tam, gdzie jego miejsce – w bu-  
tach nieobecnego pracodawcy.

– Więcej dżinu?

– Nie, dziękuję. Chcę dojść do tego pubu. Sama nie wiem, sama nie wiem – biadoliła, delikatnie kiwając się na boki.

– Nie żal mi wracać – powiedział. – Do domu.

– Obiecuj mi – przysunęła się bliżej – obiecuj mi, że spotkasz się z nią znowu. – Stała teraz nad nim, nawet całkiem stabilnie. – Napraw ten związek. – Odruchowo zarysowała kubkiem w powietrzu pojednanie. – Zrobisz to?... Zrobisz?

Podniósł butelkę z dżinem.

– Złożę jej wizytę.

Znów się napiła, po czym wzięła Fishera z zaskoczenia i usiadła mu nagle na kolanie, jednakże z pełną pruderią, wypisz wymaluj: niezamężna ciotka moszcząca się na stołku przy pianinie. Beztrąsko usadowiona – stopę nad podłogą – śmiała się do swego odbicia w lustrze.

– Nie podoba ci się to, prawda? – zapytała.

– Ależ nie, podoba!

W jej śmiechu pojawił się jazgotliwy ton.

– Milutki jesteś. Mogłabym stracić dla ciebie głowę – powiedziała. – Wszyscy ludzie, którzy mi się podobają, chcą kogoś innego. Oj, nie rób takiej kwaśnej miny. To jeszcze nie koniec świata.

– Mogłabyś zdradzić męża?

– Nic takiego nie powiedziałam... o ile dobrze pamiętam. – Wypuściła powietrze, wstała i przyglądała sukienkę. – Jesteśmy na wakacjach. Niektórzy mogą ulec pokusie. Raz go przyłapałam z kobietą. Obmacywał ją.

Nie położyła jakiegoś specjalnego nacisku na te słowa. Wydawała się ledwie zainteresowana, jakby dotknęła tematu, który tylko przez grzeczność wypada podjąć.

– Nie przeszkadzało ci to?

– Z dzisiejszej perspektywy... Trudno powiedzieć. Widziałam, że się boi, bo zrobił coś, czego może żałować. A tamta kobieta, cóż, wydawała się dobrze wykształcona, ładnie się wysławiała. Jej mąż też tam był. Duże, łyse chłopisko.

– Byli pijani?

Ręką łagodnie musnęła jego genitalia.

– Dlaczego mieliby być? Szukali odmiany. Jack należy do ludzi, którzy podejmują takie gierki. Nie pierwszy to raz i nie ostatni. Z czegoś takiego nie warto robić wielkiego halo.

– A ty?

– Ja nic nie mówię. Fantazjuję o mężczyznach po cichu. W głowie. Tak jest lepiej. – Odstawiła kubek do zlewu. – Chodź – powiedziała. – Ruszmy się, jeśli mamy tam iść. I nie zapomnij, co ci powiedziałam.

– Zobaczę się z nią.

Zażądała wyścigu do pubu i podczas biegu tak wymachiwała rękami, jakby chciała wzlecieć ponad ulicą.

Hollies siedział stłamszony w kącie ze Smithami, którzy podnieśli krzyk gwoli wyjaśnienia swojej obecności w barze. Pianino huknęło. Jack zdobył krzesła; przy stoliku obok starszy jegomość o schludnie zaczesanych, rzadkich siwych włosach, dyrygując, nucił *Różę z Tralee*. Wśród zgiełku, rozgardiaszu, wymownych gestów i żądań trunki pojawiały się powoli, przesuając się mozolnie w tłumie.

Sandra trajkotała opowiadając, jak to gospodyni przekonała ich do wyjścia. „Macie ostatnią szansę, kochanieńcy. Zabawcie się, jak należy. Zaopiekuję się chłopcami”. Starannie uprasowana bluzka, krótka różowa spódniczka oraz włosy, które przy misternie splecionych lokach Leny emanowały młodością i życiem, a wszystko to poddane ocenie czujnej pani Hollies, czyniącej obserwacje, mrużąc z aprobatą, ale niewyjawiającej własnych opinii.

Podszuchując dobiegające zewsząd konwersacje, Fisher sączył piwo i podziwiał różne wyrazy twarzy, zmieniające się z nieznanym mu powodów. Choć otaczał go taki tłum, prawdziwy gąszcz tłoczących się ludzi, chwilę przesiedział pogrążony w apatii, jak gdyby w oczekiwaniu na koncert mierzył wzrokiem schodzących się członków orkiestry, dobrze wiedząc, że prawdziwe emocje zaczną się dopiero teraz. Przy stoliku obok jakiś facet i jego żona opisywali w niezgodnym duecie bójkę, która tego popołudnia wybuchła na plaży pomiędzy dwoma dobrze ubranymi hindusami oraz interwencję kilku kobiet, które kazały im się uspokoić. Nastąpił potok rasistowskich komentarzy, przytoczono przykład ulicznej rozróby, w której ktoś rozwalił sobie czaszkę o krawężnik, aż w końcu niewybredne epitety latały już niczym zaciśnięte pięści. Tymczasem nieopodal Hollies, wypinając pierś, bardzo wolno tłumaczył Sandrze, co rozumie pod pojęciem udanych wakacji i dlaczego ma większą nadzieję na przeżycie ich tutaj niż za granicą. Ze szklanką piwa, którą trzymał w dłoni, prezentował się doskonale... z jedzeniem również.

– Jak mi w podrobach zabraknie poślizgu, to po prostu zejść na dół do apteki, kupię oliwę z oliwek i ją wypiję. Wtedy, kiedy uznam za stosowne – nie wcześniej. Tak się akurat składa, że sam wiem najlepiej, jakie smarowanie mi służy.

Sandra rozchyłała usta w uśmiechu, nieznacznie odsłaniając białe zęby, skupiona na każdej wypowiedzianej przez niego sylabie. Hollies nie mówił donośnie, wręcz niemal przesadnie cicho jak na panujący rozgardiasz, przy czym jego głos brzmiał hipnotycznie, przybierając autorytatywny ton. Rozpalony, czerwony jak burak Terry szarpał za rozpięty kołnierzyk, spoglądając zazdrośnie na starszego mężczyznę.

Fisher odciął się od otoczenia, pogrążony we własnych myślach. Lekko podchmielony, snuł rozważania na temat swojej sztuki. Był to jego myślowy sposób na powołanie nieistniejącego dzieła do życia – na radosnym rauszu, pod którego wpływem nie dba się ani o decyzje, ani o ich alternatywy, ani też o udrękę pisania, o to katorżnicze przymuszanie się do przelewania na papier pomysłów, które jawią się jako wspianała kreacja, dopóki pozostają jedynie w mglistym zarysie.

Sącząc trunek, obmyślał koncepcję wielkiego dramatu rodzinnego. Na razie bohaterowie pozostawali jeszcze bezimienni, ale wiedział, że historia zacznie się w czasach luddystów. Oto pewien młody mężczyzna, ojciec rodziny, zostaje pojmany i powieszony – silna postać, przemawiająca głosem sprawiedliwości za pomocą zaciśniętych pięści. Następnie pojawiają się jego wiktoriańscy potomkowie, obmyci krwią Jezusa, lecz aktywnie pomnażający swój majątek, dzięki czemu ich wnuk, zginąwszy w okopach, pozostawi spadkobiercom okazałą fortunę. No i wreszcie jego zamożne dzieci, żyjące w Londynie ze swoim potomstwem, sprawiającym równie dużo kłopotów jak założyciel rodu, schowanym za murami szkoły publicznej i anglikańskiego agnostycyzmu.

Jak coś takiego miałyby się pomieścić na scenie – nie miał pojęcia.

Brechtowskie sceny wypełnione poetyckimi strofami i wykrzykiwanymi pieśniami, brutalność rewolucji zestawiona z wytwornością intonacji z południa. Równie nieprawdopodobne jak *Król Lear*... chociaż w karczemnej wrzawie i odurzeniu koncept rozwinął się do symfonicznych proporcji. Musi uchwycić czas i powstrzymać jego upływ. Oto właściwy, prawdziwy cel kołyszącego się w barze człowieka: odcisnąć swoje piętno na ulatujących prędko latach. Och, zielony liść i gałązka {22} ! Wszystko sprowadzało się do antycypacji... Mąż Sandry uśmiechał się, podczas gdy ona ocierała się lewą pierśią o ramię Fishera. Niczego nie da się wstrzymać. Wszystko płynie, ulatnia się, rozdrabnia na gęstą mgłę, a później z całej tej wątej materii poeci tkają trwałość swej pamięci... Boże Narodzenie, dżdżysty i ponury dzień, a tu butelki whisky na kredensie, telewizja i orzeszki już czekają, żeby zepsuć kolejne doniosłe wydarzenie; aż wreszcie słowa, umacniając banał, czynią coś z niczego, wydrapują inicjały w rozszerzającym się wszechświecie. Złamany nóż i śmierć chłopca.

Przyczyną odczuwanej przez Fishera przyjemności był po części dotyk dwóch przyciskających się do niego kobiet. Hollies opisywał Terry'emu Smithowi, jak wygląda striptiz w klubie, do którego uczęszcza w niedzielne popołudnie, Terry zaś, któremu piwo i towarzystwo starły z twarzy osobowość, strzelał głupawe uśmiešky. Dwa stoliki dalej opowiedzianą historię nagrodził donośny rechot, a anegdociarz rozparł się wygodnie, najwyraźniej uznawszy, że mu się to należy. Perfumy Sandry, ostry zapach lakieru na włosach Leny. Grupa ludzi przy pianinie zawodziła chórem. Fisher nie rozpoznawał ani melodii, ani słów.

– Lepsze to niż pop – powiedział Hollies. – To, co króluje teraz w klubach.

– Włącz no tylko telewizor... – zaczął Terry, coś zabełkotał i oklapł z powrotem.

– Właśnie, jak chcesz posłuchać czegoś przyzwoitego, najpierw musisz przesiedzieć kilka godzin, wysłuchując ryków i wrzasków tych kudłaczy. Co jeden to głuchy jak pień.

– Mnie tam się podoba – wtrąciła Lena.

– Wcale nie. Zawsze każesz mi ściszać.  
– Niektóre piosenki są niezłe – ośmieliła się Sandra, przytulona do Fishera.  
– Artyści estradowi muszą celować w potrzeby młodej publiki. Ona stanowi większość.  
Kto płaci, ten wymaga – powiedział Fisher.

– Młodzież gra pierwsze skrzypce.  
– Lubię skrzypce – zachichotała pani Hollies.  
– Ja w tym skrzypiec nie słyszę – powiedział Hollies, śmiejąc się. – Raczej cholerny ja-zgot.

Meg lubiła pop, bo, jak twierdziła, grał jej w duszy. „Wprawia cię w ruch: pop to ta-niec” – i rzeczywiście bywało, że znajdował ją pomiędzy kolumnami, podrygującą w rytm niepojętego wręcz dudnienia i skowytu grupy muzyków. „To nie działa na intelekt. To mu-zyka bicepsów. Płasanie kości. Wąginy. Jąder”. Zastanawiał się, ile w tym prawdy. On wi-dział w tym toporną finezję rodem z dawnych cake-walków w wesołych miasteczkach – tam maszyna podrzucała podłogę w górę i w dół, a człowiek wykonywał kontrapunktowe kroki, ryzykując upadek. Meg była innego zdania. Wierzyła w pop. Jemu wychowanie i edukacja zamknęły drogę do tej przyjemności. Ale jednocześnie uwielbiała Mozarta – kilka wczesnych sonat, których nauczyła się za młodu, grywała z niesłychaną regularnością. A potem lgnęła do tego barbarzyństwa... złe słowo: tej hałaśliwej nudy. „Jasne, że w więk-szości to chała – argumentowała rozsądnie. – Wiem o tym. Ale to nowa chała”. W tym mo-mencie kpiała z niego – z manierą ojca, wyniesioną z sali rozpraw. „Dziewięćdziesiąt pro-cent wytworów ludzkiej kultury jest bezwartościowych” – stwierdził kiedyś autorytatywnie Vernon. Meg o tym pamiętała, więc podkręcała dudnienie w kolumnach i puszczała się w taniec, całkowicie go lekceważąc.

– Ten gość przy pianinie ni w ząb nie umie czytać nut – rzekł mężczyzna nachylający się do nich od sąsiedniego stolika.

– Gra ze słuchu.  
– Aha. Sam się nauczył.  
– Potrafi wydobywać dźwięki – powiedział Hollies.  
– Ciekawe, jak by grał, gdyby brał lekcje muzyki za młodu? – zapytał Fisher. Pojęcia nie miał, jak wpadł na to pytanie i czemu je wypowiedział.

– Mogłoby go to zepsuć – odparł Hollies.  
– Zamknięty w czterech ścianach, grałby dzieła Bacha – to znów sąsiad.  
– A to byłoby źle? – Fisher podążał za tokiem myślenia tamtego.  
– Teraz daje radość... setkom ludzi... co noc.  
– I konto rośnie. – Terry również zapragnął włączyć się w śpieszną wymianę myśli.  
– Jego bebech też. – Hollies, radośnie grubiański.  
– Gdyby on się uczył – wolno powiedziała Lena – i tak w zamian znalazłoby się od gro-ma takich, co tego nie robią. Na pęczki ich w pubach.

– Dzięki Bogu – rzekł Hollies.  
– ...i brakowi szans na porządne wykształcenie w naszym kraju – dorzucił Fisher.  
Dyskusja zesłała na edukację i wszyscy się rozgadali. Sandra, zuchwała teraz i asertyw-

na, dowodziła, że edukacja jest kluczem do awansu społecznego. Zamierzała posłać chłopców do szkoły średniej, żeby zdobyli kwalifikacje i mogli się dalej rozwijać. Pozostali przyjęli ten plan z aprobatą, ale wyrazili też obawę, że jest to droga jedynie dla garstki wybranych, obdarzonych zarówno rozumem, jak i talentem. Nie wytaczali wprost argumentów na poparcie swojej tezy, przemycając je tylko za pośrednictwem anegdotek o fortunach, jakich dorobili się ludzie głupi jak but. Fisher delikatnie opowiadał się za kulturą, mającą wzbogacać życie człowieka. Hollies autorytatywnie ukrócił jego zapędy.

– Wy, nauczyciele, wszyscy jesteście tacy sami – powiedział.

– On jest wykładowcą – poprawiła go Sandra, czując się teraz ważną personą.

– Jeden pies. Nie macie pojęcia o codziennej harówie. Na koniec dnia nie marzysz wtedy o koncercie Beethovena czy Rachmaninowa, tylko o fotelu i prostej rozrywce. Próbowałem jednego i drugiego, więc wiem.

– Uczyłeś kiedyś od rana do wieczora?

– Od dziewiątej do szesnastej. Dwie godziny przerwy. Czterdzieści tygodni w roku. Nie znasz życia, mówię ci.

Nie, oni nie mogli mówić tego wszystkiego serio... Ekscentryczni nauczyciele zaciągający się papierosami za uniesionymi blatami biurek. Kopacze opierający się o łopaty i parzący herbatę. Świst kijów i rzemieni. Wysilek potrzebny do naprawienia najprostszej rzeczy. Podniesione głosy, dające ujście pesymizmowi przy pomocy radosnych okrzyków. Fisher, z uczuciem przepelniającego go szczęścia, znów pogrążył się w rozmyślaniach, z żalem wyrzucając sobie spóźnione dzieciństwo... Jutro spotka się z Meg, tak jak przodek luddysta z jego sztuki spotka się z szubienicą.

W odległym końcu sali jakiś facet podniósł ręce nad głowę, po czym wstał, aby, nie mając ni krzty przestrzeni, zademonstrować kilka tanecznych wygibasów. Kłaśnięcie, kasznięcie, okrzyk, machnięcie ręką – i z powrotem na krzesło, by zanurzyć twarz w kuflu. Całe życie w symbolicznym skrócie: jeden gest, z braku miejsca wykonany niewłaściwie, mający przedstawiać coś więcej, a zarazem błądy. Trwa krótko, a potem ginie, znika, koniec z nim. Jego sztuka niosłaby w sobie symbolikę najcięższą z możliwych – jak u Ibsena. Szubienice i świeczniki, kajdany i serwetki, słowa wypowiedane w zimnym mroku, błyskotliwe wymiany zdań przy winie – całe życie jaśniejące mocnym światłem. Z braku lepszego zajęcia sączył piwo, wewnętrznie poruszony nie wiadomo czym, pozbawiony przez alkohol pełni swych zdolności. W przypływie serdeczności położył rękę na udzie Leny Hollies. Miała na sobie podwiązki; wyczuł gumowy guzik, działający niczym afrodyzjak.

Terry, tocząc walkę o podniesienie się do pionu, zaproponował następną kolejkę, za którą Fisher podziękował. Jakiś młodzian spadł na bok ze swojego stołka i zaraz został usadzony na miejscu.

Sąsiad, odchylając się od swojego stolika z pełnym do połowy kuflem, zaczął rozprawać ze zmarszczonym czołem o stosunkach między pracodawcą a pracownikiem, lecz Hollies zaraz przywołał go do porządku, każąc mu się zamknąć, bo są na wakacjach.

– Nie daj mu sobą rządzić – powiedziała Lena.

– W porządku, proszę pani.

- Masz prawo mówić, co chcesz.
- Nie. Ma rację: jesteśmy na wakacjach.

Odpuściła, nie okazując zniesmaczenia. Poprosiła Fishera, by odcyfrował rysunkową reklamę na drugim końcu pomieszczenia. Wszędzie unosił się dym. Terry zamówił nowe trunki, a Hollies powrócił od pisuaru.

- I z powrotem do browaru.

Kółka wilgoci na czerwonym blacie splatały się niczym pręgi na ciele.

Niedługo przed zamknięciem pianino przestało grać, chociaż Fisher nie był pewien, czy przypadkiem sam nie wymazał jego dźwięku ze świadomości. Nie, pianista siedział bokiem do klawiatury, jakby zdobycie chociaż kilku dodatkowych cali stało się ważniejsze od muzyki. W chwili, gdy właściciel oznajmił, że zamyka, Terry, chwytając powietrze jak ryba wyjęta z wody, starał się właśnie opisać swój wypadek na motocyklu. Próba wyszła żenująco: kłapał szczęką, niezdolny złożyć spójnego zdania, a ręką przecinał powietrze, aby móc nabrać kształtu nieistniejącemu przesłaniu.

Fisher nie wypił za wiele przez ostatnią godzinę, zdążył więc wytrzeźwieć. Podobnie obydwie panie: siedziały sztywno, a nawet chyba miały ochotę wyrazić dezaprobatę. Wielka twarz Holliesa szukała sensu w przekazie Terry'ego. Sąsiad rozdawał uściski dłoni, rzucając przyjacielskimi niedorzecznościami oraz obietnicami, po czym chwycił za rękę kobietę w czerwonym słomkowym kapeluszu ozdobionym muszlą i piórem, którą całą noc zaniedbywał. Pianista wystukał *Auld Lang Syne*; niektórzy złapali się za ręce, lecz większość po prostu siedziała gapiąc się przed siebie, z objawami opilstwa widocznymi na twarzach. Fisher poczuł nagle wstyd widząc, że oczy pani Hollies robią się wielkie od łez.

Pozostali dwaj mężczyźni oddali się ceremonii kończenia ostatniego piwa, besztając Lenę za poniechanie do połowy pełnego kufła.

- Pan Fisher słono za niego zapłacił – uświadamiał ją Hollies.
- Niech zatem pan Fisher go wypije.

Celne podsumowanie łączących ich relacji.

Na zewnątrz, na podwórzu, Terry oklapł do reszty. Z rozczochranymi włosami, łypiąc okiem w oczekiwaniu na srogą karę, wyglądał na przestraszonego. Rozdarł sobie spodnie na kolanie. Twarz Sandry skurczyła się jakby, co być może powstrzymywało ją od wydarcia się na męża. Lena nuciła coś pod nosem, kolejny już raz czekając na powrót małżonka z toalety.

Chwyciwszy się pod ramiona, zajęli całą szerokość chodnika. Fisher szedł z zewnątrz, zadowolony, że już się ściemniło, aczkolwiek spacer przebiegał nader spokojnie. Nawet Hollies się hamował; nie forował tanecznego kroku, nie krzyczał, nie śpiewał – myślami był już w łóżku. Ręka Leny spoczywała na ramieniu Fishera skromnie, niewinnie, można by rzec: letargicznie.

Na chodniku przed pensjonatem Hollies rozpoczął przemówienie, przerwane zaraz przez żonę:

- Wszystkich pobudzisz.

Ceremoniał uścisków dłoni zaczął się stosunkowo cicho, choć co prawda, kiedy Lena

ucałowała Terry'ego, a potem Fishera, atmosfera się ożywiła i podniosły się piskliwe głosy.

– Zauważcie, że ja nie dostałem buziaka – gderał Hollies. Sandra dogodziła wszystkim i uściskała całą trójkę.

– To najlepsze wakacje, jakie miałem w życiu – zwierzył się Fisherowi Terry, klepiąc go po pijacku w ramię i próbując mruganiem odgarnąć włosy z oczu.

Nagle, stojąc tak wśród tych ludzi, Fisher poczuł się wyobcowany. Poddał ich beznamiętnemu osądowi. Zastanawiał się, co na ten rytuał powiedzieliby jego koledzy: ci pędzący autostradami Europy, popijający wino, odganiający się od much, błyskający frazeologią, wszyscy – jeśli im wierzyć – znakomici w targowaniu się, szczeni Europejczycy, podczas gdy on stał na tej byle jakiej ulicy, wiejącej tandetą kurortu z lat trzydziestych, z grupą na wpół urzędników pozbawionych kultury i ogłady, których wybrał prawie przez przypadek, a już z pewnością nie za ich uzdolnienia; wystarczająco trzeźwy, aby słuchać i porównywać, zachodząc jednocześnie w głowę, jak właściwie się tu znalazł.

Dotknął ligustrowego żywopłotu, przeciągnął ręką po przyciętych gałązkach.

Góry, wysokie lasy, fiordy, lodowce, kaniony, stać go było na to wszystko, a jednak gapił się ponad żywopłotem na przybrane falbankami wykuszowe okna. „Ci są bogowie twoi”. Całkiem na chłodno starał się określić, czy jest sobą zawiedziony, a jeśli tak, to dlaczego, i doszedł do wniosku, że nie jest. Pobyt trwał tydzień. Ten czas przypominał mu pewien fakt: tyle trwały wakacje rodziców, jeden tydzień, nie więcej, pieczołowicie zaplanowany i przemyślany. Znowu zbeształ się za brak racjonalności w rozumowaniu: wypuścił się tu w pośpiechu, bo nie wiedział, co ze sobą począć, jak wypełnić czas wolny, powstały po opuszczeniu żony. Co dziwne, z powodu Meg nie czuł rozpaczy, lecz spokój, jakby rozsądek miał ostatecznie zwyciężyć. Jutro podadzą sobie dłonie, pogodzą się bez nerwów, awantur i zbędnych uniesień, acz zapewne z ociąganiem, stawiając żądania i drobne zarzuty, aby ostatecznie w październiku, wraz z nowym semestrem, zacząć na nowo wspólne życie. Wątpliwe; nie ma na to szans. Rozbawiła go wizja Vernonów, spędzających dwutygodniowy wypoczynek za bezpiecznymi szybami Frankland Towers, więc śmiejąc się, powiedział: „Boże, miej nas w swojej opiece”. Dobrze wychodziły im wyjazdy zagraniczne: Wielkanoc w Atenach lub na Krecie, Boże Narodzenie w Maroko.

– Co mówiłeś?

Sandra pociągnęła go za ramię. Wszyscy patrzyli na niego.

– Boże, miej nas w swojej opiece – powtórzył zuchwale.

– Bosze, miej nas w swojej opiece – naśladował go Terry, zataczając się.

– A ja to czasem myślę – Hollies przeciągał każde słowo swoim najbardziej nieśpiesznym staccato – że rzeczywiście musi.

– Jeszcze trochę, a się rozpłaczę – rzekła Lena.

– To będzie dopiero dzień! – jej mąż grzmiał teraz bez przekonania. – Dawać mi tu arkę! I do zobaczenia, trzymajcie się ciepło.

– W takim wypadku – odezwał się Fisher cierpko – czas najwyższy, abyśmy weszli do środka.



Posłuchali potulnie, pokonując drogę przez ogród, mały hol i schody bez wszczynania nadmiernego rwetusu. Na najwyższym piętrze znów stanęli razem, z tym że Terry, odbijając się od ścian, udał się do klozetu, a jego żona na paluszkach poszła zajrzeć do chłopców.

– Chodź do nas się napić – zapraszał Hollies.

– Pod warunkiem, że będziemy się zachowywać cicho – ostrzegła Lena.

Fisher odmówił, ale ujął dłoń mężczyzny w obie ręce i odezwał się w te słowa:

– To była wielka przyjemność, poznać pana i pańską żonę.

Stali razem w uścisku.

Wyłonił się Terry; z zawstydzonym uśmiechem zapiął rozporek.

– Idziesz do nas – powiedział Hollies, po czym zwrócił się do Fishera: – To była przyjemność i zaszczyt, sir.

– Dziękuję. – Prawdziwie wzruszony, Fisher wyciągnął rękę do Leny, ta zaś ucisnęła ją krótko, z królewską obojętnością. Wyraźnie dostrzegł, że kobieta zachowuje dystans: była gotowa bez żalu puścić ich znajomość w niepamięć.

– Bywało się w kilku miejscach – powiedział Hollies spokojnym tonem, zachowując kontrolę i władzę nad językiem – w kraju i za granicą, ale nigdy jeszcze nie spotkałem osoby, którą bym... – Nastąpiło zaburzenie składni. – Człowieka, który wzbudzałby moje uznanie. Nieprawdaż, Lena?

Nie odpowiedziała. Sandra zjawiała się ponownie.

– Ostatni drink – oznajmił jej Hollies – w moim buduarze.

Fisher znów dał się zaskoczyć doborem słownictwa, mimo że ojciec przyzwyczyił go do różnych językowych smaczków, które zdarzało mu się zaprezentować od czasu do czasu.

Gdy towarzystwo wreszcie odmaszerowało, poczuł się opuszczony – żałował, że odmówił. Zza zamkniętych drzwi nie dochodziły go żadne dźwięki, ale zastanawiał się, czy krytykowali go za aspołeczne zachowanie... Mężczyźni za dużo wypili, kobiety niewystarczająco się przejęły.

Pod jego nieobecność ktoś wsunął mu pod drzwi liścik.

„Wizyta u pana Vernona, 10 rano, Frankland T., telefon. Ważne”.

Ot, i podsumowanie całej kwestii: kiedy oni bujali w obłokach spowijających pub o nazwie Pod Skrzydłem, tutaj przekazywano i odbierano wiadomości – ktoś wziął na siebie tę odpowiedzialność. Życie toczyło się dalej. Fisher zdjął buty. Fraza „życie toczyło się dalej” odbijała mu się echem w głowie w formie przytłumionego brzęczenia, układającego się niemal w słowa, które ciągle wirowały i furkotały. Znów ujrzał odległe góry, ośnieżone szczyty, równiny porośnięte bylicą, unoszący się kurz, zbocza omiatane fenem, tundrę – miejsca, których nigdy nie widział.

Ciszę przerwał odległy wybuch śmiechu.

Na toaletce wciąż stała butelka dzinu. Odstawił ją na miejsce, dokończył pakowanie, przewiązał walizki. Po czym z trzeźwym, acz błędnym umysłem położył się spać.

Piątkowa noc. Bogu niech nie będą dzięki.

Podczas sobotniego śniadania panował rzeczowy nastrój.

Goście uregulowali należności, a obsługa była już gotowa o nich zapomnieć. Nowe twarze miały pojawić się po południu, kiedy szamotanina ze zmianą pościeli dobiegnie końca. Ostatnie płatki, ostatni bekon dla tych wszystkich straszdeł i jeszcze dowcipy na zakończenie, jak gdyby ich wczasy miały nadal trwać i wciąż dostarczać rozrywki.

Fisher zbierał siły przed pożegnaniem, czuł się bowiem odrętwiały. Odbierał to jako wrażenie czysto cielesne, sprawę połączeń nerwowych, a nie stanu umysłu – nawet nie wyobrażeń. Skóra, receptory zmysłów bały się jak gdyby utraty kontaktu z tymi wszystkimi sympatycznymi ludźmi. To drobne urojenie poprawiło mu nieco nastrój, bo oto pojawiło się coś wartego refleksji: jakiś wrodzony mu sposób odczuwania, na którym wcale mu nie zależało, ale którego jednocześnie nie potrafił kontrolować.

Wypchane po brzegi bagażniki samochodów zatrzaskiwały się wśród przepełnionego irytacją trajkotania. Dziecięce twarze przybrały wyraz znudzenia, charakterystyczny dla dnia w podróży, natomiast ojcowie na powrót poczuli się ważni – stali się mężczyznami o określonej pozycji społecznej. Państwo Hollies postanowili spędzić poranek na plaży i zjeść jeszcze obiad na mieście, zanim wsiądą do pociągu, w związku z czym stertę bagażu gotową do zabrania przez zamówioną taksówkę wystawili na wybetonowany plac przed frontowym oknem. Wydawali się smutni, lecz, jak twierdzili, nie z powodu kaca, ale kończących się wakacji. Lena pocieszała się, że za trzy tygodnie wyjeżdża do swojej zamężnej córki na wieś. Ujmująco opisała las „rozciągający się tuż za domem”, nieśpieszną egzystencję wśród inwentarza w wiejskim błotku, świeże, dorodne warzywa, przyjaznych sąsiadów. Jeśli dobrze zrozumiał, zarówno córka, jak i jej mąż pracowali w Reading, a całe wczasy sprowadzały się dla nich do gruntownego sprzątnięcia posesji między dwoma zmarzniętymi na nieróbstwie weekendami, niemniej ich zaproszenie podziało na Lenę niczym balsam, wylany na serce zbolące w obliczu końca pobytu nad morzem.

Fisher pożegnał wszystkich uściskiem dłoni. Właściciel i jego żona przemawiali wy-lewnie, wyraźnie nie mając pomysłu, czym skusić go do ponownego przyjazdu, zdeterminowani jednak, by zrobić w tym celu wszystko, co w ich mocy. Dziewczyny mizdrzyły się, przyjmując napiwki, a uzmysłowiwszy sobie, że brakuje im odpowiednich słów dla tego pana, w podziękowaniu oblały się jedynie rumieńcami. Pozostali goście podnosili się z krzeseł, oznajmiali, że było im bardzo miło go poznać i wyrażali nadzieję ponownego spotkania, lecz do księgi w korytarzu wpisywali się z mniejszym polotem: „Było nam bardzo miło. Pyszne jedzenie. Dziękujemy. Państwo A. Marriott z Susan, 23 Rice Avenue”, itd. Fisher podejrzewał, że mogli czuć niepokój pod jego nauczycielskim okiem. „Sto razy ci mówiłem, że nieprzeciętne pisze się razem...” Terry Smith odpowiadał bezceremonialnie, wyglądał zaś blado, natomiast Sandra, podając Fisherowi chłodną, wilgotną dłoń, przemyciła kartkę, na której zapisała ich domowy adres.

– Przykro by było, gdybyśmy już nigdy nie mieli... – powiedziała, unikając jego wzroku.

Poczuł się wzruszony. W rewanżu podyktował własny adres, z góry jednak okazał dystans i powściągliwość zaznaczając, że przebywa tam tymczasowo. Na zewnątrz jeden z urlopowiczów ustawił dzieciaki do grupowej fotografii. Dziś o ósmej wieczór, gdy chłopcy ułożą się już w łózkach, a kosz na brudną bieliznę będzie pękał w szwach od zapiaszczonych ciuchów, pani Smith uleca z głowy wakacje. Będzie się wściekać, że sąsiedzi zapomnieli o zamówieniu im pieczywa, a mleczarz pozostawił butelki na słońcu. Wróci do rzeczywistości. Fisher folgował swojej wyobraźni. Zobaczył Terry'ego wyciągającego resztkę sherry pozostałej jeszcze ze świąt, nalegającego, aby wzniesli razem toast: „Wakacje pierwsza klasa, ale dobrze być z powrotem w domu”.

– Zawsze możesz mnie znaleźć – powiedział do Sandry – w dziale nauczania.

– Dobrze – pokiwała głową i odsunęła się od niego. Niby co miałyby napisać do uczonego dzentelmena? „Dziś uprałam trzy pary skarpetek Terry'ego i byłam z Tonym w przychodni. Doktor twierdzi, że ma lekką nadwagę, ale nie ma się czym niepokoić”.

Fisher znów wziął ją za rękę – drobną i spoconą.

– Przyjedziesz tu w przyszłym roku? – spytała, zachęcona.

– Nie wiem.

Zapadła cisza, przerwana przez dzieci, które wpadły z ogrodu i zaczęły tańczyć wokół matki. Fisher poszedł za nimi na górę, gdzie po raz trzeci upewnił się, że nic nie zostawił. Błądził po pokoju spoglądając w lustro, delikatnie odsuwał firanki, próbował odcisnąć w pamięci mało istotny wzór dywanu.

Wymknął się cichaczem do wcześniej załadowanego samochodu, po czym odjechał w kierunku bulwaru. Tam zaparkował i stanąwszy przy barierkach, oddał się obserwacji odległej powierzchni morza, lśniącego przed nim w całej rozciągłości. Plaża sprawiała wrażenie opuszczonej, mimo iż w rzeczywistości mnóstwo rodzin zdążyło już rozpakować swoje rzeczy na całodzienny pobyt. Za plecami usłyszał Carol i Tricię, życzące mu dobrego dnia. Gdy się odwrócił, ich opalone twarze wydały mu się poczciwe i nieciekawe: niebieskookie lalki przygotowane do zapakowania do pudełek z przezroczystym wieczkiem.

– Nie wyjeżdżacie dzisiaj? – zapytał.

– Nie. Jeszcze tydzień.

– Szczęściarzy.

Uśmiechnęły się szeroko, podciągnęły zsuwające się z ramion torebki i ruszyły na betonowe schody, nie mając mu nic do powiedzenia w ten pogodny poranek, podobnie zresztą, jak on im. Fisher obserwował ich masywne, mocno stąpające nogi oraz porządnie umocowane biusty, jędrne i obfite. Ładne kobiety, które jemu, co prawda, nie miały za wiele do zaoferowania, ale kiedyś zapewne osiądą w Halifaksie, Batley albo Bradfordzie, gdzie wychowają dzieci, zaopiekują się rodzicami i nawet zdarzy im się od czasu do czasu, że udzielą właściwej odpowiedzi we właściwym czasie. Nie potrzebował ich, nie odczuwał też wobec nich pogardy. Po prostu wybrał Meg, która działała na swój własny, nieobliczalny sposób, tak długo zarysowując powierzchnię jego wrażliwości, że w końcu przestał do-

strzegać w tym zarówno cel, jak i przyczynę... Żle to zabrzmiało. Meg przyciągnęła go do siebie urodą, która przecież nie była zależna od jej nieprzewidywalnych poczynań. Ona i on, obydwójce, prowadzili wojnę ze swoimi ojcami... W oddali Carol i Tricia wciąż ciężko stąpały po piachu. Gdyby Meg, naga, wpadła w jego nagie ramiona – jakie byłyby tego konsekwencje? Kilka godzin spokoju, przelotne poczucie satysfakcji, ale żadnej nadziei na coś więcej. Stojąc tak w blasku jasnego letniego poranka, nie mógł przypomnieć sobie twarzy żony. Pozazdrościł naocznym świadkom, potrafiącym wspólnie przywołać portret pamięciowy przestępcy, którego w ferworze nagłego ataku zdążyli jedynie omieść przelotnym spojrzeniem. Nie był w stanie odtworzyć wyglądu jej prawego oka, nozdrzy czy podbródka. Miał w głowie zaledwie kontur jej sylwetki w sukience, zapamiętany ze szczegółami ze względu na niski stopień komplikacji.

A jednak obraz ten został mu w pamięci.

Gdyby Meg wysiadła w tej chwili ze swojego samochodu, poznałby ją. Zatrzymałby z czułością wzrok na tym lub innym wycinku jej skóry – bynajmniej nie jak na pierwszym z brzegu skrawku wystroju czy wzoru, lecz niezwykle istotnym fragmencie rzeczywistości, rzucającym na niego swój urok, pochłaniającym całą jego uwagę dopóty, dopóki nie odwróci wzroku. Wyobraził sobie fizyczny wstrząs, jakim zareagowałoby jego ciało na obecność Meg i ponownie zdał sobie sprawę, że nie potrafi go precyzyjnie określić. W jednym miejscu poczułby ból, w innym mrowienie, do tego dołączyłaby utrata tchu, bolesne podniecenie w sercu, ramionach, brzuchu. Gdyby do tego doszło, w efekcie zanikłaby jego zdolność obserwacji. Obraz znów by się rozmył, skrył poza zasięgiem właściwych słów, mających zidentyfikować go precyzyjnie, niczym eksponat do zbadania w przyszłości. Ale nawet gdyby – pomyślał – to i tak próżny trud. Takie słowa nie istniały. Jakikolwiek opis byłby co najwyżej powierzchownym szkicem, nabazgranym tępym ołówkiem na zmiętym kawałku papieru w ciemną noc. Jego ciało odpowiedziało na jej obecność gruczołami, nerwami i mięśniami, przy wtórze nieskładnych słów i mętnych myśli. Na dowolnym poziomie wyrazistości mógł zauważyć tylko fizyczną rzeczywistość – niechby to była choć litera skreślona jej ręką lub fragment noszonej przez nią garderoby.

Tymczasem – to przecież właśnie słowa, kody i sygnały stanowiły jego domenę.

Carol i Tricia, malejące w oddali, brnęły naprzód, jakby zmierzały na południowe wybrzeże. Skoro zamierzały iść tak daleko, czemu nie zostały na bulwarze? Lubiły czuć piasek pod nogami. Rozdrażniła je ich wymiana zdań. Właściwie nie miały pojęcia, czego chcą od Fishera. Uciekały od niego.

Wrócił do samochodu i zaczął cofać, ale zaraz przyhamował, wylewając krótki potok gniewnych słów na innego kierowcę, który nie mógł oczywiście poczekać, aż on wyjedzie.

– Zjeżdżaj z drogi! – krzyknął.

Kobieta w średnim wieku wzdrygnęła się, ukryta za okularami przeciwsłonecznymi i szepnęła coś do swojego szacownego małżonka, ten zaś zrobił, o co go poproszono. Fisher poczuł się różniej.

W wielkim foyer we Frankland Towers panowało ledwie dostrzegalne ożywienie. Waliży stały zebrane w stos, przez szklane drzwi odprowadzano nielicznych gości. Wyniosła

dziewczyna w recepcji uśmiechnęła się do niego, natychmiast zadzwoniła do Vernona, po czym eleganckim ruchem wskazała Fisherowi miejsce, prosząc, by rozsiadł się wygodnie.

Nie musiał długo czekać. Teść wyszedł z windy, przywitał się i oznajmił, że porozmawiają na górze. Na tym wymiana zdań się zakończyła.

– Siadaj.

Wskazał zięciowi jeden z dwóch foteli przy oknie, z którego rozciągał się widok na trzy parkingi, główną drogę i rząd bungalowów. Fisher momentalnie zaczął przyglądać się rzeźbie terenu, próbując odgadnąć nazwę widocznej z okna ulicy, co okazało się niemożliwością, chociaż po kącie padania cieni wywnioskował, że patrzy na zachód. Zaprzątając umysł owym drobnym ćwiczeniem, nie zwracał uwagi na czekającego Vernona, który zdążył zdjąć kurtkę i dopiero odwiesiwszy ją na wieszak w garderobie, dostrzegł u Fishera oznakę zainteresowania swoją osobą. Wreszcie, zgodnie z tym, co zwiastowała oficjalność jego gestów, zajął miejsce naprzeciwko.

– Tu będziemy mieć więcej prywatności.

– Irene nie przyjdzie?

– Nie. Pozostawiła to mnie.

– Jak mężczyzna z mężczyzną?

– Jeśli pozwolisz. – Nie wydawał się urażony tonem Fishera. – Wpadniesz dziś do Meg po powrocie?

– Powiedziała ci.

– Kosztowało mnie to fortunę – odpowiedział Vernon ugodowym tonem, zacierając otwarte dłonie. – Mówię o tych kilku dniach spędzonych przy telefonie. Ostatni wykonałem nie dalej jak pół godziny temu.

Fisher nie odpowiedział.

– Nie twierdzę, że poczyniłem jakieś istotne postępy. Za dużo mam doświadczenia w takich sprawach, żeby się chełpić, ale przynajmniej udało nam się dojść do punktu, w którym byliśmy w stanie wymienić kilka sensownych uwag na twój temat, a to więcej niż było możliwe jeszcze przed dwoma tygodniami. – Znów uczynił pauzę, nie poddając się wszak irytacji, gdy zięć ponownie nie wygłosił żadnego komentarza. – Czy tak też będzie podczas waszego spotkania, tego nie wiem. Niemniej sporo o tym mówiliśmy. Chciałbym, żebyś miał tego świadomość.

– Jasne.

– Jednym z ciekawszych aspektów sprawy jest fakt, że w żaden sposób nie obwinia ciebie. To rodzi nadzieję.

– Czy chce, bym do niej wrócił?

– Tylko spokojnie, dobrze? To nie czas na... nie czas... Pomyślałem sobie, że ty... – Przerwał, nazbyt skromny, elegancki. – Rozmawiałem z nią w sumie przez kilka godzin, ale muszę przyznać, że nadal nie rozumiem, dlaczego właściwie się rozstaliście. Meg nie potrafiła mi tego wyjaśnić. Może ty jesteś w stanie?

– Pokłóciliśmy się.

– Jak każda para.

– Zapytałem ją, czy chce, żebym odszedł. Powiedziała, że tak. Wydawała się mówić serio. Przemyslałem to, uznałem, że mam już dość i spakowałem walizki.

– Czy to było najrozsądniejsze? – powoli zapytał Vernon.

– Tak wtedy czułem.

– Nie o to mi chodzi. Nie satysfakcjonuje mnie twoje wyjaśnienie. Stwierdzenie „wóz albo przewóz” nie pomaga w negocjacjach. Widzisz, Edwinie, chciałbym, abyś dobrze się nad tym zastanowił, szczególnie na tym etapie. Postaraj się mieć otwarty umysł.

– Mów dalej.

– Rozumiem, że ty i Meg działaliście sobie wzajemnie na nerwy... i to w niemałym stopniu. W związku z tym domyślam się też, jak atrakcyjna mogła wydawać się chwila oddechu, to znaczy separacja. Natomiast teraz, po kilku tygodniach rozłąki, czas zadać sobie pytanie, czy chcecie, by tak już zostało na zawsze. Posłuchaj. Myślę, że nie obrazisz się, jeśli powiem, że szczerze mówiąc nie dostrzegam, abyś jakoś specjalnie napracował się nad całą sprawą. Meg na pewno zrobiła niewiele. Tego jestem pewien.

– Dlaczego ty...?

– Daj mi dokończyć. Istnieje emocjonalna blokada. Kłócisz się, dręczysz, wybuchasz, w końcu odchodzisz. Nie jesteś skłonny zbadać sprawy głębiej... z powodu urazy.

– Będę mówił za siebie – rzekł Fisher. – Przez ostatnie trzy tygodnie nie robiłem nic innego.

– Tak ci się wydaje – odpowiedział Vernon. – Odczuwałeś piekący ból i zniewagę. Jeśli wolno mi posłużyć się metaforą: nie cofnąłeś się od wrót pojednania. To trzeba przyznać. Ale też nie próbowałeś ich otworzyć. A wręcz założyłeś na nie solidną kłódkę. – Podniósł rękę. – Nawet jeśli wydawało ci się, że czynisz coś odwrotnego. Problem z podobnymi przypadkami polega na tym, że ludzie wpadają w taki emocjonalny mętlik, iż nie postrzegają już rzeczy właściwie.

– Mnie to raczej nie dotyczy.

– Może i nie, może i nie. Ale Meg na pewno.

Vernon zakaszlał delikatnie, jakby chciał złożyć zamówienie, i przejechał czystym palcem po wewnętrznej stronie nieskazitelnie białego kołnierzyka.

– I przy tej niezdolności, przy tej ślepotcie – pozwól, że tak to ujmę – całkowicie rozsądny, zdawałoby się, środek terapii, jakim są dwa tygodnie rozłąki, nagle prowadzi do trwałego rozłamu: przez odwleczenie, przez zaniedbanie, ponieważ pacjenci nie widzą, że są już wyleczeni albo przynajmniej, że dochodzą już do zdrowia.

– Zatem wypiszmy receptę.

– Śpieszysz się, Edwinie, oj, śpieszysz. Jak na filozofa bardzo jesteś pochopny. Czy masz jakiegokolwiek poczucie winy?

– Oczywiście.

– Nie licząc sposobu, w jaki traktowałeś Meg? Byłeś niewierny? – Vernon uniósł głowę. Niebieskie oko łagodne, usta ułożone w niemal kokieteryjny uśmiešek. – Wiem, że masz ochotę powiedzieć mi, że to nie mój interes. I rzeczywiście tak jest. Ale nieraz już przekonałem się, że poczucie winy jednej strony może prowadzić ją lub jego do zaniedba-

nia, zadręczenia, a nawet oskarżenia drugiej, która może być w tym względzie całkowicie niewinna.

– Nie mam żadnych wyrzutów sumienia w tej kwestii.

– Cieszę się. – Nie wyglądał na zadowolonego: na zaciśniętych ustach rysował się zarzut. – Jesteś ze mną całkowicie szczery, Edwinie? Przepraszam, że naciskam.

– Nigdy – odpowiedział Fisher, tym razem z ponurą miną – nie dopuściłem się niewierności.

– Ale myślałeś o tym?

– Każdy o tym myśli.

– W to akurat szczerze wątpię. Ale twoje wyznanie może być istotne. Dla ciebie. Nie dla mnie. Ja tego wyjaśniać nie będę. Sam musisz to zrobić.

Fisherowi przyszedł na myśl cytat: „Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”. W głowie odezwał mu się przenikliwy głos ojca, gromko rzucającego tę perłę mądrości przed rodzinę, wyrażającego potępienie wobec rozwiązłego życia jednego z członków ich zboru – mężczyzny, którego Elsie starała się delikatnie bronić. Edwin był już wtedy świadom, czym jest cudzołóstwo – edukacja w szkole średniej podejmowała ten temat – w związku z czym przywołany przez Arthura ustęp w żaden sposób nie wydawał mu się stosowny, a tym bardziej rozstrzygający spór, niemniej od-tąd słowa te wybrzmiewały mu co jakiś czas w pamięci. Ów wspomniany „każdy”... jeśli już ma spaść, to z wysokiego konia.

Patrzył w t e n sposób na niektóre swoje studentki, na żonę kolegi, sekretarkę w klubie uniwersyteckim, ale nic nigdy nie zrobił. Ryzyko go nie pociągało, a też żadna z tych kobiet nie wysyłała jakichś nadzwyczajnie silnych sygnałów w jego kierunku. W efekcie pokusa znikła i wracał do swojej żony – pierwszorzędnej partii. Sposobności nigdy nie miał za wiele, chociaż akurat w tym tygodniu mógł z łatwością zejść na manowce z Sandrą Smith.

– Mogę ci również powiedzieć – ponownie odezwał się Vernon, jak gdyby tytułem wstępu – i czynię to z niejaką przyjemnością, że Meg również nie zbłądziła w tym względzie. Co usuwa jedną trudną kwestię.

Fisher wzruszył nieuprzejmie ramionami.

– Ponieważ jednak targają mną spore wątpliwości co do reakcji, jakich można się spodziewać po was obydwójgu, chciałbym, o ile nie uznasz tego za niestosowne, zapytać cię, jak... Nie, może raczej, co zamierzasz jej powiedzieć dziś wieczorem?

– Przypuszczam, że jej również zadałeś podobne pytanie?

– Zgadza się.

– I co powiedziała?

– Powiedziała, że wysłucha wszelkich twoich propozycji i potem je przemyśli.

– Nic pozytywnego nie padło z jej ust?

– Nie. – Długi dźwięk wybrzmiewał raz za razem, niósł się echem. – Nie. Nie. Właściwie nic. Z tym, że znasz Meg. Sprawia wrażenie, jakby działała gwałtownie, bez przygotowania się z góry. Nie to, żebym zaraz wierzył, że jest tak spontaniczna, na jaką pozuje. Wzorzec zachowania ma często bardzo wystudiowany.

– Czy tak jest i tym razem?

– Gdybym miał zgadywać, to tak. Powiedziałbym, że tak. Gotowa jest cię przyjąć.

– Skąd ta pewność?

– Pewność? – Vernon podniósł głos i podbródek. – Pewność? Chłopcze drogi. To tylko domysły. Rozmawiałem z wieloma kobietami będącymi w podobnym położeniu. Nigdy nie można być pewnym. Ale właśnie dlatego chcę poznać twoją strategię. Nie żeby ją ostrzec. Tylko żeby dać ci kilka wskazówek. Chcesz do niej wrócić?

– Niech mnie cholera, jeśli wiem.

Odpowiedź wybuchła w nim jak nagły atak kaszlu po zadławieniu się dymem. Przy całej swojej dumie błagał w duchu o powrót Meg. Potrzebował piękna jej ciała. Wydał z siebie ten mały okrzyk buntu, ponieważ nie potrafił ocenić, jakie są jego notowania, sam czując się gorszym, nie dość dobrym.

– Ale liczysz, że się tego dowiesz dziś wieczorem? – Ani krztyny złości, pełna uprzejmość.

– Nie wiem, czego chcę.

– Rozumiem. Rozumiem.

– To dobrze czy źle?

– Nie walczymy o punkty w debacie, Edwinie. Nie potrafię powiedzieć. Bardzo chciałbym znać jedyne właściwe rozwiązanie, ale go nie znam.

– Nie taki zięć ci się marzył, co?

– Nikt nie wydaje się człowiekowi wystarczająco dobry dla własnej córki. Jesteś inteligentny i przyzwoity. Ale czasem bywasz uparty, innym znów razem wahasz się i brak ci zdecydowania... Cały tydzień próbowałem zrozumieć, dlaczego wybrałaś właśnie to miejsce na wakacje. Nadal nie mam pojęcia.

– Ani ja.

– W to akurat nie wierzę.

Obydwaj, nieco bardziej zadowoleni, uśmiechnęli się chytrze. Przez następne pół godziny Vernon podsuwał możliwe strategie podejścia do tematu. Rzucił kilka leniwych uwag na temat Meg i ogólnie dobrze się bawił. Po tym czasie Fisher wbrew swojej woli uwierzył, że żona pragnie jego powrotu i dodatkowo sam zaczął przejawiać gotowość do podporządkowania się. Vernon osiągnął to wszystko bez nacisków, bez wazeliniarstwa czy jawnej hipokryzji... Zaś gdy tylko zięć opuści starego szelmę, ten zaraz znów chwyci słuchawkę i przekaże córce odpowiednio pokrzepiającą relację z całej rozmowy. Dzieląc się owym przypuszczeniem, Fisher obserwował zmarszczki pogłębiające się wokół oczu Vernona, najpierw zarysowane wesołością przechodzącą w chichot, a następnie wyżłobione wybuchem śmiechu.

– Ależ oczywiście, oczywiście. – Vernon skrzyżował nogi. – Jak byś określił dzisiejszą poranną naradę?

– Mało znacząca. Chaotyczna.

– To chyba niezłe podsumowanie.

Fisher potwierdził uśmiechem. Mógłby tak określić cały miniony tydzień, spędzony



pośród obcych, na dreptaniu po piachu, jeżdżeniu płaskimi drogami, jedzeniu kotletów i frytek oraz puszkowanych owoców i lodów. Odnośnie swojego małżeństwa również nie doszedł do żadnych wniosków. Wcale się ich nie spodziewał. Do tej pory Meg wydawała mu się tyleż enigmatyczna, co on sam ograniczony, więc myśl, że jego błahe pogawędki z osobnikami poznanymi przygodnie w nadmorskim miasteczku mogą doprowadzić do małżeńskiej harmonii, ocierała się o absurd. A mimo to...

Jego ojciec.

Ten człowiek, którego jako nastolatek nie znosił, który zostawił mu pieniądze, który od dawał się jedynie pracy i dowcipkowaniu, nagle został wyniesiony do rangi fetysza. Odwiedź kurort taty, a wszystko się ułoży. Łatwo mu było teraz śmiać się z tego pomysłu, wyłożonego tak otwarcie, ale człowiek w oszołomieniu ani nie widzi, ani nie nazywa rzeczy w ten sposób. „A teraz człowiek ów bogiem został” {23} . Arthur, jego ojciec, człowiek składający się z wąsów i łamigłówek, piskliwego głosu oraz pewności co do tego, co dobre i tego, co złe – przewodniczył kończącym się właśnie tygodniowym obrządkom odzyskiwania panny młodej.

Vernon przemówił znowu.

– Do niczego nie doszliśmy, Edwinie. Może to nawet lepiej. Nie powinienem decydować za ciebie. Jest jednak jedna rzecz, którą chciałbym, aby dane mi było powiedzieć, zanim wyjdiesz.

– Mów zatem.

Vernon głośno zatarł ręce, a potem, kiedy mówił, pocierał je dalej, lecz już bez emocji.

– Dziś po południu, kiedy spotkasz się ze swoją żoną, zobaczysz przestraszoną, przygnębiającą, nieszczęśliwą dziewczynę. Jakiegokolwiek wrażenia na tobie nie robi – proszę, nie zapominaj o tym. Jest przerażona przyszłością. Niepewna. Zaniedbana. Potrzebuje pomocy.

– Ciekawe, jak w takim razie opisałyś mnie?

– Bez wyobraźni. Myślący wyłącznie o sobie. W tej kwestii: egoistyczny.

– Gówna prawda.

– Bądź szczery ze sobą. Kochasz ją?

– A czym jest miłość? – zapytał Fisher, nagle przybity.

– Gdybyś ją kochał, nie zadałbyś mi tego pytania.

– Zastanawiam się czasem – powiedział Fisher – czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz. Mielesz jęzorem jak kot przy śmietanie. Zachowujesz w ogóle jakikolwiek kontakt z rzeczywistością?

– Zdenerwowałam cię. To źle. Uważasz, że jestem nieszczerą. Że fałszywie sączę ci tu pompatyczne, wiktoriańskie frazesy. A jednak one coś znaczą. Te słowa mają sprawić, żebyś zrozumiał, co się dzieje... Pewnie sam dobrałbyś je inaczej. Malują bowiem obraz przedstawiający inną stronę życia, nie tę, którą ty starasz się dostrzegać. A mimo to, Edwinie, opisują jakiś odcień prawdy. Nerwy ci puszczają. Masz ochotę splunąć. Gardzisz mną, bo jestem wazeliniańskim hipokrytą, ale nie zmienia to faktu, że mówię prawdę, moją prawdę, tak jak ja ją odczytuję. Ta dziewczyna to bez wątpienia ta sama osoba, która zadreślała cię i drwiła z ciebie do tego stopnia, że postanowiłaś odejść, która sprawiała ci

ból, co rusz popadając w milczenie, raniła cię licznymi docinkami. Ale czyniła to wszystko przez własną ignorancję i twoje zaniedbanie, i brak miłości, prostoty w miłości, objawiającej się najzwyczajszym pocałunkiem, ciepłym spojrzeniem, troskliwym...

– Jezu.

– Jestem ateistą – odgryzł się Vernon. – Interesują mnie motywy ludzkich zachowań.

– Chciałeś powiedzieć: gładkie, puste sentencje.

– Ojcowie z reguły mają bzika na punkcie swoich córeczek. Margaret jest moim jedynym dzieckiem. Bardzo się zżyliśmy ze sobą, gdy była mała. Naprawiałem jej zabawki, podawałem lekarstwa. Dość wcześnie, w wieku dwunastu lat, wyrosła z tej fazy. Meg to oryginał... No a teraz wszystko, co powiem, jest złe, tylko dlatego, że ja to mówię. Wykorzysta mnie, jak będę jej potrzebny. Nie potrafi gardzić moim rozumem, więc postawiła sobie za punkt honoru, aby krytykować mój sposób życia. Nie winię jej. Ma sporo racji. Potrafi zranić. Ale to moja córka. Mam wrażenie, jakby nie minęło nawet pięć minut, odkąd siedziała na moim kolanie błagając, żebym włożył lalce oko na miejsce lub przykleił filc do stolika. – Vernon wstał, przechodząc z pozy dramatycznej do posągowej. – To był mój najlepszy czas. – Stanął wyzywająco, oko w oko, naprzeciwko Fishera, prowokując go do wyszydzenia oklepanego frazesu. – Doszedłem do swojej pozycji, zaczynając niemal jako żebrak. Wygrane sprawy zawdzięczam własnej mózgowicy i pracowitości. Poczyniłem kilka trafnych inwestycji. Ale nie zapomnę czasu, kiedy moja dziewczynka liczyła na mnie. Kocham ją. Może sobie działać tak okrutnie, tak prymitywnie, tak mściwie, tak nieobliczalnie, jak tylko się jej podoba, i robi to, wiem, że to robi, ale i tak będę ją kochał.

Imponujące.

Poruszony, zakłopotany, zdeterminowany, by zachować się właściwie, Fisher wciąż jednak śmiał się w duchu z oklepanych sformułowań, cwanej gry wyświechtanymi słowami. Przypomniawszy mu się sławny sędzia, powszechnie podziwiany jako mówca, który posługiwał się tą właśnie techniką. Kiedy przychodziło mu zabrać głos, donośnie i klarownie wygłaszał ciąg kilku świetnie opanowanych zwrotów poddanych delikatnym modyfikacjom – być może tego wymagała sala sądowa. Sędziowie nie mieli czasu sięgać po ostrze satyry lub starannie dobrane neologizmy. Musieli ukrywać czystą prawdę za szkolnymi, książkowymi określeniami, artykułowanymi w tempie odpowiednim dla sali sądowej. Może i słusznie... Czy to nie doktor Johnson wierzył, że pokorna prośba lepszy wyrze skutek od podstępnych zabiegów? Że czas skruchy i drżenia przed obliczem Sędziego nie najlepszą jest porą, by gnuśnieć nad intonacją i wyszukаныmi epitetami?

Czy mówił szczerze?

Kto może to rozsądzić?

– Dzięki – odezwał się Fisher.

– Wcale nie odczuwasz wdzięczności, prawda?

– Nie wiem, co odczuwam. Nie wiem, czego chcę. Ani co powiedzieć dziś po południu.

– Edwinie, ona jest naprawdę rozbita.

– Najwyraźniej. – Fisher zacisnął usta. – Nie zapomnę również, że jest twoją córką.

Vernon pokręcił głową i westchnął – zarośnięty, niechlujny, przywodził na myśl ociosa-

ny z grubsza diament.

– No i jest jeszcze Irene.

– Co z nią? – zapytał szorstko Fisher.

– W jej przypadku moja odpowiedź również brzmi: nie wiem. Rozmawialiśmy o tym, ale nic to nie dało. Niemniej, w jej oczach nadajesz się na zięcia. – Uniósł rękę, aby stłumić sarkazm. – To zawsze coś. Te drobiazgi są wszystkim, co mamy.

Nie rozstali się od razu. Jeszcze przez jakiś kwadrans przerzucali się słowami, aż teść zasugerował w końcu, że czas już pomyśleć o podróży do domu. Podali sobie ręce i Fisher, korzystając ze schodów, a nie z windy, przedostał się na dół, ucieszony możliwością rozprostowania nóg.

Zatrzymał się na chwilę pośród ołowiowego szkła wypełniającego foyer, oddając się obserwacji niewielkiego stadka napływających gości. Zastanawiał się, czy ten pałac na wschodnim wybrzeżu wart był swojej ceny. Jakim ludziom będącym w posiadaniu wystarczającej ilości pieniędzy chciało się przyjeżdżać tutaj, żeby zafundować sobie taką rozrywkę? Takim jak Vernonowie, którym nie uśmiechało się latać za granicę więcej niż dwa razy do roku, ale mieli dość gotówki i wolnego czasu. Ludziom w średnim wieku, którzy potrzebowali czasem zejść z bulwarów, uciec od gwarne go tłumu, parków rozrywki, przystani, drepczących osiołków, waty cukrowej i woni tłumu, by doświadczyć spokoju i luksusu w otoczeniu głębokiej, morskiej zieleni. Albo też młodym, organizującym sobie dwu-, może trzydniowy romantyczny wypad nie za daleko od domu.

Uśmiechnął się i pokiwał ręką dziewczynie w recepcji. W odpowiedzi spotkał się z olśniewającym uśmiechem, na który na pewno nie zasłużył.

Na dziedzińcu świeciło słońce – gorące, suche, niewzruszone, nieprzejmujące się klimatyzacją. Spokojne morze migotało. Ludzkie rodziny skakały niczym pchły. W jakimś samochodzie zaryczał silnik – niestosowność w pobliżu Frankland. Włożył kluczyk w zamek, a następnie w stacyjkę. Zapalił.

Strumień napływających aut narastał.

Chwilę po czternastej dotarł do domu i zgodnie z instrukcją pozostawioną przez Price-Jonesa poczęstował się szynką oraz sałatką z lodówki. Posiłek nie zajął mu wiele czasu, zrobił więc sobie kawę i otworzył paczkę czekoladowych herbatników.

Następnie skrupulatnie pozmywał naczynia, wypastował obuwie, rozłożył porządnym ciemnym garnitur, czystą koszulę i bieliznę. W łazience wyszorował palce, usuwając ślady pasty do butów, po czym, usiadłszy, znów się ogolił, nie zacinając się ani razu. Zrezygnował z balsamu. Meg stwierdziła kiedyś, że lubi naturalnie pachnących mężczyzn, nierozczajających smrodu męskich perfum.

Nagi, przyjrzał się sobie w lustrze – nie poczuł zażenowania.

Dochodziła piętnasta trzydzieści, kiedy przycupnął na oparciu fotela, przesuwając palcami stóp po dywanie. Z notatki pozostawionej przez kolegę dowiedział się, że mieszkanie ma na wyłączność do środy. Fisherowi odpowiadała tandetna symetria tego miejsca. Price-Jones nie znosił bałaganu. Był trochę jak stara baba, ale porządna: zostawił przyjacielowi jedzenie, nawet trochę pieczeni na niedzielę. Wykładowca fizyki, staromodny nudziarz, bezdzielny wdowiec, który oddał swój dom profesorowi chirurgii i przeprowadziwszy się tutaj, wedle wszystkich oznak najzupełniej szczęśliwy, oddał się wypełnianiu notatników rzędami matematycznych symboli, a w ostatnich trzech tygodniach również przygotowywaniu kulinarnych specjałów dla swojego uchodźcy. Niewiele mówił, grał na altówce w uczelnianej orkiestrze, a wieść niosła, że ponownie rozważano jego kandydaturę do Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Co dziwne, nie miał w ogóle przyjaciół.

Fisher zastanowił się, dlaczego marnuje czas na myślenie o Price-Jonesie zamiast o Meg. Doszedł do wniosku, że zwyczajnie próbuje dodać sobie otuchy, odwzorowując w myślach znany teren. Wspomnił historię dziadka Jonesa, który przybył z Walii i zrobił nieźle pieniądze, prowadząc sklep spożywczy w Londynie. Potem jego córka, nauczycielka, dodała sobie panieńskie nazwisko matki, Price, przed myślnikiem i urodziła jedyne dziecko. Gdy w przyszłym roku Washbrook odejdzie na emeryturę, a Bill P.-J. obejmie po nim profesurę na katedrze fizyki, prorektorzy, koledzy i wszyscy inni przyjmą to chłodno. A jeśli nie obejmie?

– Największe osiągnięcia mam już za sobą, Edwinie. W wieku trzydziestu lat miałem coś do powiedzenia. – Price-Jones operował wysokim głosem i podlondyńską wymową. – Teraz już tylko oprawiam ten obrazek w nowe ramy. – Charakterystyczne było to ostatnie zdanie. W ustach tak drętowego człowieka jak on brzmiało dziwnie, tym niemniej znamionowało inteligencję i pociąg do kreatywności.

Fisher ponownie umył zęby.

Wyszykowany wstał, nakręcił zegarek i przeczesał włosy po raz trzeci.

Dojechawszy pod swój dawny dom, celowo zaparkował na ulicy, chociaż wiedział, że miejsce na podjeździe na pewno by się znalazło. Małe chmurki pstrzyły popołudniowe nie-

bo. Żywopłot z ligustru, schludnie przystrzyżony, wyglądał jak zmatowiały od pyłu. Żelazna brama pomiędzy murowanymi, pokrytymi kamieniem filarami była zamknięta. Jedyne widoczne z tego miejsca parterowe okno zakrywały kremowe żaluzje. „The Laurels”. Solidna, przypominająca plebanię, późnowiktoriańska willa z wykuszowymi oknami po obu stronach wejścia. Elewacja lśniła, jakby dopiero co została wyczyszczona. Zaprawa pomiędzy ręcznie uformowanymi cegłami prezentowała się nieskazitelnie. Pośrodku łuku nad frontowymi drzwiami ze ściany wychylała się pokryta kremową farbą twarz Kitchenera albo Stalina – w każdym razie, jakiegoś wąsatego jegomościa.

Kathleen Twining, przyjaciółka Meg, wpuściła go do jego własnego domu i posadziła w salonie – zimnym, skąpanym w półcieniach, osłoniętym roletami. Usiadłszy, rozejrzał się nerwowo.

– Meg przyjdzie za chwilę. Miałybyś ochotę na filiżankę herbaty?

Odpowiedział, że miałby. Zamknęła drzwi, nie czyniąc przy tym hałasu. Nic się nie zmieniło: te same bibeloty, włącznie z jego scyzorykiem z wystawy w Wembley, leżącym na kominku. Na ścianach reprodukcje Vermeera, Chagalla, Grahama Sutherlanda; kobieta Modiglianego, o którą się kłócili, gołębice Picassa i uczciwość Johna Smitha. Z tym, że pomieszczenie pachniało kobieco, jakby przyjaciółki nasączyły... nie, musnęły meble z litego drewna zapachem – małutkimi drobinkami słodkiego pudru.

Czyż zatem ta cholerna Kathleen miała być świadkiem wszystkiego? I dlaczego zachowywała się tak przyjaźnie?

Spoza pokoju, cichego i przerażającego jak poczekalnia u dentysty, nie dochodziły żadne dźwięki. Otarł z pyłu buty o nogawki, obciągnął mankiety koszuli, by wystawały spod rękawów marynarki. Półka na książki uginała się od szklanych przycisków do papieru. Meg porozstawiała na górze te olbrzymie, kolorowe szklane kule niczym oczy klauna – absurdalne, ale rozkoszne. W oddali, na stole, jej miska w kształcie kury, stojąca obok kosza na owoce, który Meg uplotła z gałązek orzecha podczas zajęć wieczorowych. Za nim, w niewidocznym z tego miejsca kącie, stała półka z kupionymi na wyprzedażach dziełami Dickensa, Scotta, Hardy'ego i George Eliot, zaś nad nimi górowała smukła waza z upstrzonego białymi plamkami, ciemnoniebieskiego szkła, sięgająca niemal wysokiego sufitu. Palenisko wypełniał ogromny wiecheć lipowych liści. Na kominku, obok gabloty z polerowanego mosiądzu mieszczącej akcesoria kominkowe, leżał czerwony długopis. Fisher wyrzwał zza oparcia fotela, żeby sprawdzić, czy mały miedziany czajnik spoczywa na swojej podstawie.

Chłód przeszedł mu po ramionach, aż zadygotał.

Stukot kroków na półpiętrze wyłożonym terazzo, pomruk głosów, po chwili cisza, wreszcie ruch klamki w drzwiach.

Wstał na powitanie żony.

Jej wejście nie wywarło na nim wielkiego wrażenia. Meg posłała mu długie spojrzenie, zrobiła trzy, cztery niepewne kroczyki i zakłopotana usiadła szybko na drugim końcu kanapy, nie podając mu ręki. Miała na sobie białą bluzkę i rozszerzaną na dole spódnicę maxi w kolorze ciemnej zieleni, z delikatnie zarysowanym wzorem z kwadratów. Edwardiańska

guwernantka w pierwszym dniu pracy. Z odcieniem satysfakcji dostrzegł na jej dłoni zarówno pierścionek zaręczynowy, jak i obrączkę, natomiast widok jej włosów sprawił mu zawód: schludna fryzura bez wyrazu prezentowała się skromnie i sztucznie zarazem.

– Usiądź, proszę – powiedziała.

Spodziewał się niemal, że zaraz wybuchnie śmiechem. Tymczasem żona, nie patrząc na niego, splótła dłonie na kolanach.

– Kathy za moment przyniesie nam herbatę.

Jego podziękowanie zabrzmiało szorstko.

– Dobrze się bawiłeś w Bealthorpe? Zdziwiłam się, kiedy tatuś powiedział, że się tam spotkaliście.

Z większą łatwością niż się spodziewał klecił spójne zdania na temat pogody, kwatery i poznanych wczasowiczów. Ona zaś, słuchając, obróciła głowę i uśmiechnęła się do niego, jak gdyby szczerze delektowała się tymi banałami.

– Edwinie, po co tam pojechałeś? – Czasem, najczęściej przez telefon, jej głos oczyszczał się, uwalniał od alikwotów; tak było i tym razem.

– Nie wiem. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

– Ale Bealthorpe?

– Twój ojciec też tam pojechał.

– Twierdzi, że obsługa i posiłki we Frankland są najlepsze w całej Anglii. – Zachichotała. – Wydaje mi się, że ma w nim udział.

Jej wypowiedź nie zawierała pierwiastka złośliwości, toteż Fisher nie poczuł się urażony. Opowiedział jej o swoich wakacjach z czasów dzieciństwa, kiedy to całą rodziną snuli wydumane dociekania na temat rachunku ekonomicznego tak okazałych hoteli w tak zwyczajnych kurortach.

Kathleen zapukała, postawiła przed nimi paterę zdobioną na rogach miedzią, wypełnioną talerzykami i ciastem, po czym wycofała się, żeby zaraz powrócić z dużym czajnikiem.

– To już wszystko – powiedziała.

Tylko dwie filiżanki z najlepszej porcelany, z gablotki jego matki. Meg zabrała się za nalewanie, a gdy sięgała po filiżankę lub czajnik, jej spódnica falowała ciemną materią. Bluzka wyglądała na tanią. Miała krój pozwalający ukryć pełny biust; mięła się przy tym wokół piersi upchniętych w mało elegancki elastik: wypłowiąły, znoszony materiał z kiermaszu rzeczy używanych.

Pobrzękując łyżeczkami zamieszali herbatę, upili nieco, ukroili i posmarowali masłem cienkie pajdy słodkiej bułki z rodzynkami. Fisher, niezbyt głodny, żuł małe kęsy, skupiony na granatowo-złotym zdobieniu talerza. Podziękował za dokładkę. Meg ze szczegółami opisała stosowaną przez Kathleen dietę oraz jej pozytywne efekty. Mówiła tak, jak gdyby miało to kluczowe znaczenie.

To przy tym stole zebrali się po pogrzebie Donalda. Wczesnym popołudniem śmiali się przy placku z owocami i kanapkach – wszyscy ci ludzie, którzy na jego przyjęcie urodzinowe nigdy by nie przyszli. Meg otaczała całe towarzystwo atencją, niepokojąc się o matkę oraz wymieniając ponure żarciki z siostrą Edwina, Tiną. Słońce świeciło, żaluzji nie

opuszczono ani na chwilę. Wszyscy stali właśnie tam, w swoich najelegantszych czerniach. Cywilizowani ludzie, gotowi na powrót podjąć ważne sprawy, gdy tylko skończy się wreszcie ta ceremonia, to dokuczliwe zwieńczenie aktu Boskiej zdrady. No i Donald, we wnętrzu małej urny, wraz ze śmiertelną swą chorobą. „Popiołem w miasta jest ruinach – Z troskami swymi wraz Rzymianin” {24} .

– Podejrzewam, że tatuś dał ci się we znaki – zaczęła Meg.

– Tak. Na swój sposób. – Fisher obiecał sobie, że zachowa powagę.

– Mnie suszy głowę już od dwóch tygodni, a kiedy spotkał cię w Bealhorpe, wziął to za omen. Jest bardzo przesądny. – Przyjrzała się swojej prawej dłoni. – Druid-metodysta.

Zgodził się z tym spostrzeżeniem, ale nie zamierzał rozwijać tematu.

– Być może myśli – mówiła nieśpiesznie, skoncentrowana na rozpostartych palcach swojej ręki – że byłam ci niewierna.

– A byłaś?

– Nie – odpowiedziała bez specjalnego nacisku.

– Ja również. Nagabywał mnie o to.

– Najwyraźniej jesteście bardzo grzeczni. Umiemy się zachować, nieprawdaż?

Przypatrywała mu się w tej chwili, spodziewając się najwyraźniej, że okaże złość lub niechęć. Nie odpowiedział. Bluzkę Meg, dopiętą ciasno, na szyi i nadgarstkach ściągały czarne wstążki.

– Pouczył cię, co powinieneś mówić? – zapytała.

– Powiedział, że jesteś... – Fisher szukał słów – skrzywdzona. Zraniona.

– Nakazał mi mówić, nie siedzieć bez słowa. Obiecałam, że tak zrobię.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego obiecałaś? – Fisher zwalczył niedrożność gardła.

– Prośba wydawała się sensowna. Nie spotkaliśmy się tylko po to, żeby na siebie patrzeć. A może właśnie po to?

– Nie miałbym nic przeciwko. – Uległ pokusie frywolności, w końcu, a jednak za wcześnie.

– To miłe.

W ten sposób wyjaśniła tę kwestię i nie zadając więcej pytań wstała, aby dolać herbaty. Gdy znów obydwójce usadowili się wygodnie, co zajęło im trochę czasu, Meg zapytała niezbyt jasno:

– I co myślisz?

– O nas?

– Tak.

– Nie wiem.

Stukała w poręcz fotela długimi paznokciami, okazując irytację.

– I ja tak właśnie się czuję – powiedziała w końcu. – Myślę, że to cholernie głupie, ale po prostu: nie wiem. Poczujesz cokolwiek, wchodząc ponownie do domu?

– Oczywiście. Przypomniało mi się kilka rzeczy.

– Czy to było... czy były ważne?

– Niektóre.

– Donald? Przypomniał ci się Donald?

Jakby go zderzyła obuchem. Złamała reguły. Dziecko powinno zostać przywołane jako środek ostateczny, w skrajnym przypadku, a nie wyłożone na stół obok bułki. Siedział porażony, z rozjątrzonych nagle ran sączył się ból.

– Pogrzeb. Przypomniał mi się... w tym miejscu. – Fisher bełkotał, dławiąc się ze wstydu.

Meg płakała. Łzy spływały bezgłośnie, szare na tle bluzki. W zaciśniętej pięści ścisnęła małą chusteczkę.

Zebrał się z wysiłkiem, chcąc zbliżyć się do niej, ale rękami dała mu sygnał, aby tego nie robił. Czekał więc potulnie, patrząc, jak przeciera oczy i łka.

Drzwi szczęknęły i nad przyjaciółką stanęła rośła Kathleen Twining, nachylając się ku niej z wysoka.

– Moje maleństwo, moje maleństwo – powtarzała. – Już dobrze.

Nalała do filiżanki kolejny cal herbaty i zaczęła szperać w torebce Meg w poszukiwaniu pigułki. Meg połknęła ją bez ceregieli, nie przestając płakać.

– Połóż nogi wyżej – poinstruowała Twining. Ułożyła Meg na kanapie w odpowiedniej pozycji, upchnęła pod nią poduszki i rozłożyła koc w kratę. Czy przyniosła go ze sobą? – Znacznie lepiej. Teraz wyglądasz jak naprawdę obłożnie chora.

– Chyba już pójdę – padło z ust Fishera, skoro tylko zamieszanie ustało.

– Nigdzie się nie ruszaj. Zaraz dojdzie do siebie. Daj jej minutę. Będzie dobrze, prawda, moja droga?

Słowa, które mogłyby zostać skierowane raczej do krnąbrnego dziecka, zabrzmiały tak protekcjonalnie, że Fisher stracił nerwy i zrobił się czerwony ze złości.

– Musiałem ją czymś zdenerwować – powiedział.

– Nie, nie. Absolutnie. Nie przyśpieszajmy biegu spraw. Wszystko już dobrze.

A więc cała ta Twining podsłuchiwała pod drzwiami. Nie przeszkadzało mu to, bo właściwie oznaczało, że nie wydarzy się dziś nic ostatecznego, czy też nic, co nosiłoby znamiona ostateczności. Panna Twining, ze swoim szkockim zaśpiewem i zadartym nosem, zadba o zachowanie przyzwoitości, zapobiegnie wybuchom, oswoi ich oboje ze sobą nawzajem, przywróci rutynę małżeńskiego życia. Fisher wygładził kłapy marynarki, gdy tymczasem Kathleen, najwyraźniej mówiąc sama do siebie – chociaż ni w ząb nie rozumiał, cóż tam mamrocze pod nosem – bez pośpiechu zebrała na kupkę talerzyki i filiżanki.

– W takich chwilach – spojrzała mu prosto w twarz; jej oczy miały zielony kolor – zazwyczaj zalecam wszystkim filiżankę herbaty, ale skoro wy właśnie się nią uraczyliście, niewielki byłby z niej pożytek.

– Niewielki – przytaknął.

Uśmiechnęli się obydwój. Mogliby nawet uścisnąć sobie ręce. Meg, uspokoiwszy się, wlepiła wzrok w abażur.

– Dasz sobie radę, moja droga?



– Chyba tak.

– Ja też tak myślę. Zostawiam cię zatem z mężem. – Podkreśliła ostatnie zdanie, nie kryjąc szkockiego akcentu. – Rozmawiajcie sobie dalej. Na pewno świadom jesteś, Edwinie, że twoja żona jest bardzo rozstrojona. – No proszę, zwróciła się doń po imieniu; ciekawe, że w ogóle je znała. – Niemniej, chce z tobą rozmawiać. – Znow rozmyślnie poprzestawiała porcelanę, podniosła tacę i wyszła, zostawiając za sobą uchylone drzwi. Żadne z nich się nie ruszyło: ani mąż, ani żona. Jakąś minutę później Twining zamknęła drzwi, wołając: – Jestem na tarasie, gdybyście mnie potrzebowali.

– Co to była za tabletka? – zapytał.

– Nie wiem – zabrzmiało to szczerze.

– Librium? Valium? Coś w tym guście?

– Chyba tak.

Meg była blada, lecz spokojna. Jedna jej biała dłoń wystawała spod koca. Cień na jej powiekach miał bladofioletowy kolor.

– Chyba powinienem już iść – powiedział.

– Nie. Proszę. Pomyślą, że nawet nie próbowaliśmy.

– Kto?

– Tatuś. Mamusia. Kathleen.

– A próbowaliśmy? – Zabrzmiało to okrutnie, zupełnie niepotrzebnie. Szybko zaczął łagodzić: – Chciałem powiedzieć, że... o niczym jeszcze nie porozmawialiśmy, prawda? O niczym ważnym.

– Wróciłbyś, gdybym cię poprosiła?

– Tak.

Zastanawiał się, skąd u niego ta gorliwość w odpowiedzi. Grzeczność, opiekuńczy gest, podyktowany jej stanem. Za żadne skarby nie potrafił wykrzesać z siebie uczuć. Raz, będąc dzieckiem, ugryzł psi herbatnik, który okazał się nieapetyczny i bez smaku. Wypluł breję na rękę.

– To miłe – powiedziała Meg – nawet jeśli tak nie myślisz.

Zdania wygłaszała niemrawo i choć można było wyczuć drzemiącą w niej inteligencję, zniknął gdzieś jej zapach i ogień. Brzmiała bardziej jak licealistka niż jego żona.

– To szczerza prawda. A przynajmniej najlepsze, co mogę zrobić. – Zachodził w głowę, po co rzucił na koniec takie niezgrabne uściślenie. – Dlaczego płakałaś przed chwilą? Bo wspomniałem Donalda? A może to ty wspomniałaś?

– Tak. W pewnym sensie. Pomyślałam sobie, że jestem ci coś winna z powodu Donalda.

– Nie, Meg. Nie jesteś. – Zabrzmiało to surowo. – Wybij to sobie od razu z głowy.

– Tyle, że z niego było takie chucherko.

– To nie twoja wina.

– Twoja raczej na pewno nie, prawda? – w jej tonie pobrzmiwało rozdrażnienie. – Urodził się na tyle słaby, że nie był w stanie wrócić do zdrowia. Tak powiedzieli w szpitalu.

– Nie mógłby mieć lepszej matki – powiedział z zawziętością, jak człowiek chcący

utwierdzić się w czymś, w co ledwo wierzy. – Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy.

Nie patrząc w jego kierunku, zapytała tym samym słabym głosem:

– Patrzysz czasem na jego zdjęcia?

– Mam tylko jedno w portfelu. Tak. Patrzą na nie czasem.

– Co myślisz o...? Wtedy...? Kiedy...? – Głos jej zamarł, lecz nie dlatego, że nie była w stanie wydusić z siebie dalszych słów, ale dlatego, że pytanie zostało już w pełni, precyzyjnie postawione.

– Trudno powiedzieć. Patrzą. Przypominam go sobie. Ściska mnie w dołku. Potem puszcza. Zastanawiam się wtedy, czy to na pewno mnie spotkało. Na zdjęciu wygląda tak zdrowo.

– Które to zdjęcie?

Wyciągnął i otworzył portfel, ukazując fotografię w owalnej ramce ze skóry. Dziecko siedziało w wózku, szeroko uśmiechnięte, z pucołowatą twarzą i rączkami w górze. Meg wzięła portfel, spojrzała na nie, odsunęła się i znów nachyliła, tym razem odsuwając nieco głowę, jakby miała problem ze skupieniem wzroku.

– A tak. To w czapce z pomponem. Zrobiłeś je tutaj, na dole. Jak on się wściekał, uwiązany w tych pasach! Bardzo zimno wtedy było.

– Naprawdę?

– Tamtego wieczora padał śnieg. Niezbyt obficie. Kilka płatków.

Nie przypominał sobie opadów śniegu – faktu, który obecnie wydawał mu się równie ważny jak śmierć dziecka. Wspomnienie wciąż żyło w jej umyśle. Zamknęła portfel i oddała mu, a kiedy to czyniła, jej twarz sprawiała wrażenie wymizerowanej, zmaltretowanej... zgaszonej. Przez kilka następnych minut nie mówili nic, po prostu siedzieli w ciepłe, nie czując skrępowania, ale też niespecjalnie odprężeni.

– Czy ta, jak jej tam, od dawna tu przebywa?

Nie potrafił się zmusić do wymówienia jej imienia.

– Kathleen? Wprowadziła się jakiś tydzień po twoim odejściu.

– Nie wiedziałem, że byliście tak zaprzyjaźnione.

– Nie byliśmy.

Kiedyś pracowały w tej samej szkole. Twining nadal pełniła tam funkcję wicedyrektorki. Meg bawiła się swoją obrączką.

– Zadzwoiłam do niej któregoś wieczora. Chciałam porozmawiać z kimś, kto nie będzie mnie męczył. Tatuś... och, wiesz, jaki on jest. Kathleen natomiast jest miła i nie brakuje jej pomysłów. Żeby wyciągnąć cię z chandry, każe ci na przykład zakasać rękawy i upiec skomplikowany tort. Tego typu sprawy.

– Mnie by to nie odpowiadało.

– Właśnie miałam to powiedzieć... Przychodzi w czwartki rano i wraca do siebie tylko na wtorek i środę.

– Po co?

– Żeby pożyć trochę własnym życiem.

Uśmiechnął się, prawie roześmiał. Powstrzymał się jednak, uznając to za marny pomysł.

– Cieszy mnie, że udało się wam jakoś to sobie ułożyć.

– A jak tobie się żyje z doktorem Price-Jonesem?

Sklecił kilka interesujących zdań na temat swojego gospodarza, którego Meg nie miała okazji zbyt dobrze poznać. Wydawało mu się ważne, aby dla jej rozrywki jak najzgrabniej zarysować postać literackim opisem, a tym samym dać żonie odczuć, że rozmawia z ciekawym człowiekiem, starającym się wyrzeźwić na niej wrażenie. W rewanżu raz czy dwa zaśmiała się z dziwactw Billa i sposobu, w jaki mąż je ujął, więc Fisher poczuł się doceniony za swoje starania. Zachęcony sukcesem, pozwolił sobie na kolejne twórcze zabiegi. Zaabsorbowany koloryzowaniem idiotyzmów, jakie Price-Jones wyczyniał za kółkiem swojego rovera, Edwin zorientował się nagle z przestrawieniem, że Meg go nie słucha. Przerwał.

– Słowa nie usłyszałaś z tego, co powiedziałem, prawda?

– Proszę? – odwróciła się, zaalarmowana zmianą tonu.

– Nieważne.

– Słuchałam, Edwinie.

Zabrzmiało to tak żałośnie, że pomyślał, czy nie przysunąć się do niej, nie dotknąć jej... lecz ona kulila się w rogu kanapy, niejako uciekając przed wolnością. Na zewnątrz jakiś samochód zaszurał na żwirze. Rozległ się dźwięk dzwonka. Usłyszeli dreptanie Twining, a później przyciszoną rozmowę dobiegającą z korytarza.

– Masz gości – powiedział.

– Tak.

– Może lepiej już pójść.

– Nie domyślasz się, kto przyszedł? – W jej głosie nie było słyhać najmniejszego ożywienia. Czekał, koncentrując uwagę na narożniku niskiego kredensu i stojącej w głębi słomianej kukielce, prezentującej się szelmowsko i krucho zarazem na tle polerowanego dębowego drewna. – Nie rozpoznajesz głosów?

– Rozpoznaję... zazwyczaj.

– To matka i ojciec.

Znów zdecydował się na milczenie, chcąc sprowokować ją do wypowiedzi, tyle że tym razem Meg na męski sposób pochyliła się do przodu, wcisnęła ręce pomiędzy kolana i tak siedziała, zgarbiona brzydko, dziwacznie. Gdzieś w oddali szczęknęły zamykane drzwi, podczas gdy tych dwoje przedłużało ciszę: jedno i drugie podenerwowane, w jakiejś mierze skupione na tym, by zyskać przewagę.

– Wiedziałaś, że przyjdą? – wspaniałomyślnie odezwał się wreszcie po dłuższym czasie.

– Tak, wiedziałam.

– Oni... Czego oni się spodziewają?

Zmarszczyła czoło. Odgarnęła jasne włosy, jak gdyby musiała skupić się na odpowiedzi, uśmiechając się przy tym szeroko i wdzięcznie.

– Znasz Davida – powiedziała. – Obmyślił sobie wszystko. Najpierw dostajemy szansę, aby omówić nasze sprawy, a wtedy, w samym środku rozmowy, pojawia się on. To rodzaj dopingu. Ma bardzo wysokie mniemanie o sobie. Uważa się za głos rozsądku.

– Doprawdy?

Po tak rzeczowym wyjaśnieniu można było pomyśleć, że, dokonawszy pewnego wysiłku, Meg chwilowo odżyje. Zaraz jednak ponownie opadła z sił, z kunsztownie wymalowanym na twarzy wyrazem obojętności.

– Tak naprawdę to nie wiem.

Powinien był ją teraz przycisnąć.

– Na to wygląda.

Za późno. Nigdy nie udawało mu się naprawić błędu z Meg. Jeśli coś zostało popsute, to już nieodwracalnie. Chociaż pewności co do tego również nie miał nigdy.

Podczas miesiąca miodowego wybrali się na spacer w deszczowy dzień i choć oboje marzli, zabrakło im energii, aby przeć naprzód i próbować się rozgrzać. Przytulali się, całowali na ponurych polach, pod przygiętymi wiatrem drzewami, a jednocześnie, czując jakieś zamroczenie, nie potrafili odnaleźć radości w pogodzie, smagającej ich wichurze i chłoszczącym deszczu. Pokonali drogę prowadzącą w dół, do wąwozu, gdzie błotnista dróżka prowadziła przez szpaler głogu i teren wiejskiego gospodarstwa.

Tam, w dole, wszystko spowijała cisza, otulając ich ciepłym nieomal powietrzem. Sprawdzili mapę. Nie byli zgodni co do dalszej trasy: Meg chciała wspiąć się z powrotem na wzgórze i zejść do następnej doliny, gdzie trafiliby na główną drogę, on zaś argumentował, że lepiej będzie pójść dalej przed siebie, minąć farmę, dojść do bocznej drogi i tamte dy do domu. Uprzejmie i drobiazgowo wyliczył odległości, po czym grzecznie zapytał, czy się z nim zgadza. Wybierając proponowany przez niego wariant, oszczędzali półtorej mili, pozostając przy tym na w miarę płaskim terenie. Ustąpiła niechętnie.

Ledwie wyruszyli, a już wiedział, że popełnił błąd, obstając przy swoim. Gniewu Meg nie wzbudził fakt, że wybrany przezeń szlak okazał się korzystniejszy, o czym przekonali się wkrótce, lecz zalegające na trasie błoto. Wszędzie mętne brązowe kałuże, droga grząska, śliska jak pokryta lodem i wilgotna. Żona ostrożnie stawiała stopy, choć pończochy już zdążyły się jej upaćkać czarną mazią. Gdy tak brnęli naprzód, mijając gospodarskie budyneczki, oszcze kały ich psy, groźne niczym wilki. Przy ostatniej bramie głębokie na stopę błoto cuchnęło, zryte i zdradzieckie.

– Och, być teraz w Anglii {25} – powiedział.

Szare powietrze nagle pociemniało. Przez kilka minut grad uderzał im w twarze, musieli więc zatrzymać się i ustawić tyłem do szalejącej zawieruchy. Otoczył żonę ramionami, ale ona, przyciskając poczerwieniałą twarz do mokrej chusteczki, nie zareagowała.

– Widzę, że niebo się przejaśnia – odezwał się. – To już długo nie potrwa.

Miał przemoczone spodnie. Meg pociągała nosem.

– Tutaj i tak jesteśmy osłonięci lepiej niż gdybyśmy szli zboczem.

Znów go zignorowała, otrzepując krople wody z kaptura i trzęsąc się z zimna. Gdy ruszyli w dalszą drogę – ścieżką równie paskudną jak tamta przy podwórzu – jej błyszcząca od deszczu, woskowa twarz wydawała się jeszcze bledsza.

– Pójdziemy gęsiego przy samym żywopłocie – poinstruował, wspinając się na wąski nasyp, lekko wyniesiony ponad poziom drogi. – Mam iść pierwszy?

Nie odpowiedziała, ale słyszał, że wlecze się za nim, wydając krótkie pomruki niezadowolenia przy każdorazowym poślizgnięciu się lub zahaczeniu o krzaki żywopłotu, skutkującym ściągnięciem na siebie prysznic z mokrych liści.

– Mamy dobre tempo! – krzyknął przez ramię.

W ogóle tak nie myślał. Obawiał się raczej, że nogi zaraz ugną się pod nim i padnie wyčerpany w tym błocie.

Żadnej odpowiedzi. Tylko pociąganie nosem i szuranie rękawów kurtki.

– Może jeszcze zobaczymy trochę słońca.

Kłębowisko chmur w pewnym momencie naznaczyły po brzegach pasma złota. Po chwili wiatr je rozerwał, zamieniając w mgiełkę.

Tupot ubłoconych podeszew. Posępna cisza. Zdegustowane westchnienia.

– Gdy pokonamy ten mały grzbiet, powinniśmy zobaczyć drogę – powiedział. – To nie może być dalej niż milę stąd.

Chlasnęła rękawami płaszcza, majtneła przetyczką od ozdobnego zapięcia. Oznaki niezadowolenia.

Podłoże zrobiło się nieco twardsze, trawiaste, więc Fisher przyspieszył kroku, po trosze na złość Meg. Usłyszał co prawda okrzyk przestachu, a gdy upadała – odgłos uderzenia, ale postawił jeszcze trzy kroki, zanim się odwrócił. Leżała na ścieżce, z jednym kolaniem i obydwoma rękami unurzonymi w błocie. Czarna woda przelewała się jej przez dłonie, chlupotała między palcami, wyglądającymi nedorzecznie w białych rękawiczkach. Wziął ją pod lewe ramię i podźwignął na nogi. Ruszyła bez słowa, wbijając obcasy w podłoże na zbieżcu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Nie był w stanie dostrzec jej twarzy, skrywanej przed nim za ciemną osłoną kaptura.

Dziko, a zarazem niezdarnie zdarła z dłoni rękawiczki – całkowicie czarne, aż do ostatniego włókna – zgmiotła obydwie razem, po czym cisnęła utyłaną kulkę w stronę żywopłotu. W następnym ruchu uniosła spódnicę. Upaćkane prawe kolano świeciło od błota. Fisher natychmiast chwycił swoją chusteczkę. Najpierw wytarł nią pończochę do czysta, a potem wyrzucił, pozwalając jej dołączyć do rękawiczek żony.

Roześmiała się.

Zmusił ją, by założyła jego ciężkie rękawice i wkrótce, człapiąc ramię w ramię, dotarli do drogi. Ona miała dobry humor, on podśpiewywał. Kolejna ulewa nie mogła już ich zatrzymać. Przeciwnie, sprawiła wręcz, że przyspieszyli kroku, wdając się we współzawodnictwo w siarczystym przeklinaniu pogody. Półtorej godziny później, kiedy dotarli na kwatery, ostygli już nieco z emocji i górę wzięła w nich powściągliwość. Nadal pałali jednak do siebie ciepłymi, przyjaznymi uczuciami. Koniec końców był to najlepszy dzień ich pobytu, z resztą wieczoru spędzoną na rozmowie przy kominku w salonie, na przygaszonej miłości w obszernym, trzeszczącym łóżku, zwiędzony zaśnięciem w swoich objęciach. Dobrze pamiętał grube, srebrne krople deszczu na czarnych żywopłotach, odbijające się i wzlatujące w powietrze, niesione energią wiatru niczym wirujące skrawki wzburzonego nieba – i ich marsz, ich dumny krok, jego butne wykonanie *Road to the Isles* {26} .

Śmiała się wtedy.

A kiedy wycierał jej zabłocone kolano, tę słodką seksowną rozkosz, soczysty symbol, poznał swoją mężowską powinność. Upadła, lecz nie doznała upokorzenia; przeszła zaraz od posępnej złości do śmiechu, tym samym ratując go, oczyszczając z win, uświęcając siebie, jego zaś przysposabiając do młodzieńczej męskości, koronując, poddawszy się wszechwładcy prowadzącemu ją złą drogą.

Pomyślał, że być może teraz też tak się stanie.

– Czemu się uśmiechasz? – zapytała.

Kiedy odpowiedział, wyglądała na zakłopotaną. Niechętnie odświeżył jej pamięć, zmuszając do przyznania, iż takie wydarzenia rzeczywiście miały miejsce, ale nie ujawnił potwierdzających je szczegółów, które mogłyby wyzwolić ukryte głębiej wspomnienia. Na ile potrafił odczytać z wyrazu jej twarzy, ogarnęło ją teraz umiarkowane rozdrażnienie i zażenowanie.

– Wróciłbyś? – zapytała ponownie.

– Tak.

Czekała, antycypując dodatkowe klauzule. Fisher jednakże nie postawił żadnych warunków.

– Wyjeżdżam – powiedziała z rezerwą.

– Stąd?

– No tak. – Zmarszczyła brwi, nie okazując zdenerwowania, a raczej zdziwienie jego brakiem lotności.

– Na stałe?

Siedziała, tuląc ręce pomiędzy kolanami, oddając się zadumie. Rozzłościł się, wiedział już bowiem, że dotąd wcale się nie starała, nie brała go na poważnie, cały czas myśląc tylko o asie trzymanym w rękawie. Zmusił się jednak, by zachować spokój, przewietrzyć umysł w poszukiwaniu nie wiadomo czego i oddać się kreatywnemu wlepianiu wzroku w dywan.

– Jadę na wakacje.

– To miło. – Daleko mu było do życzliwych uczuć. – Dokąd?

– Do Indii – rzekła. – We wrześniu.

Ta informacja go zdeprymowała.

– Samolotem? – zapytał, z trudem łapiąc powietrze.

– Tak. Kończą się wtedy monsuny, więc skorzystam z najlepszej pogody.

– Jedziesz sama?

– Tak.

– Czy to... czy to coś w rodzaju wycieczki z biurem podróży?

– Niezupełnie.

– To chyba dość kosztowna wyprawa?

– Tatuś zapłaci.

Jakby dostał obuchem; poczuł wpływ nadziei. Przygnębienie wysunęło się na pierwszy plan. Tatuś zapłaci. Edwin się nie liczy. Włożył koniuszek palca do ust i zacisnął zęby:

przygryzł paznokcie, potem kostkę. On spędził tydzień w pensjonacie w Bealhorpe – śniadania i obiadowe kolacje, łazienka w pokoju, wszelkie wygody – tymczasem ona planowała z rozmachem wspinać eskapadę na wschód: Tadź Mahal, Ćar Minar, Groty w Adżancie, Ghaty Zachodnie, Nilgiri. Gdzieś umknęła mu cała wiedza z zakresu geografii. Clive, Sułtan Tipu, Akhbar, Warren Hastings, Zamindarowie, Gandhi. Historia też wyparowała.

– Uważasz, że to zły pomysł? – zapytała.

Siedział odepchnięty, kręcąc tylko głową. Poczuł, że całe jego ciało słabnie od rozgoryczenia. Nie śmiał się odezwać z obawy, że głos załamie mu się w chrapliwym płaczu, wyciu, szłochu, dławiących spazmach łez. Podźwignął się na nogi i machając do niej ręką w ramach wyjaśnienia, poczłapał w kierunku drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Do siebie – szczechnął niemal, zakrakał w odpowiedzi.

– Nie widziałeś się jeszcze z tatą.

Oparł czoło o zimne, pokryte białą farbą drzwi, nie zadając sobie trudu, by jakoś zamaskować rozpacz. Oto pokonany, świadom swojej postawy, niezamierzający zrobić nic, aby ją zmienić, stał pochylony do przodu niczym postać z filmu, ustawiona pod ścianą śmierci tuż przed rozstrzelaniem. Meg, wciąż zajęta zaciskaniem rąk, zdawała się tego nie dostrzegać, lecz w końcu odezwała się ostro:

– Oj, Edwinie. Podejź tu i usiądź.

Zdanie to wypowiedziała w paskudny sposób. Oj. Edwinie. Podejź tu. I usiądź.

– Idę – odparł. Słowo to ledwie przeszło mu przez usta.

– Czemu miałbyś to zrobić? To nierozsądne.

Przesunął się tak, że mógł teraz dostrzec własną postać w ozdobnym lustrze nad kominem. Zmaltretowany, lecz absolutnie przeciętny, z lekko przekrzywionym krawatem. Przyglądał się ponuro swojemu pomniejszonemu odbiciu, zestawionemu pod kątem ze znajdującą się tuż za nim pociągłą twarzą namalowaną przez Modiglianiego.

– Myślę, że tatuś chce z nami porozmawiać.

– O czym?

– Nie jestem pewna. Spodziewam się, że odczuwa potrzebę nakłonienia nas do wyrażenia swoich uczuć przed sobą nawzajem.

Doprawdy słodkie.

– Wie, że zamierzasz jechać do Indii? Z pewnością wie.

– Nie on wpadł na ten pomysł, jeśli to masz na myśli.

– A ty jak na to wpadłaś?

– Widziałam ulotki z biur podróży. Wiesz przecież, że jestem bardzo konwencjonalna.

Gotów byłby ją spoliczkować, chociaż zdawał sobie sprawę, że żona nie dostrzega, jak bardzo zdruzgotany jest poniesioną klęską. Stał przy drzwiach, czując się doszczętnie pozbawiony męskiej mocy, ona zaś nie raczyła nawet odwrócić głowy i rzucić nań okiem. Możliwe, że brakowało jej śmiałości: zatroskana własnymi brakami, starannie unikała tych mężowskich.

W końcu całkiem radośnie machnęła nogami, zginając je w kolanach niemal jak dziew-

czynka, jak małe dziecko bawiące się w samochodziku z pedałami.

– Jesteś na mnie zła? – zapytał.

– Nie.

– Ale cieszyłaś się, kiedy cię opuściłem. Chciałaś tego, prawda?

– Nie wiem.

– Tak twierdziłaś.

– Często mówię rzeczy, których nie myślę. Naprawdę, Teddy. Właśnie tak. – Spiorunowała go wzrokiem. – Z pewnością jesteś tego świadom. Ja byłam wściekła, a ty zmęczony.

– Czy – zapytał spokojnie – sytuacja nie powtórzy się znowu?

– Bardzo możliwe.

– W takim razie po co mamy się męczyć? Możemy się równie dobrze rozstać teraz, a nie za miesiąc czy dwa.

– Mówisz głupstwa. – Zbiła go tym z tropu. – Jesteśmy małżeństwem. Czy to nic nie znaczy?

– Dobrze, w takim razie co to znaczy dla ciebie?

– Poprosiłeś mnie o rękę. I chciałeś tego. Przemyślałam sprawę najgłębiej, jak tylko mogłam. Ja również chciałam wyjść za ciebie. Potrafię przypomnieć sobie, co wtedy czułam.

– Potrafisz?

– Co czułam wtedy, Edwinie. Wtedy. Wiem, czego chciałam...

– Czy samo małżeństwo w jakiegokolwiek mierze spełniło twoje oczekiwania?

– Tak, spełniło – powiedziała Meg. – Nie w każdym aspekcie, ale tak. Nie byłam tobą zawiedziona. Irytowałeś mnie, bywałeś dziecinny, ale ciężko pracowałeś, dbałeś o mnie i zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, gdy umarł Donald. To dość typowe dla ciebie, zadawać teraz te wszystkie dziwaczne pytania, kiedy już wyjaśniliśmy sobie prawie wszystko. Boisz się, że zostaniesz pokonany. Nie chcesz dać się złapać w sidła tatusia.

– Przemyślałaś to sobie – powiedział – i doszłaś do wniosku, że chcesz mnie z powrotem przyjąć.

– Zgadza się.

– Na jakich warunkach?

– Na żadnych. – Rozpłakała się nagle. Targały nią teraz takie spazmy, jakby miała zamiar zrosić za chwilę łzami najdalsze kąty pokoju. – Przerzucamy się tylko słowami. Nie mówisz mi, co czujesz. Próbujesz poukładać sobie wszystko w tym swoim ciasnym mózgu tak, żeby przekonać samego siebie.

Nareszcie pojął, na tyle, na ile takie rzeczy da się pojąć, że Meg została przekupiona, zmuszona lub nakłoniona przez swoją matkę i ojca do zaakceptowania ich małżeństwa, do przyjęcia męża z powrotem. Z teźże przyczyny dziś wieczór łzy znaczyły niewiele. Miała poddać go próbie, zaznaczyć swoją pozycję polemiką i ogłoszoną oficjalnym tonem wyprawą do Orientu, by w końcu ująć jego dłoń i odnowić przysięgi.

Taki wniosek nie był deprymujący.

Akceptował jej łzy, nienawidził zaś niebezpiecznej obojętności.



Jako niespełna osiemnastoletni maturzysta odwiedził raz dziewczynę w szpitalu psychiatrycznym. Valerie Watson – tak się nazywała. Była o dwa lata starszą od niego córką sprzedawcy, człowieka, który nie mógł pochwalić się wyższym stopniem zamożności niż Arthur Fisher, aczkolwiek opuścił swoje lokum nad sklepem i przeniósł się na bogate przedmieście. Przed przeprowadzką Valerie chodziła z Edwinem do szkoły, ale przyjaźń między nimi zawiązała się dopiero na spotkaniu w kaplicy. Od razu przystąpili do dyskusji o Beethovenie. Dziewczynę cechowała nieśmiałość; nie brakowało jej też urody. Szczególnie piękne miała dłonie: białe, z widocznymi niebieskimi żyłami. Czasem pisali do siebie listy albo spotykali się, żeby posłuchać płyt lub zagrać na pianinie symfonie Mozarta rozpisane na cztery ręce. Myliłby się ten, kto twierdziłby, że ich relacje pozbawione były seksualności, młody Fisher bowiem nie potrafił wówczas inaczej patrzeć na kobiety, jednak nigdy się nie pocałowali, a cały ich kontakt fizyczny ograniczał się do zetknięcia dłoni. W tamtym czasie kochał się w dwóch innych dziewczynach, ale nie w Valerie.

Rodzice, nieporadni jak to zwykle bywa, okazywali swoją troskę.

Valerie była dla nich „młodą damą Teda”. Wypytywali o nią, robili wokół niej zamieszanie, gdy się zjawiała, donosili mu, kiedy tylko zauważyli ją gdzieś na ulicy, wyrażali się pochlebnie na temat jej charakteru – jak gdyby sam nie potrafił należycie go ocenić. Patrząc wstecz, Fisher domyślał się, że po prostu dostrzegli dobrą dla syna partię, niezależnie od różnicy wieku. Watsonowi nie brakowało majątku, a Val była jedynaczką. Sam chłopak nie bardzo jednak wiedział, jak się ustosunkować do tych planów. Była ładną dziewczyną o konwencjonalnym typie urody, nieśmiało ujawniającą drzemiącą w niej inteligencję. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Pozwalała, by się nad nią pastwił, chociaż bywało, że przeciwstawiała się jego argumentacji i nawet czasem dowodziła wyższości swoich tez. Oczytana, potrafiła polemizować, a mimo to wolała pozostawać w cieniu, zachować uległość, co bardzo Fisherowi odpowiadało. Mógł dzięki temu błyszczeć i wyklądać jasno swoje racje, gdyż desperacko potrzebował umocnienia wiary we własne siły.

Rodzice nie przekazali mu szczegółów dotyczących jej załamania. Wypytywali go o ostatnią wizytę i przebąkiwali coś o tym, że w ostatnich miesiącach nie wszystko toczyło się jak należy, a dziewczynę poddawano leczeniu. Mówiąc całkowicie szczerze, nie potrafił dostrzec w jej zachowaniu żadnych zmian – może poza tą swobodą w eksponowaniu bielizny – nie widział też żadnych oznak niepokoju u jej rodziców.

Cała ta sprawa rozdrażniła go. W wieku osiemnastu lat szczycił się swoją wnikliwością, częstokroć krytykując przyjaciół za niedostrzeganie drobnych oznak niepokoju i złości u innych osób i obwieszczając przy tym, że sam w podobnych okolicznościach miałby wystarczająco dużo rozumu, by postąpić inaczej. Tymczasem Valerie zachowywała się normalnie, na pozór przyjazna i pokorna; słuchała uważnie, wyrażając aprobatę dla jego teorii na temat choroby Keatsa lub profesjonalizmu Beethovena.

Zamierzał odwiedzić Watsonów w ciągu następnych kilku tygodni, ale ciągle był czymś zajęty: egzaminami, życiem towarzyskim, sportem. Nigdy nie przyznał się przed sobą do strachu. Wiadomości dochodziły do niego za pośrednictwem jej rodziców. Poprawy nie było, po domu krążyli lekarze, przyjęto ją do szpitala psychiatrycznego, próbowano osobli-

wych metod leczenia.

Nakaz stawiennictwa doręczyła mu matka. Pani Watson zadzwoniła z pytaniem, czy nie zechciałby towarzyszyć im pewnego wieczoru podczas wizyty w szpitalu św. Franciszka. Zadrzał.

Jak zawsze poszedł do domu Watsonów na piechotę. Zastał tam ojca Valerie, który powitał go przyjaźnie, wręcz hałaśliwie, ściskając mu rękę i zwracając się do niego per „Ted”. Matka dziewczyny snuła się po mieszkaniu pozbawiona energii, wypudrowana na biało jak śmierć, niemniej to właśnie od niej usłyszał, że Valerie się „wycofała”. Pokiwał głową, przybrał poważny wyraz twarzy, ale nie śmiał drążyć tematu. Podróż do szpitala wyciszyła ojca, więc cała trójka przemknęła przez parking bez słowa.

Zbliżając się do właściwego oddziału – nowego jednopiętrowego skrzydła, wybudowanego na dziedzińcu macierzystego szpitala, wiktoriańskiego więzienia pokrytego ciemną cegłą – usztywnili się, ukryli emocje, po czym, twardo stąpając po kolorowych kwadratach pokrywających korytarzowe linoleum, weszli na oddział z wysoko podniesionymi głowami. Najpierw należało opanować zamieszanie związane z brakiem krzeseł i tu Fisher na coś się przydał, taszcząc nie tylko trzecie siedzisko dla siebie, ale jeszcze dodatkowe dwa dla starszych pań, odwiedzających korpulentną, roześmianą, leżącą po sąsiedzku matronę. Zakończywszy prace organizacyjne, zauważył, że rodzice stanęli po przeciwnych stronach łóżka i pochylili się nad córką.

Wyglądało to tak, jakby Valerie spała.

Ręce dziewczyny, wyjęte spod pościeli, były widoczne, ale niewykluczone, że to rodzice je oswobodzili, ujmując we własne dłonie. Pani Watson, zachowując dyskrecję, szeptała gorączkowo z głową pochyloną nad uchem córki:

– Zobacz, kto do ciebie przyszedł, Valerie. Poznajesz? Zobacz, kto tu jest. Edwin. To Edwin Fisher, wiesz? Edwin, przywitaj się. Znasz go dobrze. Kochanie, zobacz, kto to.

Fisher wymamrotał powitanie.

Twarz Valerie, spoczywająca na poduszce, prezentowała się niezdrowo. Z trudem uniosła powieki, ukazując oczy, ciemnoniebieskie i odrealnione. Po kilku chwilach wydała jakiś odgłos, brzmiący jak westchnienie, więc pani Watson, w próbie uchwycenia sensu, mentalnie złożyła się jak scyzoryk i odsuwając na bok męża, rozczapierzyła ręce nad bezwolnym ciałem. Oczy zamknęły się, głos ucichł.

– Co to było, mamusiu? – spytał Watson.

– Nie wiem. Nie usłyszałam. Myślę, że cieszy się z przyjścia Edwina.

Oczywiste przekłamanie zirykowało Fishera. Trzeba umieć spojrzeć prawdzie w oczy. Sam zdecydował się tutaj przyjść i nie oczekiwał, że będą mu kadzić. Przez następne pół godziny starali się nakłonić dziewczynę do komunikacji, pomimo że Valerie w zasadzie wydawała tylko przypadkowe pomruki i jęki, a raz uroniła łzę, pojedynczą łzę, uformowaną gdzieś we wnętrzu niemal całkowicie zamkniętego oka. Potem, kiedy Fisher siedział oszołomiony niespożytą energią pochylonej matki, próbującej nakłonić dziecko do powrotu na poziom pełnej świadomości, Watson dotknął rękawa młodzieńca oznajmiając, że czas wyjść zapalić.

Pani Watson podniosła głowę.

– Porozmawiaj z pielęgniarką, dobrze? – wydała mu polecenie i oddała się dalszemu czuwaniu.

Po drodze wstąpili, rzecz jasna, do małego pokoju na końcu oddziału, ale gdy okazało się, że jest pusty, Watsonowi jakby ulżyło.

– Za wiele nam nie powiedzą – rzekł. – Zajrzymy jeszcze, wracając.

Na zewnątrz zastali krajobraz po deszczu, po przelotnej ulewie, której Fisherowi nie było dane zauważyć, natomiast w powietrzu, ciepłym jak na koniec lutego, czuć było podmuch wiosny. Watson zamachał papierośnicą, chcąc poczęstować swojego towarzysza, ale spotkał się z odmową. Do zapalania papierosa przystąpił z pełnym ceremoniałem rytualnych gestów i układania rąk w miseczkę. Pierwszemu zaciągnięciu się towarzyszył wyraz ulgi, którego nie sposób było nie rozpoznać.

Zaczęli krążyć po asfaltowych ścieżkach. Drobinę zieleni zdołały zimową nagość krzewów tawuł i kolkwicii. Kępy fioletowych i pomarańczowych krokusów otwierały pąki, łapiąc promyki słońca.

Watson rzucił kilka uwag z dziedziny ogrodnictwa, a następnie poprowadził chłopaka na parking, gdzie, odpaliwszy drugiego papierosa od pierwszego, zaczął wychwalać i krytykować poszczególne auta niczym handlarz. Choć wypowiadał się dosadnie, czuł się najwyraźniej nieswojo: owłosioną prawą rękę ścisnął w pięść i uderzał nią w lewą dłoń, wskazywał palcem, wydymał usta... Silny chłop w chwili słabości, usiłujący nabrać pewności siebie, popisujący się przed kompanem. W końcu oznajmił, że muszą już wracać, cisnął gwałtownie peta w krzaki i bez słowa ruszyli w drogę powrotną.

Z korytarza Fisher dostrzegł panią Watson pochyloną nad Valerie, która najwyraźniej nie ożywiła się nawet na chwilę. Ojciec dziewczyny dotknął jego ramienia. Obydwaj skierowali się do pomieszczenia pielęgniarek, gdzie przy biurku siedziała kobieta o ciemnej karnacji. Jedną ręką mieszała herbatę, w drugiej trzymała czytana właśnie dużą kartę.

– O, pan Watson. – Miała szkocki akcent.

Watson ustawił się przed jej biurkiem, utwierdzając swój autorytet szeroko rozstawionymi nogami.

– Dzień dobry, siostró.

– Co mogę dla pana zrobić? – zmrużyła oczy w nieszczerym uśmiechu.

– Jak ona się miewa?

Kobieta wzruszyła ramionami, kurcząc się przy tym.

– To powolny proces, panie Watson. – Słowo „powolny”, rozciągnięte niemiłosiernie, zabrzmiało jak wypowiedziane na drodze w szkockiej wsi. – Mówiąc zupełnie szczerze, uważam, że jest postęp. Niewielki, ale jest. – Odłożyła kartę, gestem tym niejako podkreślając posiadane przekonanie. Ojciec Valerie przepytывał ją jeszcze przez kilka minut, ale żadnych istotnych informacji nie uzyskał; odwłókł jedynie chwilę, w której musieli na powrót stanąć nad łóżkiem. Opuściwszy gabinet pielęgniarek, głośno westchnął, nieświadomy wydanego dźwięku. Gdy sunął przez korytarz, szeroko stawiając stopy, wydawało się, że nogi ma jak z waty.

Valerie prezentowała się równie blado jak jej matka, z tym że w przypadku dziewczyny, przy jej skórze, gładkiej i delikatnej, wyglądało to naturalnie. Leżała teraz z otwartymi oczami – może nie całkiem, ale to zawsze coś – nie podjęła jednak żadnej próby przywitania. Pani Watson wyrzuciła z siebie potok słów.

– Zobacz, przyszedł twój tata. Spójrz na nowy krawat – założył specjalnie dla ciebie. Poznajesz Edwina, prawda? Czy to nie miło z jego strony, że postanowił cię odwiedzić? Posłuchaj, przyniosłam ci trochę lemoniady z jęczmieniem, masz tam w szafce. Powiedz pani pielęgniarce, żeby pozwoliła ci wypić trochę, bo to zawsze ci służyło, a poza tym strasznie tu gorąco.

Entuzjazm tego żalostnego gadulstwa szybko się wypalił, pozostawiając jednakże w sercu Fishera głęboki ślad.

Gdy dzwonek oznajmił koniec wizyty, pani Watson ułożyła kończyny córki, jakby ta była martwa, po czym przyskoczyła do poduszki i ucałowała nieruchomą twarz. Watson pochylił się, sapiąc, a potem wstał, pocierając rozciągnięty na brzuchu materiał. Fisher chwycił na krótką chwilę białą lewą dłoń dziewczyny. Poczł ciepło, i z całą pewnością nie było to przykre doznanie.

Później odbył jeszcze jedną wizytę. Valerie miała się już wtedy nieco lepiej. Nałożyła na ramiona lizeskę, a on mówił do niej zakłopotany. Od swojej matki dowiedział się potem, że dziewczyna wróciła do zdrowia, chociaż nie podjęła studiów na nowo, i po upływie zaledwie dwóch lat wyszła za jakiegoś parającego się handlem młodzieńca z Watfordu. Nie odwiedził jej podczas rekonwalescencji, nawet do niej nie napisał. Po maturze udał się do Francji, gdzie pracował aż do powrotu na semestr przygotowawczy na Oksfordzie. Jego udział w tamtych wydarzeniach był jeśli nie zawstydzająco mało istotny, to z pewnością niewiele znaczący, więc kiedy potem słuchał trzeciej części *opusu 70 nr 2*, raziała go zawarta w prostocie utworu koncepcja szczęścia – jawna kpina z jego samozadowolenia.

Dziś natomiast, w to letnie popołudnie, wspominał tamten incydent, patrząc na twarz Meg, równie drewnianą jak twarz Valerie, równie niekomunikatywną, gdy wypowiadała do niego kolejne słowa. Nie wycofała się całkiem, lecz odstąpiła od podejmowania decyzji, scedowała zarządzanie tą częścią swojego życia na ojca. Nie zamierzał tracić czasu na rozmowę z zombie. Nad tę zwiotczałą pokorę przedkładał chwiejność jej nastrojów. Czy powinien jej o tym powiedzieć? Czy powinien zdręzczać ją teraz, wypowiadając apele o usiłowanie podjęcia samodzielnego myślenia?

– Zgoda, próbuję przekonać samego siebie – odpowiedział. Zabrzmiało to protekcyjnie. – Taką już mam naturę, sama wiesz o tym najlepiej. Jedno mnie wszak martwi.

Wykonała nieznaczny gest, wyrażający pytanie.

– Chodzi o to, czy chcesz, żebym wrócił.

– Przecież powiedziałam – odrzekła szybko, pewnie.

– To przypadkiem nie ojciec cię zmusza?

– Nie.

Jej odpowiedziom brakowało może entuzjazmu, ale udzielała ich bez wahania.

– Chciałbym mieć pewność, Meg. Siedzisz tutaj, jakby ci było wszystko jedno – w tę czy w tamtą. Nie, źle się wyraziłem. Siedzisz tutaj, jakbyś była tak głęboko zraniona, że nic już dla ciebie nie ma znaczenia.

– Nic na to nie poradzę.

– Nie jesteś sobą. Nie ma w tobie życia. Wyglądasz, jakbyś czekała, aż ojciec albo choćby Kathleen, albo ktokolwiek inny zainterweniuje i przyjdzie ci na ratunek.

– Powiedz, jak ty zatem wyglądasz?

– Dobre pytanie. Jestem niezdecydowany. Spędziłem dziwny tydzień nad morzem. Mam mnóstwo pracy. Myślę, czy nie zabrać się za moją sztukę. Obiecałem twojemu ojcu, że przynajmniej się z tobą zobaczę.

– I podoba ci się to, co zobaczyłeś? – Bez kokieterii.

– Nie rozumiem. Zachowujesz się, jakbyś była chora lub odurzona.

– Dlatego masz opory przed powrotem?

– Powiedziałem, że wróciłem. – Próbowałem przydać słowom nieco ciepła. Ona tymczasem po kilku sekundach opuściła dłonie, jakby chciała skwitować idiotyzm, którego się spodziewała. Zamknęli usta. Serca również.

Ostatecznie, o dziwo, Meg odezwała się pierwsza.

– Jestem przerażona – powiedziała. – Widzisz, kiedy zerwaliśmy, pomimo tego, że z ulgą patrzyłam, jak odchodzisz, czułam, że źle się stało. Skoro nie potrafię utrzymać związku z tobą, to niby z kim miałyby mi się udać?

Słowa potoczyły się niczym kamyki, niezdarnie kopnięte w dół zbrocza na klifie.

– Nie mam pojęcia. – Czuł, że należy wypiąć pierś i okazać szczerość.

– Takie myślenie nie wynika bynajmniej z logiki. Zapewne znaleźliby się bardziej odpowiedni mężczyźni. Przed wszystkim przypuszczam, że z nimi przynajmniej nie zrujnowałabym małżeństwa na dobry początek. Raczej wypatrywałabym zwiastunów nadchodzących kłopotów. – Najwyraźniej straciła kontrolę nad językiem, z drugiej zaś strony znaczenie jej słów było dobitnie oczywiste. – Tyle, że właśnie ty jesteś w moim typie. Tak myślę.

– A co to za typ? – Sucho zaakceptował brak gałązki oliwnej. Jej słowa sugerowały miłosne wyznanie, któremu wyraźnie przeczył beznamiętny ton.

– Sama nie wiem. Gdy braliśmy ślub, byłam przekonana, że wybrałam właściwego mężczyznę. A on wybrał mnie.

– Mogłaś się pomylić.

– Tak uważasz?

– Nie, Meg, nie uważam tak. Po prostu chcę być pewien, że nie przyjmujesz mnie z powrotem, bo ci kazano, albo... oj, Boże, nie wiem... bo sąsiedzi będą plotkować.

Jej nowy ton budził w nim wyłącznie podejrzenia, ponieważ w żadnej mierze nie wykazywała chęci do kłótni. Niegdyś na takie słowa zagotowałyby się, zaczęła przeklinać, kazałaby mu się odpieprzyć, wybuchnęła płaczem, a może na dokładkę rzuciłaby czymś lub trzasnęła drzwiami tak mocno, że prawie wyleciałyby z cholernych zawiasów.

– Myślałam o tym całymi dniami – zaczęła. – Zdrowy rozsądek podpowiada, że powinniśmy dać sobie z tym spokój i spróbować z kimś innym. Nie jesteśmy dziećmi. Swoje

przeżyliśmy. Może czas zacząć od nowa gdzie indziej, zanim zupełnie się zestarzejemy i nabierzemy przyzwyczajęń, przez które spaprzymy sobie kolejny związek. Nie chcę słuchać zdrowego rozsądku. Byliśmy małżeństwem. Mieliśmy Donalda. Mieliśmy swoje dobre chwile.

– Wytarłem ci kolano moją chusteczką.

Sens tej informacji nie dotarł do niej od razu, najwyraźniej tamto zdarzenie musiało schować się gdzieś w zakamarkach jej pamięci. Sięgnęła więc głębiej, poszukała po omacku, znalazła, przypomniała sobie i uśmiechnęła się.

– Racjonalnie rzecz biorąc, nie ma to sensu. Małżeństwo to tylko umowa cywilnoprawna. Nie wierzę, że zawiera się ją w niebie. Nie wierzę w niebo.

– Ale... – Słowo to wypowiedział doniośle, niemal grzmiało.

– Ale... – Uśmiechnęła się niepewnie. – Wychowanie każe mi myśleć inaczej.

– Podczas naszej rozłąki sporo myślałem o tobie – powiedział. – I doszedłem do wniosku, że jeśli miałbym z kimś tworzyć związek małżeński, to tylko z tobą. – Sam nie wiedział, czy jest tego pewien, ale mówił przekonująco. – Nie mogłem znieść myśli, że nie będzie nam dane żyć razem.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

– Nie ufam sobie. Przede wszystkim nie lubię zmian. Potem być może do głosu doszła duma. „Wiesz, żona go wykopała”. No i zaczęliśmy działać sobie na nerwy.

– Możesz to jeszcze powiedzieć – rzekła cieplejszym tonem.

– Dziwne – zamyślił się Fisher. – Powinniśmy spróbować ocalić nasze małżeństwo. Zgadzą się co do tego. Chociaż pojęcia nie mam, dlaczego. I ani razu nie wspomnieliśmy o miłości.

– Gdybyś ty ją wyznał...

– Tak?

– Nabrałabym podejrzeń.

– Nie sądzę – odparł. – Każdy lubi słyszeć, że jest kochany. Ja lubię.

Ucichła na chwilę, pocierając czoło.

– Chyba nie byłabym w stanie. Powiedzieć tego. Teraz. – Ostatnie słowa padły ciężko, jakby każde z osobna.

– Jeszcze powiesz, Oskarże, jeszcze powiesz{27}. – Znów się uśmiechnęła, wciąż jednak nerwowo. – Lubię cię, Meg, przyznaję. Jest w tobie coś... – przerwał. Łatwo mógł przestrzelić. Ona nadal gapiła się w dywan tępo, beznamietnie. – Czy nie zaczynamy aby prawić sobie banałów?

– Być może.

– Spróbujmy znowu.

– Szczerze mówiąc, moim zdaniem z gadania nie wynika nic specjalnie pożytecznego. Tatuś twierdzi inaczej, ty również. A może ty tak nie twierdzisz, nie wiem. Ja w to w każdym razie nie wierzę. Nie jesteśmy racjonalnymi istotami, ty i ja.

– Wiem o tym. Ale jeśli nie będziemy kierować się rozumem, co nam pozostanie? Jakie wzorce możemy zastosować? Czy będziemy się tłuc z użyciem kastetów albo obrzucać

bombami?

– Nie byłoby to o wiele gorsze.

– Doskonale wiesz, że by było. Urywaj człowiekowi rękę albo nogę i zobacz, jak to na niego wpłynie. Czym się stanie.

Wyraźne ożywienie podczas ich wymiany zdań sprawiło, że Meg usiadła prosto, a jej policzki tu i ówdzie nabrały koloru. Wystarczyło jednak szarpnięcie za klamkę, by dziewczyna podskoczyła i powiodła wokół rozbieganymi oczami.

David Vernon wszedł pewnym krokiem, z uśmiechem tkwiącym gdzieś głęboko w ustach i oczach.

– Nie przeszkadzam? – Głos teścia miał bogatą, aksamitną barwę i znamioną dla aktorów siłę. Fisher pojął nagle, jak mało przekonująco brzmiały lekko chropawe zdania, wypowiedzane w ciągu ostatniej godziny zarówno przez niego, jak i przez Meg; jak gdyby pozbawione były życia. – Wejź, Irene.

Żona, odziana w purpurę dopasowaną barwą do głosu męża, zdołała jakimś cudem uzyskać wygląd pretensjonalny, żaloszny i nieskazitelnie czysty zarazem. Na widok tej szaty usta Fishera wykrzywił uśmiech, z którym całkiem dobrze się poczuł.

– Kathleen przygotowuje nam jeszcze po filizance herbaty – oznajmił Vernon.

– My już jedliśmy – powiedziała Meg. W brzmieniu jej głosu zdecydowanie brakowało głębi.

– W takim razie zjecie znowu.

Vernon wskazał żonie fotel, stając na środku pokoju z rękami w kieszeniach, z grymasem zadowolenia na twarzy.

– Jakież wieści, Margaret? – zabrzmiało bardzo z walijska.

Meg spojrzała na męża.

– Chcemy dojść z tym do ładu – odparła.

– Naprawdę? – Vernon rzucił zięciowi prawnicze spojrzenie.

– Naprawdę.

– Przedyskutowaliście sprawę gruntownie? Na pewno tego właśnie chcesz? I to nie z poczucia obowiązku wobec mnie, twojej matki lub jakiejś abstrakcyjnej zasady?

– Nie. Z całkiem egoistycznych pobudek. – Meg w rozmowie z ojcem zawsze zdawała się zyskiwać na inteligencji.

– Czy to prawda, Edwinie?

– Oczywiście.

Vernon i Irene uśmiechnęli się do siebie.

– Nie lubię przyśpieszać tego typu spraw. Jesteście dla mnie ważnymi osobami. Wasze decyzje mają wpływ na twoją matkę i na mnie. I to jest główny powód, dla którego nie chcę żadnego pośpiechu, żadnego skąpienia uczuć, żadnego zaniedbania lub...

– Zaniechania – zasugerowała Meg niemal wesoło.

– Żartujesz sobie, moja droga damo – mówiąc to, Vernon pochylił się. – I pomyśleć, że dwa tygodnie temu były tylko łzy, depresja i desperacja.

– Czy tamte uczucia były w jakiś sposób prawdziwsze? – zapytał Fisher, przychodząc na

pomoc żonie.

Vernon zmarszczył brew i zacisnął pięści w kieszeniach, jak gdyby pytanie wymagało zmiążdżenia tego, kto je zadał.

– Dla mnie były wystarczająco prawdziwe. – Wyprostował ramiona. – Zatem pozwólcie, że złożymy wam gratulacje.

Irene wydała z siebie stosowny odgłos, ale nie wstała.

– Sporo się przy tym napracowałeś – oznajmił Fisher.

– Nie przeczę. – David ujął obydwie dłonie Meg w swoje ręce. – Trochę się nagimnastykowałem, przybierając taką czy inną pozę, ryzykując jedną czy drugą postawę. Naharowaliśmy się, jak to my zwykle, nieprawdaż, Irene? – Wciąż trzymając dłonie córki w swoich, odsunął się od niej na długość ramienia i zadeklamował:

*Nie ulegnę gorliwości,  
Podejmując ziemski trud  
By wspinaczki ku światłości  
Ospały nie zwalniał chód.*

– Co to było? – zapytała Meg.

– Thomas Hornblower Gill.

Strome zbocze w Lincoln.

– Czy w tym miało być jakieś przesłanie?

– Jedyna poezja, jaką znam na pamięć, pochodzi ze śpiewnika. Liznąłem też trochę Palgrave'a. W końcu zasłużyliśmy chyba na odrobinę wzniosłego języka, czyż nie?

Kathleen wpadła do pokoju z pojemniejszą tacą, większą ilością filiżanek i kolejnym talerzem, wypełnionym kromkami słodkiego pieczywa z masłem. Wyrzucała z siebie potok bezmyślnych uwag.

– Chodź tutaj. Nalej herbatę i sama się rozgość – powiedział Vernon. – Odańcz z nimi taniec zwycięstwa.

Fisher nawet nie dotknął dotąd żony... pięknej kobiety, siedzącej jakieś trzy jardy od niego. Nie uzgodnili ani godziny, ani dnia jego powrotu. Cokolwiek czuła, nie miał przekonania, że udało im się osiągnąć coś więcej niż ustną umowę. Kathleen Twining, wepchnąwszy mu filiżankę do ręki, wykrzychała pytanie o cukier. On, człowiek po wakacjach, znajomy Jacka i Leny Hollies, Terry'ego i Sandry Smith, Carol i Tricii, który rozmyślał o swoim ojcu, którego buty wypełniał piach wschodniego wybrzeża, który prowadził rozmowy z nieznanymi, mógł wreszcie, po tygodniu obijania się, stwierdzić, że znów ma żonę. Nie wiedział tylko, co to oznacza. Poczł seksualne pobudzenie – całkiem, wydawałoby się, stosowne w tak oświetlonym pomieszczeniu. Meg trzymała filiżankę wysoko, trwając w niemal całkowitym bezruchu, niemniej wyglądała na zadowoloną. Twining lawirowała pomiędzy nimi, usługując wszystkim. Fisher miał ochotę porozmawiać z żoną, dowiedzieć się czegoś o jej problemach – jeśli miała jakieś – lub usłyszeć coś o radościach jej życia. Arthur, idąc po schodach, aby udać się na spoczynek, mawiał: „No, na dziś już wystarczy”. Teraz jego syn również czuł się zmęczony.



– Powinni usiąść koło siebie – powiedziała Irene, wykonując gest talerzykiem.

– Oczywiście – poderwał się Vernon.

Edwin posłusznie zrobił, co mu kazano i usadowił się przy Meg, która z aprobatą przyjęła jego bliskość. Drżał, uradowany i niepewny. Vernon obejrzał swoją pustą filiżankę pod światło. Irene zapytała o odmianę herbaty. Kathleen nijak nie wydawało się stosowne usiąść razem z nimi, więc wybrała sobie miejsce w kącie pokoju, na krześle.

– Od razu lepiej – powiedział teść, wskazując na pojednaną parę. – I tak być powinno.

Na jaki banał wpadłby Arthur Fisher w tej sytuacji?

Edwin złapał Meg za rękę, niemal oczekując odrzucenia.

Odpląciła mu się uśmiechem.

– Herbaty, Kathleen, moja najdroższa! – huknął Vernon.

Nikt nic nie wie, uznał Fisher. On i jego żona trzymali się za ręce na znak nowej więzi, nowego uwiązania.

– Wszyscy jesteście ignorantami – powiedział na głos, choć nie zamierzał.

– Jakież to typowe dla ciebie – szepnęła Meg.

Nic nie zostało ustalone, ale z radością wróciłby do niej jeszcze tego samego wieczoru. Po powrocie z urlopu Arthur Fisher, gdy tylko postawił walizkę w przedpokoju, zostawiając ją żonie do rozpakowania, z namaszczeniem brał do ręki pocztę – zazwyczaj ograniczoną do porannych gazet oraz kilku widokówek od podróżujących przyjaciół – i ogłaszał, wymachując małą stertą papieru:

– Dobrze być w domu.

*Cytaty biblijne zaczerpnięto z Biblii Tysiąclecia i Biblii Gdańskiej.*

<sup>{11}</sup> Wszystkie zawarte w powieści cytaty z utworów lirycznych w przekładzie Bartosza Lewandowskiego, o ile nie zaznaczono inaczej. Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.

<sup>{2}</sup> Fragment wiersza *Równowaga (I)* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

<sup>{3}</sup> E.T. – Jessie Chambers Wood, autorka książki *D.H. Lawrence – A Personal Record*, wydanej w 1935 roku.

<sup>{4}</sup> „Miłość znajdzie sposób”.

<sup>{5}</sup> Fragment wiersza Thomasa Wyatta (1503—1542), angielskiego poety, tłumacza i dyplomaty.

<sup>{6}</sup> Nawiązanie do sztuki Szekspira; *Juliusz Cezar*, akt II, scena I.

<sup>{7}</sup> Cytat z sonetu *Written at Cambridge* Charlesa Lamba (1775—1834), angielskiego poety i eseisty.

<sup>{8}</sup> Ryszard Wagner, libretto do opery *Tannhäuser*, akt II, scena 4. Tłumaczyła Małgorzata Twarogal.

<sup>{9}</sup> Autor przywołuje tu obraz Joshuy Reynoldsa (1723—1792) *Portret Samuela Johnsona*.

<sup>{10}</sup> Alexander Pope (1688—1744) – angielski poeta oświeceniowy. Poemat heroikomiczny *Pukiel porwany* (1712) jest jednym z jego najpopularniejszych utworów.

<sup>{11}</sup> W języku walijskim: niech żyje Walia.

<sup>{12}</sup> Jedna z dawnych nazw Morza Północnego.

<sup>{13}</sup> Chodzi o jeden z najstarszych budynków w Lincoln, przy ulicy Steep Hill, prowadzącej na szczyt wzgórza, na którym stoi katedra.

<sup>{14}</sup> William Byrd (1543—1623) – jeden z najwybitniejszych renesansowych kompozytorów angielskich, autor m.in. mszy, motetów i madrygałów.

<sup>{15}</sup> Fragment sonetu Williama Wordswortha *Inside of King's College Chapel, Cambridge*.

<sup>{16}</sup> W 1255 roku niedaleko Lincoln znaleziono w studni ciało dziewięcioletniego chłopca. O dokonanie rytualnego mordu oskarżono lokalną społeczność żydowską. Chłopiec nigdy nie został kanonizowany, lecz – uznany przez lud za męczennika – zwany jest tradycyjnie w Anglii Małym Świętym Hugonem.

<sup>{17}</sup> Fragment ludowej ballady *Sir Hugh*, opisującej śmierć chłopca z ręki „córki Żyda”.

<sup>{18}</sup> Odwołanie do okrzyku szekspirowskiego Króla Leara, który, umierając, te właśnie słowa wypowiada w lamencie nad zmarłą Kordelią.

<sup>{19}</sup> Fragment *Elegii napisanej na wiejskim cmentarzu* Thomasa Graya w przekładzie Stanisława Barańczaka.

<sup>{20}</sup> Alfred Tennyson (1809—1892), angielski poeta, pochodzący z Lincolnshire.

<sup>{21}</sup> William Blake, *Zaślubiny Nieba i Piekła*, jedno z przysłów piekielnych. Przekład Franek Wygoda.

<sup>{22}</sup> Nawiązanie do tradycyjnej piosenki dziecięcej, rozbudowywanej stopniowo o dodatkowe wersy (podobnie jak w wierszu Juliana Tuwima *Rzepka*).

<sup>{23}</sup> William Shakespeare, *Juliusz Cezar*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

<sup>{24}</sup> A.E. Housman – cytat z wiersza XXXI ze zbioru *A Shropshire Lad* w przekładzie A.

Piotrowskiego.

[\[25\]](#) Cytat z wiersza Roberta Browninga *Myślą wracając do kraju* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

[\[26\]](#) *Droga na wyspy* – znana szkocka pieśń ludowa.

[\[27\]](#) Domniemana odpowiedź Jamesa McNeilla Whisdera, udzielona Oscarowi Wilde'owi przy okazji jednego z ich spotkań na przyjęciu, nawiązująca do zarzucanego mu niekiedy zwyczaju zapożyczania cudzych aforyzmów.